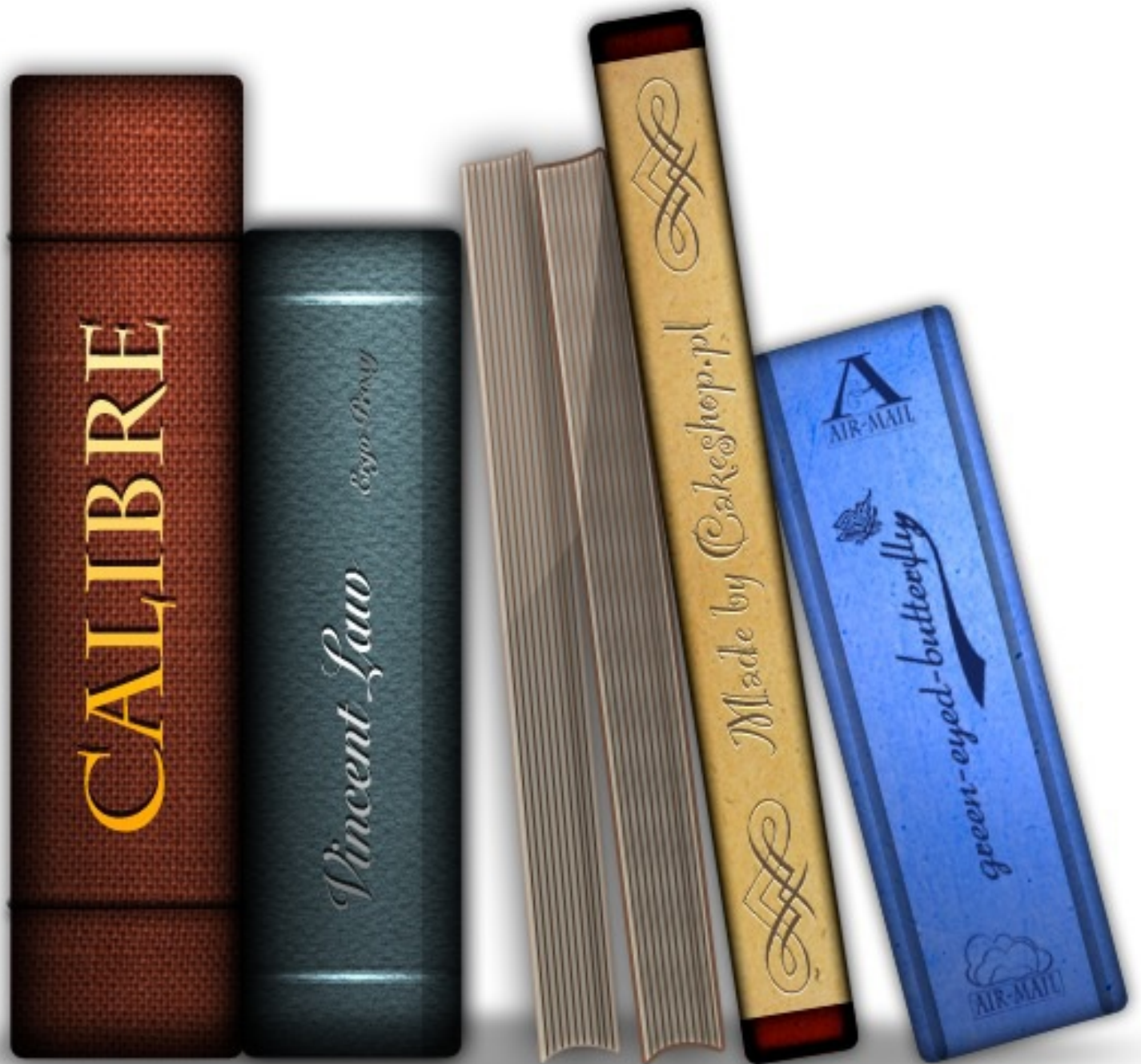


# Porucznik Hornblower

C. S. Forester



calibre 0.7.3

# C. S. FORESTER

## Porucznik Hornblower

### *Porucznik Hornblower*

„WYDAWNICTWO MORSKIE” GDAŃSK 1991 „TEKOP” GLIWICE 1991

Tytuł oryginału angielskiego Lieutenant Hornblower

Tłumaczyła z angielskiego: Henryka Stępień

Redaktor: Alina Walczak

Opracowanie graficzne: Erwin Pawlusiński, Ryszard Bartnik

Korekta Teresa Kubica

ISBN 83-85297-08-1

Wydawnictwo Morskie, Gdańsk 1991 —

we współpracy z „Tekop” Spółka z o.o. Gliwice

Bielskie Zakłady Graficzne

zam. 1717/K

### Rozdział pierwszy

Porucznik William Bush przybył na pokład okrętu wojennego „Renown”[1], stojącego na kotwicy w Hamoaze, i zameldował się u oficera wachtowego, osobnika wysokiego i dość szczupłej budowy, o zapadniętych policzkach i melancholijnym wyrazie twarzy, odzianego w mundur, który wyglądał, jakby go właściciel wkładał po ciemku i nie zdążył porządnie obciągnąć na sobie.

— Miło mi powitać pana na okręcie, sir — przemówił oficer wachtowy. — Moje nazwisko Hornblower. Dowódca jest na lądzie, a pierwszy oficer z bosmanem udali się na dziób dziesięć minut temu.

— Dziękuję — odparł Bush.

Z żywym zainteresowaniem rozejrzał się po pokładzie, na którym wrzało od niezliczonych czynności przygotowujących okręt do długiej służby na odległych wodach.

— Hej, wy tam! Przy taliach! Z wyczuciem! Z wyczuciem! Mocuj! — komenderował Hornblower przez ramię Busha. — Panie Hobbs! Niech pan pilnuje roboty swoich ludzi!

— Tak jest, sir — zabrzmiała mrukliwa odpowiedź.

— Panie Hobbs! Proszę tu, na rufę!

Mężczyzna dużej tuszy, z grubym siwym harcapem, ruszył kołyszącym się krokiem w kierunku rufy, gdzie przy zejściówce stał Hornblower z Bushem. Podniósł wzrok na Hornblowera, mrugając od świecącego mu prosto w oczy słońca, które oświetliło siwy zarost odrastający na policzkach.

— Panie Hobbs! — zwrócił się do niego Hornblower. Mówił spokojnie, lecz Busha zaskoczyła energia wyczuwalna w jego słowach. — Proch musi się znaleźć na pokładzie przed nocą, i pan wie o tym. Proszę więc nie reagować na rozkaz tak ponuro. Następnym razem odpowie pan wesołym tonem. Jak pan chce zachęcić ludzi do pracy, sam chodząc z nosem na kwintę? Proszę iść na dziób i pilnować roboty.

Hornblower mówiąc pochylał się lekko do przodu (splecione za plecami dłonie miały zapewne równoważyć wysunięty podbródek), była to jednak postawa raczej niedbała w zestawieniu z dobitnym tonem słów, mimo że wypowiedzianych głosem przyciszonym, słyszalnym tylko dla nich trzech.

— Tak jest, sir — rzekł Hobbs i odwróciwszy się ruszył na dziób.

Bush notował już sobie w myśli, że z tego Hornblowera musi być młodzik w gorącej wodzie kąpany, gdy napotkawszy jego melancholijne spojrzenie dostrzegł w nim ze zdumieniem cień uśmiechu. I nagle przyszło mu do głowy, że ten srogi porucznik nie jest wcale taki srogi i że ten jego dobitny ton był jedynie udawany, jak u kogoś kto się wprawia w mówieniu obcym językiem.

— Niech tylko raz wpadną w ponury nastrój, a trudno coś z nimi zrobić — wyjaśniał Hornblower — a Hobbs najgorszy z nich wszystkich. — Niby artylerzysta, lecz marny z niego pożytek. Nie uczą ich ruszać się porządnie.

— Ach, tak — powiedział Bush.

Dwulicowość młodego porucznika — jego zdolność do grania komedii od razu wzbudziła podejrzenia w umyśle Busha. Człowiekowi, który potrafi udawać oburzenie i tak łatwo przechodzić na inny ton, nie można ufać. Ale nie mógł się powstrzymać od zareagowania mrugnięciem szczerych, błękitnych oczu na ten przebłysk humoru w spojrzeniu ciemnookiego Hornblowera i mimo woli poczuł do niego sympatię. Przezorny z natury Bush opanował jednak natychmiast ten impuls — mieli przecież przed sobą długą podróż, która na pewno nastreczy wiele okazji do bardziej przemyślanego osądu. Tymczasem Hornblower patrzył badawczo na niego i. Bush czuł, że zaraz padnie pytanie i nawet on potrafił domyślić się jakie. Już za chwilę okazało się, że miał słuszość.

— Kiedy otrzymał pan patent oficerski? — spytał Hornblower.

— Lipiec, dziewięćdziesiąty szósty — brzmiała odpowiedź.

— Dziękuję — rzekł Hornblower zwykłym, nic nie mówiącym tonem, więc z kolei Bush spytał go o to samo.

— A pan?

— W sierpniu dziewięćdziesiątego siódmego — powiedział Hornblower. — Jest pan starszy stażem ode mnie. I od Smitha też — on jest ze stycznia dziewięćdziesiątego siódmego.

— A zatem jest pan młodszym porucznikiem?

— Tak — potwierdził Hornblower.

Jego głos nie zdradzał wprawdzie najmniejszego rozczarowania faktem, że nowo przybyły ma dłuższy staż oficerski, lecz Bush się tego domyślił. Jeszcze niedawno sam był młodszym porucznikiem na liniowcu i wiedział, co to znaczy.

— Będzie pan trzecim — ciągnął Hornblower. — Smith czwartym, a ja piątym.

— Ja trzecim? — zadumał się Bush.

Każdy porucznik może chociaż pomarzyć, nawet ci zupełnie bez wyobraźni jak Bush. Awans był rzeczą możliwą, w każdym razie teoretycznie; z gąsienicowego stadium stopnia porucznika można się było przeobrazić w stadium motyla — stopnia dowódcy okrętu — czasem nawet bez przechodzenia przez okres poczwarkowania w stopniu komandora. Porucznicy awansują przecież przy rozmaitych okazjach, przeważnie, rzecz jasna, dzięki temu, że mają przyjaciół na dworze królewskim lub w parlamencie albo gdy uda im się zwrócić na siebie uwagę admirała i mieć szczęście znajdowania się pod jego dowództwem w momencie, kiedy otworzy się wakans. Większość ujętych w rejestrze dowódców okrętów zawdzięczała swój awans którejś z tych okoliczności. Czasami jednak porucznika awansowano za jego zasługi — a przynajmniej dzięki splotowi tej okoliczności z odrobiną szczęścia — niekiedy zaś nawet dzięki czystemu przypadkowi. Jeśli okręt wyróżnił się wybitnie jakąś akcją o historycznym znaczeniu, pierwszy oficer mógł otrzymać awans (który, o ironio, przynosił chwałę dowódcy jednostki) albo też, gdy kapitan zginął w boju, nawet niewielki wyczyn mógł sprawić, że najstarszy stażem porucznik pozostały przy życiu obejmował jego stanowisko. Porucznik dowodzący jakimś wspaniałym wypadem desantowym na łodziach czy mający na swoim koncie wybitny wyczyn na lądzie — naturalnie znowu porucznik najstarszy stażem — mógł również liczyć na awans. Niewiele było tych szans, ale zawsze były.

W większości korzystał z nich oczywiście porucznik o najdłuższym stażu oficerskim albo pierwszy oficer; młodszy porucznik miał tych możliwości o połowę mniej. Ilekroć więc któryś z nich zaczynał marzyć o dojściu do rangi dowódcy okrętu, z godnościami i zabezpieczeniem materialnym, jakie dawało to stanowisko, oraz z dochodami z przyzów, łapał się na tym, że oblicza długość swego stażu w stopniu oficerskim. Jeśli w czasie obecnej wyprawy „Renown” Bush

znajdzie się w miejscu, do którego żaden admirał nie będzie mógł przysłać swojego faworyta-porucznika, to życie tylko dwóch ludzi będzie go dzieliło od stanowiska pierwszego oficera, ze wszystkimi dodatkowymi możliwościami, jakie otwierał ten awans. Rzecz naturalna, że myślał o tym i że wcale nie brał pod uwagę faktu, iż człowieka, z którym rozmawiał, dzieliło od tego stanowiska życie czterech istot ludzkich.

— Cóż, w każdym razie czekają nas Indie Zachodnie — zauważył filozoficznie Hornblower. — Żółta febra. Malaria. Huragany. Jadowite węże. Obrzydliwa woda. Upał tropikalny. Tyfus. I dziesięć razy więcej okazji do walki niż we flocie Kanału.

— To prawda — zgodził się Bush, z aprobatą w głosie.

Mając za sobą jeden zaledwie trzy, a drugi cztery lata służby w stopniu porucznika, obaj młodzieńcy (z właściwą młodemu wiekowi wiarą we własną nieśmiertelność) mogli z pewnym spokojem ducha patrzeć w oczy niebezpieczeństwom służby w Indiach Zachodnich.

— Wraca dowódca, sir — zameldował pośpiesznie midszypmen wachtowy.

Hornblower podniósł lunetę do oczu i skierował ją na łódź zbliżającą się od lądu.

— Zgadza się — powiedział. — Biegnij na dziób i zawiadom pana Bucklanda. Pomocnicy bosmana! Trapowi! Żywo, ruszać się!

Kapitan Sawyer wszedł przez furtę wejściową, zasalutował oficerom i rozejrzał się podejrzliwie wokoło. Na okręcie panowało zamieszanie, jak zwykle w okresie przygotowań do dalekiej wyprawy, ale to nie mogło być przyczyną rozbieganych spojrzeń Sawyera. Miał on dużą twarz z orlim wydatnym nosem. Stojąc na pokładzie rufowym zwracał ten nos to w jedną, to w drugą stronę, aż zauważył Busha, który wystąpił naprzód i zameldował się.

— Pan przybył na okręt pod moją nieobecność, tak? — zapytał Sawyer.

— Tak, sir — odparł Bush nieco zdziwiony.

— Kto panu powiedział, że jestem na lądzie?

— Nikt, sir.

— Więc skąd pan wiedział?

— Nie wiedziałem, sir. Dopiero pan Hornblower powiedział mi o tym.

— Pan Hornblower? Więc panowie już się znają?

— Nie, sir. Zameldowałem się u niego po przybyciu na okręt.

— Żebyście mogli zamienić ze sobą prywatnie parę słów bez mojej wiedzy?

— Nie, sir.

Bush miał zamiar dodać „naturalnie że nie”, lecz nie uczynił tego. Wychowany w twardej szkole, nauczył się nie wypowiadać zbędnych słów w rozmowie z oficerami wyższej szarży, którzy często bywają przewrażliwieni. Ale w tym wypadku drażliwość wydawała się szczególnie nieuzasadniona.

— Chcę, żeby pan wiedział, panie... e... Bush, że nie pozwalam nikomu spiskować za moimi plecami — powiedział kapitan.

— Tak jest, sir.

Bush wytrzymał z miną niewiniątka badawcze spojrzenie dowódcy, starał się przy tym nie dać po sobie poznać zaskoczenia, a że był marnym aktorem, gra uczuć odbiła się na jego obliczu.

— Ma pan winę wypisaną na twarzy, panie Bush — ciągnął kapitan. — Postaram się o tym nie zapomnieć.

Wyrzekłszy te słowa, odwrócił się i podążył pod pokład, a Bush, zwolniony z postawy na baczność, mógł wyrazić Hornblowerowi swe zdumienie. Miał już zamiar go zapytać, co znaczyło to dziwne zachowanie się dowódcy, lecz słowa zamarły mu na ustach, gdy ujrzał kamiennie obojętną minę Hornblowera. Zaskoczony i nieco dotknięty, już miał zakonotować sobie w pamięci Hornblowera jako jednego z tych, co się podlizują kapitanowi — czy nawet za kogoś niespełna rozumu — gdy kącikiem oka dojrzał głowę dowódcy wracającego na pokład. Sawyer pokręcił się widocznie u stóp zejściówki i wrócił po to, aby schwytać swoich oficerów, jak pozbywszy się ostrożności rozmawiają na jego temat — a Hornblower wiedział więcej od Busha o nawykach dowódcy. Bush zadał sobie ogromny wysiłek, by wyglądać naturalnie.

— Czy mogę prosić o kilku ludzi do wniesienia moich rzeczy? — spytał z nadzieją, że jego słowa nie brzmią w uszach kapitana tak bardzo sztucznie jak w jego własnych.

— Oczywiście, panie Bush — odparł Hornblower bardzo służbowym tonem. — Panie James, proszę się tym zająć.

— Ha! — fuknął kapitan i poszedł z powrotem pod pokład.

Hornblower mrugnął do Busha i był to jedyny znak, że uważa postępowanie dowódcy za dziwne, a Bush idąc za skrzynką z rzeczami niesioną do kajuty uświadomił sobie z konsternacją, że na tym okręcie nikt nie ma odwagi wypowiedzieć jasno swej opinii. Lecz „Renown” sposobił się do wyjścia w morze wśród gwaru i zamieszania towarzyszącego przygotowaniom do podróży, Bush zaś znalazł się na jego pokładzie jako jeden z oficerów i pozostało mu jedynie pogodzić się filozoficznie ze swoim losem. Trzeba będzie przetrwać jakoś tę wyprawę, chyba że któraś z ewentualności wymienionych przez Hornblowera w czasie ich pierwszej rozmowy wybawi go z kłopotu.

„Renown”, okręt jego królewskiej mości, przechyłany wiatrem z zachodu szedł pod zrefowanymi marszlami na południe, ku stronom, gdzie wiejący pasat północno-wschodni mógł go popchać prosto do miejsca przeznaczenia podróży w Indiach Zachodnich. Wiatr gwizdał w naprężonym po nawietrznej olinowaniu i wył Bushowi w uszach, gdy stał przy prawej burcie pokładu rufowego, usiłując zachowywać równowagę przy przechyłach poprzecznych, powodowanych olbrzymimi silnymi falami, gnanymi na okręt przez huczący wiatr. Fala uderzała najpierw w prawą stronę dziobu, który dźwigał się leniwie z bukszprytem coraz bliżej pionu, lecz zanim przechył wzdłużny zdążył się skończyć, okręt wolniutko zaczynał się kiwać na boki, podczas gdy bukszpryt dalej podjeżdżał w górę. Potem, wciąż kiwając się poprzecznie, okręt strząsał wodę z dziobu i zaczynał zsuwać się po drugiej stronie fali w białym wirze spienionej wody. Bukszpryt zjeżdżał w dół po łuku, w miarę jak okręt powracał do równowagi. Gdy prostował się pod wiatr pod działaniem przechodzącej pod jego kadłubem fali, na jej grzbiecie rufa unosiła się w górę, dziób zanurzał w wodę i kończył ten korkociąg z imponującą godnością wspaniałego wytworu rąk ludzkich, wiozącego na pokładzie pięćset ton urządzeń artyleryjskich. W dół — na boki — w górę — na boki, rytmicznie, z gracją i majestatem. I Bush, balansując na pokładzie z wprawą nabytą w ciągu dziesięciu lat służby, czułby się prawie szczęśliwy, gdyby nasilanie się wiatru nie wymagało ponownego reflowania, a o tym zgodnie z regulaminem okrętowym powinien być informowany kapitan.

Zostało mu jednak parę minut wytchnienia, w czasie których mógł puścić wodze myślom. Nie chodziło o to, żeby Bush czuł w ogóle potrzebę medytacji — ubawiłby się takim przypuszczeniem z czyjejkolwiek strony — lecz ostatnie kilka dni upłynęły w nieprzerwanym wirze zajęć od chwili, gdy otrzymawszy rozkazy pożegnał się z matką i siostrami (spędził z nimi trzy tygodnie po zwolnieniu załogi „Conquerora”) i pośpieszył do Plymouth, obliczając, czy pieniądze, jakie miał w kieszeni, starczą na zapłacenie przejazdu dyliżansem pocztowym. Zastał „Renown” w trakcie przygotowań do wyjścia w podróż na wyznaczoną pozycję na wodach zachodnioindyjskich, i w ciągu trzydziestu sześciu godzin pozostałych do terminu opuszczenia portu Bush nie miał ani chwili czasu, żeby usiąść, nie mówiąc już o spaniu — po raz pierwszy mógł przespać noc, dopiero gdy „Renown” płynął przez zatokę. Ale już od momentu postawienia stopy na okręcie dręczyły go dziwaczne nastroje dowódcy, raz obłądnie podejrzliwego, to znowu idiotycznie niefrasobliwego. Bush nie był człowiekiem ulegającym nastrojom — był solidny, z filozoficznym spokojem spełniał swoje obowiązki we wszelkiego rodzaju trudnych sytuacjach, jakich nie szczędziła służba na morzu — lecz nie mógł nie odczuć napięcia i strachu towarzyszącego życiu na „Renown”. Wiedział, że jest niezadowolony i przygnębiony, ale nie zdawał sobie sprawy, że w ten właśnie sposób reagował na napięcie i strach. W ciągu pierwszych trzech dni w morzu niewiele się dowiedział o swoich kolegach. Buckland, pierwszy oficer, zrobił na nim wrażenie człowieka zdolnego i zrównoważonego, a Roberts, drugi oficer, wydał mu się ludzki i niefrasobliwy; Hornblower wyglądał na młodzieńca aktywnego i inteligentnego, Smith zaś na osobnika o słabym charakterze, w gruncie rzeczy jednak były to tylko domysły. Pozostali oficerowie — porucznicy, nawigator, chirurg oraz płatnik — zachowywali się tajemniczo i z dużą dozą rezerwy. Było to zachowanie w zasadzie słuszne i właściwe — Bush sam nie był zbyt rozmowny — ale tu milczano do przesady, a rozmowy ograniczały się do paru słów, i to wyłącznie na tematy służbowe. Bush mógłby wiele się dowiedzieć o okręcie i jego załodze, gdyby pozostali oficerowie chcieli podzielić się z nim doświadczeniami i obserwacjami z rocznej służby na „Renown”. Jednakże poza jednym porozumiewawczym mrugnięciem Hornblowera w chwili, gdy Bush przybył na okręt, nikt inny nie puścił pary z ust.

Człowiekowi z bogatą wyobraźnią mogłoby się zdawać, że jest duchem przebywającym na morzu wśród innych duchów, odciętych od świata i od siebie nawzajem, zmierzających po bezkresie wód ku nieznanemu przeznaczeniu. Lecz nie mając takiej wyobraźni, Bush doszedł do wniosku, że zachowanie się starszych oficerów jest odbiciem nastrojów dowódcy, a myśl ta przypomniawszy mu o nasilającym się wietrze i konieczności ponownego refowania. Nastawił ucha na śpiew takielunku, spróbował wyczuć ruchy pokładu pod stopami i pokiwał głową z żalem. Nie było na to rady.

— Panie Wellard — odezwał się do stojącego obok wolontariusza. — Proszę iść do kapitana i powiedzieć mu, że moim zdaniem trzeba refować podwójnie.

— Tak jest, sir.

Nie minęło parę sekund, a Wellard był już z powrotem.

— Kapitan już tu idzie, sir.

— Bardzo dobrze — odparł Bush.

Mówiąc to nie patrzył w oczy Wellardowi; nie chciał, żeby chłopiec się zorientował, jak podziałała na niego ta wiadomość, wołał też nie widzieć twarzy Wellarda. Nadszedł kapitan, z długimi, zmierzwionymi włosami targanymi przez wiatr, jak zawsze zwracając swój zakrzywiony nos to w jedną, to w drugą stronę.

— Chce pan refować podwójnie, panie Bush?

— Tak, sir — odpowiedział Bush i czekał na ostrą krytykę. Był mile zdziwiony, gdy jej nie usłyszał. Dowódca miał niemal dobrotliwy wyraz oblicza.

— Bardzo dobrze, panie Bush. Niech pan wywołuje załogę.

Gwizdki rozświergotały się na pokładach.

— Cała załoga! Cała załoga! Wszyscy do refowania marsli. Cała załoga!

Marynarze zaczęli się zbiegać. Wezwanie „cała załoga” sprawiło, że oficerowie wyszli z mesy i kabin, a midszypmeni opuścili koje, sprawdzając w biegu, czy mają przy sobie rozkład stanowisk, aby załoga znalazła się na właściwych miejscach. Poprzez wycie wiatru dobiegał głos kapitana wydającego rozkazy. Marynarze chwycili za fały i reflinki, okręt tak mocno nurzał się dziobem i kołysał wzdłużnie na szarym morzu pod ołowianym niebem, że ktoś obserwujący go z lądu mógłby się dziwić, jak można się utrzymać na nogach na pokładzie, a cóż dopiero na wantach. Nagle w trakcie wykonywania manewru czyjś młody, wibrujący głos przekrzyczał słowa dowódcy:

— Hej, wy tam! Przestać wybierać! Przestać wybierać!

Polecenie zostało wykrzyczane tak ostrym, przekonywującym tonem, że marynarze przerwali pracę. Kapitan ryknął z rufówki:



— Któż to zmienia moje rozkazy?

— To ja, sir... Wellard.

Młody wolontariusz zwrócił twarz w kierunku rufy, usiłując przekrzyczeć wiatr. Ze swego stanowiska Bush zobaczył, że kapitan ogarnięty wściekłością ruszył w stronę relingu rufowego; ze swym wielkim nosem wysuniętym do przodu wyglądał na wężącego za ofiarą.

— Pożałuje pan tego, panie Wellard. Bardzo pan pożałuje.

W tej chwili obok Wellarda zjawił się Hornblower, z twarzą zieloną z powodu choroby morskiej, która go nie opuszczała od chwili wyjścia „Renown” z cieśniny Plymouth.

— Sir, refsejzing po nawietrznej wczepił się w blok talii refowej — zawołał i Bush podszedłszy bliżej zobaczył, że tak było rzeczywiście. Gdyby marynarze wybierali dalej, mogłoby dojść do uszkodzenia żagla.

— Jak pan śmie stawać między mną a kimś, kto okazał mi nieposłuszeństwo? — ryknął kapitan. — Próba osłaniania go na nic się nie zda.

— To ja odpowiadam za ten odcinek, sir — zauważył Hornblower. — Pan Wellard robił to, co było jego obowiązkiem.

— To spisek! — krzyczał dowódca. — Jesteście obaj w zмовie!

Na tak absurdalny zarzut Hornblower mógł odpowiedzieć tylko milczeniem. Stał, pobladał twarz zwróciwszy ku kapitanowi.

— Zejdzie pan pod pokład, panie Wellard — grzmiał kapitan, gdy nie doczekał się odpowiedzi. — I pan, Hornblower, także. Zajmę się wami za kilka minut. Słyszeliście? Ruszać na dół! Nauczę was spiskowania.

Taki bezpośredni rozkaz musiał zostać wykonany. Hornblower i Wellard ruszyli wolno w stronę rufy; Hornblower starał się unikać wymiany spojrzeń z midszypmenem, aby nie narazić się ponownie na zarzut spiskowania. Kapitan odprowadzał ich wzrokiem. Gdy głowy ich zniknęły już na zejściówce, podniósł znowu w górę swój wielki nochal.

— Posłać kogoś, żeby odczepił refsejzing — rozkazał normalnym tonem, stłumionym tylko przez wiatr. — Wybierać!

Zrefowane podwójnie marsie i załoga zaczęła schodzić z rei. Dowódca stał przy relingu rufówki, patrząc po okręcie najzupełniej normalnym spojrzeniem.

— Wiatr zmienia się na pełny — powiedział do Bucklanda. — Hej, tam, na marsie! Posłać marynarza do padunów przy krawężnicy marsa. Marynarze do brasów nawietrznych. Obsada rufy! Wybrać grotbras z nawietrznej! Razem wybierać, chłopcy! Fokreja dobrze! Grotreja dobrze! Obłóżyć porządnie!

Rozkazy były dorzeczne i sensowne. Marynarze stali, czekając na zwolnienie wachty wolnej od zajęć.

— Pomocniku bosmana! Zanieście pozdrowienia ode mnie panu Lomaxowi i niech przyjdzie tu do mnie na pokład.

Pan Lomax był płatnikiem, toteż oficerowie obecni na pokładzie rufowym z trudem powstrzymali się od wymiany spojrzeń, nie umieli wyobrazić sobie powodu wzywania płatnika na pokład w tej chwili.

— Pan posyłał po mnie, sir? — przemówił płatnik, zdyszany szybkim biegiem.

— Tak, panie Lomax. Załoga wybierała nawietrzny grotbras.

— Tak, sir?

— A teraz go spleciemy.

— Sir?

— Słyszysz pan, co mówię? Spleciemy grotbras[2]. Po łyku rumu dla wszystkich marynarzy. I dla chłopców okrętowych też.

— Sir?

— Powiedziałem: po łyku rumu dla każdego. Czy muszę powtarzać rozkazy? Rum dla wszystkich. Daję panu na to pięć minut, panie Lomax, i ani sekundy więcej.

Dowódca wyjął zegarek i spojrzał znacząco na wskazówki.

— Tak jest, sir — wyjąkał Lomax, ale stał jeszcze przez chwilę, aż nochał kapitana zaczął się obracać w jego stronę, a krzaczaste brwi się zbiegły. Na ten widok płatnik odwrócił się i pobiegł. Jeśli miał wykonać ten niewiarygodny rozkaz, to pięć minut było niewiele na przywołanie pomocników, otwarcie schowka i przyniesienie rumu na pokład. Rozmowę kapitana z płatnikiem mogło słyszeć nie więcej niż pół tuzina osób, lecz obserwowała ją cała załoga; jedni spoglądali po sobie z niedowierzaniem, inni z uśmiechami, które Bush chciałby zetrzeć z ich twarzy.

— Pomocniku bosmana! Biegnijcie do pana Lomaxa i powiedzcie mu, że minęło dwie minuty. Panie Buckland! Proszę zebrać załogę tu, na rufie.

Marynarze zaczęli nadchodzić od śródokręcia. Bushowi się zdawało, że szli powoli i niedbale, ale może była to wina nadmiernie pobudzonej wyobraźni. Dowódca podszedł do relingu, cały w uśmiechach, tak nie pasujących do dzikich wrzasków, jakie wyrzucał z siebie przed chwilą.

— Marynarze, wiem, gdzie szukać lojalności — zagrzmiał. — Byłem jej świadkiem. I znajduję ją tutaj. Widzę na wskroś wasze oddane serca. Obserwuję wasz nieustanny trud. Dostrzegam go, tak jak zauważam wszystko, co się dzieje na okręcie. Wszystko, powiadam. Zdrajcy dostają, na

co zasłużyli, a lojalni członkowie załogi otrzymują nagrodę. Wzniescie okrzyk, chłopcy.

Rozkaz został spełniony, przez jednych bez entuzjazmu, przez innych z przesadną gorliwością. W otworze głównego luku pojawił się Lomax, a za nim czterej pomocnicy, każdy z dwugalonową baryłką.

— W sam czas, panie Lomax. Miałby się pan z pyszna w razie spóźnienia. Proszę dopilnować, aby rozdział odbył się sprawiedliwie, bez kombinacji, jakie się zdarzają na innych okrętach. Panie Booth! Proszę tu do mnie, na rufę.

Tęgi bosman podbiegł na swoich krótkich nóżkach.

— Spodziewam się, że ma pan przy sobie swoją laskę trzcinową?

— Tak jest, sir.

Booth zaprezentował długi posrebrzany kij bambusowy, z grubymi guzami wystającymi co dwa cale. Opieszali marynarze znali dobrze tę laskę, nie tylko zresztą oni — w chwilach złości pan Booth częstował nią każdego, kto znalazł się w zasięgu jego ręki.

— Niech pan weźmie dwóch najtęższych ludzi spośród swoich pomocników. Będzie wymierzana sprawiedliwość.

Twarz dowódcy przybrała teraz nieodgadniony wyraz. Na grubych wargach igrał przypuszczalnie nieświadomy uśmiech, gdyż nie miał on odbicia w spojrzeniu.

— Za mną — rzucił kapitan do Bootha i jego ludzi i ruszył, zostawiając znowu pokład na głowie Busha, który mógł teraz snuć ponure rozmyślania nad dezorganizacją normalnego toku zajęć i naruszeniem dyscypliny przez ten dziwaczny kaprys dowódcy.

Gdy rum został rozdzielony i wypity, Bush mógł odesłać wachtę wolną od zajęć i dopilnować, aby wachta służbowa wróciła do swych obowiązków, ostrymi słowami besztając marynarzy za ponure miny i opieszałość. Nie sprawiało mu już przyjemności stać na huśtającym się pokładzie i wyczuwać stopami korkociągowe przechyły okrętu, obserwować szybki bieg fal atlantyckich, trzymowanie żagli i obracanie kołem sterowym — Bush wciąż nie uświadamiał sobie wyraźnie, że można znajdować zadowolenie w takich zwykłych, codziennych rzeczach, czuł jednak niejasno, że jego życie zostało o coś zubożone.

Zobaczył Bootha wracającego z pomocnikami na dziób, a po chwili na pokładzie rufowym pojawił się Wellard.

— Melduję się do służby, sir — rzekł.

Chłopiec miał twarz pobladłą i stężałą i Bush przyjrząwszy mu się uważnie dostrzegł ślad łez w kącikach jego oczu. Wellard poruszał się sztywno; duma mogła być powodem, że wypinał pierś i trzymał głowę wysoko, ale niemożność zginania się w pasie musiała mieć inną przyczynę.

— Bardzo dobrze, panie Wellard — odparł Bush.

Pomyślał o guzach na lasce Bootha. On sam dostatecznie często doznawał niesprawiedliwości. Nie tylko chłopcy, lecz i dorośli mężczyźni byli czasami bici bez powodu i Bush przezornie nie protestował w takich wypadkach, uważając że na tym z gruntu niesprawiedliwym świecie kontakt z niesprawiedliwością należy do programu wychowania. A dorośli uśmiechali się do siebie na widok bitych chłopców i byli zgodni w przeświadczeniu, że wszystkim to wyjdzie na dobre. Chłopców bito od zarania dziejów i gdyby miano przestać — co zresztą nie mieściło im się w głowie — nastałby sądny dzień dla świata. To wszystko prawda, a jednak Bushowi żal było Wellarda. Na szczęście miał coś dla niego do roboty, zajęcie odpowiednie do stanu i nastroju chłopca.

— Trzeba porównać klepsydry, panie Wellard — powiedział, wskazując ruchem głowy na kompas. — Proszę porównać klepsydrę minutową z półgodzinną, jak tylko zostanie obrócona, kiedy wybiją siedem szklanek.

— Tak jest, sir.

— Niech pan zaznacza każdą minutę kreską na tabliczce, bo inaczej mógłby się pan zgubić w obliczeniach — dodał Bush.

— Tak jest, sir.

To był dobry sposób na odpędzenie od chłopca myśli o kłopotach, przy tym zajęcie nie wymagające wysiłku fizycznego. Wystarczyło patrzeć, jak piasek wysypuje się z klepsydry minutowej i szybko ją obracać, robiąc znak na tabliczce, po czym obserwować dalej. Bush miał wątpliwości co do działania klepsydry półgodzinnej i takie sprawdzenie mogło się przydać. Wellard podszedł sztywnym krokiem do kompasu i rozpoczął przygotowania do obserwacji.

Lecz oto dowódca wracał na pokład, zwracając nochal to w tę, to inną stronę. Jego nastrój znowu uległ zmianie, znikła poprzednia aktywność i nerwowość zachowania. Teraz wyglądał jak człowiek, który dobrze sobie podjadł. Zgodnie z wymaganiami etykiety okrętowej Bush odsunął się od relingu nawietrznego z chwilą pojawienia się kapitana, który zaczął się przechadzać wolnym krokiem po tej stronie pokładu rufowego, dzięki długoletniej wprawie dostosowując swój krok do ruchów okrętu na fali. Wellard rzucił na niego jedno spojrzenie, a potem skoncentrował się znowu na klepsydrach. Siódma szklanka właśnie się rozległa i klepsydra półgodzinna została odwrócona. Kapitan chodził krótką chwilę tam i z powrotem. Potem przystanął, badając stan pogody po nawietrznej, wyczuł podmuch wiatru na policzku, skierował uważne spojrzenie na wimpel i wyżej, na marsie, aby sprawdzić, czy reje są dobrze wytrzymałe, po czym podszedł do kompasu sprawdzić kurs, na którym sternik trzymał okręt. Całe to zachowanie było absolutnie normalne, każdy kapitan na każdym okręcie zrobiłby to samo znalazłszy się na pokładzie. Wellard czuł bliskość dowódcy, ale starał się nie dać poznać po sobie niepokoju, odwrócił klepsydrę minutową i zrobił kolejny znaczek na tabliczce.

— Pan Wellard przy pracy? — zauważył kapitan.

Mówił głosem przytłumionym i trochę niewyraźnym, jego ton był zupełnie inny od tonu

wyostrzonego lękiem, jakim mówił poprzednio. Wellard ze wzrokiem utkwionym w klepsydry odczekał chwilę, zanim odpowiedział. Bush się domyślał, że chłopiec zastanawia się, jaka odpowiedź będzie najbezpieczniejsza, a przy tym najbardziej poprawna.

— Tak jest, sir.

W marynarce wojennej nikt nic nie ryzykował odzywając się do przełożonego w ten sposób.

— Tak jest, sir — powtórzył jego słowa kapitan. — Może pan Wellard wie już teraz, że lepiej nie spiskować przeciwko swemu dowódcy, przeciwko zwierzchnikowi postawionemu nad nim rozkazem jego najłaskawszej mości króla Jerzego II?

Trudno było znaleźć odpowiedź na tak sformułowany zarzut. Wellard czekał, aż z klepsydry wypłyną ostatnie ziarenka piasku; „tak” lub „nie” mogło być jednakowo zgubne w skutkach.

— Pan Wellard jest bez humoru — ciągnął kapitan. — Może rozmyśla nad tym, co przeszedł. Co przeszedł. „Siedzieliśmy płacząc nad brzegami Babilonu”. Lecz dumny pan Wellard nie zapłakał. Ani nie usiadł. Nie, będzie się starał nie siadać. Niegodna część jego ciała zapłaciła za jego niegodziwości. Dorosły mężczyzna za honorowe przewinienia bywa chłostany po plecach, ale chłopca, wstrętnego smarkacza, co miewa brzydkie myśli, traktuje się inaczej. Nieprawdaż, panie Wellard?

— Tak, sir — szepnął Wellard. Cóż innego mógł odpowiedzieć, a musiał dać jakąś odpowiedź.

— Na tę okazję nadała się doskonale laska pana Bootha. Dobrze wykonała swoje zadanie. Przeięty przez działo złoczyńca mógł rozmyślać o swoich niegodziwościach.

Wellard znowu odwrócił klepsydrę, a kapitan, widocznie usatysfakcjonowany, przeszedł się, ku uldze Busha, kilka razy tam i z powrotem. Lecz w połowie drogi nagle przystanął przy Wellardzie i ciągnął dalej, teraz już wyższym tonem.

— Chciał pan spiskować przeciwko mnie? — nalegał z uporem. — Próbował pan wystawić mnie na pośmiewisko na oczach załogi?

— Nie, sir — odparł Wellard, znów ogarnięty strachem. — Nie, sir. Naprawdę nie, sir.

— Pan i ten szczeniak Hornblower. Pan Hornblower. Snuliście spisek i zamierzaliście poderwać mój służbowy autorytet.

— Nie, sir!

— Tylko załoga jest mi wierna na tym okręcie, gdzie wszyscy spiskują przeciwko mnie. A wy próbujecie chytrze podważyć wpływ, jaki mam na nich. Uczynić ze mnie w ich oczach śmieszną postać. Niech pan się przyzna!

— Nie, sir. Nie uczyniłem tego!

— Po co próbować zaprzeczać? To sprawa oczywista, logiczna. Kto wymyślił, żeby zacząć refsejzing o blok reftalii?

— Nikt, sir. To...

— Któż zatem zmienił moje rozkazy? Kto okrył mnie wstydem przed obydwoma wachtami, przy całej załodze na pokładzie? To był spisek misternie uknuty. Wszystko wskazuje na to.

Kapitan splótł dłonie na plecach i bez trudu utrzymywał równowagę stojąc na pokładzie, na wietrze targającym połami jego płaszcza i zdmuchującym mu włosy na policzki, ale Bush widział, że znowu dygoce z wściekłości — a może ze strachu. Wellard odwrócił raz jeszcze klepsydrę minutową i naniósł nowy znaczek na tabliczkę.

— Chowa pan twarz, żeby ukryć wypisaną na niej winę? — zagrzmiął nagle kapitan. — Udaje pan zajętego, żeby mnie zwodzić. Hipokryzja!

— Dałem panu Wellardowi polecenie, żeby sprawdził zgodność wskazań klepsydr — wtrącił Bush.

Interweniował niechętnie, lecz przyszło mu to łatwiej, niż przyglądać się jako bierny świadek. Dowódca spojrzał na niego, jakby teraz dopiero go zobaczył.

— Pan, panie Bush? Myli się pan głęboko sądząc, że w tym chłopcu jest coś dobrego. Chyba że... — na twarzy kapitana pojawił się nagle wyraz podejrzliwej obawy — chyba że pan sam maczał palce w tej niecnej sprawie. Ale pan tego nie uczynił, panie Bush? Nie pan. Zawsze miałem dobre zdanie o panu, panie Bush.

Obawa malująca się poprzednio na jego twarzy przeszła w wyraz przymilnej solidarności.

— Tak, sir.

— Mając świat przeciwko sobie, zawsze liczyłem na pana, panie Bush — ciągnął kapitan, rzucając niespokojne spojrzenia spod brwi. — A więc na pewno ucieszy się pan, gdy to wcielenie zła spotka się z zasłużoną karą. Wydobędziemy z niego prawdę.

Bush czuł, że gdyby miał zdolność szybkiego myślenia i znajdowania odpowiednich słów, mógłby wyzyskać ten nowy nastrój, aby uchronić Wellarda przed niebezpieczeństwem. Udając osobę oddaną kapitanowi w trudnych dla niego chwilach, a równocześnie wykpiwając samą myśl o groźbie spisku, mógłby skierować obawy dowódcy w inną stronę. Tak mu się wydawało, ale sam nie wierzył, że potrafi tego dokonać.

— On nie ma o niczym pojęcia, sir — zaczął, zmuszając się do uśmiechu. — Nie odróżnia watersztagu od bomu sterzągla.

— Tak pan myśli? — rzekł kapitan z powątpiewaniem w głosie, kołysząc się na piętach w takt przechyłów okrętu. Już wyglądało, że uwierzył, gdy nagle coś nowego przyszło mu do głowy.

— Nie, panie Bush. Pan jest zbyt uczciwy. Zauważyłem to, gdy po raz pierwszy ujrzałem pana na oczy. Nie ma pan pojęcia, w jakie otchłanie zła może się stoczyć ten świat. Ten spryciarz zwiódł pana! Zwiódł pana!

Głos kapitana podniósł się do ochryplego krzyku i Wellard zwrócił w stronę Busha zbielełą twarz wykrzywioną przerażeniem.

— Naprawdę, sir... — zaczął Bush, wysilając się na uśmiech, który przypominał raczej grymas trupiej czaszki.

— Nie, nie, nie! — krzyczał kapitan. — Sprawiedliwości musi stać się zadość! Prawda musi wyjść na jaw! Wydobędę ją z niego! Podoficer wachtowy! Biegiem na dziób i wezwijcie tu do mnie pana Bootha. Z pomocnikami!

Kapitan odwrócił się i zaczął dalej chodzić po pokładzie, jakby chcąc się uspokoić, ale po chwili już był z powrotem.

— Wydobędę z niego przyznanie się! Albo wyskoczy za burtę! Słyszycie, co mówię? Gdzież ten bosman?

— Pan Wellard nie skończył jeszcze sprawdzać klepsydr — Bush uczynił ostatnią próbę odwleczenia kaźni.

— I nie skończy — powiedział kapitan.

Bosman na krótkich nóżkach nadbiegał z pomocnikami na rufę.

— Panie Booth! — powiedział kapitan i bezlitosny uśmieszek zaigrał mu na wargach. — Weźmie pan tego łotra. Sprawiedliwość żąda, abyście się nim znowu zajęli. Jeszcze tuzin porządných kijów. Jeszcze tuzin, a zacznie śpiewać jak z nut.

— Tak jest, sir — odparł bosman, lecz się zawahał.

Przez chwilę stali tak, tworząc żywy obraz; kapitan, z połami surduta trzepocącymi na wietrze; bosman, patrzący błagalnie na Busha, i jego krzepcy pomocnicy stojący za nim jak potężne posągi; sternik, pozornie spokojny w obliczu wszystkiego, co działo się wokół niego, trzymający ster i obserwujący pilnie górne żagle; i młody nieszczęśnik przy kompasie — wszyscy tak stali pod szarym niebem, z sinym morzem huczącym dokoła, ciągnącym się aż po bezkresny widnokrąg.

— Panie Booth, bierzcie go na dół, na pokład główny — rozkazał dowódca.

Polecenie musiało być wykonane. Za słowami kapitana stał autorytet parlamentu, wspierała go odwieczna tradycja. Nic nie można było zrobić. Dłonie Wellarda leżały na kompasie, jakby przyrosły do niego, i wyglądało, że trzeba je będzie odrywać siłą. Lecz chłopiec sam opuścił ręce i ruszył za bosmanem, a kapitan odprowadzał go uśmiechem.

W tej sytuacji pożądaną dystrakcją były dla Busha słowa podoficera wachtowego: — Dziesięć

minut do ośmiu szklanek.

— Bardzo dobrze. Gwizdać na pobudkę wstępujących na wachtę. '

Na pokładzie rufowym pojawił się Hornblower i zmierzał ku Bushowi.

— Nie pan mnie zmienia — zauważył Bush.

— Ja. Rozkaz kapitana.

Hornblower mówił te słowa z kamiennym wyrazem twarzy — Bush przywykł już do takiego opanowania oficerów na tym okręcie i wiedział, co jest tego przyczyną. Lecz ciekawość kazała mu zapytać:

— Dlaczego?

— Mam pełnić wachtę na dwie zmiany — wyjaśnił Hornblower ze spokojem. — Aż do dalszych rozkazów.

Mówiąc to patrzył na horyzont nie zdradzając najmniejszego zdenerwowania.

— A to pech — powiedział Bush i przez chwilę myślał, czy nie posunął się zbyt daleko, okazując w ten sposób swoje współczucie.

— Mam nie dostawać przydziału alkoholu aż do odwołania. Ani z moich racji, ani z niczyich innych.

Dla niektórych oficerów byłaby to kara cięższa niż wachta na dwie zmiany: cztery godziny pracy — cztery wolne, w dzień i noc, ale Bush zbyt słabo znał nawyki Hornblowera, aby osądzić, czy tak jest w jego wypadku. Miał już powtórzyć: — A to pech! — gdy poprzez wycie wiatru dobiegł jego uszu dziki krzyk bólu. Po chwili krzyk rozległ się znowu, tym razem jeszcze głośniej. Hornblower patrzył wciąż na widnokrąg i żaden mięsień nie drgnął w jego twarzy. Bush spojrzawszy na niego postanowił nie zwracać uwagi na krzyki.

— A to pech — powiedział.

— Mogłoby być gorzej — stwierdził Hornblower.

### Rozdział III

Był niedzielny poranek. „Renown” chwycił w żagle pasat północno-wschodni i gnał przez Atlantyk najlepszą swą prędkością, z bocznymi żaglami postawionymi z obu stron, wznosząc się i opadając regularnie pod naporem wyjącego pasatu, a jego tępy dziób wyrzucał od czasu do czasu w górę strumień wody, której kropelki tworzyły przelotną tęczę. Od takielunku szedł wysoki, przenikliwy gwizd, który zlewał się z niskimi dźwiękami poszycia okrętu w symfonię morską, od dyszkantu przez baryton aż do basa. Spośród chmur olśniewającej białości, rozsianych na szafirze nieba, przeświecało ożywcze słońce, odbijając się na stromiznach roztańczonych fal od królewskiego



błękitu morza. Okręt wyglądał zjawiskowo na tle tej urzekająco pięknej scenerii, lecz pełny kształt dziobu i rzędy armat wnosiły niepokój w ten obraz. „Renown” był świetną machiną bojową, królem wód, po których żeglował w osamotnionym majestacie. Ta zupełna samotność mówiła sama za siebie; wrogie flotylle tłoczyły się zamknięte w portach strzeżonych przez czujne eskadry, czyhające tylko, aby wziąć się z nimi za bary. Toteż „Renown” mógł żeglować bez najmniejszych obaw. Żaden okręt, któremu by się udało przekraść przez blokadę, nie dorównywał jemu siłą; nigdzie na morzach nie było eskadry, która byłaby w stanie zmierzyć się z nim w bitwie. Mógł sobie kpić z wybrzeży obsadzonych przez nieprzyjaciela, bezradnego, zduszonego blokadą, i mógł zadać potężny cios, gdzie tylko zechciał. Może właśnie płynął w tym celu, wysłany rozkazem lordów Admiralicji na drugi koniec oceanu.

Na pokładzie głównym stali w szeregach marynarze, których zadaniem było utrzymywać nieprzerwanie ten twór ręki ludzkiej w stanie maksymalnej sprawności i usuwać nieustannie skutki działania morza, pogody i zwyczajnego upływu czasu na jego kadłub. Śnieżnobiałe pokłady, świeżo odmalowane powierzchnie, precyzyjny i celowy układ lin i drzewc — wszystko to świadczyło o staranności ich pracy, oni też obsadzą działa, gdy „Renown” będzie musiał odegrać rolę argumentu w wojnie o panowanie na morzu. „Renown” był wspaniałą machiną bojową, ale tylko dzięki wysiłkom kruchych istot ludzkich, które go obsługiwały. A ci ludzie, podobnie jak „Renown”, stanowili tylko kółka jeszcze potężniejszej maszyny, jaką była królewska marynarka wojenna, i większość z nich, trzymana w kleszczach uświęconej przez czas rutyny i dyscypliny wojskowej, rada była z tej roli pionków, których zadaniem było zmywać pokłady i stawiać żagle, kierować działami na cel lub z kordami w dłoniach szarżować przez nadburcia na pokład okrętu nieprzyjacielskiego, nie zastanawiając się nad tym, czy dziób okrętu jest skierowany na północ, czy na południe, czy abordażowana przez nich jednostka to hiszpan, francuz czy holender. W tym dniu jedynie dowódca znał misję, z jaką „Renown” został wysłany przez lordów Admiralicji — przypuszczalnie w porozumieniu z rządem. Domyślano się, że zdąży do Indii Zachodnich, lecz szczegóły dotyczące rejonu i zadania, jakie tam ma wykonać, były wiadome tylko jednemu człowiekowi spośród siedmiuset czterdziestu obecnych na pokładzie okrętu.

Tego niedzielnego poranka kto żyw stał w szeregu na pokładzie głównym, nie tylko obie wachty, lecz także „wałkonie” nie przydzieleni do żadnej wachty — ludzie z obsługi ładowni, którzy pracowali tak głęboko pod pokładem, że dosłownie nie oglądali słońca od niedzieli do niedzieli: bednarz i jego pomocnicy, zbrojmistrz ze swoimi ludźmi, żaglomistrz, kucharz i stewardowie, każdy w odświętnej odzieży. A oficerowie, w trójgraniastych kapeluszach, ze szpadami u pasa, stali przy swoich sekcjach. W szeregach wyprężonych na baczność na śródkręciu i falujących w takt ruchu pokładu brakowało tylko oficera wachtowego i pełniącego z nim wachtę podoficera, sterników stojących przy kole sterowym i tuzina marynarzy niezbędnych do pełnienia wachty na „oku” i wyznaczonych do obsługi okrętu na wypadek nagłego zaskoczenia.

Był to poranek niedzielny i wszystkie czapki były zdjęte, wszystkie głowy obnażone, ponieważ załoga okrętu słuchała słów dowódcy. Nie było to jednak nabożeństwo. Ci mężczyźni z obnażonymi głowami nie wielbili swojego Stwórcy. Nabożeństwa odbywały się w trzy niedziele każdego miesiąca, jednakże bez nacisku na obecność wszystkich członków załogi — tolerancyjna Admiralicja zarządziła ostatnio, że z uczestnictwa w nabożeństwach mogą być zwolnieni katolicy, żydzi, a nawet dysydenci. W tę czwartą niedzielę rezygnowano z oddawania czci Bogu na rzecz ceremoniału

surowszego i bardziej uroczystego, który również wymagał czystych koszul i odkrytych głów. Jednakże marynarze nie musieli stać ze spuszczoneymi oczyma, a przeciwnie, wszyscy mieli spojrzenia skierowane wprost przed siebie. Wiatr targał im włosy, a oni z czapkami w rękach słuchali nakazów równie wszechogarniających jak dziesięcioro przykazań, praw bezwzględnych jak kodeks Leviticusa, ponieważ w każdą czwartą niedzielę miesiąca dowódca miał obowiązek odczytać załodze na głos Regulamin Wojenny, aby nawet analfabeci nie mogli się tłumaczyć, że go nie znają. Religijny kapitan mógł przy tym odprawić krótkie nabożeństwo, ale Regulamin Wojenny musiał być odczytany przede wszystkim.

Kapitan odwrócił stronicę.

„Artykuł dziewiętnasty — czytał. — Jeśli jakaś osoba z floty lub należąca do niej uczyni próbę zorganizowania buntowniczego zgromadzenia dla dokonania przestępstwa, każda osoba w takim zgromadzeniu uczestnicząca i uznana za winną wyrokiem sądu wojennego poniesie śmierć”.

Stojąc przy swojej sekcji Bush wysłuchiwał tych słów, jak dziesiątki razy przedtem. Wygłaszano je w jego obecności tak często, że zazwyczaj nie przysłuchiwał się im ze szczególną uwagą; poprzednie osiemnaście artykułów przeszło mu właściwie mimo uszu. Lecz ten, dziewiętnasty, dotarł do jego świadomości z niezwykłą wyrazistością, może dlatego że kapitan odczytał go ze specjalnym naciskiem. Ponadto Bush, podniósłszy wzrok na błogosławione słońce, pochwycił spojrzenie Hornblowera, oficera wachtowego, który słuchał tego również stojąc przy relingu rufowym. Bushowi się wydało, że słowo „śmierć” kapitan wypowiedział z wyjątkowym naciskiem. Rzecz dziwna, ale w jego uszach zabrzmiało ono dobitnie i bezapelacyjnie, jak odgłos kamienia rzuconego do studni, chociaż słowo „śmierć” powtarzało się często także w innych artykułach odczytywanych przez kapitana — śmierć groziła za uchylanie się przed niebezpieczeństwem, za zaśnięcie na posterunku.

Kapitan czytał dalej:

„Jeśli ktoś wypowie słowa sprzeciwu lub buntu, czeka go śmierć”.

„Jeśli którykolwiek oficer, marynarz lub żołnierz zachowa się lekceważąco wobec swego przełożonego...”

Pod ciężkim spojrzeniem Hornblowera te słowa nabrały dla Busha głębszego znaczenia; poczuł dziwne wzburzenie. Spojrzał na dowódcę, niechlujnego, w wyświechtanym mundurze, i wrócił pamięcią do wydarzeń ostatnich kilku dni. Jeśli ktoś okazał się niezdatny do wykonywania swych obowiązków, to właśnie kapitan, utrzymywała go jednak na stanowisku nieograniczona siła odczytywanego właśnie Regulaminu Wojennego. Bush znowu przeniósł wzrok na Hornblowera, miał wrażenie, że wie dokładnie, co myśli Hornblower stojący przy relingu rufowym, i sam się zdziwił stwierdziwszy, że odczuwa sympatię do tego niezdarnego, kanciastego młodego porucznika, z którym tak mało miał do czynienia.

„A jeśli jakiś oficer, marynarz, żołnierz lub jakakolwiek osoba należąca do floty — kapitan doszedł już do artykułu dwudziestego drugiego — ośmieli się sprzeciwić komukolwiek z postawionych nad nim oficerów lub okaże nieposłuszeństwo wobec jakiegoś prawowitego rozkazu, zostanie ukarany śmiercią”.

Bush nie zdawał sobie dotąd sprawy, że w Regulaminie Wojskowym powtarza się w kółko to samo. Poddawał się ochoczo dyscyplinie i zawsze mówił sobie filozoficznie, że można jakoś przeżyć niesprawiedliwość czy błędne rozkazy dowódców. Teraz zaczął pojmować cel tych wszystkich przepisów. Jak gdyby chcąc rozstrzygnąć jego wątpliwości, kapitan odczytał artykuł końcowy, stawiający kropkę nad i.

„Wszelkie inne zbrodnie popełnione przez osobę lub osoby należące do floty, a nie wymienione w niniejszym Regulaminie...”

Bush pamiętał ten artykuł. Na jego podstawie oficer mógł zniszczyć każdego podwładnego, któremu udało się wymigać od odpowiedzialności na podstawie innych artykułów.

Dowódca odczytał ostatnie uroczyste słowa i podniósł wzrok znad kartki. Jego wielki nos obracał się jak lufa działa nastawionego na cel, gdy tak przyglądał się wszystkim oficerom po kolei; na twarzy o nie ogolonych policzkach malował się wyraz ordynarnego triumfu. Odczytanie regulaminu wydawało się utwierdzać go w jego obawach. Wypiął klatkę piersiową i uniósł się na plecach jakby do wygłoszenia zakończenia.

— Chcę, żebyście wszyscy wiedzieli, że artykuły te dotyczą moich oficerów w tym stopniu co wszystkich innych.

Bush nie wierzył w to, co słyszał. W głowie mu się nie mieściło, że dowódca mógł wypowiedzieć te słowa wobec załogi. Jeśli jakieś odezwanie mogło podważyć dyscyplinę, to właśnie takie. Ale kapitan powiedział tylko jak zwykle:

— Proszę dalej wydawać komendy, panie Buckland.

— Tak jest, sir. — Zgodnie z ceremoniałem Buckland wystąpił krok do przodu.

— Czapki włoż!

Teraz, po zakończeniu ceremonii, oficerowie i marynarze mogli już włożyć nakrycia głowy.

— Oficerowie sekcyjni, odprawić swoje sekcje!

Na tę chwilę czekała orkiestra okrętowa. Sierżant sekcji doboszy machnął batutą i pałeczki zadudniły przeciągle na bębnach. Przejmująco i słodko zawtórowały im flety w skocznej melodii „Praczkę irlandzkiej”. Raz — raz — raz — na rozkaz żołnierze piechoty morskiej przełożyli muszkiety na ramię. Ich kapitan z pobladałą twarzą rzucał głośno rozkazy, zmuszając szkarłatno odziane szeregi do maszerowania tam i z powrotem po oświetlonej blaskiem słońca wydzielonej części pokładu rufowego.

Dowódca stał, przyglądając się temu zwykłemu na okręcie widowisku. Nagle zawołał podniesionym głosem:

— Panie Buckland!

— Sir!

Kapitan wszedł na dwa stopnie trapu pokładu rufowego, aby wszyscy go dobrze widzieli, i podniósł głos jeszcze bardziej, by słyszano go w najdalszych szeregach.

— Dziś niedziela wolna od pracy.

— Tak jest, sir.

— I podwójna racja rumu dla tych poczciwców.

— Tak jest, sir.

Buckland robił wszystko, by ukryć w głosie niezadowolenie. Tego było już za wiele. Niedziela wolna od pracy oznaczała, że resztę dnia załoga spędzi na wałkonieniu się. A podwójny rum w takiej sytuacji to nieuniknione bijatyki i kłótnie między marynarzami. Idąc pokładem głównym w kierunku rufy, Bush widział oznaki dezorganizacji szerzącej się wśród załogi, a wynikającej z pobłażliwości dowódcy. Utrzymanie dyscypliny było niemożliwe w warunkach, gdy kapitan nie przyjmował do wiadomości żadnych niepomyślnych raportów składanych przez oficerów. Źle sprawujący się członkowie załogi chodzili bezkarnie, chętni do pracy zniechęcali się, a buntownicze duchy zaczęły się buntować otwarcie. „Ci poczciwcy”, powiedział kapitan. A oni doskonale wiedzieli, jak marnie wyglądało ich konto za ubiegły tydzień. Jeśli teraz, po tym wszystkim, dowódca nazwał ich „poczciwcami”, to w następnym tygodniu należy się spodziewać jeszcze gorszych rzeczy. A do tego marynarze na pewno się orientowali, jak kapitan traktuje swoich poruczników, jak im wymyśla i jak surowo karze. Zgodnie z przysłowiem „Z igły widły”, to co się dzieje na rufie, będzie wkrótce w wypaczonej formie roztrząsane dokładnie na dziobie; trudno oczekiwać od marynarzy posłuszeństwa wobec oficerów traktowanych z pogardą przez dowódcę okrętu. Bush myślał o tym wszystkim wchodząc na pokład rufowy.

Kapitan odszedł półpokładem do swojej kajuty; Buckland i Roberts stali przy siatkach hamakowych, zatopieni w rozmowie, i Bush przyłączył się do nich w chwili, gdy Buckland cytował słowa kapitana:

— Te artykuły odnoszą się do moich oficerów.

— Niedziela wolna od pracy i podwójny rum — dodał Roberts. — Dla tych wszystkich poczciwców.

Buckland mówił dalej, ale przedtem obrzucił pokład ukradkowym spojrzeniem. Był to żaloszny widok, że pierwszy oficer okrętu liniowego musiał podejmować środki ostrożności, aby nie podsłuchiowano jego słów. Ale Hornblower z Wellardem byli po drugiej stronie koła sterowego. Na rufówce oficer nawigacyjny zbierał midszypmenów z klasy nawigacyjnej z sekstantami do brania wysokości w południe.

— To szaleniec — rzekł Buckland tak cicho, jak na to pozwalał pasat północno-wschodni.

— Wszyscy wiemy o tym — dorzucił Roberts.

Bush się nie odzywał. Był zbyt ostrożny, żeby angażować się obecnie.

— Clive nie ruszy palcem — rzekł Buckland. — Jeśli ktoś tu jest mięczakiem, to właśnie on.

Clive był lekarzem okrętowym.

— Pytałeś go? — wtrącił Roberts.

— Próbowałem. Ale on nie powie ani słowa. Boi się.

— Nie ruszać się z miejsc, panowie — rozległ się głośny, ochrypły głos, dobrze znany głos kapitana mówiącego wyraźnie z poziomu pokładu, na którym stali. Oficerowie zamarli ze zdumienia.  
— Wszystkie objawy winy — grzmiał głos. — Panie Hobbs, niech pan będzie świadkiem.

Rozejrzeli się dokoła. Światlik nad kajutą kapitańską był podniesiony na kilka cali i przez ten otwór dowódca patrzył na nich; widzieli jego oczy i nos. Był wysokiego wzrostu i stanąwszy na książce albo podnóżku mógł wyrzeć ze światlika nad zrębnicą. Stojąc na baczność oficerowie czekali, aż pod światlikiem obok oczu kapitańskich ukazały się jeszcze inne, należące do Hobbsa, pełniące obowiązki artylerzysty.

— Nie ruszajcie się, panowie, póki nie przyjdę do was — rozkazał kapitan, uśmiechając się szyderczo przy słowie „panowie”. — Doskonale, panie Hobbs.

Obie twarze zniknęły spod światlika i oficerowie ledwie zdążyli wymienić zrozpaczone spojrzenia, gdy już dowódca szedł od trapu w ich stronę.

— To zebranie buntowników — rzekł.

— Nie, sir — odparł Buckland. Każde słowo nie będące zaprzeczeniem byłoby przyznaniem się, że są winni przestępstwa, które mogło doprowadzić do założenia im stryczka na szyję.

— Śmie pan mi tu kłamać, na moim pokładzie rufowym! — wrzasnął kapitan. — Miałem rację, podejrzewając swoich oficerów. Spiskowanie. Szepty. Knowania. Planowanie. A teraz traktowanie mnie z absolutnym brakiem respektu. Dopilnuję, panie Buckland, aby od tej chwili zaczął pan tego żałować.

— Nie było moją intencją zachować się z brakiem szacunku — zaprotestował Buckland.

— I znowu kłamie mi pan prosto w oczy! A wy, reszta, stoicie tu biernie i popieracie go! Aprobujecie jego postępowanie! Miałem dotąd lepsze zdanie o panu, panie Bush.

Bush uznał, że najlepiej milczeć.

— Oniemieliście wszyscy, co? — ciągnął kapitan. — Ale zaraz zaczynacie gadać, jak tylko spuszczę z was oko.

Kapitan rozejrzał się po pokładzie.

— A pan, panie Hornblower — dodał — nie uznał za stosowne donieść mi o tym zebraniu. Oficer wachtowy, patrzcie go! Wellard też naturalnie maczał w tym palce. Można się było tego spodziewać. Ale coś mi się zdaje, panie Wellard, że będzie pan miał tarapaty z tymi dżentelmenami. Nie był pan dla nich dostatecznie czujnym obserwatorem. A właściwie to już jest pan w poważnych tarapatkach, panie Wellard, nie mając żadnego przyjaciela na okręcie, poza córeczką artylerzysty, którą niedługo znów pan będzie całował.

Kapitan stał, górując nad nimi na pokładzie rufowym, ze spojrzeniem utkwionym w nieszczęsnego Wellarda, który drząc cofał się przed nim. Całować córeczkę artylerzysty znaczyło zostać przegiętym przez działo i otrzymać chłostę.

— Ale na pana przyjdzie później kolej, panie Wellard. Najpierw porucznicy, jak nakazuje ich wysoka ranga.

Kapitan przeniósł wzrok na poruczników, a strach i triumf malowały się na przemian na jego obliczu.

— Pan Hornblower pełni już wachtę na dwie zmiany — rzekł. — A wy, reszta, leniuchujecie z tego powodu i szatan znalazł głupie zajęcie dla waszych beczynnych rąk. Pan Buckland nie pełni wachty. To ważna osoba wysokiej rangi, pełen aspiracji pierwszy oficer.

— Sir... — zaczął Buckland, ale urwał. Słowa „pełen aspiracji” niewątpliwie miały oznaczać, że spiskował, aby przejąć dowództwo nad okrętem, lecz sąd wojenny nie przyzna im tego znaczenia. Każdy oficer powinien mieć aspiracje i takie słowa nie stanowiły obrazy.

— Sir! — szydził dowódca. — Sir! A więc ma pan jeszcze tyle poczucia przyzwoitości, żeby panować nad swoim językiem. Może przez chytróść. Lecz nie uniknie pan konsekwencji swoich czynów. Pan Hornblower może dalej pełnić wachtę na dwie zmiany. Lecz ci dwaj dżentelmeni mają się u pana meldować przy wywoływaniu każdej wachty, i o dwóch szklankach, o czterech i sześciu szklankach w każdej wachcie. Meldując się, mają być porządnie ubrani, a pan powinien być dostatecznie rozbudzony. Zrozumiano?

Przez chwilę żaden z osłupiałej trójki nie był w stanie przemówić.

— Odpowiadać!

— Tak jest, sir — rzekł Buckland.

— Tak jest, sir — zawtórowali Bush i Roberts, gdy kapitan zwrócił wzrok na nich.

— Niech nie będzie zaniedbania w wykonywaniu moich rozkazów — dodał kapitan. — Mam sposoby, żeby wiedzieć, czy jesteście mi posłuszni, czy nie.

— Tak jest, sir — rzekł Buckland.

Wyrok dowódcy skazał jego samego, Busha i Roberta na to, by byli budzeni i wstawali co godzina, dniem i nocą.

## Rozdział IV

Ciemno tu było, choć oko wykol, bez najmniejszego przeblýsku światła. Okręt sunął w mroku bezksiężycowej nocy i tutaj, trzy pokłady pod powierzchnią morza, przez dębowe poszycie dochodził tylko szmer wody przy burtach i uderzenia fal, po których płynął „Renown”. Drewniane części okrętu stękały pod naciskiem przechyłów to wzdłużnych, to bocznych. Uczepiony strome go trapu Bush szukał po omacku oparcia dla stóp; znalazłszy je, zszedł między baryłki z wodą i schylony nisko posuwał się w gęstych ciemnościach w stronę rufy. Obok z piskiem przeleciał szczur, ale tu, w ładowni, można się było szczurów spodziewać, i Bush nie zwróciwszy na to uwagi szedł dalej, wyczuwając rękami drogę. Od przodu, z głębokiej czerni, poprzez mnogość szmerów okrętowych, dobiegł go cichutki syk. Zatrzymał się i odpowiedział takim samym sykiem. Nie krępowała go ta cała konspiracja. Środki ostrożności były niezbędne, gdyż to, co czynił, było bardzo niebezpieczne.

— Bush! — usłyszał szept Bucklanda.

— Tak.

— Wszyscy już są tutaj.

Przed dziesięcioma minutami, o dwóch szklankach pierwszej wachty, po północy, Bush i Roberts, zgodnie z rozkazem kapitana zameldowali się w kabinie Bucklanda. Mrugnięcie okiem, gest, szept i już spotkanie zostało uzgodnione; trudno sobie było wyobrazić sytuację, żeby porucznicy na okręcie królewskim musieli działać w ten sposób, w obawie przed szpiclami i podsłuchi waczami, ale było to konieczne. Potem rozeszli się i okrężnymi drogami, przez różne luki przedostali się do tego miejsca. Hornblower, zastąpiony przez Smitha na wachcie, przyszedł pierwszy.

— Nie możemy zostawać tu długo — szepnął Roberts.

Nawet tutaj, w ciemnościach, ton jego szeptu zdradzał zdenerwowanie. Nie było wątpliwości, że jest to spotkanie spiskowców planujących bunt. Wszyscy mogli zawisnąć za to na stryczku.

— Może ogłosimy go niezdolnym do dowodzenia? — szepnął Buckland. — I zakujemy w kajdany?

— Musielibyśmy dokonać tego w sposób szybki i zdecydowany — zauważył szeptem Hornblower. — Inaczej odwoła się do załogi, która mogłaby stanąć po jego stronie, a wtedy...

Hornblower nie musiał mówić, co wtedy. Wszyscy obecni oczyma wyobraźni ujrzeli trupy kołyszające się na rejach.

— Przypuśćmy, że zrobimy to szybko i zdecydowanie — zgodził się Buckland. — Że zakujemy go w kajdany. I co dalej?

— Dopłyniemy do Antiguy — rzekł Roberts.

— I będzie sąd wojenny — dorzucił Bush, po raz pierwszy w tej trudnej sytuacji wybiegając tak daleko myślami w przyszłość.

— Tak — potwierdził Buckland.

W jego bezbarwnym mruknięciu zawarta była cała gama nastrojów: niepewność i rozpacz, desperacja i zwątpienie.

— W tym sęk — ciągnął szeptem Hornblower. — Przedstawi dowody. W sądzie wszystko będzie wyglądało inaczej. Karano nas: służba dwuwachtowa, pozbawienie racji rumu. To się może przydarzyć każdemu. Nie daje podstaw do buntu.

— Ale on demoralizuje załogę.

— Podwójne racje rumu. Czas wolny od pracy. W sądzie zabrzmiałoby to całkiem naturalnie. Nie nasza sprawa krytykować metody dowódcy — takie będzie stanowisko sądu.

— Ale przecież będą go widzieli na własne oczy.

— On jest sprytny. I nie z tych wariatów, co bredzą. Potrafi mówić, znaleźć uzasadnienie dla wszystkiego. Słyszeliście go. To, co powie, będzie brzmiało wiarygodnie.

— Ale przecież traktował nas pogardliwie na oczach załogi, kazał Hobbsowi szpiegować nas.

— Będzie to świadczyło, w jak trudnej był sytuacji, otoczony przez takich złoczyńców jak my. Jeśli go aresztujemy, będziemy winni, dopóki nie dowiedziemy swojej niewinności. Każdy sąd stanie po stronie kapitana. Za bunt grozi stryczek.

Hornblower wyraził słowami wszystkie wątpliwości, jakie Bush przeczuwał, lecz nie potrafił ich sformułować.

— To prawda — mruknął Bush.

— A co z Wellardem? — spytał szeptem Roberts. — Słyszeliście jego krzyki ostatnim razem?

— To tylko wolontariusz. Nawet nie midszypmen. Bez przyjaciół, bez rodziny. Jak myślicie, co powiedzą sędziowie usłyszawszy, że kapitan spuścił chłopcu lanie parę razy? Roześmieją się. My byśmy też się śmieli, gdybyśmy nie znali prawdy. Wyjdzie mu tylko na dobre, mówilibyśmy, tak jak wyszło nam samym.

Po tym tak oczywistym stwierdzeniu przez chwilę panowała cisza, przerwana wreszcie przez Bucklanda, który ulżył sobie nieco w rozpacz, wyrzuciwszy z siebie szeptem stek najgorszych przekleństw.



— Wnieście oskarżenia przeciwko nam — odezwał się Roberts. — Jak tylko znajdziemy się w pobliżu innych okrętów. Wiem, że tak zrobi.

— Dwadzieścia dwa lata jestem oficerem — westchnął Buckland. — A teraz on zniszczy mnie. I was także.

Nie będzie najmniejszych szans dla oficerów oskarżonych przez kapitana przed sądem wojennym o lekceważące zachowanie wobec niego, w sposób naruszający dyscyplinę. Każdy z nich wiedział o tym. Pogłębiło to jeszcze bardziej ich rozpacz. Oskarżenia miotane przez kapitana z tym samym obłąkańczym uporem i przebiegłością, jakie przejawiał dotychczas, mogły się skończyć czymś więcej niż dymisją z floty. Mogły doprowadzić do więzienia i stryczka.

— Dzieli nas jeszcze dziesięć dni od Antiguy — powiedział Roberts. — Jeśli utrzyma się pomyślny wiatr, a na pewno się utrzyma.

— Nie mamy przecież pewności, czy idziemy do Antiguy — zauważył Hornblower. — Domyślamy się tylko. Może to trwać jeszcze tygodnie... albo i miesiące.

— Niech nas Bóg ma w swej opiece! — westchnął Buckland.

Cichutki stukot w ładowni od strony rufy — szmer inny od szmerów płynącego okrętu — sprawił, że wstrząsnął nimi dreszcz. Bush zacisnął owłosione pięści. Uspokoił się, słysząc przytłumiony głos:

— Panie Buckland... panie Hornblower... sir!

— Wellard, na Boga! — zdumiał się Roberts.

Usłyszeli, jak Wellard gramoli się do nich.

— Kapitan, sir! — powiedział. — Idzie w tę stronę.

— Boże święty!

— Którędy? — rzucił Hornblower.

— Lukiem międzypokładowym. Pobiegłem do rufowej części międzypokładu i stamtąd przedostałem się tutaj. Wysłał Hobbsa...

— Wy trzej na dziób! — zdecydował Hornblower, przerywając wyjaśnienia. — Na pokładzie rozejdźcie się w różne strony. Szybko!

Nikt nie zastanawiał się nad tym, że Hornblower wydaje rozkazy oficerom o niebo starszym szarżą od niego. Każda chwila była droga i nie wolno było stracić czasu na wahania czy próżne złorzeczenia. Stało się to rzeczą jasną dla wszystkich, gdy tylko się odezwał. Bush dał nura za innymi w ciemność, w kierunku dziobu, boleśnie objijając sobie golenie o niewidoczne przeszkody. Uciekając w panice usłyszał jeszcze, jak Hornblower powiedział: — Idziemy, Wellard.

Komora lin kotwicznych — trap — a potem cudowne bezpieczeństwo dolnego pokładu działowego. Po kompletnych ciemnościach ładowni było tu na tyle jasno, że mógł widzieć wyraźnie. Buckland i Roberts spieszyli na pokład główny, Bush zawrócił w kierunku rufy. Marynarze z wachty wolnej od służby posnęli głęboko w hamakach; ze szmerami okrętowymi mieszało się tu chrapanie śpiących w rzędach hamaków zawieszonych jeden przy drugim i kołysanych tak równo w takt ruchów okrętu, że robiły wrażenie jednej zwartej masy. Pomiędzy najdalszymi rzędami pojawiło się światelko. Była to latarnia tubowa z zapalonym stoczkiem, niesiona przez idącego szybkim krokiem Hobbsa, p. o. działonowego, za którym postępowali dwaj marynarze. W momencie mijania grupy przez Busha nastąpiła wymiana spojrzeń. Chwila wahania ze strony Hobbsa zdradziła, że bardzo chciałby zapytać Busha, co robi na dolnym pokładzie działowym, ale było to coś, o co żaden podoficer, nawet faworyt kapitana, nie miał prawa zapytać porucznika. Na twarzy Hobbsa odmalowało się rozczarowanie; widocznie śpieszył zabezpieczyć wszystkie wyjścia z ładowni i był wściekły, że Bush mu się wymknął. Oblicza marynarzy zdradzały zwykle zaskoczenie tym, co się działo na pierwszej wachcie po północy. Hobbs odsunął się, by przepuścić wyższego szarżę, i Bush przeszedł rzuciwszy mu tylko jedno spojrzenie. Teraz, po bezpiecznym wydostaniu się z ładowni i odłączeniu od zebranych spiskowców, poczuł się znacznie pewniej. Postanowił wrócić do kabiny; niedaleko było do czterech szklanek, kiedy zgodnie z rozkazem kapitana miał się znowu zameldować u Bucklanda. Chłopiec wysłany przez oficera wachtowego, żeby go zbudzić, zastanie go leżącego w koi. Gdy jednak zbliżył się do grotmasztu, trafił w sam środek zamieszania, które niewątpliwie powinien był zauważyć, gdyby był niewinny, i o którego przyczyny musiał (tak postanowił) zapytać. Teraz, gdy już tu był, nie powinien iść dalej bez rzucenia jakiegoś pytania. Kwaterowali tu żołnierze piechoty morskiej, którzy opuściwszy hamaki spiesznie wdziewali ekwipunek — ci, co mieli już na sobie spodnie i koszule, nakładali pasy, gotując się do akcji.

— Co to wszystko znaczy? — zapytał Bush, starając się, aby głos jego zabrzmiał tak, jakby nie miał pojęcia, że coś niezwykłego dzieje się na okręcie, poza sceną, jaką właśnie oglądał.

— Bo ja wiem, sir — odparł zapytany szeregowiec. — Kazali wyleźć z hamaków, brać muszkiety, broń boczną i kule, sir.

Sierżant piechoty morskiej wyjrzał przez zasłonę oddzielającą część zajętą przez podoficerów od reszty pokładu.

— Rozkaz kapitana, sir — wyjaśnił, a potem, z rykiem, do żołnierzy: — Ruszać się! Ty tam, zapnij się porządnie.

— A gdzie kapitan? — pytał dalej Bush z całą niewinnością, na jaką potrafił się zdobyć.

— Gdziesik na rufie, sir. Przysłał po straż akurat, jak nam kazali gotować się.

Czterech żołnierzy i kapral uzupełnili posterunek stojący dniem i nocą pod kajutą kapitańską. Wystarczył jeden rozkaz, aby przywołać straż i zapewnić kapitanowi przynajmniej garstkę uzbrojonych i zdyscyplinowanych ludzi gotowych do czynu.

— Bardzo dobrze, sierżancie — odparł Bush i usiłując przybrać zaintrygowany wyraz twarzy pospieszył, jak należało, na rufę, żeby sprawdzić, co się dzieje. Ale Bush bał się. Wolałby wszystko

inne, niż iść dalej na spotkanie tego, co go czekało. Pojawił się Whiting, kapitan piechoty morskiej, zaspany i nie ogolony, zapinając na koszuli pas ze szpadą.

— Co, u diabła?... — zaczął, gdy ujrzął Busha.

— Proszę nie pytać m n i e! — odparł Bush, starając się o zwyczajny wygląd. Był w tym momencie w stanie takiego napięcia i desperacji, że jego zwykle bierna wyobraźnia zaczęła pracować gwałtownie. Zobaczył prokuratora i usłyszał zadawane Whitingowi pytanie w zwodniczej ciszy sądu wojennego: „Czy pan Bush zachowywał się normalnie?” — i było sprawą straszliwie ważną, żeby Whiting mógł odpowiedzieć: „Tak”. Bush zdołał nawet wyobrazić sobie kosmate dotknięcie sznura na szyi. Ale za chwilę nie musiał już udawać zdumienia i nieświadomości i mógł reagować na wypadki w swój naturalny sposób.

— Po lekarza — dobiegł go krzyk. — Hej, poślijcie po lekarza!

Nadbiegł pędem Wellard z pobladłą twarzą.

— Trzeba posłać po doktora. Po pana Clive'a.

— Kto jest ranny, Wellard? — spytał Bush.

— Kapitan, sir.

Wellard, wstrząśnięty, wyglądał jakby postradał zmysły. Za chwilę, dysząc ciężko, zjawił się Hornblower, blady jak Wellard, ale panujący nad sobą. Rozejrzał się wokoło w słabym blasku latarni i przesunął spojrzeniem po Bushu, jakby go nie poznał.

— Sprowadzić pan Clive'a — rzucił do midszypmena, który wyjrzał z koi. — A ty — wskazał na innego — leć po pierwszego oficera. Poproś, żeby tu zeszedł. Biegiem!

Hornblower zauważył Whitinga i żołnierzy piechoty morskiej chwytających muszkiety ze stojaków.

— Kapitanie Whiting, dlaczego pańscy ludzie stają pod broń?

— Rozkaz dowódcy okrętu.

— Proszę zatem czynić swoje. Nie sędzę jednak, aby groziło nam jakieś niebezpieczeństwo.

Dopiero teraz wzrok Hornblowera objął i Busha.

— O, pan Bush. Skoro pan tu jest, może przejmie pan odpowiedzialność. Zostałem wysłany po pierwszego oficera. Kapitan jest ranny... obawiam się, że bardzo ciężko, sir.

— Ale co się stało? — pytał Bush.

— Kapitan wpadł do luku, sir — wyjaśnił Hornblower.

W słabym świetle Hornblower patrzył Bushowi prosto w oczy, ale Bush nie umiał wyczytać niczego z jego spojrzenia. Teraz w części rufowej dolnego pokładu działowego pełno już było ludzi i wyraźne oświadczenie Hornblowera, pierwsze, jakie usłyszeli, wywołało poruszenie. Był to ten rodzaj niezdyscyplinowanego hałasu, który najłatwiej wywoływał gniew Busha, i może dobrze się stało, że zareagował w sposób naturalny dla siebie.

— Milczeć tam! — ryknął. — Wracając do swoich zajęć.

Bush potoczył wzrokiem po obecnych i tłum zamilkł.

— Za pańskim pozwoleniem, sir, pójdę pod pokład — rzekł Hornblower. — Muszę zająć się kapitanem.

— Bardzo dobrze, panie Hornblower — zgodził się Bush; ten stereotypowy zwrot używany był tak często, że nie zabrzmiał sztucznie.

— Proszę za mną, panie Wellard — powiedział Hornblower i oddalił się.

Tymczasem nadeszło jeszcze kilka osób: Buckland, ze zbielełą, pełną napięcia twarzą, za nim Roberts, zaspany Clive, w koszuli i spodniach, gramolił się niemrawo z kabiny. Wszyscy byli nieco zaskoczeni widokiem żołnierzy ustawiających się w szeregi na ciasnym pokładzie, błyskających lufami muszkietów w mdłym blasku latarni.

— Przyjdzie pan zaraz, sir? — pytał Hornblower, zawracając na widok Bucklanda.

— Już idę — odparł Buckland.

— Co, na Boga, tu się dzieje? — dopytywał się Clive.

— Kapitan jest ranny — odparł krótko Hornblower. — Niech pan natychmiast idzie, będzie potrzebne światło.

— Kapitan? — zamrugał Clive, otwierając szerzej oczy. — Gdzież on jest? Ty, chłopcze, daj mi latarnię. Gdzie moi pomocnicy? Biegnij i pobudź ich. Śpią w hamakach w lazarecie.

Procesja złożona z pół tuzina osób z latarniami: czterej porucznicy, Clive i Wellard, ruszyła na dół. Przystanąwszy u szczytu trapu, Bush rzucił ukradkowe spojrzenie na Bucklanda; na jego twarzy widać było walkę ze strachem. Wolałby sto razy iść pooranym pociskami pokładem wśród gradu kartaczy. Skierował pytający wzrok na Busha, ale mając Clive'a w zasięgu słuchu Bush nie odważył się wyrzec ani słowa — w gruncie rzeczy nie wiedział więcej od Bucklanda. Nie wiadomo, co czekało ich u stóp trapu — areszt, ruina, niełaska czy może śmierć.

Nikłe światło latarni wydobyło z mroku szkarłatną tunikę i biały pas żołnierza piechoty morskiej stojącego przy luku. Miał odznaki kaprała.

— Coś do zameldowania? — zapytał Hornblower.

— Nie, sir. Nic, sir.

— Na dole jest kapitan, nieprzytomny. Pilnują go dwaj żołnierze — poinformował Clive'a Hornblower, wskazując na luk. Clive z trudem opuścił swe ciężkie ciało na trap i zaczął schodzić.

— A wy, kapralu — rozkazał Hornblower — powiedzcie pierwszemu oficerowi wszystko, co wam o tym wiadomo.

Kapral stał sztywno na baczność. Zdenerwował się, czując na sobie wzrok aż czterech poruczników, a ponadto miał niejasne przeczucie oparte na doświadczeniu wyniesionym ze służby wojskowej, że gdy wyższe szarże mają jakiś kłopot, może się to skrupić na zwykłym kapralu, który miał pecha być zawikłanym w tę sprawę nawet bez najmniejszej winy z jego strony. Stał sztywno, starając się nie patrzeć w oczy żadnemu z oficerów.

— Mówże, człowieku — parsknął gniewnie Buckland. On też był zdenerwowany, ale to było naturalne w wypadku pierwszego oficera, którego dowódca uległ ciężkiemu wypadkowi.

— Byłem dowódcą warty. Jak wybili dwie szklanki na dzwonie, zmieniłem posterunek przed drzwiami kajuty kapitana.

— I co dalej?

— A... a wtenczas to ja żem znowuż usnął.

— Do diabła — rozgniewał się Roberts. — Składajcie meldunek.

— Obudził mnie, sir — ciągnął kapral — jakiś pan. On jest chyba artylerzysta.

— Pan Hobbs?

— Może i tak jemu na nazwisko, sir. I powiada: „Rozkaz kapitana, straż pod broń”. No to ja żem postawił straż pod broń, a tu idzie kapitan, z Wadem, wartownikiem, com go postawił na posterunku. Miał w rękach pistolety, sir.

— Kto... Wade?

— Nie, sir, kapitan, sir.

— Jak się zachowywał? — pytał dalej Hornblower.

— No więc, sir... — kapral bał się wypowiedzieć słowa krytyki na temat dowódcy okrętu nawet wobec porucznika.

— Zostawmy to. Mów dalej.

— To on powiada, sir, no, kapitan, sir, mówi tak do nas: „Za mną”, a potem do tego pana powiada tak: „Proszę, niech pan czyni pańską powinność, panie Hobbs”. To pan Hobbs idzie dalej,

a my z kapitanem tu na dół, sir. „Gotuje się bunt — powiada kapitan — podstępny, podły bunt. Musiem złapać spiskowców. Przyłapać na gorącym uczynku” — tak gada kapitan.

W otworze luku ukazała się głowa doktora.

— Dajcie tu jeszcze jedną latarnię — powiedział.

— Jak kapitan? — spytał Buckland.

— Wygląda na wstrząs mózgu i złamanie kości.

— Ciężko ranny?

— Jeszcze nie wiem. Gdzie moi pomocnicy? A, jesteś tu, Coleman. Łubki i bandaże, ale duchem! Szeroka deska, płótno żaglowe, liny. Ruszajże się, człowieku! A ty, Pierce, chodź ze mną na dół, pomożesz mi.

Tak więc obaj pomocnicy doktora, ledwo się pojawili, już spieszenie odeszli.

— Mówcie dalej, kapralu — rozkazał Buckland.

— Nie wiem, na czym żem stanął sir.

— Kapitan przyprowadził was tutaj.

— Aha, tak, sir. No to jak mówiłem, trzymał w rękach pistolety. Dwóch z nas posyła na dziób. „Zamknijcie wszystkie drogi ucieczki” — tak powiada. A potem do mnie: „Wy, kapralu, weźcie tych dwóch ludzi na dół i róbcie poszukiwania”. I tak ryczał, sir. I trzymał pistolety w rękach.

Mówiąc to kapral patrzył niepewnie na Bucklanda.

— W porządku, kapralu — uspokoił go Buckland. — Mówcie tylko prawdę.

Świadomość, że dowódca jest nieprzytomny i być może ciężko ranny przydała mu pewności siebie, podobnie jak Bushowi.

— No to my zesli, z tem drugim po trapie, sir — ciągnął kapral. — Ja poszłem przodkiem z latarnią i tak myślę, czemu żem nie wziął muszkietu ze sobą. Zesliśmy z trapu, pomiędzy te skrzynie, sir, a kapitan krzyczał na dół, do luku: „Prędej! — krzyczał. — Pospiesz się! Nie dać im uciec. Prędej!” To my zaczęli leżeć po ładunku w stonę dziobu, sir.

Zbliżając się do punktu kulminacyjnego opowieści kapral zaczął zdradzać objawy wahania. Może chciał zakończyć je w sposób bardzo dramatyczny, a może też — co było prawdopodobniejsze — wciąż bał się wplątania w okoliczności, które mogły mu zaszkodzić mimo braku winy.

— Co było potem? — nalegał Buckland.

— No więc, sir...

W tej chwili pojawił się znowu obładowany Coleman; na plecach dźwigał deskę o długości sześciu stóp. Spojrzeniem poprosił Bucklanda o pozwolenie na kontynuowanie zleconego mu zadania, a gdy ten skinął głową przyzwalająco, złożył deskę na pokładzie, na niej płótno i liny, i zszedł za innymi po trapie.

— I co? — zwrócił się Buckland do kaprała.

— Nie wiem, co się stało, sir.

— Powiedz to, co wiesz.

— Usłyszałem krzyk, sir. I gruchnięcie. Nie uszłem nawet i dziesięć jardów, sir. Więc się zawróciłem z latarnią.

— Co zobaczyłeś?

— To był kapitan, sir, leżał tam na dole, koło trapu. Wyglądał jakby nie żył, sir. Zleciał do luku, sir.

— Co zrobiłeś?

— Próbowałem jego odwrócić, sir. Cała twarz była czerwona od krwi. I był bez zmysłów, sir. Myślałem, że może już trup z niego, ale wyczułem, że serce jeszcze puka.

— I co dalej?

— Nie miałem pojęcia, co robić, sir. Ja żem nic zupełnie nie wiedział o tym spotkaniu tutaj, sir.

— Ale cóżeś z r o b i ł w końcu?

— Zostawiłem moich dwóch ludzi koło kapitana, sir, i poszłem na pokład, żeby zrobić alarm. Ja się bał, sir, posyłać kogoś innego.

Była jakaś ironia w tej sytuacji — kaprał w strachu, żeby go nie zwymyślano za taki drobiazg: czy powinien był wysłać kogoś z wiadomością, czy iść sam, gdy tymczasem czterem przyglądającym mu się porucznikom groził stryczek.

— I co?

— Wtedy ja żem zobaczył pana Hornblowera, sir. — Ulga w głosie kaprała musiała być odbiciem ulgi, jaką poczuł znalazłszy kogoś, kto mógłby zdjąć z niego ogromną odpowiedzialność. — Był z młodym panem Wellardem, chyba tak jemu na nazwisko. Ja... ja powiedział panu Hornblowerowi o kapitanie, sir, i on mnie kazał stanąć tutaj na warcie.

— Myślę, kapralu, żeście postąpili jak trzeba — zawyrokował Buckland.

— Dziękuję, sir. Dziękuję, sir.

U szczytu trapu pojawił się Coleman i znowu poprosiwszy wzrokiem Bucklanda o przyzwolenie podał pozostawiony sprzęt komuś na dole i zszedł z powrotem. Bush patrzył na kaprala, który skończywszy swą opowieść znów zaczął odczuwać skrępowanie pod spojrzeniami czterech poruczników.

— A więc, kapralu — przemówił Hornblower nieoczekiwanie zdecydowanym tonem — nie ma pan pojęcia, jak to się stało, że kapitan spadł do luku?

— Nie, sir. Naprawdę nie wiem, sir.

Hornblower rzucił spojrzenie na kolegów. Tylko jedno. Słowa kaprala i to spojrzenie Hornblowera bardzo ich uspokoiły.

— Powiadacie, że był bardzo zdenerwowany? No dalej, człowieku, mówcie.

— Ano tak, sir. — Kapral przypomniał sobie swoje wcześniejsze pochopne słowa i nagle stał się bardzo rozmowny. — Krzyczał do nas, na dół, do luku, sir. I chyba się za bardzo schylił, akurat kiedy okręt gibbonął się, sir. Mógł potknąć się o zrębnicę i poleciał głową w dół, sir.

— Tak właśnie musiało być — stwierdził Hornblower.

Clive wdrapał się po trapie i z trudem przelazł przez zrębnicę.

— Będę go teraz wyciągał na górę — oświadczył. Powiódł wzrokiem po czterech porucznikach, a potem sięgnął za pazuchę i wyjął pistolet. — To leżało koło kapitana.

— Zajmę się tym — rzekł Buckland.

— Sądząc z tego, co słyszeliśmy przed chwilą, tam na dole musi być jeszcze jeden — odezwał się Roberts po raz pierwszy. Pod wpływem podniecenia mówił przesadnie głośno, a jego zachowanie mogło się wydać podejrzane dla każdego, kto miałby podstawy do jakichkolwiek podejrzeń. Bush poczuł złość i obawę.

— Każę poszukać, jak wyniesiemy kapitana — powiedział Clive.

Pochylił się nad lukiem i zawołał: — Dawać na górę.

Coleman wynurzył się pierwszy na trapie z dwiema linami w dłoniach, a za nim żołnierz, trzymając się niezdarnie trapu jedną ręką, a drugą podtrzymując ciężar.

— Pomalutku, ostrożnie — mówił Clive.

Coleman z żołnierzami wyszli na pokład, ciągnąc jeden koniec deski, do której przywiązany



był kapitan okutany w płótno jak mumia. Był to najlepszy sposób wnoszenia po trapie człowieka z połamanymi kośćmi. Za nimi szedł Pierce, drugi pomocnik lekarza, podtrzymujący tylny koniec zaimprovizowanych noszy. Porucznicy skupili się wokół nich, żeby pomóc przy przeciąganiu deski nad zrębnicą. W świetle latarni Bush ujrzał twarz kapitana. Była niema i spokojna, przynajmniej jej widoczna część, gdyż oko i nos zalepiał bandaż. Skroń nosiła jeszcze ślady krwi nie dość dokładnie zmytej przez doktora.

— Zanieście go do jego kajuty — rozkazał Buckland.

To był zdecydowany rozkaz. I moment był ważny. W wypadku niezdolności kapitana do działania dowództwo przejmował pierwszy oficer, a te pięć słów znaczyło, że to właśnie uczynił. Pełniąc obowiązki dowódcy będzie musiał także wydawać rozkazy, co robić z kapitanem. Lecz chociaż decyzja była błyskawiczna, mieściła się w trybie postępowania służbowego, już wiele razy przedtem Buckland przejmował czasowo dowodzenie okrętem pod nieobecność kapitana. Rutyna pomogła mu przetrwać ten chwilowy kryzys, nawyki nabyte w ciągu trzydziestu lat służby w marynarce wojennej, w charakterze midszypmena i porucznika, sprawiły, że potrafił zachować się naturalnie w stosunku do młodszych rangą i działać normalnie, mimo że nie mógł przewidzieć, co złego może go spotkać w każdej następnej minucie.

A jednak Bush, patrząc na niego teraz, gdy już przejął dowództwo, miał wątpliwości, jak długo potrwa wpływ nawyku. Widać było, że Buckland jest zdenerwowany. Można to było złożyć na karb zwykłej reakcji oficera, na którego barki spadła odpowiedzialność w tak zaskakujących okolicznościach. Do takiego wniosku mógł dojść ktoś nie żywiący żadnych podejrzeń, ktoś nieświadomy ukrytych faktów. Ale Bush, z sercem przepełnionym obawą, usiłując desperacko przewidzieć, co zrobi kapitan odzyskawszy przytomność, widział, że Buckland podziela jego niepokój. Łańcuchy... sąd wojenny... stryczek — te myśli odbierały mu odwagę. A przecież życie, a już na pewno przyszłe losy oficerów na okręcie mogły zależeć od postępowania Bucklanda.

— Przepraszam, sir — odezwał się Hornblower.

— Słucham? — odparł Buckland i dodał z wysiłkiem: — Słucham, panie Hornblower?

— Czy mogę wziąć od kaprała oświadczenie na piśmie, teraz, gdy ma jeszcze fakty świeżo w pamięci?

— Bardzo dobrze, panie Hornblower.

— Dziękuję, sir — odpowiedział Hornblower służbiście. Nic nie można było wyczytać z jego twarzy. Odwrócił się do kaprała. — Zameldujcie się u mnie po zmianie warty.

— Tak jest, sir.

Doktor z pomocnikami zabrał już kapitana. Buckland nie zdradzał zamiaru ruszenia się z miejsca. Stał jak sparaliżowany.

— Jest jeszcze sprawa drugiego pistoletu kapitana, sir — zwrócił uwagę Hornblower ze

zwykłym respektem.

— Ach, tak. — Buckland potoczył spojrzeniem dokoła.

— Jest tu Wellard, sir.

— A tak. On się tym zajmie.

— Panie Wellard — przekazał polecenie Hornblower — proszę zejść z latarnią na dół i poszukać pistoletu. Potem zanieś go pan pierwszemu oficerowi na pokład rufowy.

— Tak jest, sir.

Wellard już się otrząsnął ze zdenerwowania. Od pewnego czasu nie spuszczał oczu z Hornblowera. Teraz wziął latarnię i zaczął schodzić trapem w dół. Słowa Hornblowera o pokładzie rufowym dotarły do mózgu Bucklanda, który ruszył naprzód, a inni za nim. Na dolnym pokładzie działowym zaszalutował mu kapitan Whiting.

— Jakież rozkazy, sir?

Niewątpliwie wiadomość o niezdolności kapitana do dowodzenia i o przejęciu dowództwa przez Bucklanda rozeszła się po okręcie lotem błyskawicy. Buckland potrzebował dłuższej chwili, by jego sparaliżowany mózg znów zaczął działać.

— Nie, kapitanie — odparł wreszcie. I dodał: — Proszę zwolnić swoich ludzi.

Gdy dotarli na pokład rufowy, silny pasat wiał wciąż od prawej ćwiartki rufowej i „Renown” sunął majestatycznie po falach czarodziejsko pięknego morza. W górze piramidy żagli strzelały w niebo, ku niezliczonym gwiazdom, w takt spokojnego ruchu okrętu szczyty masztów zataczały na nieboskłonie ogromne koła. Róg księżyca wynurzył się właśnie z morza po lewej burcie i zawisnął jakby na widnokręgu, śląc ku okrętowi długą, drżącą smugę srebra. Sylwetki ludzi rysowały się ciemnymi plamami na tle wymytych do białości desek pokładu.

Smith był oficerem wachtowym. Podeszedł do nich spieszenie, gdy tylko pojawili się u szczytu zejściówki. Już od przeszło godziny chodził rozgorączkowany tam i z powrotem, nasłuchując zamieszania i hałasów dochodzących spod pokładu i wysłuchując pogłosek obiegających okręt, bez możliwości zejścia ze stanowiska, żeby sprawdzić, co się właściwie dzieje.

— Co się stało, sir? — zapytał.

Smith nie został wtajemniczony w sprawę potajemnego spotkania poruczników. Ponadto kapitan mniej się nad nim znęcał. Lecz i on nie mógł nie zauważyć panującego niezadowolenia, musiał wiedzieć, że dowódca jest niespełna zmysłów. Ale Buckland nie był przygotowany na to pytanie. Nie zastanawiał się nad tym i nie miał gotowej odpowiedzi. Wyręczył go Hornblower.

— Kapitan spadł do luku — rzekł spokojnym tonem, bez śladu napięcia. — Właśnie ponieśli go, nieprzytomnego, do jego kabiny.

— Ale jak, na Boga, mógł wpaść do luku? — pytał oszołomiony Smith.

— Szukał buntowników — wyjaśnił Hornblower równie beznamiętnym tonem.

— Rozumiem — wyjąkał Smith. — Ale...

W tym momencie się opanował. Ton Hornblowera ostrzegł go, że sprawa jest delikatna. Gdyby pytał dalej, powstałby problem normalności stanu umysłowego kapitana i on sam musiałby się wypowiedzieć na ten temat. Wolał nie zadawać więcej pytań.

— Sześć szklanek, sir — zameldował sternik.

— Bardzo dobrze — odparł Smith automatycznie.

— Muszę wziąć oświadczenie od kaprała, sir — zauważył Hornblower. — O ośmiu szklankach moja kolej na wachtę.

Gdyby Buckland był dowódcą, mógłby odwołać niepoważny rozkaz kapitana skazujący Hornblowera na służbę dwuwachtowa, a Busha i Roberta na meldowanie się u pierwszego oficera co godzina. Nastąpiła niezręczna pauza. Nikt nie wiedział, jak długo dowódca pozostanie nieprzytomny ani w jakim będzie stanie, gdy odzyska świadomość. Wellard wpadł pędem na pokład rufowy.

— Oto drugi pistolet, sir — rzekł, wręczając broń Bucklandowi, który wziął ją i równocześnie wyciągnął drugi pistolet z kieszeni; stał bezradnie z bronią w dłoniach.

— Czy mogę zabrać je od pana, sir? — spytał Hornblower i wyjął mu z rąk oba pistolety. — A Wellard mógłby mi pomóc przy sporządzaniu oświadczenia tego żołnierza. Może iść ze mną, sir?

— Tak — odparł Buckland.

Hornblower odwrócił się, by zejść pod pokład, a Wellard za nim.

— Och, panie Hornblower... — odezwał się Buckland.

— Sir?

— Nic — wycofał się Buckland, załamaniem głosu zdradzając niezdecydowanie, nad którym usiłował zapanować.

— Bardzo przepraszam, sir, ale na pana miejscu poszedłbym trochę odpocząć — zauważył Hornblower, stojąc u szczytu zejściówki. — Miał pan męczącą noc.

Bush zgadzał się z Hornblowerem; nie żeby go obchodziło, czy Buckland miał męczącą noc, czy nie, lecz dlatego że skrywszy się w swojej kajucie Buckland nie będzie miał okazji zdradzić nieostrożnym słowem siebie i towarzyszy. Potem zaświtało Bushowi w głowie, że o to właśnie chodziło Hornblowerowi. Równocześnie poczuł żal, że Hornblower ich opuszcza i wiedział, że

Buckland czuje to samo. Hornblower był młodzieńcem zrównoważonym i myślał szybko, niezależnie od rodzaju grożącego niebezpieczeństwa. Od momentu alarmu pod pokładem dawał im wszystkim przykład swoim naturalnym zachowaniem. Być może znał sekret, którego oni nie znali; może wiedział więcej od nich o upadku kapitana do luku — Bush czuł ciekawość i obawę — ale nawet jeśli tak było, Hornblower nie dał niczego po sobie poznać.

— Kiedy, u diabła, ten przeklęty konował zgłosi się z raportem — przemówił Buckland, nie zwracając się bezpośrednio do nikogo z obecnych.

— Czemu się pan nie prześpi, czekając na niego? — zauważył Bush.

— Uczynię to — odparł Buckland i po chwili wahania dodał: — A wy, panowie, może lepiej meldujcie się u mnie dalej co godzina, jak rozkazał dowódca.

— Tak jest, sir — odpowiedział Bush i Roberts.

Znaczyło to, pomyślał Bush, że Buckland nie skorzysta z okazji; wróciwszy do przytomności kapitan musi usłyszeć, że jego rozkazy były wykonywane. Zszedłszy na dół, Bush zapragnął desperacko zdrzemnąć się chociaż pół godziny, zanim będzie znowu musiał zameldować się u Bucklanda. Nie miał nadziei, że zaśnie. Przez cienką przegrodę dzielącą go od sąsiedniej kabiny słyszał monotony głos kaprała składającego spisywane przez Hornblowera oświadczenie.

## Rozdział V

W mesie oficerskiej podano śniadanie, które zebrani jedli w nastroju milczącym i nie tak wesołym jak zwykle. Oficer nawigacyjny, płatnik i dowódca piechoty morskiej powiedzieli swoje tradycyjne dzień dobry i bez słowa zasiedli do posiłku. Wiedzieli już, jak wszyscy inni na okręcie, że kapitan wraca do przytomności.

Przez iluminatory w burcie dwa długie strumienie światła oświetlały ciasne wnętrza i tańczyły po mesie w takt spokojnych przechyłów okrętu; przez półotwarte, przytrzymane haczykiem drzwi wpadał świeży, rozkoszny powiew północno-wschodniego pasatu. Kawa była gorąca, suchary załadowane na okręt zaledwie trzy tygodnie temu musiały leżeć przedtem w magazynie miesiąc, najwyżej dwa, ponieważ prawie wcale nie widać było na nich robaków. Kucharz skorzystał z dobrej pogody, aby przysmażyć na cebuli pozostałe z kolacji resztki solonej wieprzowiny. Smażone płaty solonej wieprzowiny z cebulą, gorąca kawa i dobre suchary na śniadanie; świeże powietrze, słońce i pomyślna pogoda — oficerowie powinni się czuć szczęśliwi w swojej mesie. Niestety, ich myśli przepełniała obawa, niepokój i napięcie. Bush rzucił przez stół spojrzenie na Hornblowera, zmizerowanego, bladego i znużonego; tyle rzeczy chciałby mu powiedzieć, lecz musiał się powstrzymać, przynajmniej na razie, gdy obłąkanie kapitana rzucało cień na zalany słońcem okręt.

Do mesy wszedł Buckland, za nim lekarz, i wszystkie oczy zwróciły się ku nim pytająco — prawie wszyscy wstali z miejsc, by usłyszeć, jakie przynoszą wieści.

— Wrócił do przytomności — rzekł Buckland i obejrzał się na Clive'a, aby ten dorzucił parę szczegółów.

— Jest słaby — powiedział Clive.

Bush podniósł wzrok na Hornblowera w nadziei, że zada pytania, które on sam tak chciałby usłyszeć. Twarz Hornblowera stężała w maskę bez wyrazu. Utkwił więc badawczy wzrok w Clive'a, lecz ten nie otworzył ust. W końcu pytanie zadał płatnik Lomax:

— Czy jest przy zdrowych zmysłach?

— No więc... — zaczął Clive, rzucając z ukosa spojrzenie na Bucklanda. Widać było, że Clive za żadne skarby nie chce się wypowiedzieć zdecydowanie na temat stanu umysłu dowódcy. — Jest w tej chwili za słaby, aby mógł być przy pełnych zmysłach.

Na szczęście Lomax był dociekliwy i na tyle uparty, by nie dać się odstraszyć oporem Clive'a.

— A co z tym wstrząsem? — pytał. — Jak to się na nim odbiło?

— Czaszka jest nietknięta — wyjaśnił Clive. — Na skórze głowy są rozległe rany. Nos uległ złamaniu. A także obojczyk, to znaczy kość obojczykowa, i kilka żeber. Musiał spaść do łuku głową w dół, czego należało się spodziewać, jeśli się potknął o zrębnicę.

— Ale jak, na Boga, mogło dojść do tego? — nalegał Lomax.

— Nie powiedział — oświadczył Clive. — Myślę, że nie pamięta.

— Co?

— To rzecz normalna — mówił Clive. — Można ją nawet nazwać symptomatyczną. Po silnym wstrząsie pacjent zwykle ma lukę w pamięci sięgającą wielu godzin wstecz przed wypadkiem.

Bush znowu rzucił ukradkowe spojrzenie na Hornblowera. Jego oblicze wciąż było bez wyrazu i Bush starał się naśladować go zarówno w nieokazywaniu uczuć, jak i w czekaniu, aż kto inny zacznie zadawać pytania. A przecież to była wspaniała, doskonała, cudowna wiadomość, która według Busha wymagała mnóstwa bliższych szczegółów.

— A gdzie on myśli, że jest? — pytał dalej Lomax.

— O, wie, że jest na swoim okręcie — odparł ostrożnie Clive.

Teraz Buckland zwrócił się do Clive'a. Buckland miał zapadłe, nie ogolone policzki i był znużony, ale był u kapitana w kajucie i w związku z tym miał więcej podstaw do nalegania o bliższe informacje.

— Czy pańskim zdaniem kapitan jest w stanie pełnić swe obowiązki? — zapytał.

— No więc... — zaczął po swojemu Clive.

— No więc?

— Chwilowo raczej nie.

Ta odpowiedź nie była zadowalająca, lecz wyglądało, że Buckland nie wydobędzie z Clive'a nic więcej. Hornblower podniósł twarz podobną do maski i patrząc Clive'owi prosto w oczy zapytał:

— To znaczy, że w chwili obecnej nie jest zdolny do dowodzenia tym okrętem?

Pozostali oficerowie pomrukiem wyrazili poparcie żądaniu zdecydowanej odpowiedzi i Clive widząc wokoło zdeterminowane twarze, musiał ulec.

— W chwili obecnej nie!

— A zatem wiemy, jak sprawy stoją — podsumował z satysfakcją w głosie. Zawtórowali mu wszyscy w mesie, poza Clivem i Bucklandem.

Pozbawienie dowódcy okrętu prawa dowodzenia było sprawą ogromnej wagi. Król i parlament dali kapitanowi Sawyerowi dowództwo „Renown” i zmiana ich decyzji pachniała zdradą. Każdy nawet lekko zawikłany w tę sprawę mógł przez całą resztę swego życia pozostawać pod przykrym podejrzeniem o niesubordynację i bunt. Nawet najmłodszy pomocnik oficera nawigacyjnego, ubiegając się kiedyś później o nowe stanowisko, mógł spotkać się z przypomnieniem, że był na „Renown” w czasie, gdy pozbawiono Sawyera dowództwa, i z odrzuceniem na tej podstawie jego prośby. Trzeba było zachowywać pozory absolutnej legalności w sprawie, która przy najbardziej skrupulatnej interpretacji nigdy nie będzie wyglądała na zupełnie legalną.

— Mam tu oświadczenie kaprala Greenwooda, sir — wmieszał się Hornblower — z jego podpisem i poświadczeniem Wellarda i moim.

— Dziękuję panu — odparł Buckland, biorąc kartkę z lekkim wahaniem, jak gdyby dokument był petardą, która może wybuchnąć niespodziewanie. Ale wahanie to dostrzegł tylko Bush, który się tego spodziewał. Minęło zaledwie parę godzin od chwili, gdy Buckland uciekał, niepewny swego losu, czółgając się przez wnętrza okrętu, toteż nazwiska Wellarda i Greenwooda, przywodzące na pamięć tamte chwile, nie brzmiały przyjemnie w jego uszach. A Wellard, niczym demon przywołany wypowiedzeniem nazwiska, stanął w tym samym momencie w drzwiach mesy.

— Pan Roberts przysyła mnie po rozkazy, sir — zameldował.

Roberts miał wachtę i musiał ciskać się tam jak lew w klatce, nie wiedząc, co się dzieje pod pokładem. Buckland stał niezdecydowany.

— Na pokładzie są obie wachty, sir — zauważył Hornblower z szacunkiem.

Buckland podniósł na niego pytające spojrzenie.

— Mógłby pan poinformować załogę, sir — ciągnął Hornblower.

Nie proszony sugerował coś swemu przełożonemu, narażając się na reprimendę. Lecz całym swym zachowaniem przejawiał przy tym najwyższy respekt i chęć oszczędzenia zwierzchnikowi wszelkich kłopotów.

— Dziękuję — odparł Buckland.

Każdy mógł wyczytać z jego twarzy wewnętrzną walkę; wciąż jeszcze wzdragał się przed zbyt dużym zaangażowaniem — jak gdyby dotąd nie był zaangażowany! — a także przed perspektywą wygłoszenia mowy do załogi, mimo że zdawał sobie sprawę, że jest to konieczne. Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej się utwierdzał w tej myśli — pogłoski musiały już przeniknąć na dolny pokład, gdzie załoga, i tak zaniepokojona zachowaniem się kapitana, stawała się pewnie coraz bardziej niespokojna w tym stanie niepewności. Trzeba coś im oświadczyć zdecydowanie; było to absolutnie niezbędne. A przecież im pilniejsza była konieczność, tym cięższą odpowiedzialność ponosił Buckland, toteż miotał się niezdecydowanie między tymi dwoma przerażającymi ewentualnościami.

— Całą załogę, sir? — naciskał łagodnie Hornblower.

— Tak — odparł Buckland, desperacko czyniąc decydujący krok.

— Proszę wykonać, panie Wellard — rzekł Hornblower.

Bush pochwycił spojrzenie rzucone przy tych słowach Wellardowi przez Hornblowera. Było w nim coś znaczącego, co można było przyjąć za rzecz naturalną w sytuacji, gdy młodszy oficer polecał drugiemu wykonanie czegoś szybko, zanim zwierzchnik się rozmyśli — tak by oczywiście tłumaczył sobie sytuację ktoś nie wtajemniczony, ale dla Busha, który widział sprawy ostrzej wskutek zmęczenia i troski, spojrzenie to kryło w sobie coś więcej. Wellard też był znękanym i blady ze zmęczenia, ale jakby nabierał otuchy. Może ktoś mu szepnął, że tajemnica wciąż pozostaje tajemnicą.

— Tak jest, sir — odmeldował się Wellard i odszedł.

Na okręcie rozległy się gwizdki:

— Cała załoga! Cała załoga! — grzmiały głosy pomocników bosmanów. — Cała załoga zbiórka z tyłu grotmasztu! Cała załoga!

Buckland, pełen tremy, ruszył na pokład, lecz w momencie krytycznym zachował się zupełnie dobrze. Chrapliwym, beznamiętnym tonem przekazał zgromadzonym marynarzom, że wskutek wypadku, o którym musieli słyszeć, kapitan jest obecnie niezdolny do sprawowania dowództwa.

— Ale wszyscy będziemy dalej pełnić swoje obowiązki — dodał Buckland ze wzrokiem utkwionym w szereg zwróconych ku niemu twarzy.

Idąc za jego spojrzeniem, Bush dojrzał siwą głowę i pękatą postać artylerzysty Hobbsa, kapitańskiego lizusa i donosiciela. W przyszłości sytuacja Hobbsa się zmieni — przynajmniej na okres niezdolności kapitana do dowodzenia okrętem. Tu było sedno rzeczy: dopóki kapitan był niezdolny do dowodzenia. Patrząc na Hobbsa, Bush się zastanawiał, co tamten wie i czego się

domyśla, co zezna pod przysięgą na sądzie wojennym. Usiłował wyczytać coś z tłustego oblicza tego starego człowieka, ale nadaremnie. Nie mógł odgadnąć niczego.

Po rozejściu się załogi panowało przez chwilę zamieszanie i bieganina wacht wracających do swych obowiązków i tych, co mając czas wolny wracali gromadnie pod pokład. Właśnie w takim szumie i zamieszaniu najłatwiej było znaleźć moment odosobnienia, nie będąc śledzonym przez nikogo. Bush dopadł Hornblowera przy pachółkach stermasztu i mógł wreszcie zadać mu pytanie, z którym się nosił od paru godzin i od którego tyle zależało.

— Jak to się stało? — zapytał.

Pomocnicy bosmanów głośnym rykiem wydawali rozkazy; marynarze biegali tam i z powrotem. Gdy tak stali obaj twarzą w twarz, samotni wśród krzątający ludzi pochłoniętych swoimi sprawami, łaskawe słońce zalewające pokład oświetliło stężałą twarz, którą Hornblower obrócił ku pytającemu.

— Jak c o się stało, panie Bush? — rzekł.

— W jaki sposób kapitan wpadł do luku?

Ledwie to powiedział, Bush obejrzał się przez ramię w nagłej obawie, czy ktoś nie podsłuchuje. Za takie słowa można było wisieć.

Gdy znów spojrzał na Hornblowera, zobaczył przed sobą twarz zupełnie bez wyrazu.

— Myślę, że stracił równowagę — odpowiedział spokojnie, patrząc Bushowi prosto w oczy, a potem dodał: — Pan wybaczy, sir, ale muszę pilnować swoich obowiązków.

W ciągu dnia wszyscy młodszy oficerowie byli kolejno dopuszczani do kajuty kapitana, aby na własne oczy się przekonali, w jak okropnym stanie tam leży. W słabo oświetlonej kajucie Bush zobaczył bezradnego kalekę z twarzą prawie zupełnie zasłoniętą bandażem; palce jednej dłoni drgały leciutko, druga ukryta była w temblaku.

— Dostał opium — wyjaśnił Clive w mesie oficerów. — Musiałem dać mu porządną dawkę, bo chciałem spróbować nastawić złamany nos.

— Pewnie rozpląszczył mu się na całą twarz — zauważył brutalnie Lomax. — Miał wielki nochal.

— Złamanie jest rozległe, a kości pokruszone — zgodził się Clive.

Następnego ranka z kajuty kapitańskiej rozległy się przeraźliwe krzyki bólu i strachu, a potem Clive z pomocnikami wyszli stamtąd spoceni i zatroskani. Clive udał się natychmiast z poufnym raportem do Bucklanda, ale każdy na okręcie słyszał te krzyki lub dowiedział się o nich od tych, co je słyszeli; pomocnicy lekarza, nagabywani w mesie artyleryjskiej przez innych podoficerów, nie potrafili zachować absolutnej dyskrecji, na którą silił się Clive w mesie. Nieszczęsny kaleka był wyraźnie niespełna rozumu; uległ atakowi strachu, gdy chcieli zbadać stan złamanego nosa i zaczął



miotać się z siłą obłąkańca, tak że bojąc się o uszkodzenie innych złamanych kości musieli omotać go płótnem jak kaftanem bezpieczeństwa, zostawiając na zewnątrz tylko lewą rękę. Wreszcie laudanum i duży wpływ krwi doprowadziły go do utraty przytomności, ale później, tego samego dnia, Bush zobaczył go znów przytomnego, żałośnie łkającą ofiarę, kurczącą się ze strachu na widok każdej twarzy, prześladowaną przez widma, wstrząsaną szlochem — okropna to była rzecz widzieć tego krzepkiego mężczyznę płaczącego jak dziecko nad swoją niedolą, usiłującego ukryć twarz przed światem, który w jego storturowanym umyśle miał dla niego tylko ponurą wrogość.

— Często się zdarza — wyjaśnił Clive z namaszczeniem — im bardziej przedłużała się choroba kapitana, tym chętniej zaczynał mówić o niej — że rana, upadek, oparzenie czy złamanie kompletnie wytrąca z równowagi umysł poprzednio nieco tylko niezrównoważony.

— Nieco tylko niezrównoważony! — wykrzyknął Lomax. — Czyż nie wezwał pod broń żołnierzy piechoty morskiej w czasie pierwszej wachty po północy, aby polowali na spiskowców w ładowni? Proszę zapytać obecnego tu pana Hornblowera i pana Busha, czy ich zdaniem był on tylko trochę niezrównoważony. Kazał Hornblowerowi pełnić służbę dwuwachtowa, a Bushowi, Robertowski i nawet Bucklandowi zrywać się z koi co godzina, dniem i nocą. Od dawna już miał zupełnego kręcka.

Dziwna rzecz, jak łatwo strzępiono sobie języki na okręcie teraz, gdy nie było obawy, że ktoś doniesie kapitanowi.

— W każdym razie możemy zacząć robić marynarzy z naszej załogi — stwierdził oficer nawigacyjny Carberry z zadowoleniem w głosie, a cała mesa zawtórowała mu. Szkolenie na masztach i przy działach, zacieśnienie dyscypliny i ciężka praca tworzyły znów zwarty zespół ze zdeintegrowanej poprzednio załogi. To właśnie tak cieszyło Bucklanda, bo pragnął tego od chwili opuszczenia Eddystone; szkolenie załogi pozwalało mu nie myśleć o innych kłopotach.

Teraz dźwigał bowiem nowy rodzaj odpowiedzialności, o czym pod nieobecność Bucklanda mówiono dużo w mesie oficerów — Buckland już zaznał samotności, jaka otacza dowódców okrętu wojennego. Sam dźwigał odpowiedzialność i oficerowie obserwowali, jak się z nią boryka, tak jakby się przyglądali walce czempiona na ringu bokserskim; czyniono nawet zakłady, czy Buckland zdecyduje się na ostateczny krok, czy nie, czy podejmie ostateczne ryzyko, ogłaszając siebie dowódcą „Renown” i uznając kapitana za nieuleczalnie chorego.

Kapitan trzymał w swoim biurku zamknięte papiery, a wśród nich poufne rozkazy od lordów z Admiralicji. Dotychczas żadne oczy poza kapitańskimi nie widziały tych rozkazów; nikt na okręcie nie domyślał się ich treści. Mogły to być zwykłe rozkazy nakazujące „Renown” na przykład dołączyć do eskadry admirała Bickertona, ale mogły również kryć ważną tajemnicę dyplomatyczną, której nie powierzono by zwykłemu porucznikowi. Buckland mógł nadal podążać w kierunku Antiguy, by tam przekazać dowództwo jakiemuś starszemu rangą oficerowi. Być może przyślą na „Renown” młodszego stażem kapitana, aby zapoznał się z rozkazami i poprowadził okręt do wykonania zleconej w nich misji. Ewentualnie mógłby Buckland przeczytać teraz te rozkazy; być może było w nich coś bardzo pilnego. Antigua stanowiła dogodne miejsce zaoczenia lądu dla okrętów płynących z Anglii, lecz z wojskowego punktu widzenia nie było to miejsce pożądane ze względu na to, że leżało daleko po zawiętrznej wszystkich strategicznie ważnych punktów.

Jeśli Buckland doprowadzi „Renown” do Antiguy, a stamtąd będzie musiał natychmiast halsować z powrotem na nawietrzną, kto wie czy nie dostanie porządnie po łapach od panów lordów z Admiralicji; z drugiej strony, jeżeli przeczyta rozkazy, może dostać reprimendę za zbytnią pewność siebie. W mesie oficerskiej zastanawiano się nad jego kłopotliwym położeniem; każdy oficer mógł sobie tylko gratulować, że on sam nie jest w tej sytuacji i zastanawiać się, jakie Buckland znajdzie wyjście.

Bush i Hornblower stali obok siebie na rufówce na szeroko rozstawionych nogach, by utrzymać się na rozkołysanym pokładzie, a schwyciwszy równowagę, skierowali swe sekstanty na widnokrąg. Przez przyciemnione szkła Bush zobaczył słońce odbite od lusterka. Z wielkim trudem przesuwał rękę, sprowadzając obraz coraz bliżej do widnokręgu. Przeszkadzało mu kiwanie się okrętu na długich błękitnych falach oceanicznych, lecz jakoś wytrwał. Ustalił, że obraz słońca „siedzi” na samym widnokręgu, po czym zatrzasnął sekstant. Teraz mógł odczytać zapis pomiaru. Idąc na ustępstwo wobec tych nowoczesnych „sztuczek”, postanowił za przykładem Hornblowera poczynić obserwacje wysokości również z przeciwnej strony widnokręgu. Obrócił się w tym celu i rejestrując swój odczyt próbował przypomnieć sobie, co należy zrobić z połową różnicy między dwoma odczytami. A błąd indeksu, a „obniżenie widnokręgu”? Obejrzał się i stwierdził, że Hornblower zakończył obserwację i stał, czekając na niego.

— Największa wysokość, jaką kiedykolwiek udało mi się pomierzyć — zauważył Hornblower. — Nigdy nie byłem tak daleko na południe. Jaki pan ma wynik?

Porównali odczyty.

— Dokładność niezła — orzekł Hornblower. — Z czym ma pan kłopot?

— Och, słońce potrafię złapać — rzekł Bush. — I nie w tym problem. Mam trudności z obliczeniami — te przekłete poprawki.

Hornblower uniósł brwi. Przywykł do prowadzenia swoich obserwacji co dzień w południe i dokonywania obliczeń pozycji okrętu, żeby nie wychodzić z wprawy. Rozumiał, że można mieć trudności z dokładnością obserwacji na poruszającym się okręcie, lecz — mimo że znał wiele podobnych przykładów — nie mógł, uwierzyć, że ktokolwiek może nie radzić sobie ze stroną matematyczną pomiarów. Dla niego było to takie proste, że gdy Bush zapytał, czy może mu towarzyszyć w copołudniowych obliczeniach, sądził, że Bush ma trudności wyłącznie z manipulowaniem sekstantem. Lecz uprzejmie ukrył swoje zdziwienie.

— To dosyć proste — powiedział i dodał zaraz „sir”. Rozmawiając z przełożonym mądry oficer nie zdradza się zbyt wiele ze swymi wyższymi kwalifikacjami. W dalszym ciągu dobierał słowa bardzo starannie. — Gdyby zechciał pan zejść ze mną na dół, mógłby pan sprawdzić swoje obliczenia z moimi.

Bush słuchał cierpliwie wyjaśnień Hornblowera. W tej chwili problem był zupełnie jasny — pośpieszne wkucie w ostatniej chwili pozwoliło Bushowi zdać egzamin na porucznika, chociaż egzaminowano go z wiedzy żeglarskiej, a nie z nawigacji, lecz gorzkie doświadczenie mówiło mu, że jutro znowu będzie miał wątpliwości.

— Teraz możemy wykreślić pozycję — rzekł Hornblower pochylając się nad mapą.

Bush patrzył, jak zręczne palce Hornblowera przesuwały liniał po mapie; kościste dłonie miały w sobie jakieś szczególne piękno i było rzeczą fascynującą obserwować, jak wykonują tak dobrze znaną im pracę. Silne palce ujęły ołówek i wykreśliły linię.

— Tu jest punkt przecięcia — wyjaśnił Hornblower. — Teraz możemy sprawdzić zaliczenie nawigacyjne.

Nawet Bush potrafił zrozumieć proste czynności niezbędne do wykreślania kursu okrętu na podstawie zliczeń od wczoraj w południe. Ołówek trzymany w pewnych palcach zaznaczył małe x na mapie.

— Jak pan widzi, wciąż znosi nas na południe — zauważył Hornblower. — Za mało posunęliśmy się na Wschód, by Gofsztrom mógł nas znosić na północ.

— Czy to pan mówił, że nigdy dotąd nie pływał pan po tych wodach? — zapytał Bush.

— Tak.

— A więc jak?... Och, pewnie pan je studiował.

Bushowi wydało się rzeczą dziwną, że ktoś mógł przewidzieć nie znane dotąd warunki i przygotować się do nich, tak jak Hornblowerowi, że ktoś może mieć trudności z matematyką.

— W każdym razie jesteśmy tutaj — stwierdził Hornblower, stukając ołówkiem w mapę.

— Tak — potwierdził Bush.

Obaj utkwili wzrok w mapie, myśląc o tym samym.

— Kiedy, pana zdaniem, Numer Jeden się zdecyduje?

Buckland mógł legalnie dowodzić okrętem, ale za wcześnie było jeszcze mówić o nim jako o dowódcy — „dowódcą” była wciąż ta łkająca kukła spowita w płótno i leżąca na koi w kajucie.

— Trudno powiedzieć — odparł Hornblower — ale musi się zdecydować teraz lub nigdy. Bo widzi pan, od tej chwili zaczynamy z każdym dniem schodzić z drogi na zawietrzną.

— Co p a n by zrobił? — Bush był ciekaw, jak by postąpił ten młodszy porucznik, który tyle wiedział, a tak był ostrożny w słowach.

— Przeczytałbym rozkazy — odpowiedział natychmiast Hornblower. — Wolałbym popaść raczej w kłopoty za to, co zrobiłem, niż za to, że nie zrobiłem nic.

— Zastanawiam się... — zaczął Bush. Z drugiej strony zdecydowane działanie mogło dużo łatwiej doprowadzić do oskarżenia przed sądem wojennym niż wstrzymanie się od czynu: Bush

myślał o tym, lecz miał trudności z wyrażeniem swych obaw słowami.

— Rozkazy mogą mówić o samodzielnym zadaniu dla nas — ciągnął Hornblower. — Boże, co za szansa dla Bucklanda!

— Tak — potwierdził Bush.

Hornblower nie potrafił ukryć zazdrości. Jeśli ktokolwiek pragnął samodzielności i możliwości wykazania się, to właśnie Hornblower. Bush zastanowił się, czy on sam tak bardzo by pragnął dowodzenia okrętem liniowym w trudnym rejonie. Patrzył na Hornblowera z rosnącym zainteresowaniem. Hornblower był człowiekiem zawsze gotowym na ryzyko, przenoszącym o całe niebo aktywność nad bierność; miał dużą wiedzę teoretyczną obok praktycznych umiejętności żeglarskich, o czym Bush mógł niejednokrotnie się przekonać. Wykształcony, a przy tym człowiek czynu; porywczy i zarazem dyskretny — Bush pamiętał jego taktowne zachowanie się w czasie kryzysu po wypadku, któremu uległ kapitan, i to, jak zręcznie poczynał sobie z Bucklandem.

No i wreszcie — jaka była prawda o wypadku kapitana? Bush, idąc za swymi myślami, obrzucił Hornblowera dociekliwym spojrzeniem. Bush nie potrafił uzmysłwić sobie znaczenia pojęć takich, jak: „motyw” czy „okazja” — jego mózg nie radził sobie z nimi — lecz posuwał się po omacku po niejasnej ścieżce rozumowania, które można było określić tymi właśnie słowami. Chciał ponowić zadane już pytanie, lecz mógłby nie tylko narazić się na odmowę, a wręcz zasłużyć na nią. Hornblower wyrobił sobie mocną pozycję i Bush mógł być pewien, że nie zaryzykuje jej utraty przez brak dyskrecji lub cierpliwości — Bush patrzył na pociągłą nerwową twarz, na długie palce bębniące w mapę. Nie było rzeczą właściwą, słuszną ani odpowiednią, aby czuł podziw, a nawet respekt wobec Hornblowera, który był młodszy od niego o parę lat — co nie było istotne — i miał krótszy od niego staż w randze porucznika. Daty ich mianowania miały tu istotne znaczenie. Młodszy jest faktycznie ten, wobec kogo nie powinno się czuć respektu zgodnie z tradycjami służby na morzu. Inne rozumowanie byłoby niesłuszne, miałyby posmak egalitarnych idei Francuzów, z którymi byli w wojnie. Myśl, że on sam miałby ulec skażonym poglądom głoszonym przez czerwonych rewolucjonistów, sprawiła, że poczuł się niewyraźnie, a jednak kręcąc się na swym krześle nie mógł w pełni potępić ich zapatrywań.

— Odłożę te przybory — powiedział Hornblower, podnosząc się. — Poćwiczę moją sekcję artyleryjską na dolnym pokładzie, jak skończą obiad. A potem mam po południu wachtę łamaną[3].

## Rozdział VI

Zabezpieczywszy działa, spocona załoga wyroiła się na pokład. „Renown” idąc na południe znajdował się na 30o szerokości północnej, toteż — mimo otwarcia furt strzelniczych do ćwiczeń artyleryjskich — na dolnym pokładzie działowym było gorąco, a jeszcze bardziej zgrzali się ci, do których należało wytaczanie dział i przesuwanie z powrotem na pozycje. Hornblower pilnował, żeby załoga, stu osiemdziesięciu chłopów, przykładała się do tej ciężkiej pracy, toteż po ćwiczeniach wszystkim było pilno wyjść na słońce, orzeźwiający powiew pasatu i wystawić się na doboduszne prześmieszki reszty załogi, która nie harując na razie tak ciężko, wiedziała doskonale, że i na nią przyjdzie wkrótce kolej.

Ludzie z obsługi dział ocierali spocone czoła i odgryzali się słowami gruboskórnymi i ciężkimi jak głazy w glebie, z której wyrosli. Oficera musiał radować widok załogi w tak dobrym nastroju i humorze. W ciągu trzech dni, jakie upłynęły od chwili zmiany dowództwa, atmosfera na całym okręcie znacznie się poprawiła. Znikła podejrzliwość i obawa; po krótkim okresie marynarze stwierdzili, że ćwiczenia i systematyczne zajęcia dobrze na nich wpływają.

Cały zlany potem Hornblower przyszedł na rufę i zasalutował Robertsowi, oficerowi wachtowemu, który gawędził z Bushem przy uskoku rufówki. Prośba Hornblowera była niecodzienna, toteż Roberts i Bush popatrzyli na niego ze zdziwieniem.

— Ale co zrobimy z pokładem, panie Hornblower? — zapytał Roberts.

— Jeden marynarz zmyje go w dwie minuty — odparł Hornblower, ocierając twarz i spoglądając na błękitne morze za burtą z tęsknotą dostrzegalną dla najmniej wnikliwego obserwatora. — Zostało mi piętnaście minut do zmiany pana — to mnóstwo czasu.

— A więc dobrze, panie Hornblower.

— Dziękuję, sir — ucieszył się Hornblower i zasalutowawszy oddalił się z pośpiechem, a Bush i Roberts wymienili rozbawione spojrzenia. Patrzyli, jak Hornblower wydaje rozkazy.

— Starszy śródokręcia! Starszy śródokręcia!

— Sir?

— Ustawić natychmiast pompę do mycia pokładu.

— Pompę do mycia pokładu, sir?

— Tak. Czterech ludzi do pompowania. Jeden do węża. Ale już! Za dwie minuty wracani.

— Tak jest, sir.

Rzuciwszy spojrzenie za oddalającą się postacią starszy śródokręcia przystąpił do wykonywania tego niecodziennego rozkazu. Hornblower dotrzymał słowa. W dwie minuty później był już z powrotem, ale tym razem nagi, tylko biodra miał owinięte ręcznikiem. To wszystko było bardzo dziwne.

— Zaczynajcie — rozkazał marynarzom przy pompie.

Z pewnym niezdecydowaniem usłuchali i zaczęli naciskać dźwignie pompy, po dwóch z jednej i z drugiej strony. W górę — w dół, w górę — w dół. Raz — raz. Marynarz trzymający wąż poczuł, jak wąż drgnął wessawszy morską wodę, która w następnej chwili trysnęła przezroczystym strumieniem.

— Skieruj go na mnie — polecił Hornblower i odrzuciwszy ręcznik czekał nago w świetle słońca. Marynarz ociągał się.

— Prędzej!

Marynarz wykonał rozkaz z wahaniem, kierując strumień wody na oficera, który obracał się pod nim; wokół zgromadził się rozbawiony tłum ciekawskich.

— Pompować, ciamajdy! — krzyknął Hornblower i ludzie u pompy, szczerząc teraz szeroko zęby, nacisnęli posłusznie na dźwignie z całej siły, zawisając na nich z nogami w powietrzu, i z węża lunął silniejszy strumień wody. Hornblower obracał się w kółko pod biczącymi strugami z wyrazem bolesnej ekstazy na twarzy.

Buckland stał przy relingu rufowym zatopiony w myślach, utkwivszy wzrok w ślad torowy okrętu, lecz szcęk pompy przyciągnął jego uwagę. Przeszedł na przód rufówki i stanął obok Roberta i Busha, aby popatrzeć na niecodzienne widowisko.

— Hornblower ma dziwne skłonności — zauważył. Mówiąc to uśmiechał się z pewnym przymusem, a twarz jego nosiła ślady ciężkich przeżyć, jakich ostatnio doświadczał.

— Wygląda, że sprawia mu to przyjemność, sir — odparł Bush.

Patrząc na Hornblowera obracającego się pod roziskrzonym strumieniem Bush odziany w ciężki mundur poczuł swędzenie pod koszulą i pomyślał, że właściwie taka kąpiel pod prysznicem mogłaby być przyjemna, chociaż może szkodliwa dla zdrowia.

— Przestać pompować! — krzyknął Hornblower. — Dosyć!

Marynarze przy pompie przerwali pracę i strumień wody zanikł powoli.

— Starszy śródokręcia! Zabezpieczyć pompę! Niech splecą pokład!

— Tak jest, sir.

Hornblower chwycił ręcznik i pobiegł przez pokład główny. Wyszczrzył zęby do grupki oficerów, zdradzając swoje zadowolenie i wspaniałą nastrój.

— Nie wiem, czy to dobrze wpłynie na dyscyplinę — powiedział Roberts, gdy Hornblower zniknął, a potem, ze spóźnionym refleksem, dodał: — Chyba tak.

— I ja tak sędzę — rzekł Buckland. — Miejmy nadzieję, że się nie zaziębi po takiej kąpeli.

— Nie wygląda na to, sir — zauważył Bush; jeszcze miał w oczach rozbłyśnięcie w uśmiechu zęby Hornblowera. Ten widok zlał się z innym, z wyrazem napięcia na jego twarzy, gdy zastanawiali się, w jaki sposób Buckland może najlepiej wyjść z dylematu, w którym się znalazł.

— Dziesięć minut do ośmiu szklanek, sir — zameldował sternik rufowy.

— Bardzo dobrze — odparł Roberts.

Mokra plama na pokładzie już prawie wyschła; parowała lekko na słońcu, wciąż upalnym, mimo że była czwarta po południu.

— Proszę wywołać wachtę — polecił Roberts.

Hornblower nadbiegł z lunetą na pokład rufowy; musiał wciągać na siebie ubranie z systematycznym pośpiechem cechującym wszystkie jego poczynania. Zasalutował oficerom i stanął gotów do zastąpienia Roberta.

— Czuje się pan odświeżony po kąpieli? — zagadnął go Buckland.

— Tak, sir, dziękuję.

Bush patrzył na nich obu, starszego, zatroskanego pierwszego oficera i młodego piątego porucznika, czując, że starszy zazdrości drugiemu młodości. Bush poznawał powoli, jacy są obaj. Nie potrafiłby zestawić w tabelę wyniku swoich obserwacji ani nawet nie przyszłoby mu do głowy, że można zrobić coś takiego, ale uczył się i bez tego; doświadczenie i obserwacje mieszały się u niego z wrodzoną umiejętnością panowania nad osądami, mimo że nie czuł się na siłach filozofować na ten temat. Wiedział, że oficerowie marynarki (nie miał prawie żadnego pojęcia o ludziach z lądu) dzielą się na jednostki aktywne i pasywne, na żadnych odpowiedzialności i czynu i zadowolających się czekaniem, aż będą zmuszeni do działania. Jeszcze wcześniej przekonał się, że oficerów można podzielić na pracujących wydajnie i nieudolnych, a także na inteligentnych i ograniczonych — ostatni podział pokrywał się z poprzednim, ale niezupełnie. Zdarzali się oficerowie umiejący szybko i właściwie działać w nagłej potrzebie i tacy, co tego nie potrafili — znów linia podziału nie pokrywała się całkiem z poprzednią. Bywali oficerowie dyskretni i niezdolni do dyskrecji, cierpliwi i popędliwi, oficerowie o nerwach mocnych albo słabych. W pewnych wypadkach Bush w swoich ocenach musiał walczyć z własnymi uprzedzeniami — miał skłonność z podejrzliwością odnosić się do inteligencji i oryginalności umysłu i żądzy czynu, zwłaszcza że przy braku innych pożądanych cech te właśnie mogły być źródłem kłopotów. Główną i najbardziej uderzającą różnicą zaobserwowaną przez Busha w ciągu dziesięciu lat nieustannego udziału w wojnie była różnica między tymi, co dowodzą a dowodzonymi, ale uświadamiając ją sobie, nie potrafił wyrazić jej w słowach, zwłaszcza w słowach zwięzłych i jasnych; był o niej przekonany, choć nie potrafił jej sam sobie zdefiniować.

Mimo wszystko myśl o tej różnicy tkwiła w nim skrycie, gdy patrzył na Bucklanda i Hornblowera gawędzących na pokładzie rufowym. Wachta popołudniowa dobiegła końca i zaczęła się pierwsza wachta łamana, z Hornblowerem jako oficerem wachtowym. Był to tradycyjny moment odpoczynku; minął upał dnia i marynarze wyszli na dziób; niektórzy gapili się na skaczące delfiny, a oficerowie po popołudniowej drzemce w kajutach zapragnęli zaczerpnąć powietrza i zatopieni w rozmowie przechadzali się małymi grupkami po pokładzie rufowym.

Okręt wojenny z obsadą bojową jest najbardziej zatłoczonym miejscem na świecie — bardziej niż najgorsze rudery w Seven Dials — lecz długi okres trudnych doświadczeń nauczył jego mieszkańców radzić sobie nawet w tak ciężkich warunkach. Na dziobie marynarze gawędzili i zbytkowali; zdarzali się samotnicy, którym prawem kaduka udało się zająć metr kwadratowy pokładu dla siebie, siedzący na skrzyżowanych nogach, z rozłożonymi wokoło narzędziami i materiałami,

wykonujący przeróżne ozdoby z muszelek, kości słonowej czy zębów wielorybich albo delikatne rzeźby w kości i hafty, dłubiący przy modelach wśród panującego wokół zgiełku. Na zatłoczonym pokładzie rufowym grupki oficerów spacerowały gawędząc i nieświadomie omijając inne grupy.

Należało do tradycji morskiej, że nawietrzną burtę pokładu rufowego zostawiano wolną, dla Bucklanda, dopóki był na pokładzie, a Buckland długo tam pozostawał tego popołudnia. Zatopiony w rozmowie z Hornblowerem, spacerował z nim tam i z powrotem wzdłuż karonad rufowych, osiem jardów w przód i osiem wstecz. W marynarce wojennej dawno już odkryto, że na tak ograniczonej przestrzeni można chodzić nie przerywając rozmowy mimo konieczności częstego zwracania. Doszedłszy do końca obaj oficerowie zwracali się na moment twarzami do siebie, nie przestając rozmawiać, z rękami splecionymi z tyłu, co im zostało z okresu, gdy jako midszypmenów uczono ich nie trzymać rąk w kieszeniach.

Tak właśnie spacerowali Buckland z Hornblowerem, ściągając na siebie zaciekawione spojrzenia, gdyż nawet tego złocistego wieczora, gdy morze błękitne było jak emalia, a słońce kłoniło się za prawą burtę w sposób obiecujący wspaniały zachód, wszyscy pamiętali, że w kajucie, tuż pod ich stopami, leży obłąkany nieszczęśnik, omotany w kaftan bezpieczeństwa i że Buckland musi się zdecydować, co z nim zrobić. Gdy tak spacerowali tam i z powrotem, tam i z powrotem, Hornblower, jak zawsze, zachowywał się w sposób pełen szacunku, a Buckland zadawał mu pytania. Niektóre odpowiedzi musiały być dla niego nieoczekiwane, bo kilka razy w połowie drogi przystawał, patrząc na Hornblowera i widocznie powtarzając pytanie, a Hornblower nie ustępował, dosłownie i w przenośni, z uporem, choć również z respektem wlepiając wzrok w Bucklanda, którego wymizerowaną twarz oświetlały promienie słońca.

Może dobrze się złożyło, że Hornblower zdecydował się na kąpiel pod pompą — rozmowa zaczęła się właśnie od tego incydentu.

— Czy to narada wojenna? — rzekł Smith do Busha, patrząc na tych dwóch.

— Chyba nie — powiedział Bush.

Normalnie pierwszy oficer nie prosiłby o radę czy nawet opinię kogoś o tyle młodszego. Ale... ale... to mogłoby być możliwe, jeśliby się zaczęło od błahej rozmowy na inne tematy.

— Nie mówcie mi tylko, że rozmawiają o problemach religijnych — zażartował Lomax.

Bush w poczuciu nieczystego sumienia uznał, że mogą równie dobrze mówić o czymś innym — na przykład jak to się stało, że kapitan wpadł do luku. Pomyślawszy o tym, zaczął się automatycznie rozglądać po pokładzie za Wellardem. Ujrzał go dokazującego na wantach grotmasztu z midszypmenami i pomocnikami oficera nawigacyjnego, jakby nie miał żadnych zmartwień. Ale Buckland mógł rozmawiać z Hornblowerem także o czymś innym. Ich zachowanie wskazywało, że przedmiotem dyskusji są raczej teorie, a nie fakty.

— W każdym razie uzgodnili stanowiska — stwierdził Smith.

Hornblower zasalutował Bucklandowi, który odwrócił się, by zejść pod pokład. Teraz, gdy



Hornblower został sam, kilka ciekawych par oczu zwróciło się na niego. Gdy spostrzegł zainteresowanie, podszedł do nich.

— Jakiej ważnej sprawy? — Lomax zadał pytanie, jakie wszyscy chcieli zadać.

Hornblower odpowiedział spokojnym spojrzeniem na jego pytający wzrok.

— Nie — odparł i uśmiechnął się.

— Ale tak wyglądało — napierał Smith.

— To zależy od punktu widzenia — zareplikował Hornblower.

Wciąż się jeszcze uśmiechał, ale ten uśmiech nie zdradzał, co myśli. Nie wypadało nagabywać go dłużej. Niewykluczonej że omawiali z Bucklandem jakieś prywatne historie. Trudno było cokolwiek wywnioskować z jego wyglądu.

— Ej, wy tam, złazić z hamaków! — krzyknął Hornblower. Dokazujący midszypmeni nie naruszali żadnego przepisu regulaminu okrętowego, ale był to wygodny sposób zmiany tematu rozmowy.

Trzykrotnie uderzono w dzwon. Mijało trzy czwarte pierwszej wachty łamanej.

— Panie Roberts, sir! — zawołał nagle wartownik do grupki palących przy luku. — Pan Roberts jest proszony.

Roberts wystąpił z grupy.

— Kto mnie szuka? — zapytał, chociaż wobec choroby kapitana tylko jedna osoba mogła wzywać drugiego oficera.

— Pan Buckland, sir. Pan Buckland prosi do siebie pana Roberts'a.

— Bardzo dobrze — rzekł Roberts, zbiegając zejściówką pod pokład.

Pozostali wymienili spojrzenia. Mógł to być moment decydujący, ale mogło też chodzić o jakąś drobną rzecz. Hornblower wyzyskał chwilę dystrakcji, aby oderwać się od grupy i kontynuować przechadzkę po nawietrznej okrętu; chodził z głową opuszczoną prawie na pierś i dłońmi splecionymi z tyłu. Wyglądał na znużonego.

Z dołu dobiegło następne wołanie, powtórzone przez posterunek z luku.

— Pan Clive! Wzywają pana Clive'a. Pan Buckland wzywa pana Clive'a.

— Oho! — odezwał się Lomax znaczącym tonem na widok lekarza spieszącego pod pokład.

— Coś się dzieje — zauważył sternik Carberry.

Czas mijał, a nie wracał ani drugi oficer, ani lekarz. Smith, trzymając pod pachą lunetę, zasalutował Hornblowerowi i przygotowywał się do przejęcia służby po nim, gdy oznajmiono początek drugiej wachty łamanej. Niebo ciemniało na wschodzie, w glorii czerwieni i złota słońce zapadało za prawą burtę; woda, złocista i połyskliwa między okrętem i słońcem, przy samej burcie była głęboko purpurowa. Latająca ryba wyskoczyła na powierzchnię i ślizgając się zostawiała za sobą ulotną bruzdę, niczym rowek żłobiony w emalii.

— Patrzcie! — zawołał Hornblower do Busha.

— Latająca ryba — stwierdził obojętnie Bush.

— Tak! I druga!

Hornblower wychylił się, żeby lepiej widzieć.

— Dużo ich jeszcze zobaczycie przed końcem tej podróży — zauważył Bush.

— Ale dotąd nigdy ich nie widziałem.

Było rzeczą ciekawą śledzić zmienność nastrojów odbijającą się na twarzy Hornblowera. W jednej chwili malowało się na niej głębokie zainteresowanie, w następnej kompletna obojętność, jakby włożył maskę. Jak dotąd, rejon, w którym pełnił służbę, chociaż dosyć urozmaicone, ograniczały się do wód europejskich: niebezpieczny okres na fregacie u wybrzeży francuskich i hiszpańskich, dwa lata na „Renown” we flocie Kanału — a teraz z niecierpliwością oczekiwał, co nowego przeżyje na wodach tropikalnych. Ale rozmawiał z kimś, dla kogo służba w tych rejonach nie była niczym nowym, kto nie podniecał się widokiem pierwszej ryby latającej w czasie tej wyprawy. Hornblower nie miał zamiaru dać się zdystansować w powściągliwości i panowaniu nad sobą. Jeśli cuda głębin nie poruszały Busha, i w nim nie wywołają dziecinnego podniecenia, potrafi stłumić je w sobie. Był weteranem i nie miał zamiaru zachowywać się jak nowicjusz.

Bush podniósł wzrok i w mroku zapadającej nocy zobaczył Roberta z Clivem wchodzących po trapie. Ruszył spiesznie ku nim. Ze wszystkich stron pokładu rufowego schodzili się oficerowie, by usłyszeć nowiny.

— I co, sir? — pytał Lomax.

— Zdecydował się — odparł Roberts.

— Przeczytał tajne rozkazy, sir? — nalegał Smith.

— O ile wiem, tak.

— O!

Nastąpiła krótka chwila przerwy, zanim ktoś zadał to niemądre pytanie:

— I co w nich jest?

— To są tajne rozkazy — wyjaśnił Roberts trochę pompatycznym tonem — może po to, aby odbić sobie w ten sposób nieznajomość ich treści. A może Roberts już zaczynał odczuwać rosnącą powagę swego stanowiska, jako drugiego po dowódcy. — Nawet gdyby pan Buckland dopuścił mnie do sekretu, to i tak nie mógłbym wam powiedzieć.

— To prawda — zgodził się Carberry.

— Co robi kapitan? — spytał Lomax.

— Biedaczysko — zaczął Clive. Widząc, że uwaga wszystkich jest zwrócona na niego, Clive stał się rozmowny. — Bierze nas za szatanów. Musielibyście go widzieć, jak naciągał sobie koc na głowę na nasz widok. Chorobliwy lęk nasila się u niego coraz bardziej.

Clive czekał na pytanie o dalsze szczegóły, a gdy nikt go nie zadał, ciągnął dalej:

— Musieliśmy odszukać klucz do jego biurka. Sądząc z tego, jak płakał i starał się skryć, można by myśleć, że przyszliśmy poderżnąć mu gardło. Wszystkie smutki tego świata, wszystkie okropności piekła nękają tego nieszczęśnika.

— Znaleźliście klucz? — nalegał Lomax.

— Znaleźliśmy. I otworzyliśmy biurko.

— A potem?

— Pan Buckland odszukał rozkazy. Normalna koperta z płótna, z pieczęcią Admiralicji. Koperta została otwarta.

— Oczywiście — stwierdził Lomax. — I co?

— A teraz — rzekł Clive, zdając sobie sprawę z rozładowania nastroju — pewnie je czyta.

— A my dalej nic nie wiemy.

Nastąpił moment milczącego rozczarowania.

— Niech mnie licho! — wykrzyknął Carberry. — Wojujemy nieustannie od dziewięćdziesiątego trzeciego. Już blisko dziesięć lat. Czy wciąż macie nadzieję dowiedzieć się, co was jeszcze czeka? Zachodnie Indie dziś — Halifax jutro. Spełniamy rozkazy. Ster na nawietrzną — kotwicę rzuć — wybierać. Do syta wina i szampana na zdobytym okręcie flagowym. Co się martwić? Słońce czy deszcz, dostajemy co dzień swoje cztery szylingi.

— Panie Carberry! — dobiegło wołanie spod pokładu. — Pan Buckland prosi pana Carberry.

— O, do licha! — powtórzył Carberry.

— Teraz możesz zarobić swoje cztery szylingi dziennie — zaśmiał się Lomax.

Uwaga ta nie dotarła do Carberry'ego, który zbiegał już spiesźnie pod pokład.

— Zmiana kursu — powiedział Smith. — Stawiam moją tygodniówkę, że tak będzie.

— Nikt nie przyjmuje zakładu — odparł Roberts.

Ten obrót sprawy był najbardziej prawdopodobny, gdyż Carberry jako oficer nawigacyjny był odpowiedzialny za kurs okrętu.

Zapadła już prawie noc, na tyle ciemna, że zamazała rysy rozmówców, chociaż po zachodniej stronie widniała na horyzoncie purpurowa smuga, wysyłając po czarnej wodzie słaby czerwony odbłask w stronę okrętu. Zapalono światła na postumencie kompasu, a na ciemnym niebie wysoko w dali można już było dostrzec jaśniejsze gwiazdy nad szczytami masztów; zdawały się ocierać o nie w rytm przechyłów okrętu. Zabrzmiał dzwon okrętowy, lecz zebrani nie zdradzali chęci rozejścia się. A zainteresowanie ich wzrosło, gdy ujrzeli wchodzących zejściówką Bucklanda i Carberry'ego. Usunęli się, robiąc im przejście.

— Oficer wachtowy! — przemówił Buckland.

— Sir! — zameldował się Smith, występując z mroku.

— Zmieniamy kurs o dwa rumb. Sterować na południowy zachód.

— Tak jest, sir. Kurs południowy zachód. Panie Abbott, wezwać ludzi do brasów.

„Renown” wykonał zwrot na swój nowy kurs z żaglami wytrymowanymi na pełny wiatr, który wiał teraz z rufy z odchyleniem nie większym niż rumb od lewej ćwiartki rufowej. Carberry podszedł do kompasu, by sprawdzić, czy sternik dokładnie wypełnia jego polecenia.

— Hej, wy tam! Podebrać jeszcze nawietrzny fokabras! — darł się Smith — Obkładać!

Zamieszanie towarzyszące zmianie kursu ucichło.

— Kurs południowy zachód, sir — zameldował Smith.

— Bardzo dobrze — odparł Buckland, stojący przy relingu.

— Przepraszam, sir — zwrócił się Roberts bardzo odważnie do majaczącej w ciemnościach sylwetki.

— Czy może pan powiedzieć, jakie mamy zadanie, sir?

— Nie. To jeszcze tajemnica, panie Roberts.

— Bardzo dobrze, sir.

— Ale powiem wam, dokąd płyniemy. Pan Carberry już wie.

— Dokąd, sir?

— Santo Domingo. Zatoka Szkocka.

Zapadła chwila ciszy, w czasie której zebrani oswajali się z tą wiadomością.

— Santo Domingo — powtórzył ktoś z zadumą.

— Hispaniola — wyjaśnił Carberry.

— Haiti — dodał Hornblower.

— Santo Domingo — Haiti — Hispaniola — powiedział Carberry. — Trzy nazwy tej samej wyspy.

— Haiti! — wykrzyknął Roberts, przypomniawszy coś sobie nagle. — To tam, gdzie czarni podnieśli bunt.

— Tak — potwierdził Buckland.

Każdy mógł zauważyć, że Buckland usiłował wyrzec to słowo tonem możliwie obojętnym; może dlatego, że ze względu na czarnych sytuacja dyplomatyczna była trudna; ze względu na czarnych, a może ze strachu przed kapitanem, który wciąż był żyjącą groźbą na okręcie.

## Rozdział VII

Porucznik Buckland, pełniący obowiązki dowódcy „Renown”, okrętu jego królewskiej mości, zbrojnego w siedemdziesiąt cztery działa, stał na pokładzie rufowym i oglądał przez lunetę niskie wzgórza Santo Domingo. Okręt kołysał się w sposób niezwykle i dokuczliwy, gdyż długa martwa fala atlantycka, gnana przez północno-wschodni pasat, przechodziła pod dnem, gdy okręt stał w dryfie pod ostatnimi podmuchami bryzy lądowej, która zaczęła się o północy, a zamierała, w miarę jak ogniste słońce ogrzewało wyspę. „Renown” przechylał się to na jedną stronę, to na drugą,

nurzając się aż po furty strzelnicze na dolnym pokładzie, bo jakkolwiek bryza była słaba, wiała w kierunku biegu fal i nie zapobiegała ani trochę kołysaniu podczas dryfowania ze sternikiem pracującym wstecz. Przechylał się na jedną burtę, aż trzeszczały naprężone talie, utrzymujące działa w miejscu, i coraz trudniej było ustać na nogach na stromo przechylonym pokładzie; trwał tak w przechyle przez kilka groźnych sekund, a potem nagle prostował się, pokład wracał na moment do poziomu, nim ze zgrzytem bloków i szczękiem mechanizmów nastąpił nowy przechył, na drugą burtę. Talie dział skrzypiały rozpaczliwie, nieostrożni marynarze ślizgali się i padali, a „Renown” leżał jak martwy, aż wtaczała się pod niego następna fala i wszystko zaczynało się od nowa.

— Na litość boską — odezwał się Hornblower, uczepony kołkownicy sternasztu, aby nie zjechać pokładem do otworów ściekowych — czy on podejmie wreszcie jakąś decyzję?

Było coś we wzroku Hornblowera, co sprawiło, że Bush przyjrzał mu się bliżej.

— Choroba morska? — spytał zaciekawiony.

— A któż jej nie dostanie? — odparł Hornblower. — Jak on się kiwa!

Bush miał żelazny żołądek, który ani razu nie przyprawił go o mdłości, ale wiedział, że byli ludzie cierpiący na chorobę morską jeszcze po tygodniach pobytu na morzu, szczególnie gdy zmieniał się rodzaj kołysania. Te smętne przechyły boczne niczym nie przypominały swobodnej pracy „Renown” pod żaglami.

— Buckland musi rozpoznać ukształtowanie lądu — zauważył, starając się podnieść na duchu Hornblowera.

— Cóż więcej chce zobaczyć? — sarknął Hornblower — tam, na forcie powiewa flaga hiszpańska. Wszyscy na lądzie już wiedzą, że okręt liniowy snuje się wzdłuż wybrzeża, a Diegowie nie muszą być specjalnie mądrzy, żeby się domyślić, że nie przybyliśmy tu na przejażdżkę po morzu. Teraz będą mieli dosyć czasu, żeby się przygotować na nasze przyjęcie.

— A cóż innego mógł zrobić?

— Mógł podpłynąć w ciemności, z bryzą morską. Przygotować oddziały desantowe. Wysadzić je o świcie na brzeg. Przypuścić szturm, zanim się zorientują, co im grozi. O Boże!

To westchnienie nie miało nic wspólnego z poprzednią częścią przemowy. Wywołał je skurcz żołądka. Pod silną opalenizną policzki Hornblowera przybrały chorobliwie zielonkawe zabarwienie.

— A to pech — powiedział współczująco Bush.

Mimo przechyłów bocznych okrętu Buckland wciąż próbował nakierować lunetę na brzeg. Była to Zatoka Szkocka — Bahía Escocesa, jak ją oznaczono na mapach hiszpańskich. Na zachodzie rozciągała się piaszczysta plaża; olbrzymie wały wodne załamywały się w oddali i zbite na kremową pianę podpływały aż do skraju wody, lecz ku wschodowi linia brzegowa przechodziła w szereg zdrzewionych, sterczących stromo wzniesień u podnóża zanurzonych w błękitnej wodzie. Fale rozbijały się o nie i bryzgi strzelały wysoko na urwiste zbocza, zanim opadły w dół w

tumanie bieli. Wzgórza ciągnęły się trzydzieści mil wzdłuż morza, prawie dokładnie w kierunku na wschód i zachód, tworząc półwysep Samana, zakończony cyplem o tej samej nazwie. Według map szerokość półwyspu wynosiła nie więcej niż dziesięć mil. Za wzgórzami i cyplem Samaná leżała zatoka Samaná, otwierająca się na cieśninę Mona, bardzo wygodne kotwicowisko dla statków korsarskich i małych jednostek wojennych, które czekały tam, pod osłoną fortu na półwyspie Samaná, gotowe wymknąć się i nękać przechodzące cieśniną konwoje zachodnioindyjskie. „Renown” otrzymał rozkaz oczyszczenia tego gniazda pirackiego przed skierowaniem się na stronę zawietrzną, ku Jamajce — każdy z załogi mógł się tego domyślać — lecz stanąwszy przed problemem Buckland nie bardzo wiedział, jak go rozwiązać. Jego niezdecydowanie było widoczne dla wszystkich obserwatorów stłoczonych na pokładzie okrętu.

Nagle grotmarsel załopotał jak grom i okręt zaczął się wolno obracać dziobem ku morzu, lądowa bryza zamierała, a pasat, nieustannie wiejący w poprzek Atlantyku, obejmował z powrotem wody w swoje władanie. Buckland z ulgą zatrzaskał lunetę. Miał przynajmniej wymówkę do odłożenia akcji.

— Panie Roberts!

— Sir!

— Położyć okręt na lewy hals. Pełnymi żaglami ostro do wiatru.

— Tak jest, sir.

Obsada rufy przybiegła pędem do brasów stermasztu i okręt zaczął powoli odpadać od wiatru. Stopniowo marsie złapały wiatr i „Renown” ruszył naprzód, przechylając się pod naporem wiatru. Następny wał wodny przyjął od dziobu z lewej burty śmiało na niego nacierając, aż strumień wody bryznął w górę. Naprężone po nawietrznej wanty dołączyły swój wesoły gwizd do odgłosów towarzyszących przedzieraniu się przez fale. Był znów żywą istotą i nie przewalał się już jak trup w dolinie fali. Pod naporem huczącego pasatu podnosił się i opadał ochoczo, pozostawiając za rufą spieniony ślad torowy na błękitnej wodzie, która kłębiła się pod dziobem.

— Lepiej? — zapytał Bush Hornblowera.

— Pod jednym względem tak — brzmiała odpowiedź. Hornblower spoglądał na odległe wzgórze Santo Domingo. — Wolałbym, żebyśmy ruszyli do boju, zamiast odchodzić, żeby sprawę przemyśleć.

— Ale pan w gorącej wodzie kąpany!

— W gorącej wodzie kąpany? Ja? Nic podobnego — wprost przeciwnie. Chciałbym... och, chyba chciałbym za dużo.

Trudno zrozumieć niektórych ludzi, pomyślał Bush filozoficznie. Był rad, że może wygrzewać się w słońcu na wietrze łagodzącym jego żar. Jeśli czekał ich bój i niebezpieczeństwo, stawi im czoło w niewzruszonym spokoju; na pewno mógł sobie pogratulować, że nie musi, jak Buckland,

dźwigać odpowiedzialności za prowadzenie do boju okrętu liniowego z załogą liczącą siedmiuset dwudziestu ludzi. Perspektywa bitwy oderwała przynajmniej myśli załogi od leżącego pod pokładem obłąkanego kapitana.

W czasie obiadu w mesie oficerów Bush patrzył na Hornblowera, który zdradzał zdenerwowanie i zniecierpliwienie. Buckland oznajmił, że rano zamierza chwycić byka za rogi i okrążając cypel Samaná, wdrzeć się wprost do zatoki. Nie trzeba będzie wielu salw burtowych z „Renown”, aby zniszczyć wszystkie statki stojące tam na kotwicy. Bush w pełni popierał ten plan. Zniszczyć korsarzy, spalić ich, zatopić, a potem — w razie potrzeby — będzie czas zdecydować, co dalej. Na zebraniu w mesie na zapytanie Bucklanda, czy któryś z oficerów ma jakieś pytania, Smith zapytał rzeczowo o pływy, a Carberry udzielił mu odpowiednich wyjaśnień. Roberts poprosił o parę informacji dotyczących sytuacji na południowym wybrzeżu zatoki. Hornblower, na końcu stołu, milczał, patrząc z głębokim zainteresowaniem na każdego kolejnego mówcę.

W czasie wacht łamanych Hornblower spacerował sam po pokładzie z głową nisko zwieszoną, zatopiony w myślach. Bush zauważył, że palce założonych z tyłu rąk splatały się i rozplatały nerwowo, i na moment ogarnęły go wątpliwości. Czy to możliwe, aby temu energicznemu młodemu oficerowi brakowało odwagi fizycznej? Tego określenia Bush sam nie wymyślił — usłyszał je gdzieś czy kiedyś, użyte złośliwie. Lepiej było zastosować je teraz, niż powiedzieć sobie otwarcie, że podejrzewa Hornblowera o tchórzostwo. Bush nie był człowiekiem zbyt tolerancyjnym. Jeśli ktoś był tchórzem, wolał nie mieć z nim więcej do czynienia.

O którejś godzinie następnego ranka gwizdki rozświergotały się na pokładach, werble piechoty morskiej wzywały na zbiórkę.

— Przygotować pokłady do boju! Załoga na stanowiska! Gotować się do boju!

Bush zszedł na dolny pokład działowy, gdzie było jego stanowisko bojowe. Dowodził całym pokładem i siedemnastoma dwudziestoczerofuntowymi działami baterii prawoburtowej, podległy mu zaś Hornblower miał pieczę nad baterią na lewej burcie. Obsługa dział już zwała osłony i usuwała przeszkody. Przez pokład szedł chirurg ze swymi pomocnikami, nieśli człowieka w kaftanie bezpieczeństwa, przywiązanego do deski. Mimo że w kaftanie i skrępowany sznurami człowiek ten drgał konwulsyjnie i łkał żałośnie — to był kapitan, niesiony do bezpiecznego schronienia w komorze lin kotwicznych, podczas gdy jego kajutę przygotowywano do boju. W całym tym zamieszaniu kilku marynarzy przystanęło, aby pokiwać głowami nad nieszczęśnikiem, lecz Bush zaraz przywołał ich do porządku. Chciał móc zameldować o przygotowaniu dolnego pokładu działowego do boju w zaszczycie krótkim czasie.

Nadszedł Hornblower, zasalutował Bushowi i zaczął sprawdzać swoje działa. Większość przydzielonej mu części pokładu dolnego była pogrążona w mroku, gdyż silne snopy światła słonecznego wpadające przez luki nie rozświetlały dalszych części pomalowanego brudnoczerwoną farbą pokładu. Nadbiegło sześciu chłopców, każdy z wiadrzem piasku, którym zaczęli posypywać deski pokładowe. Bush pilnował uważnie ich czynności, gdyż od tego piasku zależało, czy obsada dział utrzyma się pewnie na nogach. Napełniono wodą cebrzyki stojące obok każdego działa, potrzebując jej do dwóch celów: do zwilżania wyciorów armatnich i do gaszenia ognia. Wokół grotmasztu ustawiono dodatkowe wiadra dla potrzeb przeciwpożarowych. W wiadrach po obu



burtach okrętu zarzyły się wolnotłące lonty, od których działonowi mogli przypalać w razie potrzeby swoje lonty. Ogień i woda. Stąpając ciężko przeszli pokładem wartownicy z piechoty morskiej w szkarłatnych mundurach przeciętych na ukos białymi pasami, szorując wysokimi czakami o belki pokładu. Kapral Greenwood postawił po jednym przy każdym luku, z bagnetem na broni i naładowanymi muszkietami. Mieli pilnować, żeby nikt nie upoważniony nie próbował uciekać na dół, by szukać tam schronienia w bezpiecznej części okrętu poniżej linii wodnej. Pan Hobbs, pełniący obowiązki starszego artylerzysty, pojawił się nagle ze swymi pomocnikami i chłopcami okrętowymi; zmierzali do magazynu. Wszyscy mieli na nogach miękkie kapcie, żeby nie spowodować zapłonu prochu, który na pewno zostanie tu rozsypany w czasie akcji bojowej.

Wkrótce chłopcy zaczęli roznosić proch do poszczególnych dział. Odrzucono liny mocujące armaty i marynarze stanęli przy taliach, czekając na rozkaz otwarcia furt i wytoczenia dział. Bush obrzucił spojrzeniem obie burty — wszyscy działonowi byli na swoich stanowiskach. Na prawej burcie przy każdej armacie stało po dziesięciu ludzi, na lewej po pięciu — maksymalne i minimalne obsady dwudziestoczerofuntówek. Obowiązkiem Busha było dopilnowanie, żeby w każdej baterii wchodzącej do boju działa miały dostateczną obsadę. Na wypadek konieczności zaangażowania w walkę obu burt naraz musiał odpowiednio przydzielać artylerzystów. W miarę wzrostu strat w ludziach i wytrącania dział z akcji trzeba będzie przesuwac ich obsady. Młodszy i starsi podoficerowie zameldowali gotowość swoich sekcji do boju i Bush zwrócił się do stojącego przy nim midszypmena, do którego należało przekazywanie wiadomości.

— Panie Abbott, proszę zameldować, że dolny pokład jest gotowy do boju i zapytać, czy mamy wytaczać działa.

— Tak jest, sir.

Jeszcze przed chwilą panował na okręcie zgiełk i zamieszanie, a teraz wszystko ucichło i słyhać było tylko skrzypienie drewna. Okręt wznosił się i opadał rytmicznie na falach, i Bush, stojąc przy grotmaszcie, kołysał się automatycznie w takt ruchów. Trapem zbiegł z powrotem młody Abbott.

— Sir, pan Buckland przesyła pozdrowienia i mówi, żeby dział jeszcze nie wytaczać.

— Bardzo dobrze.

Hornblower stał w dalszej części pokładu od strony rufy, przy pierścieniach w pokładzie przeznaczonych od mocowania talii armatnich. Obejrzał się, chcąc usłyszeć, jaką wiadomość przyniósł Abbott, a potem znów się odwrócił. Stał na szeroko rozstawionych nogach, i Bush spostrzegł, że dłonie ma mocno splecione z tyłu. Była jakaś nieugiętość w zarysie jego pleców i sposobie trzymania głowy, świadcząca może o żądzy walki, a może o czymś wręcz przeciwnym. Jeden z działonowych podszedł do niego z jakąś uwagą i Bush obserwował Hornblowera, który odwrócił się, by mu dać odpowiedź. Nawet w półmroku pokładu dolnego dostrzegł napięcie w jego twarzy, a uśmiech mógł być wymuszony. No to co, zawyrokował Bush z całą życzliwością, na jaką go było stać, ludzie często tak wyglądają przed bitwą.

Okręt płynął cicho, nawet Bush nastawiał uszu, usiłując się zorientować, co się dzieje nad nim

i wyciągnąć z tego wnioski na temat rozwoju sytuacji. Z góry przez luk usłyszał słabo okrzyk marynarza.

— Nie ma dna, sir. Sonda nie sięga dna.

A zatem ktoś z ławy wantowej mierzy głębokość ołowianką, co znaczy, że płyną blisko lądu. Każdy na pokładzie dolnym musiał dojść do tego wniosku i teraz dzielił się nim z sąsiadem.

— Cisza tam! — rzucił ostro Bush.

Znowu wołanie sondującego i ryk rozkazu. Natychmiast dolny pokład wypełnił się hałasem. Na górze wytaczano działa, w zamkniętej przestrzeni każdy odgłos odbijał się wzmocniony echem od drewnianych części okrętu, a lawety armat sunąc po pokładzie dudniły jak grzmoty. Wszyscy zwrócili wzrok na Busha, czekając na rozkazy, ale on stał nieporuszony, bo sam nie dostał żadnego. Teraz trapedem zbiegał midszypmen.

— Sir, pan Buckland pozdrawia i prosi wytoczyć działa.

Wykrzyczał te słowa wysokim głosem, nie schodząc z trapedu, i wszyscy go usłyszeli. Na pokładzie rozległ się od razu zgiewk, a co nerwowski sięgali już do furt strzelniczych, by je otwierać.

— Spokój! — ryknął Bush. Winni zamieszania ucichli.

— Furty w górę!

Po otwarciu furt półmrok dolnego pokładu rozjaśnił się, na lewej części pokładu zaczęły tańczyć prostokąciki światła, to zwężając się, to rozszerzając w rytm ruchu okrętu.

— Wytaczać!

Przy otwartych furtach hałas nie był tak wielki. Ludzie z obsady dział wybierali całą siłą talie, a lawety ryczały, gdy wyloty luf wchodziły w furty. Bush podszedł do najbliższej armaty i pochylił się, by wyrzucić przez furtę. W zasięgu dalekiego strzału ujrzał zielone wzgórza wyspy. W tym miejscu skały nie były tak strome, a u ich stóp rozpościerała się równina pokryta lasem.

— Załoga do zwrotu!

Bush rozpoznał głos Roberta na rufie. Pokład pod jego stopami ustawił się poziomo i wydawało się, że odległe wzgórza obracają się wraz z okrętem. Zaskrzypiały maszty przy obrocie rei. Musieli okrążyć teraz cypel Samaná. Ruch okrętu zmienił się znacznie bardziej, niż wynikałoby to z samej zmiany kursu. „Renown” wchodził od zatoki na równej stępce i po spokojnej wodzie. Bush przykucnął na piętach u wylotu lufy działa i patrzył na ląd, na południową stronę półwyspu okalającego zatokę brzegiem prawie tak samo urwistym jak ten od strony morza. Nad fortem na szczycie wzgórza powiewała flaga hiszpańska. Podniecony midszypmen ześliznął się trapedem jak wiewiórka.

— Sir! Sir! Zechce pan wypróbować zasięg baterii po naprowadzeniu dział na cel?

Bush zmierzył go chłodnym spojrzeniem.

— Czyj rozkaz? — zapytał.

— P-pana Bucklanda, sir.

— To mów tak. Bardzo dobrze, wyrazy szacunku dla pana Bucklanda, a jeśli chodzi o moje działa, to jeszcze sporo czasu minie, zanim będą miały odpowiedni zasięg.

— Tak jest, sir.

Nad fortem ukazał się dym, ale nie od prochu. Bush drgnął na myśl, że mógł to być dym z pieca do podgrzewania kul; niedługo zaczną pluć w nich rozgrzanymi do czerwoności pociskami, a Bush nie widział możliwości odpowiedzenia ogniem; nie będzie mógł w żadnym razie podnieść luf dział na tyle, by dostać w zasięg fort, podczas gdy tamci mogą ich dosięgnąć stosunkowo łatwo. Wyprostował się i przeszedł na lewą burtę, gdzie Hornblower, też przykucnięty, wyglądał przez otwór furty.

— Tam jest cypel wybiegający w tę stronę — zauważył Hornblower. — Widzi pan tę płyciznę. Musi ją otaczać rynna głębokiej wody. A na cyplu znajduje się bateria — proszę zauważyć dymek. Grzeją kule.

— I mnie się tak zdawało — przytaknął Bush.

Wkrótce znajdą się pod silnym ogniem krzyżowym. Miał nadzieję, że przez niezbyt długo. Słyszał rozkazy rzucane na pokładzie, skrzyp masztów przy obrocie rei — przeprowadzano „Renown” przez zakręt.

— Fort otworzył ogień, sir — zameldował pomocnik oficera nawigacyjnego, kierujący działami dziobowymi na prawej burcie.

— Bardzo dobrze, panie Purvis. — Przeszedł na tamtą stronę i wyjrzał przez furkę. — Zauważyliście, gdzie upadł pocisk?

— Nie, sir.

— Po tej stronie też strzelają, sir — oznajmił Hornblower.

— Bardzo dobrze.

Bush ujrzał biały dym armatni wykwitający nad fortem, a w ślad za nim, w prostej linii między jego oczyma a fortem, pięćdziesiąt jardów od burty okrętu słup wody wytrysnął ze złocistej powierzchni i w tej samej chwili coś uderzyło z trzaskiem w burtę tuż nad głową Busha. Pocisk odbiwszy się rykoszetem od powierzchni utkwiał gdzieś w osiemnastocalowej dębini z której zbudowana była burta. Potem nastąpiła seria trzasków — to dobrze wycelowana salwa trafiła w cel.

— Sir, mógłbym już chyba wziąć w zasięg baterię po tej stronie — rzekł Hornblower.

— Proszę spróbować, co się da zrobić.

W tej chwili Buckland we własnej osobie krzyknął rozdrażnionym głosem w otwór luku:

— Panie Bush, czy wciąż jeszcze nie może pan otworzyć ognia?

— Już się robi, sir.

Hornblower stał przy środkowym dziale dwudziestoczerofuntowym. Działonowy podsunął handszpak rolkowy pod lawetę i nacisnął całym swym ciężarem. Ludzie po dwóch przy każdej talii bocznej, ciągnęli według jego wskazówek, ustawiając działo na cel. Gdy armatę ustawiono przy pomocy klinów na najwyższy kąt podniesienia, działonowy ściągnął blaszaną osłonę z otworu lontowego, dopilnował, aby go dobrze wypełniono prochem i krzyknawszy „odsunąć się”, wepchnął do otworu tłący się lont. Wystrzał zahuczał głośno w ograniczonej przestrzeni, nieco dymu przedostało się z powrotem przez furtę.

— Troszkę za blisko, sir — zameldował Hornblower stojący przy sąsiedniej furcie. — Ale doniosą, jak tylko armaty się rozgrzeją.

— Proszę więc prowadzić ogień dalej.

— Sekcja pierwsza, otworzyć ogień! — krzyknął Hornblower.

Pierwsze cztery działa dziobowe wystrzeliły niemal jednocześnie.

— Sekcja druga!

Bush poczuł, że pokład pod nim drgnął od siły odpalenia i odrzutu. Dym, gorzki i żrący, skłębił się w zamkniętej przestrzeni, a huk był ogłuszający.

— Jeszcze raz, chłopcy! — wołał Hornblower. — Dowódcy sekcji, dobrze celować!

Tuż obok Busha rozległ się straszliwy trzask, coś przeleciało z wyciem i zaryło się w belce pokładowej nad jego głową. Jeszcze coś wleciawszy przez otwartą furtę strzelniczą trafiło w zamek działa. Dwóch ludzi z obsady zważyło się na pokład tuż obok, jeden leżał nieruchomo, a drugi wił się i skręcał z bólu. Bush miał właśnie wydać rozkaz zajęcia się nimi, gdy uwagę jego zwróciła rzecz jeszcze ważniejsza. W belce pokładowej nad głową spostrzegł głęboką szczerbę, z której wydobywał się dym. Rozgrzany do czerwoności pocisk uderzył w zamek działa i widocznie rozpadł się na odłamki, z których największy utkwiał tak głęboko w belce, że drewno zaczęło się tlić.

— Kubły z wodą! — ryknął Bush.

Dziesięcioletni odłamek rozżarzonego metalu tkwiący w suchym jak pieprz drewnie mógł spowodować pożar w ciągu paru sekund. W tej samej chwili na pokładzie górnym rozległ się tupot stóp i szcęk przesuwanych pomp, które natychmiast podjęły pracę z głośnym klang-klang. A więc i tam gaszono ogień. Z lewej burty waliły działa Hornblowera, ich lawety przetaczały się z hukiem po deskach pokładu. Rozpętało się piekło, piekielny dym skłębił się wokół Busha.

Maszty skrzybiały przy każdym obrocie rei; mimo wszystko okręt musiał się posuwać w górę krętego toru wodnego. Bush wyrzwał przez furtę i próbował spokojnie ocenić odległość. Okazało się, że fort na szczycie wzgórza jest jeszcze poza zasięgiem. Nie było sensu marnować amunicji. Wyprostował się i rozejrzał po mrocznym pokładzie. Miał uczucie, że z okrętem dzieje się coś dziwnego. Uniósł się na czubkach palców, chcąc sprawdzić straszliwe przypuszczenie. Przechylony leciutko pokład jakby zamarł w tej pozycji. Boże święty! Hornblower znalazł Busha wzrokiem i wskazał gestem w dół, potwierdzając okropną myśl. „Renown” władował się na mieliznę. Musiał wsunąć się tak miękko i powoli, że wytracił prędkość bez wyczuwalnego wstrząsu. Ale zarył się porządnie dziobem, skoro można było zauważyć nachylenie pokładu.

Coraz więcej pocisków z brzegu trafiało z trzaskiem w cel; brygady przeciwpożarowe znowu ruszyły pędem do walki z ogniem. Siedzieli głęboko w mieliznie, skazani na powolne roztrzaskanie na drzazgi przez ostrzał z tych przeklętych fortów, jeżeli pociski nie wywołają pożaru, w którym usmażą się żywcem na gliniastym nasypie. Hornblower stanął obok, z zegarkiem w ręce.

— Pływ podnosi się ciągle — rzekł. — Jeszcze godzina od wysokiej wody. Ale boję się, że siedzimy mocno na mieliznie.

Bush patrzył na niego i miotał przekleństwa, cały potok plugawych słów, gdyż był to jedyny sposób, w jaki mógł sobie ulżyć.

— Spokojnie, Duff! — zawołał Hornblower, przenosząc z niego spojrzenie na obsługę działa. — Przeczyścić dobrze lufę! Czy chcecie, żeby wam przy ładowaniu pourywało ręce?

Gdy Hornblower znów zwrócił wzrok na Busha, ten już zdołał się opanować.

— Godzina do wysokiej wody powiada pan? — zapytał.

— Tak, sir. Według obliczeń Carbeiry'ego.

— Niech nam Bóg dopomoże!

— Moje pociski dosięgają baterii na tym cyplu, sir. Jeżeli uda mi się przejechać po ich otworach strzelniczych, może je uciszę, a przynajmniej osłabię ich tempo obstrzału.

Jeszcze jeden pocisk uderzył z trzaskiem w okręt, i następny.

— Ale ta po drugiej stronie cieśniny jest poza zasięgiem.

— Tak — zgodził się Hornblower.

Wśród zamieszania bitewnego biegali chłopcy, donosząc świeże ładunki prochu dla dział. Jakiś midszypmen torował sobie drogę wśród nich.

— Panie Bush, zechce pan zameldować się u pana Bucklanda, sir? Jesteśmy na mieliznie i palimy się, sir.

— Nie gadaj tyle. Przekazuję panu dowodzenie, panie Hornblower.

— Tak jest, sir.

Słońce na pokładzie rufowym świeciło oślepiająco. Przy relingu stał Buckland z odkrytą głową, starając się nie pokazywać po sobie tego, co czuł w tej chwili. Słychać było huczenie i pryskanie pary, gdy ktoś skierował węzeł strumień wody na płonący odłamek zaryty w grodzi. Trupy leżały wzdłuż ścieków pokładowych, rannych odciągano na bok. Pocisk lub wyrwane przez niego z kadłuba drewniane odłamki musiały zabić marynarza u steru, i okręt, nad którym przez chwilę nikt nie panował, wszedł na mieliznę.

— Musimy odciągnąć okręt przy pomocy kotwicy zawoźnej — rzekł Buckland.

— Tak jest, sir.

Oznaczało to wywiezienie kotwicy i wybieranie jej kabestaniem przy użyciu liny, aby siłą wyciągnąć okręt z gliniastego mułu. Bush rozejrzał się wokoło, żeby sprawdzić swoje wnioski co do położenia okrętu, do których doszedł pod pokładem, gdzie pole widzenia było ograniczone. „Renown” wszedł w błoto dziobem, trzeba będzie go ściągnąć za rufę. Pocisk przeleciał z wyciem nad głową Busha, który zmusił się, by nie uskokczyć w bok.

— Linę trzeba będzie wyłożyć przez furtę rufową.

— Tak jest, sir.

— Kotwicę prądową Roberts zawiezie szalupą.

— Tak jest, sir.

Fakt opuszczenia zwyczajowego „pan” zdradzał stan napięcia, w jakim znajdował się Buckland, i mówił o grozie ich położenia.

— Wezmę ludzi z obsługi moich dział, sir — zaproponował Bush.

— Bardzo dobrze.

Teraz był właściwy moment na pokazanie, co może zdziałać dyscyplina i wprawa. Na szczęście załoga „Renown” była przeszło w połowie złożona z wytrawnych marynarzy, którzy przeszli szkołę w czasie blokady Brestu. W Plymouth dodano tylko ludzi z przymusowego poboru. To co w czasie, gdy „Renown” należał do floty Kanału, było tylko elementem szkolenia, obecnie stanowiło operację, od której zależało istnienie okrętu, a nie pozorowane ćwiczenie wykonywane we współzawodnictwie z innymi jednostkami eskadry. Bush z załogami swoich dział przystąpił do wydobywania liny i przeciągania jej na rufę, w pobliże furty, a tymczasem na pokładzie górnym ludzie Roberta ruszyli do talii sztagowych i rejowych, aby opuścić szalupę na wodę.

W dole między pokładami było goręcej niż na pokładzie górnym, wystawionym na żar słońca. Pod belkami kłębił się dym z dział Hornblowera, on sam zaś, z kapeluszem w rękę, ocierał

chusteczką pot z twarzy. Skinął głową, zobaczywszy Busha, który nie potrzebował wyjaśniać, co robi w tej chwili. Wśród huków dział, w chmurze dymu, przeciskając się między chłopcami wciąż donoszącymi świeże ładunki prochu i brygadami przeciwpożarowymi, które uwijały się z wiadrami, ludzie Busha wyciągali linę. Odcinek o długości stu sążni ważył więcej niż kilka ton i trzeba było opanowania i umiejętnego nadzoru, aby oporną linę przeciągnąć na rufę. Lecz Bush najlepiej się czuł przy pracy wymagającej zwykłego skupienia uwagi dla wypełnienia prostego zadania. W chwili gdy łódź podeszła pod rufę, by odebrać koniec liny, Bush miał ją wyciągniętą w całości i sklarowaną na pokładzie, a potem pilnował, by — niezmiernie długa — nie splątała się wysuwając się stopniowo z furty rufowej. Szalupa weszła w pole widzenia Busha z ogromnie ciężką kotwicą prądową zwisającą z rufy; pomyślał z ulgą, że skomplikowana operacja umieszczenia kotwicy w łodzi powiodła się. Drugi kuter wiózł szpryng z kluzy kotwicznej. Dowodził Roberts. Bush usłyszał, jak obwołuje kuter, gdy trzy łodzie wycofały się za rufę. Między kutrami wzbił się w górę słup wody — jedna z dwóch baterii lądowych, a może obie, przesunęły cel. Trafienie w szalupy w tej chwili byłoby nieszczęściem, a uszkodzenie kutra poważnie pogorszyłoby sytuację.

— Przepraszam, sir — usłyszał Bush głos Hornblowera i odwrócił wzrok od połyskującej wody.

— Słucham?

— Mogę przetoczyć kilka dział z dziobu na rufę — rzekł Hornblower. — Przemieszczenie ciężaru może pomóc.

— Na pewno — zgodził się Bush. Patrzył na twarz Hornblowera, brudną i napiętą od wysiłku, zastanawiając się, czy ma prawo wydać taki rozkaz na własną odpowiedzialność. — Lepiej niech pan poprosi Bucklanda o pozwolenie. W moim imieniu, jeśli pan chce.

— Tak jest, sir.

Te dwudziestoczerofuntówki na dolnym pokładzie ważyły ponad dwie tony każda; przesunięcie kilku z dziobu na rufę może znacznie ułatwić wyrwanie dziobu z mułu. Bush spojrzął znowu przez furkę. James, midszypmen w pierwszej łodzi, odwrócił się, by sprawdzić, czy lina jest dokładnie w linii z okrętem. Gdyby lina między kotwicą a kabestanem nie biegła prosto, jej siła ciągnięcia byłaby znacznie mniejsza. Szalupa i kuter płynęły obok siebie, przygotowując się do rzucenia kotwicy. Nagle salwa z lądu wzburzyła wodę wokół nich, rykoszetujące pociski wskazywały, że strzelano z fortu na wzgórzu — i to nieźle jak na taki daleki zasięg. Promień słoneczny padł na ostrze siekiery w momencie, gdy ktoś na rufie szalupy podniósł ją w górę. Bush dostrzegł krótki błysk. Rzucali więc kotwicę z miejsca, gdzie zwisała ze stropów na rufie. Bogu dzięki.

Działa Hornblowera biły ciągle; okrętem wstrząsała siła odrzutu, a trzask pocisku odłamującego poszycie wskazywał, że druga bateria strzela dalej, i to celnie. Wszystko działo się naraz. Hornblower z grupą marynarzy toczył na rufę pierwsze działo dziobowe z prawej burty przy pomocy handszpacka rolkowego, wsuniętego pod lawetę — było to zadanie wymagające dużej zręczności. Wózki jęczały przeraźliwie, gdy marynarze usiłowali obrócić nieporęczną masę żelaza i przepchnąć ją przez zatłoczony pokład. Bush mógł poświęcić Hornblowerowi tylko jedno spojrzenie,

bo spieszył na pokład główny zobaczyć, co się dzieje przy kabestanie.

Marynarze ustawiali się tam właśnie przy drągach pod nadzorem Smitha i Bootha zbierających resztki załóg

dział z pokładu głównego, by zapewnić dostateczną liczbę ludzi. Nadzy do pasa mężczyźni spluwali w dłonie i sprawdzali oparcia dla stóp — nie było potrzeby wskazywać im na powagę sytuacji ani zachęcać do pracy przy pomocy guzowatej laski Bootha.

— Wybierać! — krzyknął Buckland z pokładu rufowego.

— Wybierać! — powtórzył Booth. — Wybierajcie i wskrzeście tego trupa!

Marynarze zawisli na drągach całym ciężarem swych ciał. Zapadki szczękały, gdy na kabestan nawijał się zwis liny. Chłopcy okrętowi z linkami stoperowymi do zakładania przewiązów na linę łącznikową musieli się zwijać, aby dotrzymać tempa. Potem, w miarę jak kabestan obracał się wolniej, przerwy między szczękaniem zapadek stawały się dłuższe. Coraz wolniej: klang-clang-clang. Zaczynało się naprężanie. Pacholy skrzypiały od napinającej się liny. Klang-clang. Lina była nowa i mogła się trochę rozciągnąć.

Nagle gwizd pocisku — czemuż to złośliwość losu skierowała go właśnie tutaj, a nie w żadne inne miejsce na okręcie? Fruwające odłamki, ludzie zwaleni na pokład — kula przeorała zbity tłum. Strumieniem płynęła krew jaśniejsza żywą czerwienią w blasku słońca; nic dziwnego, że poruszeni marynarze odsunęli się od krwawiących szczątków.

— Do stanowisk! — ryknął Smith. — Chłopcy! Zabrać rannych z drogi! Dajcie tu inny drąg! Ruszać żywo!

Pocisk, który dokonał tak przerażającego spustoszenia, nie zużył całej siły na masakrę ludzi; zdruzgotał jeszcze bok lawety armatniej i uwiązł w burcie okrętu. Krew z ciał zabitych i rannych nie ugasiła go i w miejscu, gdzie utkwiał w drewnie, ukazał się dym. Bush chwycił kubek z wodą i chlusnął na rozżarzoną kulę — para zmieszała się z dymem, woda pluła i bryzgała wokoło. Jedno wiadro to za mało na dwadzieścia cztery funty rozżarzonego do czerwoności żelaza, lecz już nadbiegała brygada przeciwpożarowa, aby zalać tlącą się ogień.

Rannych i zabitych odciągnięto na bok i marynarze znowu stanęli u drągów kabestanu.

— Wybierać! — krzyknął Booth. Klang-clang-clang. Kabestan obracał się wolno, coraz wolniej. Aż zamarł, a pacholy jęknęły od naprężenia.

— Wybierać! Wybierać!

Klang! I znowu, z oporem, po dłuższej chwili — klang! I koniec. Bezlitosne słońce prażyło plecy mężczyzn trujących się przy handszakach; zrogowaciałe stopy szukały oparcia na knagach na pokładzie. Bush zostawił ich przy tej ciężkiej pracy i wrócił na dół; mógł posłać tylu marynarzy z pokładu działowego, by postawić po trzech u każdego drąga kabestanu, i uczynił to. W zadymionym półmroku ludzie wlekli z wysiłkiem na rufę ostatnią armatę, jaką można było przeciągnąć, ale



Hornblower był już z powrotem przy swojej sekcji dział, pilnując ustawienia ich na cel. Bush nastąpił na linę, która przypominała raczej drewniane drzewce, tak była napięta i oporna. Przez podeszwę buta poczuł słabiutkie drgnięcie, prawie niewyczuwalne, to ludzie przy kabestanie nacisnęli ze zdwojoną siłą. Szczęk następnej zapadki odbił się echem od drewnianych części okrętu, lina drgnęła nieco mocniej i znowu zeszywniała. Nie przesunęła się pod stopą Busha nawet o jedną ósmą cala, chociaż wiedział, że stu pięćdziesięciu mężczyzn przy handszpakach wypruwało z siebie ostatnie siły. Wystrzeliło jedno z dział Hornblowera, Bush wyczuł reakcję liny na odrzut. Przez luki dobiegały słabo okrzyki zachęty rzucane przez Smitha i Bootha przy kabestanie, ale nie było widać, żeby lina przesunęła się choćby o cal. Hornblower podszedł do Busha i zasalutował.

— Sir, czy wyczuwa pan jakąś różnicę po wystrzałach z moich dział? — Mówiąc to odwrócił się i skinął na celowniczego działa na śródokręciu, które zostało właśnie załadowane i wytoczone. Celowniczy wsunął lont do otworu, działo ryknęło i spowite w kłęby dymu cofnęło się pod działaniem odrzutu. Bush wyczuł stopą drgnięcie w linie.

— Nieznaczne drgnięcie — nie — tak. — Busha coś tknęło. Wiedział już, co odpowie Hornblower na pytanie, jakie zamierzał mu zadać.

— Co pan zamierza?

— Mógłbym wystrzelić ze wszystkich armat naraz. To mogłoby wyrwać okręt z mułu, sir.

Istotnie mogło. „Renown” tkwił w błocie trzymającym go w mocnym uścisku. Jeśli się udało wstrząsnąć nim silnie przy maksymalnym naprężeniu liny, można by wyrwać okręt z tego uchwytu.

— Na Boga, chyba warto spróbować — rzekł Bush.

— Bardzo dobrze, sir. Za trzy minuty będę miał działa załadowane i gotowe do strzału, sir. — Hornblower wrócił do swojej baterii i krzyknął przez trąbkę z dłoni: — Przerwać ogień! Wszyscy, przerwać ogień.

— Powiem im przy kabestanie — rzekł Bush.

— Bardzo dobrze, sir. — Hornblower dalej wydawał rozkazy. — Załadować działa i wziąć podwójną ilość prochu. Zasypać proch i wytoczyć działa.

To były ostatnie słowa, jakie usłyszał Bush wchodząc na pokład główny. Powiedział Smithowi o propozycji Hornblowera i ten od razu skinął głową.

— Przestać wybierać! — krzyknął Smith i spoceni ludzie u handszpaków wyprostowali zmęczone plecy.

Trzeba było wyjaśnić sytuację Bucklandowi na pokładzie rufowym, a on wyraził zgodę na tę próbę. Ten pechowy mężczyzna, którego okręt znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, stał przy relingu, patrząc na fiasko swej pierwszej akcji w czasie samodzielnego dowodzenia i ścisnął

poręcz obu dłońmi, jakby chciał z niej zrobić korkociąg. A tymczasem Smith przyniósł bardzo złe wieści.

— Roberts nie żyje — oznajmił kącikiem ust.

— Nie!

— Zabity. Pocisk przeciął go w szalupie na pół.

— Wielki Boże!

Dobrze to świadczyło o Bushu, że najpierw odczuł żal z powodu śmierci Roberta, a dopiero potem uświadomił sobie, że jest teraz pierwszym oficerem na okręcie liniowym. Ale obecnie, gdy „Renown” znajdował się pod obstrzałem, nie było czasu ani na żal, ani na radość. Bush krzyknął do luku:

— Hej, tam na dole! Panie Hornblower!

— Sir!

— Czy działa gotowe?

— Jeszcze minutę, sir.

— Spróbujemy jeszcze mocniej ją naprężyć — powiedział Bush do Smitha, a potem głośniejszym głosem do luku: — Panie Hornblower, proszę czekać na mój rozkaz.

— Tak jest, sir.

Marynarze znowu ustawili się przy drągach kabestanu, wparli się stopami w deski pokładu i zaczęli pchać.

— Mocniej! — wołał Bush. — Wybierać!

Po obróceniu kabestanu o cal dalszy nacisk na handszpaki nie dawał już prawie żadnego skutku.

— Wybierać!

Bush zostawił ich i zbiegł na dół. Postawił stopę na sztywno naprężonej linie i dał znak głową Hornblowerowi. Wytoczono i załadowano piętnaście dział — w tym dwa przeciągnięte na rufę z lewej burty, ich załogi czekały na rozkaz.

— Działonowi, lonty chwyć! — krzyknął Hornblower. — Wszyscy inni, odsunąć się! Będę liczył: raz, dwa, trzy. Na trzy wsuniecie lonty. Zrozumiano?

Odezwały się mrukliwe potakiwania.

— Gotowi? Wszystkie lonty zapalone?

Działonowi zamachali nimi w powietrzu, by się dobrze rozjarzyły.

— A więc: raz — dwa — trzy!

Po wsunięciu lontów w otwory działa ryknęły niemal równocześnie; pomimo nieuniknionych różnic w ilości załadowanego prochu nie upłynęła nawet sekunda między pierwszym a ostatnim wystrzałem z piętnastu dział. Trzymając stopę na linie Bush wyczuł, że okręt zakołysał się od odrzutu — efekt ten zwiększyły podwójne porcje prochu. Kłęby dymu wzmogły otaczający go żar, ale Bush nie zwracał na to uwagi. Lina drgnęła pod stopą przy przechyle okrętu. Ruszyła się! Z całą pewnością! Musiał przesunąć stopę. Wszyscy mogli słyszeć szczęk następnej zapadki windy kotwicznej. Klang-klang. Wśród dymu ktoś wzniósł radosny okrzyk, inni podchwycili go.

— Cisza! — ryknął Hornblower.

Klang-klang-klang. Czuć było w tym szczęku opór, lecz okręt się poruszał. Lina wolno wpełzała w furtę, jak śmiertelnie ranny potwór. Gdyby tylko mogli utrzymać go w ruchu! Klang-klang-klang. Przerwy między poszczególnymi szczęknięciami stawały się coraz krótsze — nawet Bush musiał to w duchu przyznać. Lina wchodziła w furtę coraz szybciej.

— Panie Hornblower, proszę objąć tu nadzór — rzekł Bush i pośpieszył na pokład główny.

Po zejściu okrętu z mielizny pierwszy oficer będzie musiał dopilnować wielu ważnych czynności. Kabestan obracał się tak szybko, że wydawało się, iż wygrywa jakąś skoczną melodię.

Na pokładzie rzeczywiście trzeba było dojrzeć wielu spraw i wiele decyzji wydawać od ręki. Bush zasalutował Bucklandowi.

— Jakież rozkazy, sir?

Buckland zwrócił na niego zgnębiony wzrok.

— Tracimy przypyływ — powiedział.

W tej chwili poziom pływu musi być najwyższy; gdyby znowu dotknęli dna, przeciąganie okrętu na kotwicy zawoźnej nie byłoby taką prostą operacją.

— Tak, sir — potwierdził Bush.

Decyzja zależała wyłącznie od Bucklanda, z nikim nie mógł dzielić odpowiedzialności. Bardzo trudno jest jednak człowiekowi przyznać się do porażki w czasie pierwszej wyprawy pod własnym dowództwem. Buckland spojrział na brzeg, na czerwono-złote flagi Hiszpanii powiewające nad ławicą dymu z baterii, jakby szukając natchnienia — ale go tam nie znalazł.

— Możemy oddalić się tylko z bryzą lądową — stwierdził Buckland.

— Tak, sir — potwierdził Bush.

Bush pomyślał, że bryza od lądu przestanie wiać za chwilę, a Buckland wiedział o tym równie dobrze jak on. W tym momencie pocisk z fortu na wzgórzu uderzył z ogłuszającym trzaskiem w ławę wantową; posypał się grad odłamków. Ktoś wzywał brygadę przeciwpożarową. Buckland podjął wreszcie trudną decyzję.

— Wybierać linę szpryngową — rozkazał. — Obrócić okręt dziobem do morza.

— Tak jest, sir.

Wycofanie się — porażka; to oznaczał ten rozkaz. Ale musi stawić czoło kłęsce. Nawet po wydaniu tego rozkazu potrzeba było wielu wysiłków, aby wyprowadzić okręt spod grożącego mu niebezpieczeństwa. Bush odwrócił się, by wydać rozkazy.

— Hej, tam, przy kabestanie, przestać wybierać!

Szczęk ustał i uwolniony „Renown” spłynął w błotniste, zbełtane wody zatoki. Aby się z niej wydostać, będzie musiał odwrócić się tyłem, zawrócić w ciasnej przestrzeni i przebić się na otwarte wody morza. Na szczęście był sposób na wymanewrowanie obrotu za pomocą cumy dziobowej, która dotąd leżała nie wykorzystana między klużą kotwiczną a kotwicą.

— Rzucić linę łącznikową na rufie! — rozkazy padały szybko i swobodnie; było to zwykłe zadanie z praktyki okrętowej, mimo że trzeba je było wykonywać pod ogniem rozgrzanych do czerwoności pocisków. Łodzie z załogami, wciąż jeszcze na wodzie, czekały, by w razie ustania wątpliwej bryzy wyholować pokiereszowany okręt poza strefę niebezpieczeństwa. Ciągnięty napinaną przez kabestan cumą dziobową dziób „Renown” zawracał powoli. Choć wiatr zamierał i w skwarnym upale zaczynała się cisza morska, ruch ten był zauważalny — gdybyż nie ten szok spowodowany niepowodzeniem wyprawy i nie ta myśl o przeklętej artylerii! Gdy kabestan obracał okręt na kotwicy, Bush pojął, że musi utrzymać go w ruchu. Znów podszedł do Bucklanda i zasalutował.

— Sir, czy mam przeciągnąć „Renown” na cumach przez zatokę?

Buckland stał przy kompasie, patrząc nie widzącymi oczyma na fort. To nie fizyczne tchórzostwo, lecz szok spowodowany kłęską i obawą o to, co będzie dalej, sprawiły, że nie był chwilowo w stanie myśleć logicznie. Pytanie Busha było mu bodźcem do czynu.

— Tak — zgodził się Buckland i Bush odszedł zadowolony, że może zająć się czymś pożytecznym, na czym znał się doskonale.

Trzeba było skantować drugą kotwicę na dziobie z lewej burty i wyciągnąć jeszcze jedną cumę. Krzyknął do Jamesa, dowodzącego łodziami od chwili śmierci Roberta, dając mu znak o rozpoczęciu nowego manewru i wzywając do podpłynięcia pod dziób, żeby można było opuścić kotwicę do łodzi — najbardziej skomplikowana część całego zadania. Potem załoga schyliła się nad wiosłami i łódź powlokła się naprzód, chybotając pod olbrzymim ciężarem podwieszonym w części

rufowej, z luzowaną cumą z rufy. Jard za jardem, w takt monotonych obrotów kabestanu „Renown” podpełzał do pierwszej kotwicy, a gdy lina naprężyła się pionowo, dano sygnał Jamesowi, znajdującemu się teraz daleko w przodzie na swej szalupie, aby rzucił kotwicę ze swej łodzi i wrócił po kotwicę prądową, która miała być zawieszona. Należało też odczepić i wyciągnąć nieprzydatną już cumę rufową, gdyż siła działania kabestanu przeniosła się na drugą cumę. Oba kutry dostały liny, aby mogły choć trochę dopomóc w tym wspólnym wysiłku holowania ciężkiego okrętu, gdy tyle zależało od odsunięcia „Renown” poza zasięg baterii.

Pod pokładem Hornblower przeciągał z powrotem na dziób działa poprzednio przesunięte na rufę; szcęk i dudnienie lawet po deskach pokładu, zagłuszające monotony klekot kabestanu, słychać było na całym okręcie. Słońce prażyło bezlitośnie, zmiękczając smołę w spoinach, gdy tymczasem z największym trudem, jard za jardem, kabel za kablem okręt pełznął przez zatokę Samaná, po lśniącej, spokojnej wodzie, wycofując się spod obstrzału rozżarzonymi pociskami, aż znaleźli się poza zasięgiem i mogli pozwolić sobie na chwilę przerwy, żeby ludzie mogli wypić po skąpym kubku cuchnącej, ciepłej wody, zanim znów wrócą do swych zajęć. Do chowania zabitych i naprawy szkód; do świadomości klęski. I może także do rozmyślań, czy wciąż trwa złowrogi wpływ kapitana, mimo jego obłąkania i zupełnej obecnie bezradności.

## Rozdział VIII

Tropikalna noc zamknęła się nad pogruchotanym „Renown”, trzymającym się opodal lądu pod lekkimi żaglami, których postawiono tylko tyle, aby mógł się bez trudu utrzymywać na długich atlantyckich falach pchanych na dziób pasatem wspomaganym przez bryzę morską. Buckland z niepokojeni omawiał sytuację ze swym nowym pierwszym oficerem. Mimo wiatru w małej kajucie było gorąco jak w piecu; wydawało się, że duże latarnie zwisające z belek pokładowych i oświetlające rozpostarte na stole mapy rozgrzewały pomieszczenie do niemożliwości. Bush czuł szczypanie potu pod mundurem, a sztywny halsztuk tak ciasno opinał mu grubą szyję, że od czasu do czasu wkładał za materiał dwa palce i odsuwał go od skóry, nie czując mimo to żadnej ulgi. Najprościej byłoby zdjąć ciężki mundur i rozpiąć halsztuk, ale taka możliwość nie przeszła mu przez myśl. W tych ciężkich warunkach niewygody cielesne znosiło się bez skargi; pomagała w tym duma i przyzwyczajenie.

— A więc uważa pan, że powinniśmy płynąć na Jamajkę? — pytał Buckland.

— Nie ośmieliłbym się posunąć tak daleko, żeby to doradzać, sir — odparł ostrożnie Bush.

Zgodnie z prawem marynarki wojennej odpowiedzialność obciążała Bucklanda, wyłącznie Bucklanda i Bush był zły za tę próbę przerzucenia części odpowiedzialności na niego.

— Cóż innego możemy zrobić? — nalegał Buckland. — Co pan sugeruje?

Bush przypomniał sobie plan wyprawy, jaki przed nim naszkicował Hornblower, ale nie wysunął go od razu; nie rozważył go jeszcze dostatecznie w myślach — nie był nawet pewien, czy można go uznać za realny. Zadziałał więc na zwłokę.

— Jeśli skierujemy się na Jamajkę, będzie to haniebna ucieczka, sir — zauważył.

— Ma pan zupełną rację — zgodził się Buckland, rozkładając bezradnie ręce. — No i jest jeszcze kapitan...

— Tak — powiedział Bush — jest jeszcze kapitan.

Gdyby „Renown” zameldował się u admirała w Kingston, mając na swym koncie jakiś głośny sukces, nie zagłębiano by się zbyt szczegółowo w badanie ubiegłych wydarzeń. Jeśli jednak przybędzie kulejąc, pokonany i pogruchotany, można się spodziewać dochodzenia, dlaczego zamknięto dowódcę w odosobnieniu jako umysłowo chorego, czemu Buckland przeczytał tajne rozkazy i zdecydował przypuścić atak na Samaná.

— Młody Hornblower mówił mi to samo — zauważył Buckland z rozdrażnieniem. — Żałuję, że go w ogóle słuchałem.

— O co pan go pytał, sir?

— Och, trudno powiedzieć, że pytałem — odparł Buckland ze złością. — Któregoś wieczora gawędziliśmy sobie na pokładzie rufowym. On miał wachtę.

— Pamiętam, sir — ponaglał go Bush.

— Rozmawialiśmy. I ten bezczelny smarkacz mówił dokładnie to samo co pan teraz... nie pamiętam, od czego się zaczęło. Ale potem wyszła sprawa skierowania się do Antiguy. Hornblower uważał, że byłoby lepiej, gdybyśmy się zdobyli na jakiś wyczyn, zanim zacznie się dochodzenie na temat dowódcy. Mówił, że to szansa dla mnie. I chyba tak było. Moja wielka szansa. Ale słuchając Hornblowera można by pomyśleć, że już jutro zostanę mianowany kapitanem. A tymczasem...

Buckland wykonał gest mówiący, ile jego zdaniem ma teraz szans na mianowanie go kiedykolwiek kapitanem.

Bush pomyślał o raporcie, jaki Buckland będzie musiał złożyć: dziewięciu zabitych, dwudziestu rannych; atak „Renown” sromotnie odparty; zatoka Samaná dalej bezpiecznym schronieniem dla korsarzy. Był rad, że nie jest w skórze Bucklanda, ale zdawał sobie sprawę, że i jemu może się porządnie dostać przy tej okazji. Był teraz pierwszym oficerem, jednym z oficerów, który dopuścił — co już samo wystarczy — do pozbawienia Sawyera dowództwa, i trzeba by zwycięstwa, aby w oczach przełożonych zasługiwał na pochwałę.

— Niech to diabli — westchnął Buckland, próbując się usprawiedliwić przed sobą — zrobiliśmy wszystko, na co nas było stać. Każdy mógł osiąść na mieliźnie w tej zatoce. To nie nasza wina, że zabito sternika. Żadna jednostka nie przeszłaby przez zatokę pod takim ogniem krzyżowym.

— Hornblower sugerował desant po stronie odmorskiej. W Zatoce Szcockiej, sir — zauważył Bush bardzo ostrożnie.

— Jeszcze jedna z sugestii Hornblowera? — spytał Buckland.

— Sądzę, że to właśnie miał na myśli od samego początku, sir. Desant i atak z zaskoczenia.

Może wskutek nieudania się wyprawy Bush zrozumiał teraz bezsens pchania drewnianego okrętu w miejsce, gdzie można go było ostrzeliwać rozżarzonymi do czerwoności pociskami.

— A co pan uważa?

— Cóż, sir...

Bush nie był pewien, czy potrafi jasno wyrazić swój pogląd. Nie powiodło im się raz, trudno, może się nie powieść i drugi; wszystko jedno, czy wisieć za owcę, czy za jagniątko. Bush był twardym człowiekiem; nie lubił cofać się przed trudnościami i złościła go myśl o potulnym odwrocie po jednym odpartym ataku. Trudność polegała na obmyśleniu alternatywnego planu wypadu. Usiłował wyjaśnić to wszystko Bucklandowi i był na tyle podniecony, że wyzbył się wrodzonej ostrożności.

— Rozumiem — powiedział Buckland. Cienie tańczące na jego twarzy w świetle kołyszących się lamp uwydatniały walkę wewnętrzną. Nagle zdecydował się. — Posłuchajmy, co on sam nam powie.

— Tak jest, sir. Smith jest teraz na wachcie. Hornblower ma środkową — myślę, że będzie spał, póki go nie zawołają.

Buckland był znużony, jak wszyscy na okręcie — a może bardziej od innych. Myśl o Hornblowerze rozciągniętym wygodnie w koi, podczas gdy jego przełożeni siedzą tu i denerwują się, pobudziła go do podjęcia decyzji, której mógłby nie podjąć w innych warunkach, o przystąpieniu do działania natychmiast, nie czekając do jutra.

— Proszę posłać po niego — rozkazał.

Hornblower stawiał się w kajucie w stosunkowo krótkim czasie. Włosy miał rozwichrzone, a po mundurze widać było, że wdziawał go w pośpiechu. Wchodząc obrzucił kabinę nerwowym spojrzeniem; czuł wcale nie tak nieuzasadnioną obawę z powodu nagłego wezwania go przed oblicze zwierzchników.

— O jakim to planie pan mi mówił? — zapytał Buckland. — O ile rozumiem, panie Hornblower, miał pan pewne sugestie na temat szturmowania na fort.

Hornblower nie odpowiedział od razu; układał sobie w głowie argumenty i rozważał swój pierwotny plan w świetle nowej sytuacji — Bush czuł, że nie było fair wzywać Hornblowera, aby wyłuszczył swój plan teraz, gdy „Renown” dokonał już jednej nieudanej próby, rezygnując z korzyści, jakie dałoby zaskoczenie. Ale widział, że Hornblower przemyśla na nowo swój pierwotny zamysł.

— Sądziłem, że desant dałby więcej szans, sir — zaczął. — Ale to było, zanim Diegowie się zorientowali, że w pobliżu znajduje się okręt liniowy.

— A teraz pan tak nie sądzi?

W tonie Bucklanda wyczuwało się mieszaninę ulgi i rozczarowania — ulgi, że nie będzie musiał podejmować dalszych decyzji, a rozczarowania, że nie zaproponowano mu łatwego sposobu osiągnięcia sukcesu. Lecz Hornblower zdążył już obmyślić nowy plan, biorąc pod uwagę inny czas i zmienione odległości. Widać to było z jego twarzy.

— Myślę, że można jednak spróbować coś zrobić, sir, byle natychmiast.

— Natychmiast? — Panowała noc, załoga była wyczerpana i w tonie Bucklanda czuło się zaskoczenie propozycją bezzwłocznej akcji. — Pan nie ma chyba na myśli dzisiejszej nocy?

— Dzisiejsza noc może być najlepsza, sir. Diegowie patrzyli, jak uciekamy w popłochu — przepraszam, sir, ale tak to wyglądało, przynajmniej dla nich. Widzieli nas opuszczających zatokę Samaná o zachodzie słońca. Na pewno spoczną na laurach. Pan ich zna, sir. Atak o świcie z innej strony, od lądu, to rzecz, której najmniej się będą spodziewać.

Słowa te wydały się Bushowi całkiem sensowne i przytaknął im nieznacznie; tylko na tyle odważył się włączyć do dyskusji.

— Jak by pan przeprowadził taki atak, panie Hornblower? — zapytał Buckland.

Hornblower miał już plan obmyślony. Znikło znużenie, a jego twarz rozświetlił zapal.

— Wiatr do Zatoki Szkockiej jest pomyślny, sir. Możemy tam być w niespełna dwie godziny — przed północą. Do tego czasu wyznaczymy i przygotujemy oddział desantowy, stu marynarzy i żołnierze piechoty morskiej. Jest tam dobra plaża do wysadzenia desantu — widzieliśmy ją wczoraj. Brzeg musi być bagnisty, za nim zaczynają się wzgórza półwyspu, ale możemy wylądować przed tymi bagnami, od strony półwyspu. Zaznaczyłem wczoraj to miejsce, sir.

— Co dalej?

Hornblower nie dał poznać po sobie zdziwienia, że przy odrobinie wyobraźni ktoś mógłby nie umieć przewidzieć dalszego ciągu wyprawy.

— Grupa desantowa może się dostać bez trudu na grzbiet wzgórza, sir. Nie ma mowy o zbłądzeniu — z jednej strony morze, z drugiej zatoka Samaná. Przeszedłszy grzbietem o pierwszym brzasku mogliby uderzyć na fort. Mając te bagna i urwiste zbocza, Diegowie pewnie słabo pilnują tej strony, sir.

— Hornblower, mówi pan tak, jakby to było łatwe. Ale... stu osiemdziesięciu ludzi?

— Sądzę, że starczy, sir.

— Dlaczego pan tak sądzi?

— Z fortu strzelało do nas sześć dział, sir. Ich załogi liczą razem najwyżej dziewięćdziesięciu ludzi — a prawdopodobnie sześćdziesięciu plus ci od podawania amunicji i podgrzewania kul. W sumie stu pięćdziesięciu, a może nawet tylko stu.



— Ale dlaczego ma być ich tylko tyłu?

— Diegowie nie mają się czego obawiać z tej strony wyspy. Pilnują się przed czarnymi, Francuzami i może także przed Anglikami z Jamajki. Czarnych na pewno nie ciągnie, aby atakować poprzez bagna. Zagrożona jest południowa strona zatoki Samaná. Tam Diegowie będą trzymali wszystkich zdolnych do noszenia broni. Tam leżą miasta. Tam grozi im ten Toussaint, czy jak on się nazywa, sir.

Zakończenie długiej przemowy tą ostatnią wzmianką musiało być zamierzone, Hornblower wyraźnie powstrzymywał się od wykładania zwierzchnikowi rzeczy oczywistych w sposób zbyt pouczający. A Bush zauważył, że Buckland poruszył się niecierpliwie na słowa o czarnych i Francuzach. Te tajne rozkazy, których nie pozwolono Bushowi przeczytać, zawierały na pewno jakieś instrukcje dotyczące skomplikowanej sytuacji politycznej na Santo Domingo, gdzie zbuntowani niewolnicy, Francuzi i Hiszpanie (ci ostatni gdzie indziej być może występujący jako sprzymierzeńcy) walczyli ze sobą o władzę.

— Nie będziemy mieszać do tego czarnych i Francuzów — rzekł Buckland, potwierdzając przypuszczenia Busha.

— Tak, sir. Ale Diegowie mogą — odparł Hornblower, wcale nie skonfundowany. — W tej chwili bardziej się boją czarnych niż nas.

— A więc pan sądzi, że taki atak może się udać? — pytał Buckland, desperacko zmieniając temat.

— Myślę, że tak, sir. Ale czas ucieka.

Buckland siedział, spoglądając niezdecydowanie na obu swych podwładnych, i Bush naprawdę mu współczuł.

Jeszcze jeden krwawy odpór, a może i coś gorszego: odcięcie, poddanie się całej grupy desantowej zrujnowałoby ostatecznie karierę Bucklanda.

— Mając fort w naszych rękach, sir — ciągnął Hornblower — możemy zrobić porządek z korsarzami w zatoce, sir. Nigdy już nie mogliby używać jej jako swego kotwicowiska.

— To prawda — zgodził się Buckland. W ten sposób wykonałby rozkazy skutecznie i stosunkowo małym kosztem; przywróciłoby mu to zaufanie.

Drewniane elementy konstrukcji unoszonego przez fale „Renown” skrzypiały rytmicznie. Podmuch pasatu wdarł się do kajuty i złagodził panujący w niej zaduch, owiewając chłodniejszym tchnieniem spoconą twarz Busha.

— Do diabła — zawołał Buckland zuchowato — bierzmy się do dzieła!

Bush musiał się powstrzymać, żeby nie powiedzieć czegoś, co wyraziłoby jego radość; Hornblower przemawiał spokojnym tonem — zbyt wyraźne popychanie Bucklanda do akcji mogłoby

mieć skutek przeciwny i wywołać w ostatniej chwili zmianę decyzji.

Podjąwszy jedną decyzję trzeba było jednak zdobyć się na drugą, równie ważną, i to natychmiast.

— Kto obejmie dowództwo? — zapytał Buckland. Było to retoryczne pytanie; nikt poza nim samym nie mógł dać na nie odpowiedzi, co było rzeczą oczywistą zarówno dla Busha, jak i dla Hornblowera. Mogli tylko czekać.

— Byłoby to zadanie dla tego biedaka Roberta, gdyby żył — ciągnął Buckland i zwróciwszy spojrzenie na Busha powiedział: — Panie Bush, pan będzie dowodził.

— Tak jest, sir.

Bush wstał z krzesła, schyliwszy głowę pod niskimi belkami pokładu.

— Kogo chce pan wziąć ze sobą?

Hornblower stał przez cały czas tej rozmowy, teraz nieświadomie przestąpił z nogi na nogę.

— Czy potrzebuje mnie pan jeszcze, sir? — zapytał Bucklanda.

Patrząc na niego Bush nie potrafiłby powiedzieć, jakie uczucia kłębiły się w tym chłopcu; wyglądał jak pełen respektu uważnie słuchający oficer. Bush pomyślał o Smithu, jeszcze jednym poruczniku na okręcie, i o Whitingu, dowódcy piechoty morskiej, który na pewno będzie musiał wziąć udział w wypadzie. Trzeba by też wziąć midszypmenów i pomocników oficera nawigacyjnego jako niższych oficerów. Miał dźwigać odpowiedzialność za ryzykowną i desperacką operację wojenną — stawką była teraz reputacja jego, jak i Bucklanda. Kogo chciałby mieć przy sobie w tym jednym z najważniejszych momentów swojej kariery? Jeśli poprosi o jeszcze jednego porucznika, będzie on jego zastępcą i będzie pewnie chciał zabierać głos na temat podejmowanych decyzji.

— Panie Bush, czy potrzebujemy jeszcze pana Hornblowera? — spytał Buckland.

Hornblower byłby aktywnym zastępcą dowódcy. Niecierpliwym, można by rzec. Potrafiłby krytykować, przynajmniej w myśli. Bushowi nie uśmiechało się dowodzenie z Hornblowerem u boku, słyszającym każdy jego rozkaz. Ta wewnętrzna rozterka nie miała jakiejś określonej formy, z rzeczowymi argumentami za i przeciw; był to raczej konflikt uprzedzeń i instynktów, wynik wielu lat doświadczenia, coś, czego Bush nigdy nie potrafiłby wyrazić w słowach. Zdecydował, że w tej chwili nie potrzebuje ani Hornblowera, ani Smitha, ale potem spojrzał ponownie na Hornblowera. Młody człowiek próbował zachowywać niewzruszony wyraz twarzy, lecz Bush czuł intuicyjnie, jak ogromnie mu zależało na zaproszeniu do udziału w tej ekspedycji. Każdy oficer, rzecz jasna, chciałby skorzystać z okazji do wyróżnienia się, lecz motywacja Hornblowera była jeszcze silniejsza. Hornblower stał z rękami opuszczonymi, w postawie „na baczność”, ale Bush zauważył, że nie mógł opanować nerwowego ruchu swoich długich palców. Decyzja Busha była spowodowana nie chłodnym osądem, lecz czymś zupełnie przeciwnym. Można to było nazwać życzliwością albo

słabością do Hornblowera. Zaczynał lubić tego bystrego młodzieńca o zmiennym usposobieniu, a teraz nie miał już wątpliwości, że to człowiek odważny.

— Sir, chciałbym zabrać ze sobą pana Hornblowera — przemówił; słowa te wypowiedział jakby bezwiednie; starszy kochający brat mógłby powiedzieć to samo z dobrego serca, zabierając ze sobą znacznie młodszego brata na jakiś przyjemny wypad.

Słyszając to Hornblower rzucił mu spojrzenie, które stłumiło wszelki żal, jaki Bush mógł czuć do siebie, że pozwolił ponieść się uczuciu. We wzroku Hornblowera tyle było ulgi, tyle wdzięczności, że Bush poznał miłe ciepło wielkoduszności; poczuł się lepszy i bardziej ludzki. W tej chwili nie widział nic niewłaściwego we wdzięczności Hornblowera za decyzję, która wystawi na niebezpieczeństwo własne jego życie.

— Bardzo dobrze, panie Bush — skwitował Buckland. Jak zwykle, wyraziwszy zgodę, zaczął mieć wątpliwości: — Zostanę w ten sposób z tylko jednym porucznikiem. — Carberry może przejąć wachtę, sir — odparł Bush.

— A wśród pomocników oficera nawigacyjnego jest kilku nadających się na oficerów wachtowych.

Odpierać sprzeciw, gdy się już na coś zdecydował, było dla Busha rzeczą tak naturalną, jak dla ryby dać się skusić przez przynętę.

— Bardzo dobrze — powtórzył Buckland, prawie z westchnieniem. — A cóż pana gnębi, panie Hornblower?

— Nic, sir.

— Chciał pan coś powiedzieć. Niech pan wydusi to z siebie.

— Nic ważnego, sir. Z tym można poczekać. Zastanawiałem się tylko nad zmianą kursu, sir. Moglibyśmy już teraz, nie tracąc czasu, skierować się do Zatoki Szkockiej.

— Chyba tak. — Jak każdy oficer marynarki wojennej, Buckland zdawał sobie sprawę, że kaprysy wiatru i pogody były nie do przewidzenia i że wobec tego na morzu nie należy nigdy czekać z rozpoczęciem działania po podjęciu decyzji, ale mógł o tym zapomnieć, gdyby mu nie przypomniano. — Och, bardzo dobrze. Powinniśmy zatem przejść na fordewind. Jaki mamy kurs?

Gdy ucichło zamieszanie związane ze zwrotem okrętu, Buckland wrócił do kajuty i zmęczony opadł na krzesło. Przybrał maskę kpiarza dla ukrycia obaw ogarniających go od nowa.

— Na razie spełniliśmy życzenia pana Hornblowera — przemówił. — Posłuchajmy teraz, czego pan potrzebuje, panie Bush.

Dyskusja na temat proponowanej wyprawy potoczyła się zwykłym torem: zapotrzebowanie na ludzi, ekwipunek dla nich, ustalenie miejsca spotkania następnego ranka. Przy uzgadnianiu tych spraw Hornblower trzymał się celowo na boku.

— Panie Hornblower, jakieś sugestie? — spytał wreszcie Bush. Pytanie to podyktowała mu uprzejmość, a może i przezorność.

— Tylko jedna, sir. Moglibyśmy wziąć ze sobą parę kotwiczek łodziowych, z przymocowanymi do nich linami. Mogą się przydać, gdyby trzeba było wspinać się na mury.

— Słusznie — zgodził się Bush. — Proszę dopilnować ich wydania.

— Tak jest, sir.

— Czy potrzebuje pan gońca, panie Hornblower? — spytał Buckland.

— Przydałby się, sir.

— Ma pan kogoś na myśli?

— Jeśli pan się zgodzi, sir, to chciałbym wziąć Wellarda. Jest opanowany i myśli szybko.

— Bardzo dobrze — Buckland popatrzył uważnie na Hornblowera na wzmiankę o Wellardzie, ale na razie nic więcej nie powiedział na ten temat.

— Coś jeszcze? Nie? Panie Bush? Wszystko ustalone?

— Tak, sir — odparł Bush.

Buckland zabębnił palcami po stole. Ostatnia zmiana kursu nie stanowiła jeszcze kroku decydującego, nie zobowiązywała go do niczego. Ale następny rozkaz zobowiąże. Jeśli wywoła się załogę na pokład, wyda im się broń i instrukcje dotyczące desantu, trudno będzie się cofnąć. Jeszcze jedna próba; może znów niepowodzenie; może klęska. Nie było w jego mocy zapewnić sobie sukcesu, ale mógł uniknąć niepowodzenia po prostu nie wystawiając się na nie. Podniósł wzrok i napotkał bezlitosne spojrzenie swoich dwóch podwładnych. Nie, teraz już było za późno — mylił się, sądząc, że mógłby się jeszcze wycofać. Już nie mógł.

— Pozostaje więc tylko wydać rozkazy — stwierdził. — Dopilnuje pan tego?

— Tak jest, sir — odparł Bush.

Obaj z Hornblowerem mieli już opuścić kajutę, gdy Buckland zadał pytanie, z którym zwlekał aż dotąd. Wymagało ono nagłej zmiany tematu, chociaż ciekawość, która je wywołała, została pobudzona wymienieniem nazwiska Wellarda przez Hornblowera. Lecz Buckland, jeszcze rozgrzany faktem podjęcia przez siebie decyzji, czuł się ośmielony do postawienia pytania, w każdym razie był to moment, w którym można było oczekiwać zwierzeń.

— Przy okazji, panie Hornblower — zaczął, i Hornblower przystanął w drzwiach — jak to się stało, że kapitan spadł do luku?

Bush widział, jak znikło ożywienie z twarzy Hornblowera, która zamieniła się w kamienną

maskę. Minęła chwila, zanim padła odpowiedź.

— Pewnie stracił równowagę, sir — odparł Hornblower z najwyższym respektem i absolutną obojętnością w głosie. — Pamięta pan, sir, okręt był bardzo rozkołysany tamtej nocy.

— Chyba tak — zgodził się Buckland; w jego tonie wyczuwało się rozczarowanie i zakłopotanie. Popatrzył na Hornblowera, ale jego twarz była w tej chwili maską bez wyrazu. — Och, bardzo dobrze. Proszę wykonywać zadanie.

— Tak jest, sir.

## Rozdział IX

Bryza morska ustała z chwilą ochłodzenia się lądu i zapadła duszna noc z jednakowym ciśnieniem powietrza nad morzem i lądem. Parę mil dalej na morzu mógł wiać pasat, jak zawsze, lecz tu, u brzegu, panowała wilgotna cisza morska. Długa martwa fala atlantycka rozbijała się już na pierwszych odległych mieliznach, lecz żyła jeszcze, jak osłabły po chorobie, ongiś pełen wigoru człowiek, i spieniona wlewała się rytmicznie na plażę po zachodniej stronie. Tu, gdzie zaczynały się wapienne urwiste zbocza półwyspu Samaná, znajdował się osłonięty zakątek, w którym wąski strumień wyżłobił w zboczu szeroki wąwóz, na najbardziej ku wschodowi wysuniętym krańcu rozległej plaży. Morze, fale przybrzeżne i plaże wydawały się tonąć w ogniu; w ciemnościach nocy fosforyzująca silnie woda wdzierała się z falą przyboju na plażę i oświetlała pióra wiosł łodzi wyciąganych na brzeg. Zdawało się, że łodzie pływają po ogniu, którego blask nasilał się jeszcze po ich przejściu. Każda zostawiała za sobą gorejący ślad torowy, z jasnymi smugami po obu burtach, tam gdzie pióra wiosł wgrzyzały się w wodę.

U stóp wąwozu zarówno lądowanie, jak i wspinanie się nie było trudne. Łodzie zaryły dziobami w piachu i grupa wypadowa musiała wejść tylko po pas w wodę — po pas w płynny ogień, trzymając wysoko broń i skrzynki z nabojami, żeby ich nie zamoczyć. Nawet na doświadczonych marynarzach jasność fosforescencji robiła wrażenie, a tych, którzy jej nigdy nie widzieli, tak ten widok podniecił, że zaczęli gadać z ożywieniem, aż ostry rozkaz kazał im zamilknąć. Bush wydostał się z łodzi jako jeden z pierwszych i z pluskiem przeszedł na brzeg. Stał, nieprzywykły, na stałym gruncie plaży, podczas gdy inni podążali jego śladem; woda spływała z nasiąkniętych nogawic spodni.

W przodzie zamajaczyła ciemna postać idąca od drugiej łodzi.

— Moja grupa jest już cała na lądzie — brzmiał meldunek.

— Bardzo dobrze, panie Hornblower.

— Pójdę teraz w górę wąwozem, sir, z wysuniętą naprzód szpicą?

— Tak, panie Hornblower. Proszę wykonywać swoje zadanie.

Bush odczuwał napięcie i podniecenie, mimo flegmatycznej natury i wpojonego wychowaniem stoicyzmu; chciałby od razu rzucić się w bój, lecz plan opracowany starannie wraz z

Hornblowerem nie pozwalał na to. Stał więc z boku, czekając, aż jego grupa się uformuje, a tymczasem Hornblower instruował drugi oddział.

— Wachta prawej burty! Iść tuż za mną! Każdy niech się trzyma swego poprzednika. Pamiętajcie, że wasze muszkiety są nie załadowane — nic nie pomoże strzelanie z nich w razie napotkania nieprzyjaciela. Na taki wypadek macie broń krótką. Jeśli któryś zgłupieje na tyle, że załaduje i wystrzeli, dostanie jutro cztery porcje kijów. To wam obiecuję. Woolton!

— Sir!

— Podciągnąć tyły. Teraz, chłopcy, ruszajcie za mną, zaczynając od prawej strony szeregu.

Oddział Hornblowera pomaszerował dwójkami w ciemność. A właśnie na brzeg wychodzili już żołnierze piechoty morskiej. Czerwone uniformy wydawały się czarne na tle fosforescencji, białe pasy majaczyły słabo. Ustawili się w równym dwuszeregu; podoficerowie rzucali półgłosem rozkazy. Trzymając lewą dłoń na szpadzie, Bush jeszcze raz sprawdził prawą, czy pistolety są na miejscu, a naboje w kieszeni. Jakiś cień zatrzymał się przed nimi z wojskowym stukiem obcasów.

— Wszyscy obecni i w porządku, sir. Gotowi do wymarszu — zabrzmiał głos Whitinga.

— Dziękuję. Możemy wyruszać. Panie Abbott!

— Sir!

— Pan zna swoje zadanie. Ja teraz odchodzę z oddziałem żołnierzy. Proszę podążać za nami.

— Tak jest, sir.

Długo i z trudem pięli się w górę wąwozu; piasek rychło zamienił się w skałę, w płaskie stopnie wapienne, ale nawet tu, wśród głazów, rosły krzewy podlewane obficie tropikalnymi deszczami padającymi na tę północną stronę. Tylko w samym korycie potoku, suchym teraz, gdy wszystka woda wsiąkła w wapień było swobodne przejście, jeśli tak można było nazwać ścieżkę krętą i najeżoną ostrymi głazami, na które Bush musiał się sam wdrapywać. Po kilku minutach spływał potem, lecz parł dalej z uporem. Za nim posuwali się niezdarnie żołnierze piechoty morskiej z tupotem butów i szcękaniem broni i ekwipunku, aż się wydawało, że hałas ten słyhać na milę. Ktoś pośliznął się i zaklął.

— Gęby na kłódki! — syknął kapral.

— Cisza! — warknął Whiting przez ramię.

Naprzód i w górę. Gdzeniegdzie roślinność była tak wysoka, że zasłaniała nikły blask gwiazd i Bush musiał iść po skałach po omacku, dysząc ciężko, mimo że był silnym mężczyzną. Po drodze migwały robaczki świętojańskie. On sam nie zwracał teraz na nie uwagi, ale idący za nim żołnierze nie mogli się powstrzymać od uwag na ten temat. Bush był wściekły na tych nieokrzesanych prostaków, którzy swą idiotyczną paplaniną narażali na ryzyko nie tylko swoje własne życie, ale i powodzenie wyprawy.

— Zajmę się nimi, sir — powiedział Whiting i został w tyle, by przepuścić kolumnę.

Nieco wyżej w ciemnościach jakaś postać powitała go ciekim, na siłę modulowanym głosem.

— Pan Bush, sir?

— Tak.

— Tu Wellard, sir. Pan Hornblower przysłał mnie, żebym służył panu za przewodnika. Zaraz zaczyna się teren trawiasty.

Porucznik Hornblower

— Bardzo dobrze — odparł Bush.

Staął na chwilę i rękawem płaszcza otarł spoconą twarz; kolumna doszlusowała z tyłu. Gdy ruszył, nie musieli już wspinać się długo; Wellard przeprowadził go obok pogrążonych w cieniu drzew i teraz, poczuwszy trawę pod stopami, Bush szedł swobodniej, chociaż droga wciąż wiodła pod górę, lecz był to łagodny stok w porównaniu ze stromizną wąwozu. Od przodu dobiegło ich ciche zawołanie.

— Swój — odparł Wellard. — To pan Bush.

— Witam pana, sir — zabrzmiał drugi głos, Hornblowera.

Hornblower wynurzył się z ciemności i podszedł złożyć raport.

— Mój oddział stoi nieco dalej, sir. Posłałem na zwiady Saddlera z dwoma pewnymi ludźmi.

— Bardzo dobrze — powiedział z uznaniem Bush.

Sierżant piechoty morskiej meldował Whitingowi:

— Wszyscy obecni, sir, oprócz Chapmana, sir. Wykręcił sobie nogę w kostce albo tak tylko gada, sir. Zostawiłem go w tyle, sir.

— Kapitanie Whiting, każcie swoim ludziom odpocząć — polecił Bush.

Życie na ograniczonej przestrzeni okrętu liniowego nie dawało okazji do trenowania wspinaczki w tropiku, a poprzedni dzień był wyczerpujący. Żołnierze legli na ziemi, niektórzy z westchnieniem ulgi, czym narazili się na kopniaki czubkiem buta sierżanta.

— Jesteśmy na szczycie wzgórza, sir — wyjaśnił Hornblower. — Z tej strony może pan zobaczyć zatokę.

— Ile według pana do fortu, trzy mile?

Bush, będąc dowódcą, nie zamierzał właściwie zadać tego pytania, ale Hornblower tak bardzo pragnął złożyć swój raport, że Bush nie mógł mu tego nie umożliwić.

— Może. W każdym razie mniej niż cztery, sir. Za cztery godziny świt, a księżyc wschodzi za pół godziny.

— Tak.

— Jak można się było spodziewać, biegnie tędy coś w rodzaju ścieżki czy traktu, który pewnie dochodzi do fortu.

— Tak.

Hornblower był jednak dobrym podwładnym. Bush zdał sobie teraz sprawę, że jakaś droga musiała iść szczytem wzgórza przez półwysep — to była rzecz naturalna — ale tak przyszło mu to do głowy aż do tej chwili.

— Sir, jeżeli pan pozwoli — ciągnął Hornblower — przekażę dowództwo mojego oddziału Jamesowi, a sam z Saddlerem i Wellardem pójdę naprzód obejrzeć układ terenu.

— Bardzo dobrze, panie Hornblower.

Ledwie Hornblower się oddalił, Bush poczuł ukłucie irytacji. Hornblower brał chyba zbyt wiele na siebie. Bush nie lubił naruszania zakresu swej władzy. Tok myśli przerwało mu jednak przybycie drugiej sekcji marynarzy, którzy dysząc i ociekając potem dołączyli do głównego Oddziału. Pamiętając, jak sam był zmęczony, gdy się tu wdrapywał, Bush dał im chwilę oddechu, zanim ruszył dalej z połączonymi siłami. Nawet w ciemnościach chmury owadów znalazły drogę do pocących się ludzi i skłębiwszy się wokół Busha cięły go bezlitośnie. Załoga „Renown” po długim pobycie w morzu miała skórę wydelikacaną, przyciągającą owady. Bush opędział się i klął, a cały jego oddział robił to samo.

— Pan Bush, sir?

To wrócił Hornblower.

— Słucham?

— Tam jest jakaś droga na pewno. Niedaleko przechodzi przez wąwóz, ale to nie jest poważna przeszkoda.

— Dziękuję, panie Hornblower. Ruszamy. Proszę iść przodem ze swoją sekcją.

— Tak jest, sir.

Zaczęli posuwać się naprzód. Wapienny szczyt półwyspu, o kopulastym kształcie, porośnięty był wysoką trawą i gdzieniegdzie drzewami. Poza szlakiem trudno byłoby iść tędy ze względu na gęstość i wysokość rozsianych tu i ówdzie kęp trawy, lecz poruszanie się drogą było dość łatwe.



Ludzie mogli iść nawet zwartą grupą. Ich oczy przywykły już na tyle do ciemności, że światło gwiazd Wystarczało, by widzieli drogę. Wąwóz, o którym mówił Hornblower, okazał się faktycznie płytkim zagłębieniem o łagodnych zboczach, toteż nie nastęczał żadnych trudności.

Bush brnął na czele żołnierzy piechoty morskiej, mając przy sobie Whitinga, wokół ciemność spowijała go niby ciepły koc. Było coś nierealnego w tym marszu, coś jak ze snu, może dlatego, że Bush nie spał od dwudziestu czterech godzin i był otepiały ze zmęczenia. Ścieżka wspinała się łagodnie — nic dziwnego zresztą, prowadziła bowiem do najwyższego punktu półwyspu, na którym usytuowany był fort.

— Ach! — westchnął nagle Whiting.

Ścieżka skręciła w prawo, oddalając się od morza ku zatoce, i teraz, gdy przeszli przez grzbiet półwyspu, otworzył się przed nimi widok na zatokę. Z prawej strony poprzez jej wody widzieli wyraźnie morze; nie było tam całkiem ciemno, bo nad widnokregiem malutki księżyc przeziarał przez chmury zalegające dolną krawędź nieba.

— Pan Bush, sir?

To był Wellard, tym razem bardziej panował nad swoim głosem.

— Tu jestem.

— Przysyła mnie znowu pan Hornblower. Trochę dalej drugi wąwóz przecina ścieżkę. Natknęliśmy się tam na śpiące bydło. Zwierzęta zbudziły się i teraz się kręcą.

— Dziękuję, rozumiem — odparł Bush.

Bush miał bardzo złe mniemanie o szeregowych marynarzach i prostych żołnierzach, którzy stanowili większość jego oddziału. Wiedział doskonale, że gdy na tej ścieżce natkną się na bydło, pomyślą, że to nieprzyjaciel. Jeśli nawet żaden nie wystrzeli, to podniesie się gwar i szum.

— Proszę powiedzieć panu Hornblowerowi, że zatrzymuję się tu na piętnaście minut.

— Tak jest, sir.

Warto było zewrzeć kolumnę i dać znużonym ludziom odpocząć, jak długo był czas na to. Można im będzie powiedzieć wtedy, wszystkim razem i każdemu z osobna, o możliwości natknięcia się na bydło. Bush wiedział, że nie wystarczy podać w marszu wiadomość kolumnie ludzi tępych i znużonych — mogłoby to nie odnieść skutku, a nawet zrodzić niebezpieczeństwo. Wydał rozkaz i kolumna stanęła; ci co maszerowali śpiąc, wpadli na swych poprzedników ze szcękami i pomrukiem, z trudem stłumionym przekleństwami podoficerów. Gdy przekazywano ostrzeżenie żołnierzom leżącym na trawie, któryś z podoficerów zameldował Bushowi o następnej trudności.

— Marynarz Black, sir. Jest pijany.

— Pijany?

— Pewno schował coś w swojej manierce. Jedzie od niego piwem. Nie mam pojęcia, skąd wziął, sir.

Mając stu osiemdziesięciu marynarzy i żołnierzy pod komendą można się było spodziewać, że co najmniej jeden będzie pijany. Spryt marynarza brytyjskiego w zdobywaniu trunków i gotowość konsumowania ich w nadmiarze były częścią jego natury tak nieodłączną jak oczy i uszy.

— Gdzie on jest teraz?

— Zaczął hałasować, no to dałem mu w ucho i się uciszył, sir.

Bush czuł, że w tym krótkim zdaniu wiele zostało nie dopowiedziane, ale nie zamierzał wdawać się w dochodzenie teraz, gdy zastanawiał się, jak ma postąpić.

— Wybierzcie spokojnego marynarza i zostawcie go z Blackiem, jak stąd odejdziemy.

— Tak jest, sir.

Tak więc grupa wypadowa zmniejszyła się nie tylko o pijanego Blacka, ale i o drugiego, którego trzeba było zostawić, żeby pijak nie zrobił jakiegoś głupstwa. Na szczęście do tej pory nie było więcej maruderów.

Gdy kolumna ruszyła naprzód, łatwa do rozpoznania, chuda postać Hornblowera zamajaczyła przed nimi w słabym świetle księżyca. Dostosował krok do tempa marszu Busha i zameldował:

— Zobaczyłem fort, sir.

— Zobaczył pan?

— Tak, sir. Milę stąd czy coś około tego, jest jeszcze jeden wąwóz. Za nim leży fort. Widać go w świetle księżyca. Może pół mili za wąwozem, a może mniej. Zostawiłem Wellarda z Saddlerem przy wąwozie, aby zatrzymali tam kolumnę.

— Dziękuję.

Bush stąpał ciężko po nierównej powierzchni. Mimo zmęczenia zaczynał znów odczuwać napięcie, jak tygrys, który zwęszywszy łup zbiera się do skoku. Bush był człowiekiem walki i myśl o bliskiej akcji podziałała na niego pobudzająco. Dwie godziny do wschodu słońca; czasu aż za dużo.

— Pół mili od wąwozu do fortu? — zapytał.

— Myślę, że nawet mniej, sir.

— Bardzo dobrze. Zatrzymam się tam i poczekam na świt.

— Tak, sir. Czy mogę odejść do mojej sekcji?

— Może pan, panie Hornblower.

Bush i Whiting utrzymywali wolne, rytmiczne tempo marszu, dostosowane do kroku najwolniej idącego i najbardziej niezdarnego człowieka w kolumnie; w tym momencie Bush powściągnął chęć wydłużenia kroku spowodowaną perspektywą walki. Hornblower odszedł ku przodowi. Patrząc na jego ciężki chód Bush złapał się na myśli, że podoba mu się kipiące energią zachowanie tego chłopca. Zaczął omawiać z Withingiem plany szturm.

Przy podejściu do wąwozu czekał na nich podoficer. Bush dał kolumnie rozkaz gotowości do zatrzymania się, a potem nakazał stanąć, a sam poszedł rozejrzeć się w sytuacji. Z Whitingiem i Hornblowerem u boku patrzył na kwadratowy zarys fortu rysujący się na tle nieba. Wydawało się, że dostrzega ciemną kreskę masztu flagowego. Poprzednie napięcie opuściło go; nasepiony wyraz nie schodzący z jego twarzy w czasie marszu zelżał i pojawił się na niej błysk dobrego humoru, nie bardzo na miejscu w tych okolicznościach.

Szybko poczyniono przygotowania, podano szeptem rozkazy i ostatnie ostrzeżenia. Jak dotąd, był to najbardziej niebezpieczny moment, ponieważ trzeba było wprowadzić ludzi do wąwozu i rozwinąć w kolumnę gotową do szybkiego wyruszenia. Jedno z zapytań rzuconych szeptem przez Whitinga wymagało dłuższej chwili namysłu ze strony Busha.

— Czy mam pozwolić ludziom załadować broń, sir?

— Nie — odparł wreszcie Bush. — Biała broń.

Byłoby zbyt wielkim ryzykiem pozwolić wszystkim łądować muszkiety po ciemku. Nie chodziło już tylko o hałas, lecz także o to, że jakiś dureń mógł pociągnąć za spust. Hornblower poszedł w lewo, Whiting ze swoimi żołnierzami w prawo, a Bush ze swoją sekcją został w środku. Nie przywykłe do takiego wysiłku nogi bolały go, głowa chwiała się ze zmęczenia i długiej bezsenności. Wstał i usiadł z powrotem, próbując odzyskać panowanie nad sobą. Gdyby nie zmęczenie, ten czas oczekiwania wcale by go nie martwił; lata służby na morzu, z niezliczonymi wachtami, w czasie których nic się nie działo, i lata wojny z nie kończącymi się okresami nudy przyzwyczyły go do czekania. Niektórzy marynarze posnęli, rozciągnąwszy się w skalistym wąwozie, Bush słyszał od czasu do czasu chrapanie przerywane kuksańcami ze strony sąsiadów.

Ale oto wreszcie, wprost przed nimi, za fortem — czyżby niebo lekko przybladło? A może to tylko odbłask księżyca, który wywindował się nad chmurę? Całe niebo, z wyjątkiem tego miejsca, wyglądało jak purpurowy aksamit usiany jeszcze gwiazdami. Ale tam — tam — pojawiła się na nieboskłonie bladeść, której chwilę temu jeszcze nie było. Bush poruszył się i wyczuł znowu niewygodny ucisk pistoletów w pasie. Były na pół odwiedzione, musi pamiętać, żeby całkiem odciągnąć kurki. Na widnokręgu pojawił się pierwszy słabiutki ślad czerwieni, nikła plamka na tle purpury nieba.

— Przekażcie wiadomość do tyłu — rzekł Bush. — Przygotować się do ataku.

Odczekał na przekazanie polecenia, lecz zanim mogło ono dotrzeć do końca szeregu, z wąwozu dobiegły odgłosy zamieszania. Przekląci durnie, jacy zawsze musieli się znaleźć w zespole ludzi,

zaczęli wstawać, gdy tylko wieść do nich dotarła, nie fatygując się, żeby ją dalej przekazać. Ale przynajmniej ich przykład był zaraźliwy. Zaczynając od flank, ku środkowi, gdzie znajdował się Bush, ludzie dźwigali się dwójkami na nogi jak wzbierająca fala. Bush wstał również. Wyjął szpadę, zważył ją na dłoni i uchwyciwszy wygodnie za rękojeść wyciągnął pistolet lewą dłonią i odwiódł kurek. Z prawej strony dobiegł go nagle szczęk metalu — żołnierze zakładali bagnety na broń. Teraz Bush rozróżniał już otaczające go twarze.

— Naprzód! — rzucił i ludzie rzędem zaczęli wychodzić z wąwozu. — Hej, tam, powoli!

Te ostatnie słowa wyrzekł niemal głośno; prędzej czy później ci w gorącej wodzie kąpani ruszą biegiem, lepiej ten moment opóźnić. Chciał, aby ludzie dotarli do fortu jak jedna fala, a nie jak banda zdyszanych osobników. Z lewej strony usłyszał Hornblowera także mówiącego: „Powoli”. Do tego czasu odgłosy nadchodzących musiały już dotrzeć do fortu i zwrócić uwagę nawet rozespanych nieuważnych strażników hiszpańskich. Za chwilę wartownik zawoła swego sierżanta, sierżant przyjdzie zobaczyć, co się dzieje, będzie się zastanawia) przez moment, a potem podniesie alarm. Fort leżał przed Bushem jak wielka kwadratowa bryła, jeszcze ciemna w cieniu na tle poczerwieniałego nieba. Nie mógł po prostu powstrzymać się od przyspieszenia kroku, a wszyscy biegli za nim. Potem ktoś wzniósł okrzyk, inni zapaleńcy podjęli go i cała linia ruszyła pędem, z Bushem na czele.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki znaleźli się od razu na skraju fosy o głębokości sześciu stóp, wyciętej prawie prostopadle w wapiennej skale.

— Dalej! — krzyknął Bush.

Trzymając szpadę i pistolet w dłoniach, przyciskając się do skarpy łokciami, zsunął się po niej w dół, plecami do fortu. Przebiegł na drugą stronę wyschłej fosy, po jej śliskim, nierównym dnie. Atakujący z głośnym wyciem, pomagając sobie wzajemnie, wdzierali się gromadą na przeciwległą ścianę skarpy.

— Podsadźcie mnie! — krzyknął Bush i marynarze podparli go barkami, wyrzucając prawie w górę. Upadł na twarz, na wąską półkę nad fosą, u stóp szanca obronnego fortu. Obok jakiś marynarz próbował zarzucić na szaniec kotwiczkę łodziową, która jednak obsunęła się i spadła z impetem zaledwie o jard od Busha, ale marynarz nie patrząc na niego zamachnął się znowu, stanął na czubkach palców i spróbował jeszcze raz. Tym razem udało mu się zaczepić kotwiczkę, więc oparłszy stopy o mur i uchwyciwszy się liny kotwiczki zaczął piąć się w górę jak szalony. Jeszcze nie przebył połowy drogi, a już następny złapał się liny i włąził na szaniec, a wyjący tłum podnieconych mężczyzn stłoczył się dookoła, walcząc o następne miejsce. Nieco w bok ktoś zahaczył drugą kotwiczką o szaniec i przy linie zgromadził się tłumek wrzeszczących ludzi. Rozległ się ogień z muszkietów; po kilku silnych wybuchach do nozdrzy Busha doleciał zapach dymu prochowego, ostro kontrastujący z czystym powietrzem nocy.

Z drugiej strony fortu po prawej stronie Busha żołnierze piechoty morskiej próbowali przedrzeć się przez otwory strzelnicze dział. Bush obejrzał się w lewo, chcąc zobaczyć, co można by tam zdziałać. Prawie natychmiast znalazł coś — szerokie drzwi drewniane obite żelazem w małym wystającym bastionie w rogu fortu. Dwaj marynarze, idioci, strzelali z muszkietów do głów

ukazujących się w górze, a nie pomyśleli o drzwiach. Przeciętnemu marynarzowi nie można zawierzać, gdy mu się da muszkiet do ręki. Bush podniósł głos i jak trąba przekrzyczał zgiełk.

— Ludzie z siekierami, do mnie! Ludzie z siekierami! Z siekierami!

W fosie pełno było jeszcze tych, którzy nie zdążyli wspiąć się po skarpie; jeden z nich, wywijając siekierą, dał nura przez tłum i zaczął wdrapywać się na górę. Lecz Silk, potężnej budowy pomocnik bosmana, dowodzący sekcją marynarzy w oddziale Busha, nadbiegł po występie skalnym i chwycił siekierę. Zaczął walić nią w drzwi silnymi, metodycznymi ciosami, zbierając się w sobie i wbijając całą siłą ostrze w drewno. Podszedł drugi z siekierą, odsunął Busha łokciem na bok i dołączył się do Silka, ale nie miał ani jego zręczności, ani siły. Odgłosy uderzeń odbijały się w narożniku głośnym echem. Żelazna furtka w drzwiach otworzyła się i stal błysnęła za jej prętami. Bush wycelował pistolet i strzelił. Topór Silka przebił odrzwia; Silk wyciągnął go ze szczeliny i zmieniawszy kierunek uderzeń zaczął walić w środek podwoi poziomo i na ukos. Po trzech potężnych ciosach przerwał, by wskazać towarzyszowi, gdzie ma rąbać, a potem walił dalej. Wreszcie odłożył topór, wsunął palce dłoni w poszarpany otwór, stopą nacisnął drzwi i natężony mięśnie do granic wysiłku wyrwał cały fragment odrzwi. Z drugiej strony otworu broniła wejścia belka — Silk uderzył w nią kilkakrotnie, przerąbał i wrzeszcząc chrapliwie z toporem w ręku skoczył przez wybity otwór.

— Za mną, chłopcy! — krzyknął Bush całą siłą płuc i ruszył za nim.

Znaleźli się na otwartym dziedzińcu fortu. Bush potknął się o zabitego i zobaczył przed sobą grupę ludzi w samych tylko koszulach albo nagich; mieli twarze barwy kawy, długie, potargane wąsy, w dłoniach kordy i pistolety. Silk, wywijając siekierą, parł naprzód jak oszalały. Od jego ciosu padł pierwszy nieprzyjaciel; Bush ujrzał, jak palec słabo broniącego się Hiszpana upadł na ziemię odcięty toporem. Pukały pistolety i dym kłębił się wokół Busha. Jego szpada starła się z czymś kordem i grupka Hiszpanów rzuciła się do ucieczki. Bush ciął w nagie ramie uciekającego i ujrzał czerwoną ranę otwierającą się w ciele i usłyszał krzyk człowieka. Ten, którego gonił, zniknął gdzieś jak duch i Bush w poszukiwaniu dalszych nieprzyjaciół natknął się na żołnierza piechoty morskiej w czerwonym uniformie, bez czaka na głowie, z rozwianymi włosami i płonącym wzrokiem, wyjącego jak szatan, i musiał odparować cios jego bagnetu.

— Opanuj się, idioto! — wrzasnął na niego; dopiero usłyszawszy własne słowa zdał sobie sprawę, jak głośno je wykrzyczał.

W obłąkanych oczach żołnierza przemknął ślad rozpoznania; odsunął się i pobiegł w bok, z bagnetem na broni. W głębi widać było dalszych żołnierzy — musieli się przedostać przez otwory strzelnicze. Wszyscy wyli, pijani walką. A oto biegła nowa gromada marynarzy, którzy sforsowali szaniec. Po drugiej stronie placu znajdowały się drewniane zabudowania; ludzie Busha otoczyli je, słyhać było strzały i krzyki. Musiały to być baraki i magazyny, dokąd załoga garnizonu schroniła się przed wściekłym atakiem szturmujących.

Pojawił się Whiting, w zabrudzonym czerwonym uniformie, ze szpadą zwisającą z nadgarstka. Wzrok miał błędny, oczy załzawione.

— Odwołać ich! — rozkazał Bush, desperackim wysiłkiem zdobywając się na przytomne myślenie.

Whiting potrzebował dłuższej chwili, aby go poznać i zrozumieć rozkaz.

— Tak, sir.

Za budynkami pojawiła się jeszcze jedna gromada marynarzy; widocznie oddział Hornblowera utorował sobie z drugiej strony drogę do fortu. Bush rozejrzał się, krzyknął „Za mną!” do ludzi, którzy właśnie zjawili się przy nim, i ruszył naprzód.

Lekko wznosząca się rampa prowadziła na szczyt szczytu. W połowie drogi leżał trup, ale Bush nie zwrócił na to uwagi. Na szczycie stała bateria główna, sześć ogromnych dział wycelowanych przez otwory strzelnicze, a dalej było niebo spowite krwawą czerwienią jutrzeńki, która zalewała jedną trzecią przestrzeni do zenitu, ale gdy Bush przystanął, żeby popatrzeć, złoty promień słońca przebił się przez chmury na horyzoncie i czerwień zaczęła szybko blednąć; błękit nieba, białe chmurki i olśniewające złote słońce ułożyły się na nieboskłonie w normalnych swoich pozycjach, dając miarę czasu, jaki zużyto na atak; tylko parę minut, od pierwszego brzasku do tropikalnego wschodu słońca. Bush aż przystanął, uświadomiwszy sobie ten zadziwiający fakt — jemu samemu wydawało się, że jest już późne popołudnie.

Tu, z platformy działowej, otwierał się widok na całą zatokę. W dali widniał przeciwległy brzeg; płycizny, na których osiadł „Renown” (czyżby to było zaledwie wczoraj?), sfałdowany teren przechodzący nagle we wzgórze, z ostrym zarysem drugiej baterii u stóp cypla. Na lewo półwysep rozpadał się w szereg cypelków o poszarpanych brzegach, wyciągniętych jak palce ku głębokiemu błękitowi oceanu; jeszcze dalej rozpościerała się szafirowa tafla Zatoki Szkockiej, hen zaś w dali czekał „Renown”, a wschodzące słońce jasno odbijało się od zbrasowanego ostro stermarsła. Z daleka wyglądał jak ładna zabawka; Bush westchnął głęboko na ten widok, nie z zachwyty nad urodą scenerii, lecz z ulgą. Widok okrętu i wspomnienia, jakie w nim obudził, sprawiły, że oprzytomniał; tysiąc rzeczy czekało na zrobienie.

Na przeciwległej rampie pojawił się Hornblower; w swoim poszarpanym uniformie wyglądał niby strach na wróble. Podobnie jak Bush w jednej ręce trzymał szpadę, w drugiej pistolet. Obok niego Wellard wymachiwał pałaszem wyraźnie zbyt ciężkim dla niego, a za nimi podążało w szyku ze dwudziestu lub więcej marynarzy z bagnetami na broni, gotowych do boju.

— Dzień dobry, sir — przemówił Hornblower. Miał jeszcze na głowie porwany trójgraniasty kapelusz, mógł więc zasałutować i chciał to nawet uczynić, ale zreflektował się przypomniawszy sobie, że trzyma szpadę w dłoni.

— Dzień dobry — odpowiedział Bush machinalnie.

— Gratulacje, sir — zaczął Hornblower. Miał twarz pobladłą, a uśmiech przypominał wyszczerzone zęby trupiej czaszki. Nie ogolony zarost pokrywał jego policzki i podbródek.

— Dziękuję — skwitował Bush.

Hornblower wetknął w pas pistolet, a potem także szpadę.

— Zająłem całą tę stronę, sir — ciągnął, wskazując gestem. — Mam iść dalej?

— Tak, bardzo proszę, panie Hornblower.

— Tak jest, sir.

Tym razem Hornblower mógł zsalutować. Wydał szybko rozkazy, zostawiając przy działach podoficera i paru ludzi.

— Widzi pan, sir — rzekł Hornblower, wskazując przed siebie — kilku uciekło.

Bush popatrzył na zbocze stromo opadające ku zatoce i ujrzał za nim parę postaci.

— Za mało, żebyśmy się fatygowali — powiedział; jego umysł zaczynał już jaśniej pracować.

— Oczywiście, sir. Mam pod strażą przy bramie czterdziestu jeńców. Widzę, że Whiting zbiera resztę. Idę już tam, sir, jeśli pan pozwoli.

— Bardzo dobrze, panie Hornblower.

Ktoś jednak zachował przytomność umysłu w tej gorączce ataku. Bush ruszył ku drugiej stronie rampy. Stał tam na straży podoficer z kilkoma marynarzami; na widok Busha poderwali się na baczność.

— Co robicie? — spytał.

— Tu jest magazyn, sir — zameldował podoficer Ambrose, starszy marsowy fokmasztu, który nigdy nie pozbył się nabytego w dzieciństwie akcentu devonshirskiego mimo lat spędzonych w marynarce. — My jego pilnujemy.

— Na rozkaz pana Hornblowera?

— Tak, sir.

Przy głównej bramie siedziała w kucki nasępiona grupka jeńców. Hornblower zameldował o ich obecności. Ale była tam straż, o której wcale nie wspomniał; posterunek przy studni; straż przy bramie; Woolton, najbardziej zrównoważony podoficer ze wszystkich, stał z sześcioma ludźmi przy długim drewnianym budynku obok bramy.

— Jakie macie zadanie? — zapytał Bush.

— Pilnować składu żywności, sir. Tam są trunki.

— Bardzo dobrze.

Gdyby szaleńcy, którzy dokonali ataku — tamten żołnierz na przykład, którego bagnet Bush odparował — dobrali się do trunków, nie dałoby się już nad nimi zapanować.

Nadbiegł Abbott, midszypmen z oddziału Busha.

— Co, u diabła pan robił? — krzyknął Bush gniewnie. — Nie było pana przy mnie od chwili rozpoczęcia szturm.

— Przepraszam, sir — wybąkał Abbott. Rzecz jasna, dał się ponieść szałowi ataku, lecz to nie była wymówka; na pewno nie, gdy się pomyślało o Wellardzie, wciąż u boku Hornblowera, wypełniającym jak należy swoje obowiązki.

— Przygotować się do przekazania sygnału na okręt — rozkazał Bush. — Powinien pan być gotów do tego pięć minut temu. Niech przeczyszczą trzy działa. Który to niósł banderę? Proszę go odszukać i niech zawiesi ją nad banderą hiszpańską. Ale już! Na jednej nodze!

Zwycięstwo mogło mieć swój smak, ale teraz, gdy minęła pierwsza reakcja, nie miało wpływu na humor Busha. Nie spał wcale i nie jadł śniadania i mimo że od wzięcia fortu minęło może dziesięć minut, czuł wyrzuty sumienia za te parę chwil; tyle rzeczy powinien był zrobić w tym czasie.

Poczuł ulgę, gdy zamiast dalej gryźć się swoimi zaniedbaniami, przeszedł do ustalania z Whitingiem, gdzie można umieścić jeńców. Wypędzono już ich wszystkich z baraków; setkę półnagich mężczyzn i co najmniej dwadzieścia niewiast, z rozpuszczonymi włosami spływającymi na plecy, obciążających na sobie odzienie. W spokojniejszej chwili Bush zainteresowałby się tymi kobietami, ale teraz poczuł tylko irytację na myśl o dodatkowej komplikacji, z którą będzie musiał się uporać.

Wśród mężczyzn było trochę Murzynów i Mulatów, lecz większość stanowili Hiszpanie. Prawie wszyscy zabici leżący tu i ówdzie byli w pełni odziani — mieli na sobie białe mundury z niebieskimi wyłogami. To straż główna i wartownicy, którzy zapłacili za brak czujności.

— Kto był dowódcą? — zapytał Bush Whitinga.

— Nie umiem powiedzieć, sir.

— A więc niech ich pan zapyta.

Bush znał tylko swój ojczysty język, podobnie Whiting, sądząc z jego nieszczęśliwej miny.

— Przepraszam, sir... — Pierce, pomocnik lekarza, próbował zwrócić na siebie uwagę. — Czy mogę dostać ludzi do przeniesienia rannych w cień?

Zanim Bush zdążył odpowiedzieć, usłyszał wołanie Abbotta z platformy działowej.

— Działa oczyszczone, sir. Czy mogę wziąć proch z magazynu?

I znów, nim Bush zdążył wyrazić zgodę, zjawił się młody Wellard, odsuwając Pierce'a na bok,



by wyłuszczyć swoją sprawę.

— Proszę pana, proszę pana! Pozdrowienia od pana Hornblowera, sir, i czy może pan wejść na wieżę, sir. Pan Hornblower mówi, że to pilne, sir.

Bush pomyślał, że jeśli ktoś jeszcze zażąda czegoś od niego w tej chwili, to naprawdę nie wytrzyma.

## Rozdział X

W każdym rogu fortu był mały bastion zbudowany po to, aby można było bić ogniem flankowym po murach, a na szczycie bastionu południowo-zachodniego znajdowała się wieżyczka strażnicza z masztem flagowym. Na tej właśnie wieżycy stali Bush i Hornblower, mając za plecami rozległy Atlantyk, a przed sobą zatokę Samaná o wydłużonym kształcie. Nad ich głowami powiewały dwie flagi, u góry biała bandera, brytyjskiej marynarki wojennej, a pod nią czerwono-złota — hiszpańska. Z „Renown” mogło być trudno rozpoznać barwy flag, ale na pewno zobaczą, że jest ich dwie. A gdy usłyszawszy huk trzech wystrzałów armatnich skierują lunety na fort, zauważą flagi wolno opuszczane w dół i podnoszone w górę. Trzy wystrzały i dwukrotne opuszczenie dwóch flag — to był umówiony sygnał, że fort jest w rękach angielskich. I „Renown” go zrozumiał, ponieważ przebrasowawszy sterżagiel rozpoczął powrót wzdłuż długiego brzegu półwyspu.

Bush i Hornblower mieli ze sobą jedynie lunetę odkrytą przy spiesznym przeszukiwaniu fortu; gdy jeden patrzył przez nią, drugi czekał niecierpliwie na swoją kolej. Bush, który trzymał lunetę w tej chwili, wycelował ją na drugi brzeg zatoki, a Hornblower wskazywał palcem na to, co tam spostrzegł przed chwilą.

— Widzi pan, sir? — spytał. — Dalej w zatoce, za baterią. Tam leży miasto — nazywa się Sawaná. A za nim widać, statki. Lada chwila podniosą kotwice.

— Tak, widzę — mówił Bush, z lunetą przy oczach. — Cztery małe jednostki, żadna nie ma postawionych żagli, trudno powiedzieć, co to za statki.

— Ale można się łatwo domyślić, sir.

— Chyba tak — zgodził się Bush.

Nie było potrzeby trzymać dużych jednostek wojennych w pobliżu cieśniny Mona. Przepływała tędy połowa floty handlującej z portami Morza Karaibskiego, mijając zatokę Samaná w odległości trzydziestu mil. Szybkie, zwrotne okręciki, każdy z kilkoma działami o długim zasięgu i liczną załogą, mogły robić błyskawiczne wypadki, chwycić łup i wracać pod osłonę zatoki, gdzie krzyżowy ogień baterii był w stanie z łatwością odstraszyć nieprzyjaciela, jak to wykazał wczorajszy dzień. Korsarze działali tak szybko, że nie musieli wcale spędzać nocy na morzu.

— Teraz już pewnie wiedzą, że zdobyliśmy fort — zauważył Hornblower. — Domyśla się, że „Renown” płynie, by je zaatakować. Mogą użyć długich wiosel, mogą zostać wyholowane przez łodzie wiosłowe czy przeciągnąć się na kotwicach zawoźnych. Opuszczą zatokę w mgnieniu oka. A

od cypla Engaño mają sprzyjający wiatr do Martyniki.

— Bardzo prawdopodobne — zgodził się Bush.

Tknięci tą samą myślą obejrzeli się na „Renown”. Zwrócony do nich rufą, ze sztywno zbrasowanymi żaglami na prawym halsie wypływał w morze; będzie musiał iść dosyć długo bejdewindem przed wykonaniem zwrotu przez sztag dla obejścia przylądka Samaná po nawietrznej. Wyglądał pięknie, z białymi żaglami na tle głębokiego błękitu, ale miną godziny, nim zdoła odciąć drogę ucieczki. Bush odwrócił się i zaczął badać wzrokiem osłonięte wody zatoki.

— Lepiej obsadźmy działa i przygotujmy się na te stateczki — rzekł.

— Tak, sir — odparł Hornblower i dodał z wahaniem: — Nie będziemy ich mieli długo pod ostrzałem. Mają niewielkie zanurzenie. Mogą obejść cypel bliżej brzegu niż „Renown”.

— Przecież nie potrzebujemy wiele czasu, żeby je zatopić — zauważył Bush. — Och, rozumiem, o co panu chodzi.

— Podgrzanie kul może znacznie pomóc, sir — stwierdził Hornblower.

— Odpłacimy im ich własną monetą — ucieszył się Bush. Poprzedniego dnia „Renown” przeżył piekielny obstrzał rozpalonymi do czerwoności pociskami. Busha ucieszyła myśl, że paru Diegów się usmaży.

— Słusznie, sir — przytaknął Hornblower.

Nie szczerzył zębów jak Bush. Jego czoło przecinała zmarszczka; gnębiła go obawa, że korsarze mogliby ujść cało i kontynuować łupieżcze wypady gdzie indziej; należało zastosować wszelkie możliwe środki, by zmniejszyć ich szansę.

— Ale czy pan potrafi to zrobić? — spytał Bush. — Umie pan podgrzewać kule?

— Dojdę do tego, jak to się robi, sir.

— Założę się, że żaden z naszych ludzi nie ma o tym pojęcia.

Kule można podgrzewać tylko przy baterii usytuowanej na lądzie; okręt morski, zbudowany z materiałów łatwopalnych, nie mógł ryzykować wdawania się w bój, mając na pokładzie rozpalony piec. Na początku wojny rewolucyjnej Francuzi przeprowadzili parę ryzykownych prób, szukając sposobu przeciwstawienia się dominacji Anglii na morzu, lecz gdy kilka okrętów się zapaliło, dali spokój eksperymentowaniu, zostawiając stosowanie rozgrzanych kul artyleriom brzegowym.

— Spróbuję sam wykombinować, sir — oświadczył Hornblower. — Na dole jest palenisko i wszystko, czego potrzeba.

Hornblower stał w słońcu, już teraz zbyt upalnym. Twarz miał bladą, brudną i zarośniętą; widać było na niej ścieranie się żądry walki ze zmęczeniem.

— Czy jadł pan już śniadanie? — spytał Bush.

— Nie, sir — Hornblower spojrzał mu prosto w twarz. — I pan też nie, sir?

— Nie — uśmiechnął się Bush.

Nie udało mu się wykroić na to ani chwili, gdy trzeba było zorganizować całą obronę frontu. On sam umiał znosić zmęczenie, głód i pragnienie, lecz wątpił, czy stać na to Hornblowera.

— Napiję się wody ze studni, sir — powiedział Hornblower.

Gdy wyrzekł te słowa i uświadomił sobie ich znaczenie, wyraz jego twarzy zmienił się. Przejechał końcem języka po wargach. Bush widział, że wargi ma suche i spieczone i że język ich nie zwilżył. Nie pił od chwili zejścia na ląd dwanaście godzin temu — dwanaście godzin desperackiego wysiłku w tropikalnym klimacie.

— Proszę to zrobić koniecznie, panie Hornblower — rzekł Bush. — To rozkaz.

— Tak jest, sir.

Bush poczuł, że Hornblower wyjmuje mu lunetę z rąk.

— Sir, czy mogę spojrzeć jeszcze raz przed odejściem? Do licha, tego się właśnie obawiałem. Przeciągają ten dwumasztowiec na cumach, sir. Nie upłynie godzina, a znajdzie się w naszym zasięgu. Każę obsadzić działa, sir. Niech pan sam zobaczy, sir.

Oddał lunetę i ruszył pędem kamiennymi schodkami wieży, ale w połowie drogi przystanął.

— Proszę nie zapomnieć o śniadaniu, sir — powiedział, podnosząc twarz do Busha. — Ma pan na to mnóstwo czasu.

Rzut oka przez lunetę potwierdził słowa Hornblowera. Co najmniej jeden ze statków wyruszył z zatoki. Bush obrócił się i omiół uważnym spojrzeniem pozostałą część lądu i wody, a potem wręczył lunetę Abbottowi, który w czasie rozmowy stał obok milcząc w obecności swych zwierzchników.

— Obserwuj uważnie — nakazał Bush.

W forcie na dole Hornblower wydawał już spieszenie rozkazy. Ludzie zabrali się do dzieła. Na platformie działowej przygotowywano pozostałe armaty. Schodząc stamtąd Bush zobaczył Hornblowera organizującego dalsze grupy robocze; rzucał szybko rozkazy pomagając sobie gestami. Na widok Busha odwrócił się z miną winowajcy i poszedł ku studni. Chwycił wiadro wyciągane przez jakiegoś żołnierza, podniósł je do ust, przechylił się w tył dla równowagi i zaczął pić i pić; woda spływała mu na piersi i zalewała twarz, ale on nie ustał, póki nie opróżnił wiadra, a potem odstawił je i wyszczerzył zęby do Busha, a woda wciąż mu ciekła po twarzy. Sam jego widok wystarczył, by Bush, który już pił u studni, poczuł się znowu spragniony.

Jeszcze nie skończył pić, a już ludzie zebrali się przy nim, czekając, jak zwykle, na rozkazy i informacje, a kiedy ich załatwił, zauważył dym wydobywający się z głośnym trzaskiem z pieca w rogu dziedzińca. Poszedł w tamtą stronę. Jakiś marynarz klęcząc dał w miechy; inni znosili drewno ze stosu pod murem szańca. Gdy otwarto drzwiczki pieca, na twarz Busha zionął taki żar, że musiał cofnąć się o krok. Hornblower nadbiegł z pośpiechem.

— Saddler, jak z kulami? — zapytał.

Saddler chwycił przez szmaty, dla ochrony rąk, dwie długie rączki wystające z przeciwnej strony pieca, naprzeciwko dwóch innych, widocznych po tej stronie. Gdy pociągnął je ku sobie, okazało się, że te cztery rączki to uchwyty dużego rusztu żelaznego, którego środek znajdował się nad samym płomieniem. Na ruszcie leżały rzędy kul, jeszcze czarne w świetle słońca. Saddler przesunął prymkę w kącik ust, zebrał ślinę i plunął fachowo na najbliższą kulę. Ślina zasyczała, ale niezbyt gwałtownie.

— Jeszcze nie za bardzo gorące, sir — oświadczył.

— Usmażymy te diabły — przemówił nieoczekiwanie ten od miechów; klęcząc podniósł twarz — malowała się na niej ekstatyczna radość na myśl o paleniu żywcem nieprzyjaciół.

Hornblower nie zwrócił na niego uwagi.

— Hej, wy, z nosidłami, pokażcie, co potraficie.

Hornblower wiódł za sobą rząd marynarzy, a każda dwójka niosła urządzenie złożone z dwóch prętów żelaznych połączonych metalowymi poprzeczkami. Pierwsza dwójka zbliżyła się. Saddler chwycił szczypcę i ostrożnie położył rozgrzany pocisk na nosidłach.

— Wy dwaj, ruszajcie — rozkazał Hornblower. — Następni!

Gdy na każdym nosidłach leżała już kula, Hornblower powiódł swą grupę dalej.

— A teraz zobaczymy, jak będziecie je wkładać do luf — rzekł.

Bush szedł za nimi, pożerany ciekawością. Procesja przeszła rampą do pomostu armatniego, gdzie załogi obsadzały właśnie działa; odtoczono armaty i odsunięto ich lufy od otworów strzelniczych. Przy każdej parze dział stały cebrzyki z wodą.

— A teraz wy, ładowacze — ciągnął Hornblower. — Czy włożyliście już suche przybitki? No to kolej na mokre.

Marynarze wyciągnęli z cebrzyków płaskie krążki włókienne ociekające wodą.

— Po dwie na dział — poleciał Hornblower.

Wilgotne przybitki zostały włożone w lufy dział i przepchnięte przez nie za pomocą tępo zakończonych wyciorów.

— Przybić na miejsce — komenderował Hornblower. — A teraz wy, z nosidłami.

Nie było wcale tak łatwo przystawić końce nosideł do luf dział i przechylić je tak, aby rozgrzana kula wtoczyła się do lufy.

— Sądząc po wczorajszym dniu Diegowie radzili sobie z tymi działami lepiej, niżbyśmy sądzili — zauważył Hornblower do Busha. — Ładowacze!

Wyciorami dopchnięto do ładunków prochu kule, które syczały głośno zetknąwszy się z wilgotnymi przybitkami.

— Wytaczać!

Obsługa dział chwyciła za liny i zaczęła ciągnąć; ciężkie maszyny toczyły się wolno naprzód, wysuwając swe lufy przez otwory strzelnicze.

— Wycelować na tamten cypel i ognia!

Handsypakami wsuniętymi pod tylne osie ustawiano działa zgodnie z poleceniami celowniczych; spłonki tkwiły już w otworach lontowych; natychmiast po ustawieniu na cel działa zaczęły obstrzalać. Huk wybuchów tutaj, na kamiennej platformie, brzmiał inaczej niż na okręcie, gdzie działa strzelały z zamkniętej, drewnianej przestrzeni. Lekki wiatr odwiewał dym na boki.

— Całkiem dobrze! — pochwalił Hornblower, przysłaniając oczy, by zobaczyć, gdzie padają pociski, a potem zwrócił się do Busha: — To zdziwi pewnie trochę tych dżentelmenów. Będą się zastanawiać, do czego, u licha, strzelamy.

— Jak długo może potrwać — zapytał Bush, który przyglądał się temu, co robili, równie zafascynowany co przerażony — zanim rozpalony pocisk przepali przybitki i osadzi samo działo?

— To jest właśnie jedna z tych rzeczy, których nic wiem, sir — przyznał się Hornblower pokazując zęby. — Nie zdziwiłbym się, gdybyśmy się dowiedzieli jeszcze dziś.

— Nie wątpię — powiedział Bush, lecz Hornblower już się odwrócił do marynarza, który przybiegł na platformę.

— A cóż ty robisz, u licha?

— Przynoszę nowe ładunki, sir — odparł ten ze zdziwieniem, wskazując na przyniesiony pojemnik.

— Odsuń się z tym i czekaj na rozkaz. Cofnąć się, wszyscy!

Marynarze z amunicją zadrżeli na widok jego rozgniewanej twarzy.

— Przetrzeć wyloty! — rozkazał Hornblower załogom dział, a gdy wilgotne gąbki zostały wsunięte w lufy, zwrócił się do Busha: — Nigdy nie jest się za ostrożnym, sir. Nie można dopuścić,

aby odbezpieczone ładunki i rozpalone do czerwoności pociski zetknęły się tu, na tym pomoście.

— Na pewno nie — zgodził się Bush.

Cieszył się i złościł równocześnie, że Hornblower tak dobrze sobie radzi z organizacją baterii.

— Świeże ładunki! — ryknął Hornblower i ludzie z amunicją, których odesłał przed chwilą, nadbiegli do rampy. — Pójdę o zakład, że to angielskie ładunki, sir.

— Skąd pan wie?

— Tkanina z zachodniej Anglii, przesyta i sprasowana tak samo jak nasza, sir. Pewnie z angielskich przyzów.

Było to bardzo prawdopodobne; siły hiszpańskie, broniące tego końca wyspy przed powstańcami, najprawdopodobniej uzupełniały swoje braki zapasami z okrętów angielskich, zagarniętych w cieśninie Mona. No cóż, jeśli los będzie łaskawy, nie dostaną już więcej przyzów — myśl ta, utorowawszy sobie drogę do zaabsorbowanego troskami mózgu Busha, sprawiła, że poruszył się niespokojnie, stojąc przy działach z dłońmi splecionymi na plecach, ze słońcem świecącym prosto w twarz. Diegowie znajdą się w paskudnej sytuacji po odcięciu od źródła dostaw. Nie będą w stanie przeciwstawić się długo zbuntowanym Murzynom, którzy osaczyli ich na wschodnim krańcu Santo Domingo.

— Cray, przybijajcie porządnie — zwrócił uwagę Hornblower. — Ani odrobiny prochu w tym otworze, bo będziemy musieli zapisać w dzienniku okrętowym: „Cray — Z. Z.”

Wzmianka o „Z. Z.” — co w dzienniku okrętowym znaczyło: „zwolniony, zmarł” — wzbudziła śmiech, lecz Bush nie zareagował na to. Wdrapał się na szaniec i spojrzał przed siebie.

— Wycofują się zatoką — rzekł. — Proszę być w pogotowiu, panie Hornblower.

— Tak jest, sir.

Bush wyteżył wzrok, aby popatrzeć na cztery okręciki pełznące torem wodnym. Na pierwszym zaczęto właśnie stawiać żagle na oba maszty. Widocznie chcieli wyzyskać niezdecydowane podmuchy wiatru na tych zamkniętych i rozgrzanych wodach, aby oddalić się i znaleźć tak upragnione bezpieczeństwo na pełnym morzu.

— Panie Abbott, proszę przynieść lunetę! — krzyknął Hornblower.

Gdy Abbott zbiegł na dół po schodach, Hornblower przemówił do Busha:

— Jeśli próbują ucieczki wiedząc, że fort jest w naszych rękach, to nie muszą się tam czuć zbyt pewnie, sir.

— I ja tak sędzę.

— Można się spodziewać, że będą próbowali odbić fort w ten czy inny sposób. Mogliby wysadzić wojsko na półwyspie i zaatakować nas. Zastanawiam się, sir, czemu tego nie próbują. Czemu podnoszą kotwice i uciekają.

— Przecież to tylko Diegowie — odparł Bush. W obliczu czekającego ich boju nie chciał wdawać się w spekulacje na temat motywów kierujących nieprzyjacielem. Wziął lunetę z rąk Abbotta.

Teraz widział lepiej. Dwa wielkie szkunery, z kilkoma działami na burcie, duży lugier i jeszcze jeden statek, którego ożaglowania nie mógł na razie rozpoznać, gdyż był najdalej ze wszystkich i nie miał postawionych żagli, holujący łodzie z kotwicowiska.

— To będzie daleki zasięg, panie Hornblower — zauważył Bush.

— Tak, sir. Ale oni trafili nas wczoraj z tych samych dział.

— Niech pan dobrze wyceluje. Nie będą długo pod ogniem.

— Tak jest, sir.

Statki nie szły razem. Gdyby tak uczyniły, miałyby większe szansę, bo fort mógłby strzelać tylko do jednego na raz. Paniczny strach o siebie musiał sprawić, że wyruszały pojedynczo, gdy tylko były gotowe do drogi, a może głęboki tor wodny był zbyt wąski dla wszystkich jednocześnie. Teraz szkuner czołowy zwinął żagle; słabnący powiew stał się nie sprzyjający dla niego po skręcie w lewo w kanale. Spiesznie opuścił dwie łodzie, żeby go holowały; luneta Busha pozwalała dojrzeć każdy szczegół.

— Mamy jeszcze trochę czasu, zanim wejdzie w zasięg, sir — odezwał się Hornblower. — Jeśli pan pozwoli, rzucę okiem na palenisko.

— Idę z panem — odparł Bush.

Przy palenisku wciąż dmuchały miechy i żar był okropny, a stało się jeszcze goręcej, gdy Saddler wyciągnął ruszt z rozpalonymi pociskami. Nawet w pełnym słońcu widać było blask bijący od kul; gorące powietrze nad nimi drgało, zniekształcając i zamazując obraz. Była to scena jak z piekła. Saddler splunął na najbliższy pocisk i ślina z sykiem odskoczyła od gładkiej powierzchni, nie dotknąwszy jej nawet, podskakując spadła na ruszt i sycząc znikła. Ponowna próba dała taki sam wynik.

— Dostyc gorące, sir? — spytał Saddler.

— Tak — odparł Hornblower.

Jeszcze jako midszypmen Bush często zanosił do kuchni żelazko, by je podgrzać, kiedy musiał mieć wyprasowaną koszulę lub szal; pamiętał, że w ten sam sposób sprawdzał temperaturę żelazka. Gdy ślina odpadała od niego, było to dowodem, że żelazko było zbyt gorące, by nim prasować, ale pocisk musiał być znacznie, znacznie gorętszy.

Saddler wsunął ruzst z powrotem w palenisko i wytarł spoconą twarz szmatą, którą ochraniał dłonie.

— Wy, z nosidłami, bądźcie w pogotowiu — zarządził Hornblower. — Niedługo będziecie potrzebni.

Spytawszy Busha wzrokiem o pozwolenie odbiegł znów w stronę baterii wielkimi niezdarnymi susami. Bush, znużony, szedł wolniej. Gdy patrzył na pędzącego rampą Hornblowera, przemknęła mu przez głowę myśl, że będąc słabszy fizycznie od niego, ma on chyba więcej energii. Kiedy Bush doszedł do baterii, Hornblower obserwował już czołowy szkuner.

— Ma słabą konstrukcję — rzekł do Busha.

— Dwudziestoczerofuntówki będą go przebijać na wylot prawie za każdym trafieniem, nawet przy dalekim zasięgu.

— Przy ostrzale z wysokiego stanowiska pociski mogą przebić mu dno — zauważył Bush.

— Może — zgodził się Hornblower i potem dodał: — sir.

Mimo wielu lat służby zdarzało mu się zapomnieć o wypowiedzeniu tego słówka, gdy był głęboko pogrążony w myślach.

— Znowu stawia żagle! — wykrzyknął Bush. — Dziób już się obrócił.

— I hole odrzucili — dodał Hornblower. — Już niedługo.

Popatrzył na rząd dział, wszystkie załadowane i odbezpieczone, kliny wyciągnięte, aby je ustawić na najwyższe podniesienie, lufy skierowane w górę, jakby czekające na wtoczenie kul do ich gardzieli. Szkuner idący torem wodnym wyraźnie zbliżał się ku nim. Hornblower obrócił się i ruszył wzdłuż rzędu armat; dłonie splecione na plecach drgały nerwowo. Przeszedł i zawrócił nierównym krokiem — wyglądało, że nie może ustać bez ruchu. Zauważywszy jednak na sobie spojrzenie Busha, zatrzymał się z miną winowajcy i z widocznym trudem zmusił się, by stać spokojnie, jak jego zwierzchnik. Szkuner pełził naprzód, o pół mili przed następnym statkiem.

— Może pan spróbować zasięgu — rzekł wreszcie Bush.

— Tak jest, sir — odparł Hornblower z nagłą gotowością rzeki wpadającej w przerwana tamę. Czekał tylko, aż Bush to powie.

— Hej, palenisko! — krzyknął. — Saddler! Dajcie tu jeden pocisk!

Marynarze z nosidłami stąpając ciężko ruszyli rampą, niosąc ostrożnie rozżarzoną kulę armatnią. Widać było wyraźnie jej ostrą czerwień i emanujący z niej żar. Wsunęto wilgotne przybitki w lufę najbliższego działła, podniesiono do lufy nosidła z rozżarzoną kulą, która, popchnięta przybijakiem, wtoczyła się do środka. W momencie gdy dotknęła mokrej przybitki, rozległ się syk i para plując zaczęła wydobywać się z lufy. Bush znów pomyślał, ile czasu trzeba,



żeby przybitki się przepaliły i ładunek wypalił; odrzut na pewno nie będzie przyjemny dla kogoś nastawiającego w tym momencie działa na cel.

— Wytoczyć! — krzyknął Hornblower. Załoga chwyciła za liny i armata z grzechotem ruszyła naprzód.

Hornblower przykucnął przy dziale i patrzył przez zmrużone powieki.

— Pociągnąć w prawo! — Liny i handszpaki obracały żelazne cielsko. — Jeszcze trochę! Dosyć! Nie, trochę w lewo! Tak dobrze!

Bush odetchnął mimo woli, gdy Hornblower wyprostował się i wyszedł spoza działa. Z wrodzoną żywością skoczył na parapet i przysłonił oczy dłonią; Bush skierował lunetę na szkuner.

— Ognia! — krzyknął Hornblower.

Krótki syk towarzyszący zapłonowi utonął natychmiast w ryku działa. Bush patrzył na ciemną kreskę rysowaną na błękitnie nieba przez pocisk, który wzniósłszy się w czasie krótszym niż oddech zaczął opadać w dół; dziwna kreska, może calowej długości, gdyby ktoś chciał to określić, o początku wciąż przesuwającym się do przodu i końcu ciągle znikającym, szybowała prosto w kierunku szkunera, a raczej nieco powyżej — do tego stopnia prędkość lotu pocisku wyprzedzała zdolność rejestracji siatkówki i mózgu — gdy Bush ujrzał bryzg, tuż przy dziobie szkunera. Odjął lunetę od oczu, a po opadnięciu fontanny wody spostrzegł utkwiony w siebie wzrok Hornblowera.

— O kabel za blisko — rzekł, a Hornblower skinął głową potakująco.

— Czy możemy rozpocząć ogień, sir? — zapytał Hornblower.

— Tak, proszę prowadzić ogień, panie Hornblower.

Ledwie wyrzekł te słowa, Hornblower już wołał:

— Hej, palenisko! Jeszcze pięć kul!

Bush zastanawiał się parę chwil nad przyczyną takiego rozkazu. Było rzeczą oczywistą, że nie należy dostarczać równocześnie na platformę ładunków prochu i rozpalonych kul; działo, z którego już oddano wystrzał, musiałyby czekać na załadowanie, aż wystrzeli pięć pozostałych. Hornblower wrócił i stanął przy Bushu.

— Nie mogłem wczoraj zrozumieć, sir, czemu wciąż bili w nas salwami — powiedział. — W ten sposób ograniczali szybkość strzelania do możliwości działa najwolniej strzelającego. Ale teraz rozumiem.

— Ja też.

— Czy włożono mokre przybitki do wszystkich luf? — zapytał Hornblower artylerzystów. — Na pewno? Więc ładować działa.

Wrzucono kule do luf armatnich; rozległ się syk i para ukazała się w momencie, gdy dotknęły wilgotnych przybitek.

— Wytoczyć. Wycelować. Celowniczowie, sprawdzić cel.

Syk i para towarzyszyły ustawianiu dział na cel.

— Po ustawieniu na cel — ognia!

Hornblower był już znowu na parapecie; Bush miał dobry widok przez otwór strzelniczy nieczynnego w tej chwili działa. Pięć armat wypaliło prawie razem — wystrzał od wystrzału dzieliła sekunda, najwyżej dwie; w lunecie Busha widać było niebo porysowane liniami lotu pocisków.

— Przetrzeć wyciorami! — polecił Hornblower i dodał głośniejszym głosem: — Sześć ładunków!

Wrócił do Busha.

— Jeden chlupnął całkiem blisko — stwierdził Bush.

— Dwa o wiele za blisko, a jeden za daleko w prawo — powiedział Hornblower. — Wiem, kto strzelał, i zajmę się nim później.

— Bryzgu jednego pocisku nie zauważyłem — dodał Bush.

— Ani ja, sir. Przeniosło go chyba. A może trafił.

Ludzie z ładunkami prochu wbiegli na platformę, a załogi dział skwapliwie chwyciły je, wsunęły w lufy i przybiły suchymi przybitkami.

— Sześć kul! — krzyknął Hornblower do Saddlera, a potem do celowniczych: — Spłonki! Mokre przybitki!

— Zmienił kurs — zauważył Bush. — Ale to specjalnie nie wpłynie na zasięg.

— Nie, sir. Ładować i wytaczać! Przepraszam, sir.

Podbiegł do działa z lewej strony, prawdopodobnie tego, które poprzednio było źle ustawione.

— Celować starannie! — krzyknął. — Strzelać, gdy jesteście pewni celu!

Bush zobaczył, jak przykucnął za armatą z lewej strony, ale sam skoncentrował się na obserwacji wyników strzelania.

Cykl powtórzył się; działa ryknęły, podano nowe ładunki prochu i świeżo rozgrzane kule. Armaty wypaliły, zanim Hornblower zdążył wrócić do Busha.

— Chyba celne — stwierdził Bush. Odwrócił się, żeby raz jeszcze popatrzeć przez lunetę. — Ależ tak, na Boga! Dym! Dym!

Między masztami szkunera ukazał się ledwie widoczny obłoczek dymu. Rozwiał się, zanim Bush zdołał się upewnić, że go naprawdę widział. Wypaliło najbliższe działo i przypadkowy powiew wiatru spowił ich obydwu w dym, skrywając szkuner przed ich wzrokiem.

— Niech to diabli! — rzekł Bush szukając niecierpliwie lepszego punktu obserwacyjnego.

Pozostałe działa wypaliły prawie równocześnie i dym zgęstniał jeszcze bardziej.

— Przynieść więcej ładunków prochu! — zawołał Hornblower spoza chmury dymnej. — Przeczyścić porządnie lufy!

Dym rozwiał się, odsłaniając szkuner, który pozornie nie uszkodzony włókł się dalej zatoką, i Bush zaklął zawiedziony.

— Zasięg się zmniejsza, a działa już są gorące — zauważył Hornblower, a potem dodał głośniejsze: — Działonowi! Podłóżyc kliny!

Pospieszył pilnować regulacji podniesienia dział i za parę sekund krzyknął, żeby znów przyniesiono rozpalone kule. W tym czasie Bush zauważył, że łodzie, dotąd towarzyszące szkunerowi, zawróciły, aby podejść do burt. Mogło to oznaczać, że kapitan szkunera uznał, że podmuchy wiatru są na tyle silne, że pozwolą statkowi obejść dookoła cypel i pomogą mu wyjść bezpiecznie z zatoki. Działa odezwały się znowu nierówną salwą i Bush ujrzał trzy fontanny wody blisko burty szkunera.

— Dawać ładunki! — wołał Hornblower.

A potem Bush zobaczył, jak szkuner się obraca, wystawiając swą rufę na baterię i sunie prosto na płycizny przy przeciwległym brzegu.

— Co, u diabła... — mruknął do siebie.

I wtedy ujrzał nagle strumień czarnego dymu wystrzelający z pokładu szkunera i zanim zdążył nacieszyć się tym widokiem, borny szkunera zostały przerzucone na burtę, gdy statek osiadł na mieliźnie. Gęsty dym spowijał jego kadłub, lecz w lunecie nad chmurą dymu pojawił się obraz wielkiego białego grotzągla — rozpadł się i już go nie było, płomienie chwyciły go i pożarły w oka mgnieniu. Opuścił lunetę i poszukał wzrokiem Hornblowera. Młody oficer stał znowu na parapecie, z ciemną od zarostu i brudną od potu i dymu twarzą, w której dziwnie białło załśniły w uśmiechu zęby. Załogi dział wzniosły okrzyk, podjęty przez wszystkich uczestników wyprawy w formie.

Hornblower gestami nakazał artylerzystom ciszę, aby w formie na dole usłyszano, jak odwoływał rozkaz dostarczania dalszych pocisków.

— Saddler, dosyć kul! A wy, z nosidłami, zabierzcie z powrotem te, co tu leżą!

Zeskoczył i podszedł do Busha.

— Dostał — stwierdził Bush.

— Ten pierwszy na pewno.

Z płonącego wraka bił w górę wielki strumień dymu, wznosząc się po masztach coraz wyżej; widzieli, jak runął grotmaszt i w tym momencie przez wodę dobiegł odgłos eksplozji; ogień dotarł do składu prochu na szkunerze, a kiedy dym rozwiął się nieco, zobaczyli, że okręciak leży na brzegu, rozdarty na dwie połowy, z dziurą w środku od wybuchu. Fokmaszt utrzymywał się jeszcze przez chwilę w pozycji stojącej, ale i on zwałił się na ich oczach: dziób i rufa tonęły w płomieniach, a łodzie z załogami odpływały przez płycizny.

— Paskudny widok — stwierdził Hornblower.

Dla Busha nie było jednak nic przykrego w widoku płonącego okrętu nieprzyjacielskiego. Nie posiadał się z radości. — Z połową załogi w łodziach — rzekł — nie miał dość ludzi do gaszenia pożaru, gdyśmy go trafili.

— Może pocisk przebił pokład i utkwiał w ładowni — zauważył Hornblower.

Ton jego głosu, ochrypli i gruby, niczym u pijaka, sprawił, że Bush szybko obrócił wzrok na niego; nie mógł być pijany, mimo że tak wyglądał, z brudną, zarośniętą twarzą i nabiegłymi krwią oczyma. Był po prostu zmęczony. Po chwili ponury wyraz twarzy Hornblowera ustąpił ożywieniu, a gdy się odezwał, głos jego brzmiał już normalnie.

— Nadpływa następny — oznajmił. — Jest już prawie w zasięgu.

Drugi szkuner, również z łodziami w pogotowiu, płynął torem wodnym z postawionymi żaglami. Hornblower wrócił do dział.

— Widzicie drugi statek, w który macie celować? — spytał. Odpowiedział mu zgodny okrzyk potwierdzenia. Potem krzyknął do Saddlera: — Niech ci z nosidłami dają tu pociski!

Znów pojawiła się na rampie procesja ludzi niosących potwornie rozgrzane kule, a gdy je tak nieśli — na każdym nosidłach po dwadzieścia cztery funty rozgrzanego do białości żelaza — to jakby przepływała fala żaru. Nastąpiła zwykła procedura ładowania tych szatańskich przedmiotów w lufy armat. Artylerzyści głośno wymieniali uwagi, a jedna kula z hukiem stoczyła się na kamienną płytę stanowiska baterijnego i leżała rozżarzona. Dwie armaty czekały jeszcze na załadowanie.

— Co się tam dzieje? — zawołał Hornblower.

— Proszę pana...

Hornblower już szedł zobaczyć na własne oczy, co się stało. Z lufy jednej z trzech załadowanych armat wydobywała się para, a trzy inne syczały straszliwie od zetknięcia gorącego pocisku z mokrą przybitką.

— Wytoczyć, wycelować i ognia! — rozkazał Hornblower. — A co z resztą? Odsunąć to z drogi!

— Kule nie pasują, sir — odezwało się kilku naraz, podczas gdy któryś, manipulując niezdarnie hakiem do przybitek, odtaczał spadły pocisk pod parapet. Ludzie dźwigający dwie pozostałe kule przystanęli ociekając potem. Odpowiedź Hornblowera — co by nie miał do powiedzenia w tej chwili — utonęła w huku działa — obsługa była jeszcze przy linach i armata wystrzeliła sama podczas wytaczania. Ktoś przysiadł, krzycząc z bólu, bo przy odrzucie laweta wjechała mu na stopę i krew spływała na kamienną płytę. Celowniczy dwóch pozostałych dział nawet nie udawali, że je ustawiają na cel. Natychmiast po wytoczeniu krzyknęli: — Odsunąć się! — i oddali strzały.

— Zanieście go do pana Pierce'a — polecił Hornblower, wskazując na rannego. — A teraz obejrzymy te kule.

Hornblower wrócił do Busha z ponurą miną, zmartwiony i zakłopotany.

— Co tam takiego? — zapytał Bush.

— Kule są za gorące — wyjaśnił Hornblower. — Niech to licho, nie pomyślałem o tym. Nadtopiły się w palenisku, straciły swój kształt i teraz nie pasują do otworu. Co za dureń ze mnie, że nie wziąłem tego pod uwagę.

Jako oficer przełożony Bush nie potwierdził, że i on o tym nie pomyślał. Czekał w milczeniu.

— A te, co zachowały swój kształt, są też zbyt rozgrzane — ciągnął Hornblower. — Jestem największym idiotą pod słońcem. Kompletny dureń. Widział pan, jak wystrzeliło to działo? Obsługa będzie teraz przestraszona i nie zechce porządnie przygotować armat do strzelania — będą się też bali strzelać ze strachu, że nie zdążą się cofnąć przed odrzutem. Boże, co ze mnie za bałwan!

— Spokojnie, spokojnie — łagodził go Bush, miotany sprzecznymi uczuciami.

Hornblower wyglądał tak komicznie, gdy urągał sobie bijąc lewą pięścią dłoń, że Bush nie mógł powstrzymać się od śmiechu. A przecież wiedział, że jak dotąd dawał on sobie radę świetnie, naprawdę wspaniale, że w krótkim czasie rozgryzł technikę posługiwania się rozpalonymi pociskami. Ponadto Bush musiał przyznać się sam przed sobą, że w czasie tej wyprawy niejednokrotnie odczuwał chwilowe rozgoryczenie patrząc na Hornblowera, zawsze gotowego wziąć na siebie odpowiedzialność, również przyczyną rozgoryczenia mógł być jakiś silniejszy motyw: zazdrość z powodu umiejętności dowodzenia wykazanej przez Hornblowera — motyw godny pogardy, którego Bush wyparłby się z oburzeniem, gdyby go sobie uświadomił. Lecz w tym momencie uczucia te sprawiały, że niepowodzenie Hornblowera jeszcze bardziej go rozbawiło.

— Niech się pan tak nie przejmuje — wyszczerzył zęby do niego.

— Ale mnie diabli biorą, że byłem taki...

Hornblower przerwał w pół zdania. Bush widział, jak próbuje opanować się, jaki jest

zmartwiony, że tak się upajał swoimi sukcesami, jak usiłuje przybrać stoicką maskę doświadczonego wojaka, by ukryć pod nią burzę uczuć.

— Sir, czy zechce pan mnie tu zastąpić? — powiedział Hornblower głosem, który zabrzmiał jak głos zupełnie innej osoby. — Chciałbym rzucić okiem na palenisko. Nie powinni tak mocno dąć w miechy.

— Bardzo dobrze, panie Hornblower. Proszę tu przysłać amunicję, a ja będę kierował obstrzałem szkunera.

— Tak jest, sir. Przyślę tu kule, które włożono do paleniska na końcu. Nie będą jeszcze zbyt rozgrzane.

Hornblower pomknął rampą jak strzała, a Bush stanął przy działach, by kierować ogniem. Przyniesiono nowe ładunki prochu i przybito je w lufach, wsunięto suche, a na nie mokre przybitki, a potem zaczęto donosić kule.

— Spokojnie, chłopcy — powiedział Bush. — Te nie są tak rozgrzane jak poprzednie. Celujcie starannie.

Ale gdy wdrapał się na parapet i skierował lunetę na drugi szkuner, zorientował się, że ten zmienił zamiary. Wziął fokzagiel na gejtawy i opuścił kliwry; łodzie ustawione kątem do kursu okrętu trudziły się pod dziobem jak pracowite żuki. Obracały statek, który wracał w górę zatoki, nie chcąc się wystawiać na obstrzał rozgrzanych do czerwoności kul. Tłący się opodal wrak towarzysza stanowił groźną przestrożę.

— Umyka! — krzyknął Bush. — Grzejcie w niego, póki się da.

Widział, jak pocisk przeleciał w powietrzu zakrzywionym torem, zobaczył bryzgi wody; przypomniał sobie, jak poprzedniego dnia kula z tych samych dział odbiła się rykoszetem od wody i uderzyła w masywną burtę „Renown” — jeden z bryzgów poszedł prosto w kierunku okrętu i mógł oznaczać trafienie.

— Więcej ładunków! — krzyknął odwróciwszy się, by go lepiej słyszano przy magazynie. — Przetrzeć lufy!

Do chwili gdy ładunki znalazły się w lufach, szkuner już zdążył zawrócić i postawiwszy fokzagiel wycofywał się z powrotem do zatoki. Sądząc z bryzgów wody po ostatniej salwie wyjdzie z zasięgu, zanim zdążą oddać następną salwę.

— Panie Hornblower!

— Sir!

— Proszę już nie przysyłać kul!

— Tak jest, sir.

Gdy Hornblower przybiegł znowu do baterii, Bush wskazał na wycofujący się szkuner.

— Ten się rozmyślił, co? — zauważył Hornblower. — Tak, a tamte dwa chyba stanęły na kotwicy.

Ręce mu się rwały do lunety i Bush dał mu ją w końcu.

— Tamte dwa też się nie poruszają — ciągnął Hornblower, i przesuwając lunetę po zatoce w kierunku morza dodał: — „Renown” zrobił zwrot przez sztag. Żagle chwyciły wiatr. Sześć mil? Siedem mil? Za godzinę będzie okrążać cypel.

Teraz była kolej Busha do lunety. Kształt marsli nie pozostawiał cienia wątpliwości. Z „Renown” przeniósł wzrok na przeciwległy brzeg zatoki. Była tam ta druga bateria z powiewającą nad nią flagą hiszpańską — teraz flaga opadała, łopocąc leniwie na słabym wietrze. Nie mógł dostrzec żadnych śladów ruchu, a w geście, jakim zamknął lunetę, zanim podniósł wzrok na swego zastępcę, było coś ostatecznego.

— Wszędzie spokój — rzekł. — Nie mamy nic do roboty do czasu przybycia „Renown”.

— Istotnie — zgodził się Hornblower.

Było rzeczą interesującą obserwować, jak mija ożywienie Hornblowera. Gdy tylko przestał się kontrolować, na twarzy jego odmalowało się głębokie zmęczenie.

— Możemy nakarmić ludzi — ciągnął Bush — chciałbym też rzucić okiem na rannych. Musimy rozsegregować tych przeklętych jeńców. Whiting wepchnął ich wszystkich razem do kazamaty, mężczyźni i kobiety, oficerów i najmłodszych doboszy. Nie wiadomo, co tu mają do jedzenia. Trzeba się tym zająć. Potem wystawić wachtę, odesłać wolnych od służby i sami trochę odpocząć.

— Tak, możemy — potwierdził Hornblower, ale przypomniał sobie, ile jeszcze trzeba zrobić, znów przybrał opanowaną minę. — Czy mogę iść na dół dopilnować tego wszystkiego, sir?

## Rozdział XI

Było południe i słońce rzucało oślepiający blask na fort Samaná. W zamkniętej przestrzeni, gdzie ciepło odbijało się od murów, panował morderczy żar i nawet w ocienionych rogach było gorąco nie do wytrzymania. Bryza morska jeszcze się nie zaczęła i biała bandera Brytyjskiej Marynarki Wojennej zwisała martwo z masztu flagowego na pół przysłaniając zawieszoną nieco niżej banderę hiszpańską. Mimo to w forcie panowała dyscyplina. Na każdym bastionie w upalnym słońcu stali obserwatorzy, strzegąc fortu przed zaskoczeniem. Posterunki żołnierzy piechoty morskiej obchodziły swoje odcinki odmierzonym, równym, żołnierskim krokiem, z bronią na ramieniu, zgodnie z regulaminem; szkarłatne mundury były zapięte pod szyję, pasy założone jak należy. Gdy któryś kończył obchód, zatrzymywał się z trzaśnięciem obcasów, trzema zręcznymi ruchami stawiał do nogi broń, a potem wysunawszy prawą rękę w przód i lewą stopę na zewnątrz stawał w pozycji „spocznij” i stał tak, póki upał i muchy nie zmusiły go do ruchu; wtedy zsuwał obcasy, przerzucał muszkiet na ramię i robił nowy obchód. Załogi dział baterii drzemały na twardej skale, bardziej szczęśliwi w cieniu armat, inni w wąskim paśmie cienia u stóp parapetu. Lecz dwaj artylerzyści siedząc nie dawali sobie nawzajem zasnąć i co kilka minut spoglądali, czy nie zgasły wolno tłące się lonty w cebrzykach, by można je było użyć natychmiast do zapłonu dział, gdyby zaszła potrzeba otwarcia ognia do okrętów w zatoce lub odparowania ataku od strony lądu. Dalej, za cyplem Samaná, „Renown” czekał na pierwszy powiew bryzy morskiej, aby wpłynąć do zatoki i spotkać się ze swą grupą desantową.

Porucznik Bush siedział na ławce przy głównym magazynie i bronił się przed zaśnięciem, złorzecząc na upał i na swe miękkie serce, które kazało mu w pierw posłać na odpoczynek młodszych oficerów i wziąć na siebie obowiązki oficera służbowego, i zazdroszcząc żołnierzom, którzy spali chrapiąc wokół niego. Od czasu do czasu prostował nogi zeszywniałe z bólu po długim okresie



wysiłku. Otarł czoło i pomyślał, że dobrze byłoby rozluźnić halsztuk.

Zza rogu nadbiegł pędem posłaniec.

— Panie Bush, sir. Od baterii na drugiej stronie zatoki odbija łódź.

Bush podniósł otępiały wzrok na przybysza.

— Dokąd płynie?

— Prosto na nas, sir. Ma białą flagę, przynajmniej tak wygląda.

— Idę zobaczyć. Nie ma spokoju pod oliwkami — westchnął Bush. Zmusił się do wstania mimo bólu stawów i stąpając sztywno, ruszył rampą ku baterii.

Czekał tam podoficer wachtowy z lunetą, który zszedł z wieży obserwacyjnej na jego spotkanie. Bush wziął od niego lunetę i zaczął patrzeć. Sześciowiosłową łódź, czarna na tle błękitnej zatoki, płynęła prosto ku niemu, tak jak mówił goniec. Z drzewca na dziobie zwisała flaga, która mogła być biała; nie było wiatru, aby ją rozwinął. Wioząc w sumie nie więcej niż dziesięciu ludzi, łódź nie stanowiła w żadnym razie bezpośredniego zagrożenia dla fortu. Płynęła długo przez połyskujące wody zatoki. Bush patrzył, jak wolno zbliża się do nich. Niskie zbocza, schodzące z tej strony półwyspu Samaná do samej zatoki, w sąsiedztwie fortu opadały łagodnym stokiem; zbocze przecinała na ukos ścieżka prowadząca do przystani, którą — jak stwierdził Bush — można było pokryć ogniem dwóch najdalej wysuniętych dział po prawej stronie baterii. Nie było jednak potrzeby wzywać ich załóg, gdyż nie było mowy o ataku. Jakby dla potwierdzenia jego myśli podmuch wiatru rozwinął flagę w łodzi. Była biała.

Nie zbacząc z drogi, łódź zbliżyła się do pomostu i dobiła do niego. Błysnął w niej jakiś jasny metalowy przedmiot i w rozgrzanym powietrzu rozległ się dźwięk trąbki, wysoki i czysty. Nasilając się dotarł do uszu załogi garnizonu. Dwaj ludzie wyszli z łodzi na pomost. Odziani byli w niebiesko-białe mundury; jeden miał szpadę u pasa, a drugi trzymał w dłoni lśniąca trąbkę; przyłożywszy ją do ust zadął znowu. Słodki i przenikliwy ton odbił się echem od skał; ptaki drzemiące w upale poderwały się z żalonym piskiem, zaniepokojone odgłosem trąbki w równym stopniu, co hukiem artylerii tego ranka. Oficer ze szpadą rozwinął białą flagę i wraz z trębaczem zaczął się piąć stromą ścieżką do fortu. Ten sposób rozpoczynania pertraktacji był zgodny z ustaloną etykietą wojenną. Wysokie tony trąbki oznajmiały, że nie planowano żadnej niespodzianki; biała flaga mówiła o pokojowych intencjach przybysza.

Obserwując wspinających się powoli parlamentariuszy Bush zastanawiał się, jakie ma uprawnienia do pertraktacji z nieprzyjacielem, myśląc niechętnie o trudności prowadzenia rozmów w odmiennych językach.

— Wywołać wartę — polecił podoficerowi i zwrócił się do gońca. — Pozdrowienia dla pana Hornblowera i niech tu przyjdzie jak najszybciej.

Na ścieżce znowu zabrzmiała trąbka; na jej dźwięk poderwało się wielu śpiących, a fakt, że

inni spali dalej, świadczył o zmęczeniu. Z dziedzińca fortu dobiegły lakoniczne rozkazy i tupot stóp formującej się warty z żołnierzy piechoty morskiej. Biała flaga była już prawie na skraju fosy; niosący ją przystanął i podniósł wzrok na parapety, a tymczasem trębacz zadał ostatni raz i ostre dźwięki fanfary zerwały ze snu ostatnich śpiochów w garnizonie.

— Jestem, sir — zameldował się Hornblower.

Kapelusz, do którego podniósł palce, by zaszalutować, był przekrzywiony na bok, a on sam, w swoim wygniecionym mundurze, wyglądał jak strach na wróble. Twarz miał czystą, ale wciąż silnie zarośniętą.

— Czy mówi pan na tyle po hiszpańsku, żeby się z nim porozumieć? — spytał Bush, wskazując kciukiem na oficera hiszpańskiego.

— Chyba tak, sir... tak.

Słowa te wypowiedział Hornblower jak gdyby wbrew swojej woli. Wolałby nie deklarować się od razu, ale dał zdecydowaną odpowiedź, zawsze wymaganą w wojsku.

— A więc niech pan mówi.

— Tak jest, sir.

Hornblower wszedł na parapet, oficer hiszpański patrzący w górę fosy zdjął kapelusz na jego widok i skłonił się kurtuazyjnie; to samo uczynił Hornblower. Nastąpiła wymiana uprzejmości, po czym Hornblower odwrócił się do Busha.

— Sir, czy zamierza pan wpuścić go do fortu? — zapytał. — Mówi, że ma dużo spraw do omówienia.

— Nie — odparł Bush bez wahania. — Nie chcę, żeby mi tu zaczął węszyć.

Bush nie bardzo wiedział, co Hiszpan mógłby w forcie wyszpiegować, ale z natury był podejrzliwy i ostrożny.

— Bardzo dobrze, sir.

— Pan będzie musiał wyjść do niego, panie Hornblower. Będę pana stąd ubezpieczał przy pomocy żołnierzy.

— Tak jest, sir.

Po nowej wymianie uprzejmości Hornblower zszedł z parapetu i ruszył rampą, a wezwana przez Busha straż złożona z żołnierzy piechoty morskiej pomaszerowała wzdłuż drugiej rampy. Bush, stojąc w otworze strzelniczym, obserwował wyraz twarzy Hiszpana, gdy w drugim otworze pojawiły się czarna, czerwone mundury i wycelowane muszkiety żołnierzy. Wnet Hornblower wyszedł zza rogu fortu i przeszedł przez fosę wąską groblą odchodzącą od głównej bramy. Bush

patrzył, jak kapelusze znowu powędrowały z głów; Hornblower i Hiszpan wymienili ukłony, śmiesznie dygając i zamiatając piórami na modłę kontynentalną. Hiszpan wyjął jakiś papier i wręczył z ukłonem Hornblowerowi do przeczytania — przypuszczalnie listy uwierzytelniające. Hornblower przeleciał po nich wzrokiem i zwrócił oficerowi. Gestem w stronę stojącego na parapecie Busha wyjaśnił swoje pełnomocnictwo. Następnie Hiszpan zaczął spieszenie zadawać pytania, a Hornblower odpowiadał. Z potakujących ruchów jego głowy Bush zorientował się, że odpowiadał twierdząco, i przez moment poczuł niepokój, czy Hornblower nie przekroczy swoich upoważnień. Ten fakt jednak, że musi korzystać z czyjś pośrodstwa w prowadzeniu pertraktacji nie irytował go; nie przeszło mu nawet przez myśl, że on sam mógłby mówić po hiszpańsku i godził się na usługi tłumacza tak samo jak na używanie lin do wybierania kotwicy czy korzystanie z wiatru, aby niósł go do miejsca przeznaczenia.

Obserwował, jak negocjacje posuwały się naprzód; pilnie śledząc tok rozmowy potrafił zauważyć, kiedy nastąpiła zmiana tematu. W pewnym momencie Hornblower wskazał na zatokę i Hiszpan obejrzwawszy się zobaczył „Renown” podchodzący właśnie do cypla. Patrzył długo badawczym wzrokiem, zanim wrócił do rozmowy. Był to wysoki, bardzo szczupły mężczyzna o twarzy barwy kawy, przeciętej czarnym cienkim wąsikiem. Stali obaj na upalnym słońcu — trębacz odszedł poza zasięg słuchu — aż Hornblower odwrócił się i spojrzał na Busha.

— Jeśli wolno, przyjdę złożyć raport, sir — zawołał.

— Bardzo dobrze, panie Hornblower.

Bush wyszedł mu naprzeciw na dziedziniec. Hornblower zasalutował i czekał z raportem, aż Bush każe mu mówić.

— To pułkownik Ortega, sir — odpowiedział na krótkie „No więc” Busha. — Ma listy uwierzytelniające od Villanuevy, generała, który musi być tuż za zatoką.

— Czego chce? — pytał Bush, starając się przyswoić sobie tę pierwszą dość niestrawną część informacji.

Przede wszystkim chciał się dowiedzieć o jeńców, sir — wyjaśnił Hornblower. — Zwłaszcza o niewiasty.

— Powiedział mu pan, że nic im się nie stało?

— Tak jest, sir. Bardzo się o nie obawiał. Powiedziałem, że poproszę pana o zgodę na zabranie kobiet przez niego.

— Rozumiem — mruknął Bush.

— Sądziłem, że to ułatwi nam tutaj sytuację, sir. A on miał dużo do powiedzenia, więc pomyślałem, że jeśli wydam mu się skłonny do ugody, będzie mówił swobodniej.

— Tak — rzekł Bush.

— Potem zapytał o pozostałych jeńców, sir. Mężczyzn. Chciał wiedzieć, czy ktoś został zabity i gdy odpowiedziałem, że tak, zapytał, którzy. Nie potrafiłem udzielić mu odpowiedzi, sir... nie wiedziałem. Ale zaznaczyłem, że jestem pewien, iż dostanie od pana listę. Mówi, że większość z nich zostawiła tam żony — Hornblower wskazał na drugą stronę zatoki — a wszystkie niepokoją się o nich.

— Uczynię to — zgodził się Bush.

— Myślę, że może mógłby zabrać ze sobą i rannych, i kobiety, sir. Nasi ludzie będą mieli dzięki temu mniej do roboty, a poza tym nie możemy im tu zapewnić właściwej opieki.

— Muszę się nad tym zastanowić — odparł Bush.

— Jeśli już o to idzie, sir, to moglibyśmy uwolnić się od wszystkich jeńców. Sądzę, że nie byłoby sprawą trudną wymóc na nich w zamian przyrzeczenie, że nie będą wykorzystani w czasie pobytu „Renown” na tych wodach.

— Coś mi to brzmi podejrzanie — zastanowił się Bush; nigdy nie ufał cudzoziemcom.

— Przypuszczam, że on dotrzyma słowa, sir. To dżentelmen hiszpański. Wtedy nie musielibyśmy ich pilnować ani karmić, sir. A co zrobimy z nimi opuszczając to miejsce? Upchamy na „Renown”?

Setka jeńców na pokładzie spowodowałaby piekielne komplikacje; wypijaliby dwadzieścia galonów słodkiej wody dziennie i trzeba byłoby ich pilnować i trzymać pod strażą cały czas. Lecz Bush nie lubił być poganiany do podejmowania decyzji i nie był wcale taki pewny, czy podoba mu się, że Hornblower uważa za oczywiste wnioski, do których on doszedł dopiero po namyśle.

— Nad tym też się zastanowię — zdecydował Bush.

— Wspominał mi pobieżnie o jeszcze jednej sprawie, sir. Nie dał określonej propozycji i uznałem, że lepiej jej nie żądać.

— Mianowicie?

Hornblower odczekał chwilę z odpowiedzią i to już stanowiło ostrzeżenie dla Busha, że idzie o rzecz skomplikowaną.

— To problem znacznie ważniejszy niż jeńcy, sir.

— No więc?

— Istnieje możliwość załatwienia kapitulacji, sir.

— Co pan ma na myśli?

— Poddanie, sir. Wycofanie się Diegów z całego tego końca wyspy.

— Wielki Boże!

To była zaskakująca sugestia. Bush z trudem uzmysłowił sobie otwierane przez nią perspektywy. Byłoby to wydarzenie o międzynarodowym znaczeniu; fantastyczne zwycięstwo. Już nie wzmianka w „Gazette”, ale cała strona. Może nagrody, odznaczenia albo i awans. Myśli Busha cofnęły się w nagłej panice, jakby ich tok urwał się nad przepaścią. Im ważniejsze wydarzenie, tym dokładniej będzie badane, tym gwałtowniej krytykowane przez przeciwników. Tu, na Santo Domingo, sytuacja polityczna była skomplikowana. Bush wiedział o tym, chociaż nigdy nie próbował usłyszeć coś więcej na ten temat, a już na pewno nie usiłował jej analizować. Orientował się niejasno, że na wyspie ścierają się interesy Francuzów i Hiszpanów i że zbuntowani czarni, teraz bliscy sukcesu, występowali przeciwko jednemu i drugiemu. Słyszał też coś niecoś o tym, że w parlamencie istniał ruch przeciwko niewolnictwu, którego rzecznicy uporczywie zwracali uwagę na istniejący stan rzeczy. Myśl o tym, że parlament, rząd i sam król mogliby poddać dokładnej analizie jego raporty, przeraziła Busha. Nagrody, o których myślał przed chwilą, były niczym w porównaniu z niebezpieczeństwem, na jakie się wystawiał. Gdyby wdał się w negocjacje kłopotliwe dla rządu, on pierwszy padłby ofiarą — żadna dłoń nie wyciągnęłaby się z pomocą do porucznika, który nie miał ani pieniędzy, ani przyjaciół. Przypomniał mu się przestroch Bucklanda na samą wzmiankę o tej sprawie; tajne rozkazy musiały być drastyczne w tym względzie.

— Niech pan nie ruszy nawet palcem w tej sprawie — ostrzegł Bush. — Ani słowa na ten temat.

— Tak jest, sir. To znaczy, gdy podniesie tę kwestię, mam go w ogóle nie słuchać?

— No... — To mogłoby oznaczać uchylanie się od obowiązku. — Jeśli ktoś powinien się tym zająć, to tylko Buckland.

— Tak, sir. Chciałbym coś zasugerować, sir.

— Cóż takiego? — Bush nie wiedział, czy cieszyć się, czy złościć, że Hornblower ma jeszcze jakąś propozycję. Nie wierzył jednak, że potrafi sam targować się, czy prowadzić pertraktacje; wiedział, że brak mu do tego sprytu i obłudny.

— Jeśli zawrze pan ugodę w sprawie jeńców, trzeba będzie czasu na jej realizację. Powstanie zatem problem wypuszczania ich na słowo honoru. Mogę się wyklócać z nim co do sformułowania parolu. Potem trochę czasu zajmie przewożenie jeńców. Mógłby pan zastrzec, aby do pomostu dobijała tylko jedna łódź naraz — to zwykły środek ostrożności. Przez ten czas „Renown” zdąży wpłynąć do zatoki. Może stanąć na kotwicy tuż za zasięgiem tej drugiej baterii, sir. Droga ucieczki zostanie odcięta, póki my będziemy jeszcze w kontakcie z Diegami i pan Buckland będzie mógł przejąć prowadzenie pertraktacji, jeśli uzna to za właściwe.

— W tym coś jest, co pan mówi — zastanawiał się Bush. Niewątpliwie uwolniłby się w ten sposób od odpowiedzialności, a podobała mu się też myśl o odwlekaniu działania do chwili powrotu „Renown”, przygotowanego do włączenia się z całą swą siłą do walki.

— A zatem upoważnia mnie pan, sir, do pertraktacji na temat wydania jeńców na słowo

honoru? — nalegał Hornblower.

— Tak — odparł Bush, nagle podejmując decyzję. — Ale, panie Hornblower, proszę sobie zapamiętać, nic ponad to. Jeśli panu drogie pańskie stanowisko.

— Tak jest, sir. I chwilowe zawieszenie działań wojennych na okres ich przekazywania, sir?

— Tak — zgodził się Bush niechętnie. Sprawa ta wynikała bezpośrednio z poprzedniej, lecz miała podejrzany posmak, teraz gdy Hornblower wspomniał o możliwości dalszych rokowań.

Dzień chylił się ku wieczorowi. Całą godzinę zajęło targowanie się o formę parolu, na który byliby zwolnieni więźci do niewoli żołnierze. Była już druga, gdy osiągnięto porozumienie, a przedtem jeszcze Bush, stojąc w głównej bramie, pilnował wychodzących przez nią kobiet z zawiniątkami i tobołkami. Łódź nie mogła zabrać ich wszystkich naraz; trzeba było przewieźć je w dwóch ratach, zanim można było przystąpić do wywożenia jeńców, z rannymi na czele. Ku radości Busha, pojawił się wreszcie „Renown” okrążający cypel; z bryzą od morza wpływał dumnie do zatoki.

Ale oto znów nadszedł Hornblower, ze zmęczenia ledwie powłóczący nogami, i zasalutował Bushowi.

— „Renown” nic nie wie o naszym zawieszeniu broni, sir — zauważył. — Zobaczy łódź pełną hiszpańskich żołnierzy i na pewno otworzy do niej ogień.

— Jak możemy go zawiadomić?

— Mówiłem o tym z Ortega, sir. Pożyczmy nam łódź i będziemy mogli przesłać wiadomość na okręt.

— Chyba możemy to zrobić.

Bezsensowność i wyczerpanie doprowadziły Busha do kresu cierpliwości. Przemęczony mózg pracował powoli, toteż gdy zaczął zastanawiać się nad tą ostatnią propozycją, stała się ona ostatnią kroplą, która przepełniła kielich.

— Panie Hornblower — rzekł — pan w ogóle zbyt dużo bierze na siebie. U diabła, ja tu jestem dowódcą.

— Tak jest, sir — odparł Hornblower stając na baczność, a Bush wlepiwszy w niego oczy usiłował zebrać myśli po tym wybuchu złego humoru. Nie ulegało wątpliwości, że trzeba powiadomić „Renown”; gdyby okręt otworzył ogień, byłoby to bezpośrednim naruszeniem uroczystości zawartego porozumienia, w którym on był jedną ze stron.

— Och, niech to wszystko diabli — westchnął Bush. — Proszę robić, jak pan uważa. Kogo pan pošle?

— Mogę popłynąć sam, sir. Powiedziałbym panu Bucklandowi wszystko, co potrzeba.

— Pan myśli o... o... — Bush nie chciał wyraźnie wspomnieć niebezpiecznego tematu.

— O możliwości dalszych pertraktacji, sir — uzupełnił Hornblower normalnym tonem. — Będzie musiał się dowiedzieć prędzej czy później. A póki Ortega jest tutaj...

Wniosek był oczywisty i propozycja rozsądna.

— Dobrze. Chyba lepiej będzie, jeśli pan popłynie. I proszę zapamiętać moje słowa, panie Hornblower, że ma pan bardzo wyraźnie stwierdzić, iż ja nie upoważniłem nikogo do pertraktacji, jakie pan ma na myśli. Ani słowem. Nie mam do tego prawa. Rozumie pan?

— Tak jest, sir.

## Rozdział XII

Trzech oficerów siedziało w pokoju, który był pomieszczeniem oficera dowodzącego fortem Samaná, a że Bush był teraz tu dowódcą, pomieszczenie dalej spełniało swoją dawną rolę. W jednym kącie stało łóżko osłonięte moskitierą; w przeciwległym rogu w skórzanych fotelach siedzieli Buckland, Bush i Hornblower. Lampa zwisająca z belki sufitu napełniała pokój drażniącym zapachem i oświetlała spocone twarze. Było chyba duszniej i goręcej niż na okręcie, ale tu, w forcie, nie musiano przynajmniej pamiętać o obecności obłąkanego kapitana po drugiej stronie grodzi.

— Nie mam najmniejszych wątpliwości — odezwał się Hornblower — że Villanueva, wysyłając do nas Ortegę dla wszczęcia rozmów na temat jeńców, polecił mu wy badać sprawę ewakuacji.

— Trudno mieć pewność co do tego — rzekł Buckland.

— Ależ, sir, niech się pan postawi w sytuacji Ortegi. Czy powiedziałby pan chociaż słówko w tak ważnej sprawie, gdyby nie był pan do tego upoważniony? Gdyby pan nie otrzymał wyraźnego polecenia, sir?

— Nie, nie powiedziałbym — odparł Buckland.

Nikt znający Bucklanda nie wątpiłby w to ani przez chwilę, a dla niego samego argument ten był najbardziej przekonujący.

— Tak więc Villanueva pomyślał o kapitulacji, gdy tylko się dowiedział, że fort został przez nas wzięty i że „Renown” będzie mógł stanąć w zatoce na kotwicy. Widzi pan sam, że tak być musiało, sir.

— Chyba tak — zgodził się niechętnie Buckland.

— A skoro jest gotów rozmawiać o kapitulacji, to musi być tchórzem podszyty albo znajduje się w poważnym niebezpieczeństwie, sir.

— No więc?...

— Z punktu widzenia pertraktacji nie jest rzeczą ważną, czy ta alternatywa jest prawdziwa, sir, czy grozi mu niebezpieczeństwo faktyczne, czy wymaginowane.

— Mówi pan jak prawnik morski — mruknął Buckland. Logicznym rozumowaniem zmuszono go do podjęcia natychmiastowej decyzji, a on nie był skory tego uczynić; próbując oporu użył jednego z najbardziej obraźliwych określeń ze swego słownika.

— Przepraszam, sir — zreflektował się Hornblower. — Nie chciałem okazać braku szacunku. Dałem się ponieść językowi. Oczywiście do pana, sir, należy decyzja, co nakazuje panu obowiązek.

Bush zauważył, że na słowo „obowiązek” Buckland zeszywniał.

— Cóż więc, zdaniem pana, kryje się za tym wszystkim? — zapytał Buckland. Można to było uznać za pytanie grające na zwłokę, ale pozwoliło ono Hornblowerowi wyłuszczać dalej swój pogląd na tę sprawę.

— Sir, Villanueva od miesięcy broni tego krańca wyspy przed powstańcami. Nie wiemy, jaki obszar utrzymuje w swoich rękach, chyba niewielki — pewnie do szczytów tych gór za zatoką. Proch... ołów... krzesiwo... buty... na pewno brakuje mu tego wszystkiego.

— Możliwe — zgodził się Buckland.

— A teraz pan przybył, sir, i odciął go od morza. Nie wie, jak długo tu zostaniemy. Nie wie, jakie ma pan rozkazy, sir.

Hornblower też ich nie zna, pomyślał Bush, a Buckland poruszył się niespokojnie na tę aluzję.

— To nieważne — rzekł.

— Widzi, że jest odcięty, a jego zapasy się kurczą. Jeśli to potrwa, będzie musiał się poddać. Woli więc rozpocząć pertraktacje teraz, kiedy może jeszcze trochę przetrzymać i gdy ma wciąż coś do zaoferowania, niż czekać na ostatnią chwilę i być zmuszony do bezwarunkowej kapitulacji, sir.

— Rozumiem — skinął głową Buckland.

— Będzie wolał przy tym poddać się nam niż czarnym, sir — zakonkludował Hornblower.

— To prawda — przyznał Bush. Wszyscy słyszeli o okrucieństwie zbuntowanych niewolników, którzy od ośmiu lat zlewali ten kraj krwią i palili ogniem. Wszyscy trzej siedzieli w milczeniu, ważąc w myślach znaczenie ostatniego zdania Hornblowera.

— No więc dobrze — przemówił wreszcie Buckland. — Wysłuchajmy, co ten człowiek ma do powiedzenia.

— Czy mam go tu przyprowadzić, sir? Odczekał już swoje. Mogę mu zawiązać oczy.



— Niech pan robi, jak pan chce — westchnął z rezygnacją Buckland.

Z bliska, po zdjęciu chustki z oczu, pułkownik Ortega wyglądał młodziej niż z daleka. Był bardzo szczupły; swój podniszczony mundur nosił z pewną pretensją do elegancji. Mięsień w lewym policzku drgał mu ciągle. Buckland i Bush podnieśli się powoli z foteli, gdy Hornblower przedstawił im nowo przybyłego.

— Pułkownik Ortega twierdzi, że mówi po angielsku — dodał Hornblower.

Hornblower położył leciutki akcent na słówko „twierdzi” i wymawiając je przez moment przytrzymał wzrok na twarzach zwierzchników, ale to wystarczyło jako ostrzeżenie.

— Niech go pan spyta, czego chce — polecił Buckland.

Rozmowa po hiszpańsku miała charakter formalny; wszystkie początkowe uwagi stanowiły ostrożną szermierkę słowną, w trakcie której rozmówca próbował odkryć słabe punkty przeciwnika, a osłonić swoje. Ale nawet Bush wyczuł, kiedy skończyła się wstępna wymiana zdań, a zaczęły konkretne propozycje. Ortega zachowywał się jak ktoś wyświadczający przysługę, a Hornblower jak osoba, której nie zależy, czy przysługa zostanie wyświadczona, czy nie. Wreszcie odwrócił się do Bucklanda i powiedział po angielsku:

— Podaje dosyć rozsądne warunki kapitulacji.

— Jakie?

— Niech pan mu nie da poznać po sobie, co pan o tym myśli, sir. On proponuje swobodne odejście garnizonu. Okrętów — wojska — ludności cywilnej. Zgoda na przejście okrętów na wody hiszpańskie — innymi słowy na Kubę lub Puerto Rico, sir. W zamian za to pozostawią wszystko w stanie nietkniętym. Zapasy wojskowe. Baterię po drugiej stronie zatoki. Wszystko.

— Ale... — Buckland walczył ze sobą, by nie pokazać, co myśli.

— Na razie nic mu istotnego nie powiedziałem, sir — dodał Hornblower.

Ortega obserwował bacznie ich rozmowę, a potem znowu, wyprostowany, trzymając głowę wysoko, przemówił do Hornblowera. Mówił z pasją, ale gest, którym zaakcentował jedną ze swoich uwag — ruch ręką pokazujący wymiotowanie — dziwnie kolidował z jego dumną postawą.

— Mówi, że w przeciwnym razie będzie walczył do ostatka — przerwał Hornblower. — Powiada, że żołnierze hiszpańscy raczej wszyscy polegną, niż wystawią się na hańbę. Twierdzi, że nie możemy już nic więcej im zrobić — innymi słowy, że gonimy ostatkiem sił, sir. I że gdybyśmy chcieli zagłodzić ich na tej wyspie, to i tak nie odważymy się przebywać tu dłużej z powodu żółtej febry — vomito negro, sir.

W zamieszaniu i podnieceniu ostatnich dni Bush zupełnie zapomniał o niebezpieczeństwie żółtej febry. Aby pokryć troskę, którą wzmianka o tej chorobie wywołała na jego obliczu, spieszenie przybrał je w obojętny wyraz. Spojrzawszy na Bucklanda stwierdził, że wyraz jego twarzy zmienił

się identycznie.

— Rozumiem — powiedział Buckland.

To była przerażająca perspektywa. Gdyby chwyciła ich żółta febra, po tygodniu „Renown” mógłby zostać bez dostatka ludzi do obsługi żagli.

Ortega zaczął znów mówić gwałtownie, a Hornblower tłumaczył jego słowa.

— Powiada, że jego żołnierze przebywają tu od urodzenia i nie są tak wrażliwi na żółtą zarazę jak pańscy ludzie. Zresztą wielu, z nim samym włącznie, już ją przeszło, sir.

Bush przypomniał sobie, z jakim naciskiem Ortega pokazywał na siebie przed chwilą.

— Mówi też, że czarni uważają nas za swoich wrogów z powodu zejść na Dominice. Mógłby sprzymierzyć się z nimi przeciwko nam. Wtedy byliby zdolni choćby jutro skierować wojska na fort. Ale proszę, sir, niech pan nie robi miny, jakby mu pan wierzył.

— Do diabła z tym — westchnął Buckland rozdrażniony. Nie był zbyt mocny w historii, nawet współczesnej.

Ortega znów zaczął mówić.

— Powiada, że to jego ostatnie słowo, sir. Honorowa propozycja i że nie ustąpi ani na jotę. Po wysłuchaniu tego, co powiedział, może go pan teraz odesłać i kazać wrócić jutro rano po odpowiedź.

— Bardzo dobrze.

Trzeba było jeszcze wymienić ceremonialne słowa pożegnania. Ortega kłaniał się tak uprzejmie, że Buckland i Bush poczuli się zmuszeni wstać i — acz niechętnie — odwzajemnić mu się. Hornblower znowu zawiązał Ortedze oczy chustką i wyprowadził go.

— Co pan o tym sądzi? — zapytał Buckland Busha.

— Chciałbym to przemyśleć, sir — odparł Bush.

Hornblower wrócił, a oni jeszcze zastanawiali się nad tą sprawą. Spojrzał na obu i zwrócił się do Bucklanda:

— Czy będzie mnie pan potrzebował tej nocy, sir?

— Och, do diabła, lepiej zostań pan. Wie pan o Diegach więcej od nas. Jakie jest pana zdanie na ten temat?

— Niektóre jego argumenty były mocne, sir.

— Ja też tak myślałem — zgodził się Buckland z wyraźną ulgą.

— Czy nie moglibyśmy trochę ich przycisnąć, sir? — zapytał Bush.

Nawet jeśli sam nie miał nic do zaproponowania, był zbyt ostrożny, żeby przyjąć łatwo ofertę obcokrajowca, choćby tak bardzo kuszącą jak ta.

— Możemy wprowadzić okręt do zatoki — zastanawiał się Buckland. — Ale tor wodny jest zdradliwy. Sam pan widział wczoraj.

Dobry Boże! Przecież to dopiero wczoraj „Renown” próbował przedostać się tamtędy pod ogniem rozpalonych pocisków. Buckland spędził dzień stosunkowo spokojnie, toteż wzmianka o dniu wczorajszym nie wydała mu się dziwna.

— Nawet mając tę baterię w naszych rękach znajdziemy się wszyscy pod obstrzałem tej z drugiej strony zatoki — zauważył Buckland.

— Powinno nam się udać przejść, sir — zaprotestował Bush. — Możemy się trzymać tego brzegu.

— A gdy przejdziemy? Podciągnęli swoje okręty z powrotem w głąb zatoki. Ich zanurzenie wynosi sześć stóp mniej niż naszych — jeśli mają trochę rozumu, to odciążą je i przeciągną dalej po płyciźnie. Ładnie będziemy wyglądali, jeśli wejdziemy i okaże się, że oni są poza zasięgiem, a sami wpakujemy się pod obstrzał.

Buckland przeraził się na myśl, że musiałby zameldować o dwóch bezowocnych atakach.

— Wyobrażam to sobie — westchnął Bush zdeprimowanym tonem.

— Jeśli się zgodzimy — odezwał się Buckland, podniecony przedmiotem dyskusji — czarni zajmą cały ten kraniec wyspy. A wtedy korsarze nie będą mogli korzystać z zatoki. Czarni nie mają statków, a nawet gdyby mieli, to nie znajdą dla nich załóg. W ten sposób wykonalibyśmy nasze rozkazy. Nieprawdaż, panie Hornblower?

Bush przeniósł na niego wzrok. Tego ranka Hornblower wyglądał znużony, bo w ciągu dnia nie miał prawie chwili odpoczynku. Twarz miał zmizerowaną, a oczy w krwawych obwódkach.

— Mimo to, sir, moglibyśmy ich trochę przycisnąć — rzekł.

— Jak?

— Pchanie „Renown” w głąb zatoki byłoby ryzykowne. Ale, jeśli pan wyda takie rozkazy, moglibyśmy ich dosięgnąć stąd, z półwyspu, sir.

— Niech mnie kule biją! — wyrwał się Bushowi okrzyk zdziwienia.

— Jakie rozkazy? — zapytał Buckland.

— Gdybyśmy umieścili działo na górnym końcu półwyspu, sir, mielibyśmy w zasięgu drugi koniec zatoki. Nie potrzeba by było podgrzewać kul, mielibyśmy cały dzień, żeby pogruchotać ich w drzazgi, nawet gdyby nie wiem jak zmieniali miejsce zakotwiczenia.

— Moglibyśmy, jak pragnę zdrowia — wykrzyknął Buckland z ożywieniem. — Czy dałby pan radę przeciągnąć tam którąś z tych tu armat?

— Zastanawiałem się nad tym, sir. Ale chyba nie. A w każdym razie nie tak szybko. To dwudziestoczerofuntówki, każda waży dwie i pół tony. Lawety garnizonowe. A my nie mamy koni. Trudno byłoby wciągać je przez te wąwozy, cztery mile albo i więcej, nawet przy pomocy stu ludzi.

— To po co, u licha, całe to gadanie? — rozgniewał się Buckland.

— Nie musimy brać dział stąd — powiedział Hornblower. — Możemy wziąć z okrętu którąś z tych dziewięciofuntówek o długim zasięgu, zamontowanych na dziobie jako pościgówki. One mają zasięg prawie taki sam jak te dwudziestoczerofuntowe.

— Ale jak je tam przewieźć?

Bush domyślił się odpowiedzi, zanim jeszcze Hornblower zaczął mówić.

— Szalupą, sir, z linami i taliami, blisko miejsca, gdzie wylądowaliśmy wczoraj. Zbocze tam strome, a na górze wysokie drzewa, do których można przywiązać liny. Działo da się łatwo wciągnąć. Dziewięciofuntówki ważą tylko tonę.

— Wiem o tym — burknął Buckland.

Zaproponować coś niecodziennego — to jedno, a mówić doświadczonemu oficerowi o sprawach dobrze mu znanych — to zupełnie coś innego.

— Tak, oczywiście, sir. Ale mając już działo dziewięciofuntowe na szczycie zbocza, nie będzie tak trudno przeciągnąć je wzdłuż nasady półwyspu do miejsca, z którego będziemy mieli w zasięgu górną część zatoki. Nie ma tam żadnych wąwozów. Pół mili pod górę, sir, i to niezbyt stromo — i sprawa gotowa.

— A co wtedy?

— Będziemy trzymać tamte statki pod obstrzałem, sir. Tylko dziewięciofuntówką, to prawda, ale nie budowano ich, żeby dostawały tak ciężką szkołę. Wystarczy dwunastu godzin ciągłego obstrzału, żeby pogruchotać je na drzazgi. A może nawet mniej. Można by podgrzewać kule, ale nie będzie potrzeby. Dosyć że otworzymy ogień, sir.

— Jak to?

— Diegowie nie będą wystawiać swoich okrętów na ryzyko, sir. Ortega mówił dużo o zawarciu sojuszu z czarnymi, ale to tylko gadanie, sir. Dać czarnym okazję, a poderzną gardła wszystkim białym, jakich dostaną w swe ręce. I ja nie potępiłbym ich za to — proszę wybaczyć,

sir.

— A więc?

— Te okręty to jedyny sposób ucieczki dla Diegów. Gdy zobaczą, że grozi im zniszczenie, przestraszą się. Będzie to oznaczało poddanie się czarnym, a wtedy zginą wszyscy, co do jednego. Nawet kobiety. Z dwójga złęgo będą woleli poddać się nam.

— Na pewno, jak pragnę zdrowia — wykrzyknął Bush.

— I sądzi pan, że spuszczą z tonu?

— Tak... to znaczy tak myślę, sir. A wtedy pan może podać swoje warunki. Bezwarunkowe poddanie się — dla żołnierzy.

— Mówiliśmy o tym na początku — zauważył Bush. — Jeśli będą musieli się poddać, to będą woleli nam, a nie czarnym.

— Może pan zgodzić się na pewne warunki ratujące ich honor, sir — rzekł Hornblower. — Na przykład, że kobiety mogą być przewiezione na Kubę czy Puerto Rico, jeśli zechcą. Ale na nic poważniejszego. A te okręty staną się naszymi przyzami, sir.

— Niech mnie licho, przyzy! — wykrzyknął Buckland.

Pryzy oznaczały przyzowe, a jako oficerowi dowodzącemu przypadnie mu z tego lwia część. I nie tylko to — pieniądze były być może najmniej ważne — triumfalne wprowadzenie przyzów pod eskortą do portu zrobi znacznie większe wrażenie niż zatopienie ich na morzu, nie na oczach władz. A bezwarunkowa kapitulacja oznaczała coś ostatecznego, dowód, że nie można było odnieść większego zwycięstwa.

— Co pan na to, panie Bush? — spytał Buckland.

— Myślę, że warto spróbować, sir — odparł Bush.

Jego stosunek do Hornblowera stał się fatalistyczny. Przeszła mu już irytacja spowodowana jego aktywnością i pomysłowością. Teraz odnosił się do jego projektów z rezygnacją pomieszaną z podziwem. Bush był wielkoduszny i nie kierowały nim niskie motywy. Widział też taktowny stosunek Hornblowera do swego przełożonego i był nawet trochę zazdrosny o ten tek potrzebny takt. Przyznał w myślach, że chociaż nie był zachwycony perspektywą przyjęcia warunków Ortegi, nie potrafił, jak Hornblower, wymyślić, jak spowodować modyfikację tych warunków. Bush przyznał przed sobą, że Hornblower jest świetnym młodym oficerem; sam nie miał pretensji do świetności. A teraz uczynił ostatni krok i przewyciężył podejrzliwość wobec czyjejś doskonałości. Zdecydował się porzucić swą zwykłą ostrożność i wypowiedzieć swoją opinię w sposób zdecydowany.

— Sądzę, że pan Hornblower zasługuje na pełne zaufanie — rzekł.

— Oczywiście — potwierdził Buckland, lecz leciutki ton zdziwienia w jego głosie

wskazywał, że tak całkiem nie jest tego pewny. Zmienił też zaraz temat: — Zaczynamy jutro... każe spuścić obie szalupy, jak tylko załoga skończy śniadanie. W południe... O cóż panu znowu chodzi, panie Hornblower?

— No więc, sir...

— Dalej. Mów pan.

— Jutro rano wróci Ortega, żeby usłyszeć nasze warunki, sir. Myślę, że wstanie o świcie albo niewiele później. Zje jakieś śniadanie. Potem zamieni parę słów z Villanuewą i wyruszy do nas. Będzie tu, gdy wybiją osiem szklanek. No, może troszkę później.

— Kogo obchodzi, kiedy Ortega je śniadanie? Po co to puste gadanie?

— Ortega przybywa tu rano na czas wybijania dwóch szklanek. Jeśli zobaczy, że nie straciliśmy ani chwili, jeśli będę mógł mu powiedzieć, sir, że pan absolutnie odrzuca jego warunki i gdy do tego pokażemy mu działo już zamontowane i zagrozimy, że otwieramy ogień po upływie godziny w wypadku odmowy bezwarunkowej kapitulacji, zrobi to na nim znacznie silniejsze wrażenie.

— To prawda, sir — wtrącił Bush.

— W przeciwnym razie nie pójdzie nam tak łatwo, sir. Będzie pan musiał grać na zwłokę przez czas ustawiania działa lub uciec się do pogroźek. Trzeba będzie mu powiedzieć, że j e ś l i się nie zgodzi, zaczniemy windować armatę. W jednym i drugim wypadku, sir, zostawia mu pan czas. Może obmyślić inne wyjście. Pogoda może się zmienić na gorszą, może zerwać się nawet huragan. Ale jeśli się upewni, że nie zniesiemy żartów, sir...

— Tak trzeba z nimi postępować — zawtórował Bush.

— Ale nawet gdybyśmy zaczęli o świcie... — rzekł Buckland i dopiero po wypowiedzeniu tych słów zaświtała mu w głowie druga możliwość. — Sądzi pan, że powinniśmy zabrać się do dzieła już teraz?

— Mamy przed sobą całą noc, sir. Zdaży pan kazać opuścić łodzie i załadować armatę na jedną z nich. Przygotować stropy, liny, jakieś podpory do transportu działa. Wywołać załogę...

— I wyruszyć o świcie!

— O świcie łodzie mogłyby czekać za półwyspem na wschód słońca. Z okrętu mógłby pan wysłać ludzi ze stu sążniami liny. Wyruszyliby ścieżką, zanim się rozwidni. To oszczędziłoby czasu.

— Oczywiście, niech mnie kule! — zawtórował Bush; nie miał trudności z uzmysłowieniem sobie problemów natury morskiej związanych z wciąganiem armaty po urwistym zboczu.

— Już teraz brak nam ludzi na okręcie — zaproponował Buckland. — Będę musiał wywołać obie wachty.

— Nic im się nie stanie, sir — powiedział Bush. Nie spał już dwie noce, a przed sobą miał perspektywę trzeciej, również bezsennej.

— Kogo mam posłać? Musi to być odpowiedzialny oficer dowodzący. I do tego dobry marynarz.

— Ja pójdę, jeśli pan pozwoli, sir — zaofiarował się Hornblower.

— Nie. Pan musi tu być, żeby rozmawiać z Ortega. Jeśli wyślę Smitha, zostanę bez porucznika na okręcie.

— Może mnie pan wyśle, sir? — zaproponował Bush. — To znaczy jeśli zostawi pan tu pana Hornblowera jako dowodzącego.

— Mmm... — mruknął Buckland. — No cóż, nie widzę innego rozwiązania. Czy mogę polegać na panu, panie Hornblower?

— Zrobię wszystko, co w mojej mocy, sir.

— Zastanówmy się... — zwlekał Buckland.

— Mógłbym wrócić z panem na okręt pańską łodzią, sir — zaproponował Bush. — W ten sposób nie stracimy czasu.

Dla Busha to pobudzenie starszego rangą oficera do czynu było rzeczą nową, ale szybko uczył się tej sztuki. Fakt, że wszyscy trzej jeszcze niedawno byli spiskowcami, ułatwiał sprawę; lody zostały przełamane, gdy tylko raz Buckland pozwolił podwładnym służyć sobie radą, a w miarę powtarzania się sytuacji przychodziło im to coraz łatwiej.

— Tak, myślę, że mógłby pan — zgodził się Buckland i Bush wstał spiesznie, tak że i Bucklandowi nie pozostało nic innego, tylko uczynić to samo.

Bush przebiegł wzrokiem po wymiętej postaci Hornblowera.

— Niech pan słucha, panie Hornblower — przemówił. — Proszę się przespać. Panu tego potrzeba.

— O północy, sir, przejmuję służbę oficera wachtowego po Whitingu — wyjaśnił Hornblower — i muszę obejść posterunki.

— Może to i prawda. Ale mimo to zostaje panu dwie godziny przed północą. Niech się pan wtedy zdrzemnie. I niech Whiting zmieni pana znowu, gdy wybiją osiem szklanek.

— Tak jest, sir.

Na samą myśl o śnie, którego tak potrzebował, Hornblower zachwiał się ze zmęczenia.

— Można by, sir, nakazać mu odpoczynek — zwrócił się Bush do Bucklanda.

— Co? Ach, tak, proszę odpocząć, jak tylko będzie pan mógł, panie Hornblower.

— Tak jest, sir.

Bush ruszył stromą ścieżką w dół za Bucklandem, w stronę pomostu łodziowego i usiadł obok niego w łodzi na ławce rufowej.

— Nie mogę rozgryźć tego Hornblowera — odezwał się Buckland w pewnej chwili z lekką irytacją, gdy płynęli do stojącego na kotwicy „Renown”.

— To dobry oficer, sir — odrzekł Bush, lecz powiedział to tonem świadczącym o niepełnej świadomości rzeczy. Obmyślał już sposób wciągnięcia dziewięciofuntowej armaty po stromym zboczu i wybierał niezbędny sprzęt oraz układał brzmienie rozkazów. Dwie ciężkie kotwice — nie zwykłe kotwiczki łodziowe — dla pewnego zakotwiczenia boi. Trzeba będzie podeprzeć mocniej ławy, aby wytrzymały ciężar działa. Ruchome bloki. Stropy — przy ostatecznym wciągnięciu bezpieczniej będzie zawiesić armatę na jej tylnym uchu i bocznych czopach.

Bush nie należał do ludzi znajdujących przyjemność w teoretycznych rozważaniach. Zaplanować wypad; postawić się w wyobraźni w położeniu nieprzyjaciela i iść torem jego myśli; wymyślać nieoczekiwane fortele — wszystko to przekraczało jego możliwości. Lecz gdy przyszło radzić sobie z konkretnym problemem, prostą sprawą, jak liny i talie oraz ich wytrzymałość, a więc z konkretnymi zagadnieniami z dziedziny praktyki żeglarskiej — miał do dyspozycji swoje wieloletnie doświadczenie obok wrodzonych zdolności w tym kierunku.

### Rozdział XIII

— Napiąć liny! — polecił Bush stojąc na krawędzi urwiska i spoglądając daleko, daleko w dół, gdzie unosiła się na wodzie szalupa przycumowana do boi, z zakotwiczoną rufą dla zapewnienia stałego położenia. Dwie liny, czarne na tle błękitnej wody Atlantyku, opadały z urwiska do boi niemal prostopadle, z leciutkim tylko wygięciem. Poeta mógłby dostrzec piękno i dramatyzm w tych nitkach pajęczych przecinających powietrze, lecz Bush widział jedynie liny i białą flagę sygnalizującą z szalupy w dole, że wszystko gotowe do wciągania. Bloki skrzypiały przy napinaniu liny.

— A teraz z czuciem — komenderował Bush. Zadanie było zbyt ważne, by można je było powierzyć panu midszypmenowi Jamesowi, który stał obok. — Wciągać. Z wyczuciem.

Obciążone bloki wydały teraz inny dźwięk. Zmieniało się też wygięcie lin, które w miarę jak działo zaczęło się podnosić z podpór na ławach szalupy, z łagodnego łuku przeszło w ostre załamanie. Bush, z lunetą u oczu, ujrzał, jak działo drgnęło, poruszyło się i powoli — a to miał Bush na myśli mówiąc w języku żeglarskim „Z czuciem” — stanęło na sztorc i zaczęło się odrywać od łodzi, by zawisnąć na stropach, przesuniętych przez tylne ucho i okręconych na czopach, właśnie w chwili, gdy Bush przeniósł na nie swój wzrok. Wisiało dosyć pewnie — gdyby stropy pękły lub ześliznęły się, armata spadłaby do szalupy przedziurawiając jej dno. Lina założona na lufę



zapobiegała zbyt silnemu kołysaniu się działa.

— Wciągać — powtórzył Bush i ruchomy blok zaczął nawijać linę z podwieszoną na końcu armatą. Był to następny krytyczny moment, gdy trzeba było ciągnąć prawie poziomo. Ale wszystko szło dobrze.

— Podnosić!

Teraz działło wjeżdżało na linie w górę. Za rufą łodzi przychyliło się w czasie naprężania się liny i niemal zanurzyło się lufą w morzu. Ale wciąganie posuwało się systematycznie naprzód i działło coraz bardziej oddalało się od powierzchni wody; krążki linowe buczały rytmicznie w blokach, w miarę jak marynarze wybierali linę. Wschodzące słońce oświetlało ich poziomymi promieniami, rzucając niewiarygodnie długie cienie postaci ludzkich i drzew na nierówną powierzchnię płaskowzgórza.

— Hej, tam, przestać ciągnąć! — zawołał Bush. — Mocować!

Działło było już u krawędzi urwiska.

— Przesunąć nosze w tamtą stronę o parę stóp. Już, opuszczać na pozycję. Niżej. Dobrze. Odrzucić liny.

Działło, kawał brązu długości ośmiu stóp, legło na rozłożonych pod nim noszach linowych. Był to kawałek sieci uplecionej z mocnych lin, od której, przywiązane mocnymi węzłami do części środkowej, odchodziło w bok dwadzieścia, a może i więcej lin, każda oddzielnie ułożona na ziemi.

— Najpierw postawimy je na miejsce. Żołnierze, niech każdy złapie za linę.

Trzydziestu przysłanych tu z fortu przez Hornblowera żołnierzy piechoty morskiej w czerwonych uniformach podeszło do linowych noszy. Podoficerowie rozstawili ich odpowiednio, a Bush sprawdził, czy wszyscy są tam, gdzie być powinni.

— Liny chwyć!

Lepiej było zadać sobie trochę trudu i na początku sprawdzić dokładność wyważenia, niż narażać się na ryzyko, że ciężka masa metalu stoczy się z noszy i trzeba będzie z wielkim wysiłkiem wtaczać ją z powrotem na miejsce.

— A teraz, na moje słowo, wszyscy razem. W górę!

Zgodnym wysiłkiem dźwignęto działło o stopę nad ziemię.

— Naprzód, marsz! Dajcie spokój, sierzancie.

Sierzant zaczął podawać takt, lecz na nieregularnym gruncie, gdy każdy dźwigał ciężar osiemdziesięciu funtów, lepiej było, aby nie szli w nogę. ,

— Stop! Postawić!

Działo zbliżyło się o dwadzieścia stóp w kierunku pozycji wybranej dla niego przez Busha.

— Dalej, sierzancie. Niech idą. Nie za prędko.

Żołnierze nie byli maszynami, ale żywymi stworzeniami, podatnymi na zmęczenie. Należało oszczędzać ich siły. W czasie gdy taszczyli działo z takim trudem na grzbiet oddalony o pół mili, marynarze przenosili tam z szalupy resztę ładunku, nie tak trudnego do wciągania jak działo. Łoże w porównaniu z samą armatą ważyło tyle co piórko, a siatki, każda z dwudziestoma dziewięciofuntowymi kulami, też nie nastroczały szczególnych trudności. Dostarczono wyciory i pręty do przybitek, po dwa na wszelki wypadek, przybitki, a potem ładunki. Zawierając zaledwie po dwa i pół funta prochu wydawały się leciutkie w porównaniu z ładunkami ośmioletowymi, do których przywykł Bush na dolnym pokładzie działowym. Na końcu szły ciężkie kłody drewniane przeznaczone na ustawienie z nich równego pomostu dla obsługi dział. Z nimi były pewne trudności, ale gdy czterech wzięło taką kłodę na ramiona, można ją było wnosić dość szybko po łagodnym stoku, wyprzedzając biednych żołnierzy, którzy zrani potem przenosili działo kawałek pod górę, stawiali, podnosili i tak się posuwali w kierunku szczytu.

Bush przystanął na moment na skraju urwiska, sprawdzając z pomocą Jamesa stan zapasów. Lonty zwykłe i wolnotłące, spłonki i tuleje, beczułki ze słodką wodą, łomy, młotki i gwoździe — wszystko było, czego potrzeba; nie tylko jego zawodowa reputacja, ale i poczucie własnej wartości zależało od tego, czy czegoś nie przeoczył. Dał znak chorągiewką i otrzymał odpowiedź z szalupy. Druga szalupa odrzuciła cumę i wciągnąwszy kotwicę ruszyła za poprzednią, by opłynąwszy cypel Samaná wrócić na „Renown” — na okręcie na pewno odczuwają ogromny brak rąk do pracy w związku z nieobecnością załóg łodzi. Lina przymocowana wysoko do drzewa, pod którym stał Bush, zwisała chwilowo beczynnym ku boi. Bush nawet na nią nie spojrział. Teraz mógł już udać się na szczyt wzgórza i poczynić przygotowania do akcji bojowej. Rzut oka na słońce wystarczył mu, by stwierdzić, że od świtu minęło już prawie trzy godziny.

Zorganizował ostatnią grupę transportową i ruszył w górę. Gdy stanął na szczycie, otworzył mu się w dole widok na zatokę. Przyłożył lunetę do oczu: trzy okręty stały na kotwicy i strzał armatni z miejsca, gdzie stał, mógł je dosięgnąć bez trudu. A gdy przesunął lunetę w lewo, daleko w dali dojrzał dwie plamki flag powiewających nad fortem — wzniesienie lądu zasłaniało sam budynek fortu. Zatrzasnął futerał lunety i przystąpił do wybrania równego kawałka gruntu do ułożenia kłód na pomost dla dział. Już marynarze niosący najłżejsze ładunki otoczyli go, gadając i gestykulując z ożywieniem, aż uciszył ich groźnym mruknięciem.

Młotki zadzwieczały na gwoździach przy przybijaniu poprzeczek łączących kłody pomostu. Nie ustali w pracy, dopóki wspólnym wysiłkiem sześciu ludzi nie ustawiono na nim łoża dział. Przymocowali talie i przed zaklinowaniem lawet sprawdzili, czy ich kółka łatwo się toczą. Potykając się, nadchodzili żołnierze piechoty morskiej, spoceni i stękający pod potwornym ciężarem. Teraz nadszedł czas na najbardziej skomplikowaną część zadania, jakie mieli wykonać tego ranka. Bush rozmieścił najlepszych ludzi przy linach nośnych i z każdej strony postawił godnego zaufania podoficera, aby pilnował utrzymywania równowagi.

— W górę i dalej.

Działo spoczęło na pomoście obok łoża.

— W górę! Podnosić! Wyżej! Jeszcze wyżej! Podnosić, do diabła!

Ludzie stękając i jęcząc dźwigali działo w górę.

— Tak trzymać! Trochę do tyłu, wy z prawej! Równo z nimi, wy po lewej! W górę! obróćcie przód! Ostrożnie!

Trzymali działo w noszach z lin nad łożem, wyrównując je według wskazówek Busha.

— A teraz do tyłu w moją stronę. Równo! Niżej! Pomału, do diabła! Z wyczuciem! Trochę do przodu! Znowu w dół!

Działo opadło na swoje miejsce na łożu, ale czopy nie trafiły dokładnie w otwory i zamek nie znalazł się we właściwym położeniu.

— Berry! Chapman! Przytrzymać! Handszpaki pod czopy! Przesuwać powoli!

Tona metalu jakby z protestem dała się ustawić na łożu, czopy weszły w otwory i zamek wsunął się dobrze na swoje miejsce. Kilku marynarzy zaczęło rozsupływać węzły, żeby można było wyciągnąć nosze linowe spod działa, a Berry, pomocnik artylerzysty, już założył nakrętki na czopy i armata stała się z powrotem armatą, żywą machiną bojową, a nie martwym blokiem żelaza. Na skraju pomostu gromadzono już kule.

— Odsuńcie te ładunki dalej! — polecił Bush obsłudze.

Nie miał zamiaru trzymać materiału wybuchowego bliżej działa, niż to było konieczne. Berry klęczał na pomoście z krzesiwem i kawałkiem stali, próbując złapać iskrę na hubkę, od której zapali się wolnotłący lont. Bush otarł pot spływający mu strumieniem po twarzy i karku; czuł się tak, jakby on także uczestniczył w fizycznym wysiłku przesuwania i dźwigania działa. Spojrzał na słońce, aby się zorientować, która godzina; nie był to jeszcze moment na odpoczynek.

— Załoga działa wstąp! — rozkazał. — Załadować i wytoczyć!

Przyłożył oko do lunety.

— Celuj do szkunera — powiedział. — Dokładnie! Lawety piszczały w miarę obracania armaty łomami.

— Działo załadowane, sir! — zameldował działonowy.

— A więc ognia!

Armata puknęła ostro i wyraźnie, a odgłos jej wybuchu był wyższy niż ogłuszający ryk

masywnych dwudziestoczworofuntówek. Echo musiało odbić się w całej zatoce. Nawet jeśli tym razem strzał nie był celny, to ci na okrętach rozumieją, że następny czy jeszcze jeden trafi na pewno. Patrząc na wysoki brzeg przez spieszenie nastawiane lunety zobaczą smugę dymu rozwiewającą się powoli wzdłuż krawędzi zbocza i pojmą, co ich czeka. Na brzegu południowym Villanueva usłyszy huk i zrozumie, że dla mężczyzn pod jego dowództwem i kobiet pod jego opieką nie ma już drogi ucieczki. Niemniej jednak przez teleskop Bush nie dojrzał, gdzie upadł pocisk.

— Załadować znowu i ognia. Dobrze celować.

Podczas gdy obsługa ładowała działo, Bush patrzył przez lunetę na bandery nad fortem, aż działonowy krzyknął, że są gotowi. Armata huknęła i Bushowi zdawało się, że widzi przelotną czarną linię toru pocisku.

— Bijecie za wysoko. Wsuńcie kliny i zmniejszcie podniesienie. Spróbujcie jeszcze raz!

Znowu zwrócił wzrok na bandery. Powoli znikają mu z oczu. Teraz pokazały się znowu, trzepotały przez chwilę na maszcie i ponownie opadły. Gdy znów się podniosą, zostaną na swoim miejscu. Taki był umówiony sygnał. Dwukrotne opuszczenie flag znaczyło, że strzał został usłyszany w forcie i wszędzie gdzie indziej i że wszystko w porządku. Teraz zadaniem Busha było powoli zakończyć serię dziesięciu wystrzałów. Śledził każdy uważnie; wyglądało, że szkuner dostał. Kule dziewięciofuntowe przebijały kruche nadbudówki, rozbijając je i niszcząc, siejąc wokół fontanny odłamków.

Przy ósmym strzale coś zawyło w powietrzu jak upiór, dwa jardy nad głową Busha, wydając urywany jęk, który nagle ucichł za jego plecami.

— Cóż to było, u licha? — zdziwił się Bush.

— Armata się odetkała, sir — wyjaśnił Berry.

— Boże... — Bush, nie panując nad sobą, bluznął histerycznie stekiem przekleństw. Był to szczytowy punkt dni i nocy napięcia i wysiłku, najgorszy cios, jaki można było sobie wyobrazić; sukces, który był tuż, tuż, teraz się wymykał. Nie można było dać poznać marynarzom, że on, oficer, tak bardzo to odczuł. Opanował się, przerwał potok złorzeczeń i poszedł obejrzeć działo.

Uszkodzenie widać było jak na dłoni. Otwór w zamku armaty, szczególnie armaty z brązu, jest zawsze słabym jej punktem. Po każdym strzale część podmuchu powietrza przedostawała się przez otwór, a ciśnienie rozgrzanego gazu i nie zużytych ziarenek prochu powodowało erozję brzegów otworu, poszerzając go, co zmniejszało moc i skuteczność pracy całego działa. W takim wypadku trzeba było armatę „zatkać”. Należało, zaczynając od cieńszego końca, przepchać przez całą długość otworu lontowego stożkową zaślepkę przewierconą w środku i zaopatrzoną w kołnierz u podstawy. Otwór w zaślepkę służył wówczas za nowy otwór lontowy; wybuchy działa wbijały zaślepkę coraz głębiej, aż i ona zaczynała słabnąć i ulegać uszkodzeniu i przechodziła na wylot przez otwór, gdy przytrzymujący ją kołnierz zetlił się w żarze wybuchów. I sama w końcu wypadała, jak to miało teraz miejsce.

Bush patrzył na duży otwór w zamku, szeroki na cal; gdyby przy tym stanie działa strzelano dalej, połowa wybuchu szłaby tędy. Zasięg zmniejszyłby się co najmniej o połowę, a otwór powiększałby się dalej po każdym następnym wybuchu.

— Czy macie nową zaślepkę do otworu lontowego? — zapytał.

— Zaraz, sir... — Berry zaczął przeszukiwać kieszenie, grzebiąc w ich przeróżnej zawartości i gapiąc się bezmyślnie w niebo, podczas gdy Bush wrzał z niecierpliwości. — Tak, sir.

Po chwili, długiej jak wieki, Berry podał korek z żeliwa, tak potrzebny w tej chwili.

— Masz szczęście — mruknął ponuro Bush. — Załóż go i nie trać więcej czasu.

— Tak jest, sir. Muszę go podpłować, żeby pasował, sir. Dopiero wtedy można go będzie założyć.

— Do roboty i przestań gadać. Panie James!

— Sir!

— Niech pan biegnie do fortu. — Bush odszedł na parę kroków od działa, żeby go nie słyszeli ludzie z obsługi. — Proszę powiedzieć panu Hornblowerowi, że działo się odetkało. Dopiero za godzinę będziemy mogli znowu podjąć ogień. Oddam trzy strzały, gdy już działo będzie gotowe, a on niech potwierdzi, jak uzgodniliśmy poprzednio.

— Tak jest, sir.

W ostatniej chwili Bush coś sobie przypomniał.

— Panie James! Niech nikt nie słyszy, jak pan będzie składał swój raport. Ten Hiszpan, jak-mu-tam, nie może się dowiedzieć o niczym. Bo będzie z panem krucho.

— Tak jest, sir.

— W drogę!

Pan James będzie musiał długo biec w tym upale; Bush śledził go wzrokiem przez chwilę, a potem wrócił do działa. Berry wybrał pilnik z zawiniątka z narzędziami i usiadłszy na tylnym stopniu armaty zabrał się do piłowania korka. Bush przysiadł na skraju pomostu. Złość z powodu popsucia się armaty równoważyło zadowolenie z własnej dyplomacji. Był rad, iż zdążył ostrzec Jamesa, aby nie dał Ortedze poznać sekretu. Obsługa zaczęła gar dać i zbytkować; jeszcze parę minut, a rozpełzną się po półwyspie. Bush podniósł głowę i krzyknął:

— Cicho tam! Sierzancie!

— Sir!

— Proszę wystawić czterech wartowników. Narysujcie linie ze wszystkich czterech stron. I niech nikt nie odważy się przekroczyć ich pod jakimkolwiek pozorem.

— Tak jest, sir.

— Każcie reszcie swoich ludzi usiąść. Załoga działa! Siadać i przestać strzępić języki jak banda portugalskich przekupniów.

Słońce grzało silnie, a zgrzyt pilnika Berry'ego działał nawet kojąco. Ledwo Bush zamilkł, a już senność i zmęczenie wzięły górę nad nim; oczy zamknęły się i broda opadła na piersi. Po sekundzie spał; po trzech już się obudził — wszystko wirowało wokoło i Bush osunął się na bok. Patrzył, mrugając powiekami, na nierealny świat; mrugając zaczął znowu zapadać w sen i trudno mu było utrzymywać się w pozycji siedzącej. Pomyślał, że oddałby wszystko na tym i innym świecie, żeby się móc położyć spokojnie na boku i zapaść w sen. Zwalczył jednak pokusę; był tu jedynym oficerem i zawsze mogło zajść coś niespodziewanego. Przeciągnął się, potoczył wokoło spojrzeniem, ale zaraz powieki zaczęły mu opadać na oczy. Mógł zrobić tylko jedno. Wstał, chociaż stawy protestowały przeciwko temu, i rozpoczął spacer po pomoście działowym, tam i z powrotem, spływając potem pod żarem słońca — gdy tymczasem, ku jego zazdrości, żołnierze obsługi działa szybko zapadłszy w sen leżeli w różnych pozycjach, jak świnie w chlewie, a Berry — szur-szur-szur — wodził pilnikiem po zatyczce. Minuty się wlokły, słońce wznosiło się coraz wyżej. Berry przerwał, przymierzając zatyczkę do otworu lontowego i znowu wrócił do roboty; zrobił jeszcze jedną przerwę na oczyszczenie pilnika, a Bush za każdym razem kierował na niego pełne rozczarowania spojrzenie i znowu pogrążał się w myślach o śnie.

— Teraz jest akurat, sir — oznajmił w końcu Berry.

— Więc zakładaj, do diabła — odpowiedział Bush. — Załoga działa, wstawać! Nuże, zbudźcie się!

Bush kopał chrapiących, a Berry wyjął tymczasem z kieszeni kawałek nici żaglowej i flegmatycznie — co Busha doprowadzało do szału — zabrał się do związywania jednego końca w pętlę, którą wpuścił do otworu lontowego. Potem wziął zakrzywiony pręt do przybitek, przeszedł do lufy działa i przykucnąwszy przy niej zaczął przepychać pręt przez całą długość ośmiostopowego otworu, usiłując złapać pętlę na hak. Obracał nim na różne strony i wyciągał, a nic dalej zwisała z otworu. Ale wreszcie udało się go zahaczyć. Nic wsunęła się do środka i po wyjęciu pręta z lufy pętla była zaczepiona na jej końcu. Głęboko się zastanawiając, Berry zaczął ją rozsypywać, a potem koniec nici wepchnął w otworek zaślepki i zamocował koniec do małej przetyczki, którą też wyszukał w kieszeni. Opuścił zaślepkę w lufę i wrócił do zamka, pociągnął za nic i zaślepka z grzechotem wsunęła się na miejsce w otworze lontowym z ostrym stuknięciem, które wszyscy usłyszeli. Minęło jednak jeszcze parę minut, zanim Berry, gmerając przy zaślepce, założył ją jak należy, cieńszym końcem w otworze, i skinął na działonowego, żeby ją zamocował nicią. Następnie wziął przybijak i z niezwykłą ostrożnością wpychał go w lufę, aż umieściwszy go jak należy mógł nacisnąć rączkę w dół. Na gest Berry'ego marynarz przyniósł młotek i zaczął uderzać w trzymaną mocno przez Berry'ego rączkę. Po każdym uderzeniu zaślepka stawała się coraz bardziej widoczna w otworze lontowym, za każdym razem przesuwając się o jedną ósmą cala, aż utkwiała w nim dostatecznie mocno.

— Gotowe? — spytał Bush, gdy Berry gestem odprawił marynarza.

— Nie całkiem, sir.

Berry wyciągnął przybijk i przeszedł znów wolno do zamka. Obejrzał zaślepkę, przechylając głowę to na jedną, to na drugą stronę, jak pies nad dziurą, w której schował się szczur. Wydawał się zadowolony, ale znowu przeszedł do lufy i wziął pręt do przybitek. Bush skierował wzrok na widnokrąg, aby się mniej niecierpliwić; tam gdzie majaczył fort, pojawiła się maleńka postać zdążająca w ich kierunku. Bush przyłożył lunetę do oka. Postać w białych spodniach to szła, to znowu biegła, machając ręką, jakby chciała zwrócić na siebie uwagę. To mógł być Wellard; Bush był prawie pewien, że to on. Tymczasem Berry jeszcze raz zahaczył o nić i wyciągnął ją. Odciął nożem przetyczkę do nici i wrzucił ją do kieszeni, a potem, jakby miał nie wiadomo ile czasu, wrócił do zamka i zwinął nić żaglową.

— Dwa strzały z jedną trzecią ładunku powinny wystarczyć, sir — oznajmił. — Będzie siedział...

— Możemy poczekać z tym jeszcze parę minut — przerwał mu Bush z gniewnym zadowoleniem, że może temu zarozumiałemu specjaliście pokazać, iż nie wszystkie jego decyzje muszą być traktowane jak ewangelia.

Wellard zobaczył ich już i biegł potykając się na nierównej powierzchni terenu. Dysząc ciężko dopadł do działa, z twarzą zlaną potem.

— Proszę pana... — zaczął. Bush już miał skarcić go ostro za niewłaściwą postawę, lecz Wellard uprzedził go. Obciągnął mundur, poprawił śmieszny kapelusik na głowie i wystąpił do przodu tak sztywno i dokładnie, jak mu na to pozwoliły rozdęte płuca. — Pan Hornblower przesyła pozdrowienia, sir — przemówił, salutując.

— Tak, panie Wellard?

— Prosi, żeby pan nie otwierał ognia, sir.

Wellard dyszał gwałtownie i tyle tylko potrafił na razie wydusić z siebie. Pot zalał mu oczy, lecz on stał dalej po męsku na baczność nie zwracając na to uwagi.

— A dlaczegoż to, panie Wellard?

Nawet Bush domyślał się odpowiedzi, lecz zadał to pytanie, ponieważ chłopiec zasłużył sobie na poważne potraktowanie.

— Diegowie zgodzili się skapitulować, sir.

— Boże! A te okręty?

— Będą naszymi przyzami, sir.

— Hurra! — wrzasnął Berry, wyrzucając ramiona w górę.

Pięćset funtów dla Bucklanda, pięć szylingów dla Berry'ego, lecz przyzowe zawsze stanowiło powód do radości. A ponadto było to zwycięstwo, zniszczenie gniazda pirackiego, wzięcie w niewolę pułku hiszpańskiego, bezpieczeństwo dla konwojów przechodzących przez cieśninę Mona. Wystarczyło zamontować działo nad kotwicowiskiem, żeby Diegom wrócił rozsądek.

— Bardzo dobrze, panie Wellard, dziękuję panu — rzekł Bush.

Wellard mógł teraz odstąpić do tyłu i otrzeć pot z oczu, a Bush zaczął się zastanawiać, jakie jeszcze wydarzenie, teraz, po kapitulacji, może pozbawić go spoczynku tej nocy.

## Rozdział XIV

Bush stał na pokładzie rufowym „Renown” u boku Bucklanda, z lunetą skierowaną na fort.

— Oddział odpływa stamtąd — powiedział, dodając po chwili: — Łódź odbija od pomostu.

„Renown” stał na kotwicy w zatoce Samaná, a tuż przy nim trzy przyzy. Wszystkie cztery jednostki były zapchane jeńcami, którzy poddali się sami, żagle miały gotowe do luzowania na sygnał z „Renown”.

— Łódź odpłynęła już kawał — ciągnął Bush. — Zastanawiam się... ach!

Nad fortem na grzbiecie wzgórza pojawiła się wielka fontanna dymu, w której można było rozróżnić fruujące odłamki muru. W chwilę później doleciał huk wybuchu. Dwie tony prochu strzelniczego, zapalone za pomocą wolnotłącego lontu podpalonego przez oddział wysłany do zniszczenia fortu, zrobiły swoje. Szańce i bastiony, wieża i pomost działowy — wszystko zostało obrócone w ruinę. U stóp zbocza opadającego stromo ku wodzie leżały szczątki armat z oderwanymi czopami, rozdartymi lufami i zabitymi kołkami otworami lontowymi; gdy powstańcy nadejdą zająć teren, nie będą mogli zapewnić zatoce obrony — druga bateria na cyplu za wodą została już wysadzona w powietrze.

— Zniszczenie jest chyba kompletne, sir — zauważył Bush.

— Tak — zgodził się Buckland, z oczyma przy lunecie, obserwując ruiny wynurzające się spoza dymu i pyłu.

— Wyjdziemy w morze, jak tylko łódź zostanie wciągnięta na pokład.

— Tak jest, sir — odpowiedział Bush.

Po ustawieniu łodzi na legarach marynarze pośpieszyli do kabestanu i wybrali kotwicę, a potem zlurowali żagle. Grotmarsel zapracował wstecz i okręt począł cofać się nieco, a potem, przy sterze wychylonym na burtę, z marynarzami na szotach kliwrów przeszedł linię wiatru. Zbrasowane marsie chwyciły wiatr, w miarę jak sternik szybko przebierał szprychami koła sterowego, i już „Renown”, posłuszny sterowi, sunął lekko po wodzie, przechylany nieco przez wiatr, z falami



tańczącymi pod dziobnicą, aby idąc bejdewindem opłynąć po nawietrznej cypel Engaño. Ktoś na dziobie wznosił okrzyk, a po chwili cała załoga darła się jak opętana, gdy „Renown” opuszczał teren, gdzie odniósł zwycięstwo. Pryzy także wypłynęły już w morze i ich załogi podjęły radosny okrzyk. Bush przez lunetę dostrzegł Hornblowera na pokładzie „La Geditany”, dużego przyzu z ozagłowaniem fregaty, machającego kapeluszem ku „Renown”.

— Sprawdzę, czy pod pokładem wszystko dobrze zabezpieczone, sir — rzekł Bush.

Przed mesą midszypmenów stały posterunki żołnierzy, z bagnetami na broni i nabitymi muszkietami. Gdy Bush przystanął nasłuchując, z mesy dobiegła go gwałtowna paplanina. Na tej małej przestrzeni stłoczono pięćdziesiąt kobiet i prawie tyleż dzieci. To nie było dobrze, ale musiano przetrzymać je w zamknięciu, dopóki okręt nie wyruszy w drogę. Potem będzie je można wypuszczać na pokład, może grupkami, żeby się przeszły i zaczerpnęły powietrza. Luki w dolnym pokładzie działowym były zabezpieczone kratownicami i przy każdym stała warta. Przez kratownice bił odór ciał ludzkich; zamknięto tam czterystu żołnierzy hiszpańskich w warunkach nie lepszych niż na statku niewolniczym. Przebywali tam zaledwie od świtu, a już czuło się ten smród. Im także, podobnie jak niewiastom, trzeba będzie umożliwić wychodzenie grupami na powietrze. Oznaczało to nieustanne kłopoty i stosowanie środków ostrożności. Bush miał już za sobą ciężki problem zorganizowania zaopatrywania jeńców w pokarm i wodę. Ale wszystkie beczki pełne były wody, z ładunku przywieziono dwie łodzie patatów, a jeśli — czego można było oczekiwać — obecny wiatr się utrzyma, dopłyną do Kingston w niespełna tydzień. Tam skończą się ich trudności, a jeńcy zostaną przekazani władzom wojskowym — prawdopodobnie przyjmą oni ten fakt z taką samą ulgą jak Bush.

Wróciwszy na pokład Bush znowu skierował wzrok na zielone wzgórza Santo Domingo na prawym trawersie, mijane przez płynący bejdewindem „Renown”; zgodnie z rozkazami, Hornblower prowadził po jego zawietrznej trzy przyzy z częściowo postawionymi żaglami. Nawet przy obecnym wietrze, zapewniającym prędkość siedmiu węzłów, i przy wszystkich żaglach postawionych na „Renown”, te trzy okręciki mogły mu umknąć, gdyby zechciały; zarówno przy polowaniu na łup, jak i w czasie ucieczki przed nieprzyjacielem statki korsarskie liczyły głównie na swoją zdolność szybkiego poruszania się bejdewindem, i Hornblower mógł łatwo zostawić „Renown” daleko w tyle, gdyby nie rozkaz trzymania się w jego polu widzenia i po zawietrznej, tak aby „Renown” mógł podejść i osłaniać go w razie pojawienia się nieprzyjaciela. Prawdę mówiąc, załogi przyzowe były bardzo szczupłe, toteż, podobnie jak na „Renown”, Hornblower trzymał na przyzach wszystkich jeńców pod strażą zamkniętych pod pokładem.

Buckland wszedł na pokład rufowy i Bush zasalutował mu.

— Jeśli można, zacznę wyprowadzać jeńców na pokład, sir — rzekł.

— Proszę czynić, co uważa pan za stosowne, panie Bush.

Pokład rufowy dla kobiet, główny — dla mężczyzn. Trudno było im wytłumaczyć, że muszą wychodzić kolejno; kobiety wyprowadzone na pokład sądziły, że oddzielono je na stałe od tych, co zostały na dole, i zaczęły lamentować i urągać, co kłóciło się z ceremonialnym zachowaniem wymaganym na pokładzie rufowym okrętu liniowego. Dzieci nie miały najmniejszego pojęcia o dyscyplinie i wrzeszcząc rozbiegły się na wszystkie strony, a znękani marynarze usiłowali zagnać je

z powrotem do ich matek. Trzeba było odkomenderować ludzi do podawania jeńcom pożywienia i wody. Bush borykając się z wciąż nowymi, denerwującymi problemami, zaczął myśleć, że żywot pierwszego oficera na liniowcu (który niegdyś wydawał mu się rajem, o jakim nie miał nawet co marzyć) jest koszmarem.

Na międzypokładzie stłoczono trzydziestu oficerów, od wytwornego Villanuevy do drugiego oficera z „Gaditany”; sprawiali oni Bushowi tyleż kłopotu, co wszyscy inni jeńcy razem wzięci, ponieważ wyprowadzani na spacer na rufówkę korzystali z okazji, aby nawiązać rozmowę z żonami na pokładzie rufowym, a karmić ich było trzeba z zapasów mesy oficerskiej, które szybko topniały wskutek wielkiego apetytu Hiszpanów. Bush coraz niecierpliwiej wyglądał przybycia do Kingston i nie miał ani czasu, ani chęci zastanawiać się, jak ich tam przyjmą. Nie miało to zresztą żadnego znaczenia, gdyż o ile mógł się spodziewać pochwały za rolę, jaką odegrał w ataku na Santo Domingo, o tyle musiał się również obawiać wyników dochodzenia w sprawie okoliczności, jakie sprawiły, że kapitan Sawyer został pozbawiony swego stanowiska.

Dzień za dniem wiał pomyślny wiatr; dzień za dniem „Renown” płynął przez błękitne Morze Karaibskie z pryzami po zawietrznej na lewym trawersie. Jeńcy, z kobietami włącznie, przestawali chorować na chorobę morską i karmienie ich i pilnowanie wymagało coraz mniej wysiłku od wszystkich. Ujrawszy północny przylądek Beata, mogli przejść na lewy hals i podążać kursem prosto na Kingston; poza tą jedną zmianą nie musieli wcale manipulować żaglami, ponieważ wiał stały wiatr i po każdym cogodzinnym wyrzuceniu logu notowano osiem węzłów z nużącą wprost regularnością. Co rano wstawalo za nimi słońce we wspaniałej glorii; co wieczór bukszpryt rysował się na tle płonącego zachodu. Przez cały dzień żar lał się na okręt, z wyjątkiem krótkich przerw, gdy nagłe burze deszczowe zaciemniały niebo i morze; nocą okręt wznosił się i opadał na falach z rufy, pod baldachimem gwiazd.

Zapadła ciemna, piękna noc, gdy Bush zakończywszy wieczorny obchód poszedł złożyć raport Bucklandowi. Straże zostały wystawione; wachta wolna od służby chrapała przy wygaszonych wszystkich światłach; wachta na pokładzie zwinęła bombramzagle na wypadek szkwału deszczowego, który mógłby spaść niespodziewanie na okręt w ciemnościach; szli kursem na wschód ku północy, wachtę miał pan Carberry, a o milę w lewo od dziobu majaczyły przyzy. Straż przed kajutą kapitana stała na posterunku. Wszystko to zrelacjonował Bush Bucklandowi z całym ceremoniałem obowiązującym w marynarce wojennej, a Buckland wysłuchał go z uświęconą przez tradycję cierpliwością.

— Dziękuję, panie Bush.

— Dziękuję, sir. Dobranoc, sir.

— Dobranoc, panie Bush.

Kajuta Busha wychodziła na półpokład; było tam duszno i gorąco, jak zwykle w tropikach, ale Bush nie dbał o to. Miał sześć wolnych godzin na sen, bo przejmował służbę rano, i nie miał zamiaru ich marnować. Zdjął wierzchnie odzienie i w koszuli obrzucił ostatnim spojrzeniem swą kabinę, a potem zgasił światło. Buty i spodnie leżały na skrzynce z rzeczami, tak że mógł je wdziać błyskawicznie w razie nagłej potrzeby. Szpada i pistolety tkwiły w specjalnych uchwytach na

ściance grodziowej. Wszystko było w porządku. Chłopiec, co przyjdzie go obudzić, przyniesie ze sobą lampę, więc przysłoniwszy dłonią usta Bush zdmuchnął światło. Rzucił się plecami na koję, z szeroko rozrzuconymi rękami i nogami, aby pot mógł z nich łatwiej wyparować, zamknął oczy i dzięki swej mało podatnej na wrażenia naturze już po chwili spał. O północy zbudził się, jeszcze zanim wywołano wachtę, z błogą świadomością, że nie musi wstawać; nie pocił się też zbyt, co przeszkadzałoby mu leżeć wygodnie na koi.

Później przebudził się znowu, wbijając w ciemność nic nie rozumiejące spojrzenie, gdy słuch powiedział mu, że coś niedobrego dzieje się na okręcie. Nad głową słyszał krzyki i tupot nóg. Może przelotny deszcz sprawił, że żagle zapracowały wstecz. Ale to nie były właściwe odgłosy. Czy to ktoś krzyczał z bólu? Czyżby to był głos kobiety? Może te diabelne niewiasty znowu zaczęły się kłócić? Ponowny tupot nóg i dziki wrzask sprawił, że Bush w mgnieniu oka wyskoczył z koi. Otworzywszy drzwi kajuty usłyszał strzał z muszkietu, który rozproszył jego wątpliwości. Wrócił po szpadę i pistolet, a tymczasem na okręcie za drzwiami kabiny wrzał tumult. Luki, zda się, były bramami piekieł, którymi wlewały się diabelskie moce, wyjąc triumfalnie w słabo oświetlonych zakamarkach okrętu.

Wyszedł w momencie, gdy stojący pod latarnią wartownik oddał strzał z muszkietu; błysk wsparł światło latarni i ukazał zbity, napierający tłum, który wnet pochłonął żołnierza. Na czele tłumy Bush dostrzegł niewiastę, przystojną Mulatkę, żonę jednego z oficerów okrętów pirackich; wrzeszcząc co siłą, z wytrzeszczonymi oczyma wiodła ludzi za sobą. Bush wymierzył z pistoletu i strzelił, ale już byli przy nim. Cofnął się w wąskie drzwi kajuty. Czyjeś ręce wyciągnęły się po jego szpadę, ale ją wyrwał; walił na oślep nie załadowanym pistoletem, kopał bosymi nogami, próbując wyzwolić się z uchwytu trzymających go rąk. Wywijając szpadą nad głową parł w środek nacierającej na niego masy ciał ludzkich. Dwukrotnie wyrzwał głową o belki pokładu, ale nie poczuł tego. Po chwili tłum go minął, gdzieś dalej rozległy się krzyki i wycia, lecz ludzie byli już poza nim, z wyjątkiem tych, co jęcząc wili się u jego stóp brodzących w gorącej krwi z ich ran.

Najpierw pomyślał o Bucklandzie, ale jeden rzut oka na rufę wystarczył, aby zrozumieć, że sam nic mu nie pomoże, a w takim razie jego miejsce było na pokładzie rufowym. Ruszył tam, torując sobie drogę szpadą. U stóp zejściówki kłębił się znowu tłum wyjących Hiszpanów; nad nimi rozległy się krzyki i jęki broniącej się obsady rufy. Na dziobie też toczono walkę; gwiazdy oświetlały gromady ludzi w białych koszulach bijące się z rozpaczliwą desperacją. Nie zdając sobie sprawy sam był, jak inni; ujrzawszy go gromada mężczyzn rzuciła się na niego; poczuł silne uderzenie kołka do mocowania lin w ostrze swojej szpady. Rozgrzany furią walki Bush stanowił groźną siłę; w dodatku poruszał się szybko na bosych stopach. Uderzał i odparowywał, skacząc po zatłoczonym pokładzie. Nie czuł nic i w czasie tych szaleńczych minut myślał tylko o jednym, bić w nieprzyjaciela, odebrać mu okręt siłą swego ramienia. Potem, po rozbiciu kolejnej atakującej go grupy, oprzytomniał na chwilę. Musi zebrać załogę, dać jej przykład, połączyć w zwartą całość. Zawołał, przekrzykując zgiełk:

— Załoga z „Renown”! „Renown”! Hej, marynarze z „Renown”! Do mnie!

Wśród zamieszania bitewnego na pokładzie głównym coś nagle się skłębilo. W obojczyku poczuł przeszywający ból, odwrócił się instynktownie i chwyciwszy lewą dłonią za czyjeś gardło, resztkami siły zdusił je i cisnął ciało na pokład.

— Marynarze z „Renown”! — ponowił wezwanie. Z tupotem nóg gromadka ludzi pędziła w jego stronę.

— Za mną!

Lecz wiedziony przez niego oddziałek napotkał mur mężczyzn nacierających od strony rufy, który pchając ich po pokładzie przyduślił do nadburcia. Ktoś wrzasnął Bushowi w twarz po hiszpańsku i w pierścieniu okalającym zakłębiło się; coś błysnęło i rozległ się strzał z muszkietu. Błysk oświetlił otaczające ich śniade twarze i bagnet na lufie muszkietu; marynarz obok Busha krzyknął rozdierająco i padł na pokład; Bush czuł, jak miota się u jego stóp. Ktoś zdobył broń palną — ze stojaka na broń czy od żołnierza piechoty morskiej — i zdołał ją zarepetować. Jeśli będą stać dalej tu, gdzie stoją, zostaną wystrzelani do nogi.

— Za mną! — krzyknął Bush i skoczył do przodu.

Ale wystraszona gromadka nie ruszyła się, a Bush sam odbił się z powrotem od ciasnego pierścienia. Następny błysk i strzał z muszkietu, kolejny trafiony upadł na pokład. Ktoś krzyczał do nich głośno po hiszpańsku. Bush nie rozumiał słów, ale pojął, że chodzi o poddanie się.

— Wpierw was diabli wezmą! — mruknął.

O mało nie zapłakał z wściekłości. Myśl o tym, że jego wspaniały okręt może wpaść w obce ręce, przeraziła go, teraz, gdy mogła stać się faktem. Okręt liniowy wzięty w niewolę i uprowadzony do któregoś portu kubańskiego — co Anglia powiedziała by na to? A marynarka wojenna? Wołał nie dożyć chwili, kiedy miałby się tego dowiedzieć. Ogarnęła go desperacja, zapragnął śmierci.

Tym razem zamiast wezwać ludzi, by poszli za nim, skoczył do przodu sam z dzikim, zwierzęcym krzykiem; oszalały z wściekłości walczył z siłą obłąkańca. Przerwał pierścień nieprzyjacielski waląc i tnąc na wszystkie strony, lecz był jedynym, któremu to się udało; znalazł się sam na pustym pokładzie, zostawiwszy za sobą walczących.

Lecz szal bojowy już opuścił go. Oparł się o jedną z osiemnastofuntówek na pokładzie głównym — można by nawet powiedzieć — że ukrył się za nią, zapomniany na chwilę, wciąż ze szpadą w dłoni, usiłując opornym umysłem rozeznąć się w bieżącej sytuacji. Obrazy przesuwały się wolno przed oczyma jego duszy. Nie miał wątpliwości, że jacyś członkowie załogi wystawili na ryzyko okręt dla zaspokojenia swojej chuci. Nic na tym nie zyskali; żadna z niewiast nie sprzedała się za cenę zdrady. Ale domyślił się, że mogły udawać przychylność i że któryś z wartowników zaniedbał swego obowiązku, aby skorzystać z okazji. Jeńcy pewnie zaczęli wtedy wymykać się ukradkiem z pomieszczeń, gdzie byli zamknięci, może także oficerowie z mesy midszypmenów, a potem wybuchł dobrze zaplanowany bunt. Wylewający się potok jeńców, opanowana straż, broń odebrana; wachta wolna od służby śpiąca w swoich hamakach, nieświadoma niczego i niezdolna do oporu, zagnana jak stado owiec na dziób, pod grodz i pilnowana przez zbrojny oddziałek, gdy tymczasem inne grupy unieszkodliwiwszy oficerów na rufie zajęły pokład główny i wzięły do niewoli lub zatłukły wszystkich pozostałych. Na okręcie muszą być w tej chwili rozproszone grupki marynarzy i żołnierzy piechoty morskiej, jeszcze wolne, jak on, lecz pozbawione broni i ducha; z

nadejściem dnia Hiszpanie zorganizują się, przeprowadzą na pokładach polowanie i złamią wszelki dalszy opór poszczególnych grup. Nie do wiary, że coś takiego mogło się zdarzyć, a jednak był to fakt. Czterystu zdyscyplinowanych i gotowych na wszystko ludzi, nie dbających o życie i prowadzonych przez odważnych oficerów mogło tego dokonać.

Dały się słyszeć rozkazy — rozkazy po hiszpańsku — wykrzykiwane na pokładzie. Gdy powalono sternika, żagle złapały wiatr z przodu, a okręt przewalał się teraz w dolinie fal, to wznosząc się, to opadając, z gromkim łopotem żagli. Ale byli tu oficerowie marynarki hiszpańskiej — ci z okrętów przyzowych. W ciągu paru minut potrafią zapanować nad kursem „Renown”. Nawet mając do dyspozycji tylko szczury lądowe zdołają obrasować reje, postawić kogoś u steru i ruszyć bejdewindem prosto w kierunku Kanału Jamajskiego. A stamtąd już tylko jeden dzień żeglugi dzieliłby ich od Santiago. Na niebie pojawił się pierwszy słabiutki blask jutrzeńki. Nadchodził ranek — straszliwy ranek. Bush zacisnął dłoń na rękojeści szpady; kręciło mu się w głowie; miał wrażenie, że na oczach ma zasłonę z pajęczyny i przesunął ramieniem po twarzy, żeby ją zetrzeć.

A potem, na tle nieba, przy przeciwnej burcie okrętu zobaczył bladą sylwetkę innego statku sunącego wolno obok nich: maszty, reje, olinowanie; marsel obracający się powoli. Na „Renown” podniosły się wrzaski i krzyki i oba okręty zetknęły się z przeraźliwym trzaskiem. Nastąpiła straszliwa pauza, jak chwila przed załamaniem się grzywacza przyboju na brzegu. Aż nagle nad nadburciem „Renown” pojawiły się głowy i ramiona mężczyzn, czeka żołnierzy piechoty morskiej, zaśniły złotem bagnety i kordy. Hornblower, z obnażoną głową, przerzucił nogi przez nadburcie i skoczył na pokład, ze szpadą w dłoni, a za nim inni, po obu jego stronach. Mimo osłabienia Bush potrafił myśleć dostatecznie jasno, żeby sobie uświadomić, że przed podejściem „Gaditaną” do burty „Renown” Hornblower musiał zebrać załogi przyzowe z pozostałych trzech okrętów; atakując mógł mieć ze sobą trzydziestu marynarzy i tyłuż żołnierzy piechoty morskiej. Ale mózg Busha był tylko częściowo zdolny do jasnego, logicznego rozumowania, pozostając w stanie zamglenia, toteż obraz przed jego oczyma przesunął się z upiorną powolnością. Miał wrażenie, że oddział abordażujący przedostaje się na pokład jak na ćwiczeniach wykonywanych w zwolnionym tempie. Wszystko zdawało się inne, nierealne. Krzyki Hiszpanów brzmiały wysoko, niby głosy bawiących się małych dzieci. Bush widział wycelowane muszkiety oddające strzały, lecz w jego uszach nierówna salwa była odgłosem pukawki na groch. Szturmujący oczyszczali pokład; Bush chciał rzucić się ku nim, lecz nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Przewrócił się na pokład i nie miał dość siły w ramionach, by się dźwignąć.

Patrzył na straszliwe, krwawe zapasy, walkę równie nieubłaganą i chaotyczną jak poprzednia; grupki marynarzy pojawiające się nie wiadomo skąd i rzucające się w bój, jedni po tej, inni po drugiej stronie. Nadbiegał właśnie oddział prawie nagich marynarzy z Silkiem na czele; Silk wywijał wyciorem armatnim, ciężką, oporną bronią, którą walił w Hiszpanów na prawo i lewo, a oni rozstępowali się przed nim. Znow walczący skłębili się; hiszpański żołnierz ranny w biodro próbował kulejąc uciekać, a marynarz angielski pędził za nim z włócznią abordażową, kłując w żebra nieszczęśnika, który słał się w strumieniu własnej krwi.

Pokład główny został już oczyszczony, z wyjątkiem zwalonych na stos ciał, lecz na dole słychać było jeszcze zgiełk walczących, strzały, krzyki i odgłosy uderzeń. Wszystko zdawało się zamierać. Słabość ogarniająca Busha nie była jednak uczuciem przyjemnym. Pokusa złożenia głowy

na ramieniu i zapomnienia o swoich powinnościach mogła być silna, lecz tuż za horyzontem świadomości czaiły się zmory gotowe skoczyć na niego; bał się ich, a nie miał siły walczyć z nimi. Głowa spoczywała na ramieniu i trzeba było ogromnego wysiłku, aby ją dźwignąć; a potem jeszcze większego, coraz większego, ale musiał zdobyć się na to; wstać i zająć się wszystkim, czym należało się zająć. Twardy głos, bolesny dla uszu, przemówił nad nim:

— Tutaj jest pan Bush, sir. Tu leży!

Czyjeś ręce uniosły jego głowę. Poczł straszliwy ból, gdy słońce oślepiło mu oczy, i zamknął je odruchowo.

— Bush! Bush! — To był głos Hornblowera, łagodny i błagalny zarazem. — Bush, odezwij się do mnie!

Dwie dłonie ujęły delikatnie jego twarz. Bush przez szparkę powiek ujrzał schylonego nad sobą Hornblowera, lecz nie miał siły przemówić. Poruszył tylko lekko głowę z uśmiechem, jaki wywołało uczucie wygody i bezpieczeństwa płynące z dotknięcia dłoni Hornblowera.

## Rozdział XV

— Pozdrowienie od pana Hornblowera, sir — przemówił posłaniec zapukawszy do kajuty Busha i wsuwając głowę przez drzwi. — Nad cyplem Mosquito powiewa flaga admirałska i zaraz będziemy oddawać salut z dział, sir — oznajmił.

— Bardzo dobrze — odparł Bush.

Leżąc na koi śledził oczyma duszy wszystko, co się działo na okręcie. W tej chwili szedł on lewym halsem i miał sprzątnięte wszystkie żagle, z wyjątkiem marsli i kliwra. Muszą być wobec tego w pierścieniu ławy koralowej Gun Key. Usłyszał wołanie Hornblowera.

— Hej, brasy zawietrzne! Załoga do zwrotu przez rufę!

Przy jęku lin urządzenia sterowego przełożono ster na burtę; pewnie okrążają cypel Port Royal. „Renown” wyprostował się — przedtem miał lekki przechył — a potem przechylił się na lewo tak nieznacznie, że leżąc na swej koi Bush prawie tego nie odczuł. Jednocześnie rozległ się huk salutu z pierwszego dział. Mimo że Hornblower powiadomił go o tym przez posłańca, Bush drgnął, zaskoczony tym dźwiękiem. Czuł się słaby i wrażliwy jak kociak. Co pięć sekund następne dział oddawało salut, podczas gdy Bush kręcił się niespokojnie w koi. Zmiana pozycji przychodziła mu z trudem nie tylko z powodu osłabienia, przeszkadzały mu przede wszystkim liczne szwy założone na rany i skaleczenia. Popszywano go jak dziurawy worek i każdy ruch sprawiał mu ból.

Dziwna cisza zapanowała znowu na okręcie, gdy przebrzmiał salut — Bush naliczył piętnaście wystrzałów z dział; widocznie Lambert awansował na wiceadmirała. Pewnie idą na północ zatoką Port Royal; Bush próbował sobie przypomnieć, jak wygląda Salt Pond Hill[4] i góry na dalszym planie — jakże się nazywają? Liguanea czy jakoś tak — zawsze miał trudności z hiszpańskimi nazwami. Oni sami nazywali je Long Mountain[5] za Rock Fort[6].

— Szoty marsła! — dobiegł z góry głos Hornblowera. — Gejtawy marsła!

Okręt wchodził widocznie na kotwiczowisko.

— Ster na nawietrzną!

Zwracając się ostrzej pod wiatr okręt wytracał prędkość.

— Cisza tam, na śródokręciu!

Bush wyobrażał sobie podniecenie marynarzy komentujących przybycie do portu — starsi opowiadają pewnie nowicjuszom o knajpach z grogiem i bezbożnych rozrywkach czekających na nich w Kingston, tuż nad cieśniną.

— Rzucać!

Ten łoskot i drganie kadłuba! Żaden marynarz, nawet tak trzeźwy jak Bush, nie mógł słuchać szorowania liny kotwicznej o kluzę bez pewnej dozy podniecenia. A teraz miotały nim silne, acz mieszane uczucia. Nie był to powrót do domu; mógł to być ostatni etap jakiejś przygody albo — najprawdopodobniej — początek nowej porcji przygód.

Najbliższa przyszłość nie wyglądała różowo. To nie znaczy, że groziła im śmierć czy rany, ale Bush wolałby to niż ciężką próbę, jaka ich czekała. Mimo osłabienia czuł wzrastające napięcie fizyczne, gdy myślami próbował odgadnąć przyszłość. Chciałby móc się poruszać; jeśli nie chodzić, to przynajmniej móc zrobić coś z rękami, żeby zmniejszyć to napięcie, ale nie miał co marzyć nawet o tym, z pięćdziesięcioma trzema szwami spinającymi na pół zrosnięte rany. Na pewno będzie dochodzenie w sprawie wydarzeń na królewskiej fregacie „Renown”, a może w jego wyniku i sąd wojenny — cała seria rozpraw.

Kapitan Sawyer nie żył. W czasie gdy jeńcy spróbowali zawładnąć okrętem, któryś z Hiszpanów, upojony żądzą krwi, położył trupem nieszczęsnego szaleńca po wdarciu się do kabiny, w której był zamknięty. Piekło nie będzie za gorące dla tego, kto zdobył się na taki podły czyn, czy był to mężczyzna, czy kobieta, mimo że można to było uznać za akt miłosierdzia — uwolnienie tego biedaka od strachu przed wyimaginowanymi niebezpieczeństwami, przed którymi trząśł się przez tyle czasu. Zakrawało na ironię, że w chwili gdy czyjaś bezlitosna dłoń podcięła gardło szaleńca, któryś spośród oswobodzonych jeńców oszczędził Bucklanda, wziął go do niewoli, gdy ten spał w koi, i związał w pościeli, tak że musiał leżeć bezradnie, gdy walka o jego okręt toczyła się aż do krwawego zakończenia. Buckland będzie miał dużo do wyjaśniania przed sądem śledczym.

Bush usłyszał gwizdki pomocników bosmana i nastawił uszu, chcąc się zorientować, jakie wydawano rozkazy.

— Załoga gigu wystąp! Marynarze do opuszczenia gigu na wodę!

Buckland — rzecz jasna — udaje się natychmiast do admirała, by złożyć mu raport; właśnie w tej chwili, gdy Bush doszedł do tego wniosku, Buckland wszedł do jego kajuty. Był odziany bardzo starannie, w nieskazitelnie białe spodnie i swój najlepszy mundur. Twarz miał świeżo ogoloną, a

przepisowo założony halsztuk był dowodem, jak bardzo chciał dobrze wyglądać. Przechodząc pod belkami pokładu pochylił się, trzymając kapelusz w rękę; szpada zwisała mu u boku. Nie odezwał się od razu; stał i patrzył na Busha. Zwykle policzki miał lekko wypukłe, lecz tego ranka zapadły się od trosk; oczy wlepione w Busha były szkliste, a wargi drżały. Tak mógł wyglądać człowiek w drodze na szubienicę.

— Udaje się pan złożyć raport, sir? — zapytał Bush, odczekawszy, aż przełożony przemówi pierwszy.

— Tak — odparł Buckland.

Poza trójgraniastym kapeluszem trzymał w rękę zalakowane raporty, przygotowane z dużym nakładem pracy. Bush był wzywany do pomocy przy sporządzaniu pierwszego, przysparzającego najwięcej obaw, na temat pozbawienia kapitana Sawyera dowództwa. Jego osobiste własnoręcznie napisane sprawozdanie zostało włączone do drugiego raportu, świadomie podkreślającego osiągnięcia, gdzie była mowa o kapitulacji wojsk hiszpańskich na Santo Domingo. Trzeci, opisujący bunt jeńców na pokładzie i przyznanie się Bucklanda, że został wzięty do niewoli w czasie snu w koi, napisany był bez pomocy Busha.

— Wiele bym dał, żebym nie żył — odezwał się Buckland.

— Niech pan tak nie mówi, sir — pocieszał go Bush tonem na tyle pogodnym, na ile pozwoliła mu własna ocena sytuacji i słabość po chorobie.

— Wiele bym dał... — powtórzył Buckland.

— Pański gig czeka przy burcie, sir — zabrzmiał głos Hornblowera. — A statki przyzowe stają właśnie na kotwicach za naszą rufą.

Buckland obrócił na niego wzrok śniętej ryby; Hornblower nie wyglądał tak elegancko jak on, lecz widać było, że zadał sobie trud, żeby doprowadzić mundur do jakiegoś takiego porządku.

— Dziękuję — powiedział Buckland, a potem po krótkiej przerwie zapytał nagle: — Panie Hornblower, proszę mi powiedzieć — to ostatnia okazja — jak to się stało, że kapitan spadł do luku?

— Nie jestem w stanie tego panu powiedzieć, sir — odparł Hornblower.

Niczego nie można było wywnioskować ani z tych słów, ani z niewzruszonego wyrazu jego twarzy.

— Proszę posłuchać, panie Hornblower — ciągnął Buckland, uderzając dłonią w raporty. — Traktuję pana dobrze. Jak pan się przekona, chwaliłem pana w sprawozdaniach, ile tylko mogłem. Doceniłem w pełni, co pan uczynił na Santo Domingo i pańską rolę w abordażowaniu okrętu po wszczęciu na nim buntu przez jeńców. W pełni doceniłem, panie Hornblower. Czy nie mógłby... czy nie mógłby pan?...

— Nie mogę naprawdę nic dodać do tego, co pan już wie, sir — odpowiedział Hornblower.



— Ale co mam mówić, jak zaczną mnie wypytywać? — martwił się Buckland.

— Po prostu prawdę, sir, że znaleziono kapitana pod lukiem i że żadne dochodzenie nie zdołało ustalić innej przyczyny jak ta, że wpadł tam przypadkowo.

— Chciałbym jednak wiedzieć — mówił Buckland.

— Wie pan wszystko, sir, co będzie kiedykolwiek wiadomo w tej sprawie. Przepraszam sir... — Hornblower wyciągnął rękę i zdjął z kłapy Bucklanda nitkę pakuł, a potem ciągnął dalej: — Admirał będzie uszczęśliwiony, sir, wiadomością, że zlikwidowaliśmy Diegów w Samaná. Pewnie włosy mu siwiały ze zmartwienia o konwoje przechodzące przez cieśninę Mona. A poza tym przywieśliśmy trzy przyzy. Dostanie jedną ósmą ich wartości. Chyba nie sądzi pan, że będzie się przed tym wzbriał, sir?

— Myślę, że nie — przyznał Buckland.

— Zobacz przyprorowadzone przez nas przyzy — wszyscy na okręcie flagowym gapią się teraz na nie i gadają na ten temat. Będzie oczekiwał dobrych nowin. Daleko mu będzie dziś rano do zadawania pytań, sir. Może tylko spyta, czy woli pan maderę czy sherry.

Bush w żaden sposób nie umiałby powiedzieć, czy uśmiech Hornblowera był naturalny, ale był świadkiem, jak nowy duch wstępował w Bucklanda.

— Ale potem... — zaczął Buckland.

— Zobaczymy, co będzie potem. Jednego możemy być pewni — admirałowie nie lubią czekać, sir.

— Chyba już wyruszę — zgodził się Buckland.

Po dopilnowaniu gigu Hornblower wrócił do kajuty Busha. Uśmiech, tym razem na pewno nie wymuszony, igrał w kącikach jego ust.

— Nie widzę żadnego powodu do wesołości — zauważył Bush.

Spróbował zmienić pozycję pod przykrywającym go prześcieradłem. Teraz, gdy okręt stał w miejscu, a pobliski ląd przeszkadzał w swobodnym ruchu wiatru, było tu znacznie goręcej; słońce prażyło bezlitośnie z góry prawie pionowo na pokład leżący nie wyżej niż o jard nad twarzą Busha.

— Ma pan zupełną rację, sir — odpowiedział Hornblower, pochylając się nad nim i poprawiając pościel. — Nie ma absolutnie powodu do wesołości.

— To niech pan przestanie, do diabła, szczerzyć zęby — mruknął Bush z ironią. Zdenerwowanie i upał sprawiały, że znowu zaczynało mu się kręcić w głowie.

— Tak jest, sir. Czy mogę zrobić coś jeszcze dla pana?

— Nie — odparł Bush.

— Bardzo dobrze, sir. Wrócę więc do moich obowiązków.

Zostawszy sam w kajucie Bush pożałował, że Hornblower odszedł. Chciał, na ile pozwalała mu jego słabość, pomówić o najbliższej przyszłości; leżąc rozmyślał o niej tępo, a pot wsiąkał w spowijające go bandaż. Ale nie umiał zdobyć się na logiczne myślenie. Zaklął po cichu sam do siebie. Nasłuchując próbował odgadywać, co robią na okręcie, z tym samym miernym skutkiem co poprzednio, gdy dumał nad przyszłością. Zamknął oczy, chcąc zasnąć, ale otworzył je i zaczął się zastanawiać, jak idzie Bucklandowi u admirała Lamberta.

Do kajuty wszedł mały łapiduch — sanitariusz lazaretowy — z dzbankiem i szklanką. Nalał do niej płynu i podtrzymując Bushowi głowę przyłożył do jego ust. Poczawszy chłód napoju i jego orzeźwiający zapach Bush nagle zdał sobie sprawę, jak bardzo był spragniony i zaczął pić chciwie, opróżniając szklankę do dna.

— Co to jest? — zapytał.

— Lemoniada, sir, od pana Hornblowera, z pozdrowieniami.

— Pana Hornblowera?

— Tak. Przy burcie stoi łódź przekupniów i pan Hornblower kupił cytryn i kazał, żebym je wycisnął dla pana.

— Przekaż panu Hornblowerowi podziękowania.

— Tak jest, sir. Może jeszcze szklaneczkę?

— Dobrze.

Teraz poczuł się lepiej. Później usłyszał odgłosy, których nie umiał sobie wyjaśnić, tupot obutych stóp na pokładzie, głośno rzucane rozkazy, wiosła, coraz więcej wiosła przy burcie. Za drzwiami kajuty rozległy się kroki i Clive, lekarz okrętowy, wprowadził chudego, siwowłosego mężczyznę o żywych niebieskich oczach.

— Jestem Sankey, chirurg ze szpitala marynarki wojennej na lądzie — oznajmił przybysz. — Przybyłem zabrać pana, będzie tam panu znacznie wygodniej.

— Nie chcę opuszczać okrętu — bronił się Bush.

— Powinien pan być zdążyć się nauczyć — zauważył Sankey z zawodową pogodą — że w służbie zawsze musi się robić to, na co się nie ma ochoty.

Odrzucił prześcieradło i patrzył na spowite w bandaż ciało Busha.

— Musi pan mi wybaczyć — ciągnął tym samym nieznośnie pogodnym tonem — ale mam

obowiązek pokwitować przyjęcie pana — a pan sam, poruczniku, chyba nigdy nie podpisał kwitu przyjęcia zapasów na okręt nie zbadawszy przedtem ich stanu.

— Niech pan idzie do diabła! — mruknął Bush.

— Co za brzydki humor — zauważył Sankey rzucając spojrzenie na Clive'a. — Nie zapisał pan chyba wystarczającej ilości przepisowych leków.

Położył dłonie na Bushu i z pomocą Clive'a zręcznie obrócił go plecami do góry.

— Wydaje się, że Diegowie nielecho pana pokrajali — przemawiał do bezbronnych pleców Busha. — Naliczyłem dziewięć ran.

— I pięćdziesiąt trzy szwy — dodał Clive.

— W sam raz dla „Gazette” — zauważył Sankey i zachichotał, a potem mówił jak gdyby cytując: „Porucznik — e — Bush odniósł nie mniej niż dziewięć ran w czasie heroicznej obrony, lecz mam przyjemność stwierdzić, że szybko zdrowieje”.

Bush próbował obrócić się twarzą do niego, żeby burknąć coś w odpowiedzi, ale szyja była najbardziej bolesnym miejscem jego ciała i mógł tylko mruzczyć niezrozumiale; odwrócili go na plecy dopiero, kiedy przestał mamrotać.

— A teraz porwiemy naszego małego kupidyńka — oznajmił Sankey. — Chodźcie tu z noszami.

Wyniesionego na pokład główny Busha oślepiło słońce i Sankey pochylił się, aby zakryć mu oczy prześcieradłem.

— O, nie! — zawołał Bush, domyśliwszy się jego zamiaru, i w głosie jego tyle było dawnej stanowczości, że Sankey dał spokój. — Chcę widzieć!

Teraz zrozumiał przyczynę stapań i zamieszania na pokładzie. Na śródokręciu żołnierze jednego z pułków zachodnioindyjskich trzymali straż, wszyscy na baczność, z bagnietami na broni. Z luków wyprowadzano po trapach jeńców hiszpańskich, by ich załadować na stojące przy burtach łodzie i zawieźć na ląd. Bush rozpoznał Ortegę, który szedł, kulejąc, podtrzymywany z obu stron przez dwóch ludzi; przez przeciętą nogawkę spodni ukazał się bandaż na biodrze; bandaż i druga nogawka były czarne od zaschłej krwi.

— Widać, że to zbójcka załoga — odezwał się Sankey. — A teraz, jeśli się pan już dosyć na nich napatrzył, wrzucimy pana do łodzi.

Nadbiegł Hornblower z pokładu rufowego i ukląkł przy noszach.

— Dobrze się pan czuje, sir? — pytał zatroskany.

— Tak, dziękuję — odparł Bush.

— Dopilnuję, żeby spakowano pańskie rzeczy i prześle je za panem na ląd, sir.

— Dziękuję.

— Ostrożnie ze stropami — rzucił Hornblower, gdy zakładano liny na nosze.

— Sir! Sir! — Midszypmen James skakał za Hornblowerem, starając się zwrócić na siebie uwagę. — Płyń ku nam łódź z komandorem na pokładzie.

Ta nowina wymagała natychmiastowego działania.

— Do widzenia, sir — powiedział Hornblower. — Powodzenia, sir. Do rychłego zobaczenia.

Odwrócił się, ale Bush nie miał za złe tak krótkiego pożegnania, ponieważ komandora należało przyjąć z należnym mu ceremoniałem. Ponadto on sam był niezmiernie ciekaw, co za interes sprowadza tego komandora na okręt.

— Opuszczać nosze! — polecił Sankey.

— Chwileczkę! — powiedział Bush i na pytające spojrzenie Sankeya dodał: — Poczekajmy minutę.

— Ja sam nie mam nic przeciwko temu, żeby się dowiedzieć, co tu się dzieje — zgodził się Sankey.

Na pokładzie rozległy się głosy pomocników bosmana. Nadbiegali trapowi; warta wojskowa zrobiła zwrot, stając twarzami do furty wejściowej; obok ustawiali się żołnierze piechoty morskiej. Na pokład wszedł komandor, złote epolety zaśniły w słońcu. Hornblower zasalutował.

— Pan jest panem Hornblowerem, w chwili obecnej starszym porucznikiem na okręcie?

— Tak, sir. Porucznik Horatio Hornblower, do pańskich usług.

— Nazywam się Cogshill — powiedział komandor — i wyjął pismo, rozłożył i odczytał je na głos. — „Rozkazy Sir Richarda Lamberta, wiceadmirała floty marynarki wojennej, kawalera Orderu Łaźni, dowodzącego okrętami i statkami królewskimi na Jamajce, do komandora Jamesa Edwarda Cogshilla z królewskiego okrętu «Buckler». Niniejszym prosi się pana i nakazuje udać się natychmiast na «Renown», okręt jego królewskiej mości, obecnie w zatoce Port Royal, i przejąć pro tempore dowództwo wzmiankowanego okrętu Renown”.

Cogshill złożył pismo. Przejęcie dowództwa nad okrętem królewskim, nawet tymczasowo, było poważnym aktem, któremu musiał towarzyszyć przepisowy ceremoniał. Żaden rozkaz wydany przez Cogshilla na pokładzie nie miałby mocy przed odczytaniem na głos pełnomocnictwa, na którego podstawie go wydawał. Teraz objął formalnie swoje stanowisko i dysponował całym ogromem władzy dowódcy okrętu — mógł mianować i odwoływać podoficerów, zarządzać areszt lub chłostę na mocy prawa nadanego mu przez króla poprzez lordów Admiralicji i Sir Richarda Lamberta.

— Witamy na okręcie, sir — rzekł Hornblower, znowu salutując.

— Bardzo interesujące — stwierdził Sankey, gdy Busha już opuszczono do łodzi szpitalnej, a on sam zajął miejsce przy noszach. — Odbijajcie, sterniku. Wiedziałem, że Coghill jest faworytem admirała. Awans na liniowiec z fregaty uzbrojonej w dwadzieścia osiem dział to wielki krok naprzód dla naszego przyjaciela Jamesa Edwarda. Sir Richard nie tracił czasu.

— Rozkaz mówił, że to tylko... tylko czasowo — zauważył Bush, nie ryzykując wypowiedzenia zwrotu „pro tempore”.

— Jest dosyć czasu, żeby wydać rozkaz stałej nominacji w odpowiedniej formie — odparł Sankey. — Od tej chwili gaża Coghilla wynosi dwa funty dziennie zamiast dziesięciu szylingów.

Pod pociągnięciami wiosł murzyńskich wioślarzy łódź szpitalna mknęła po lśniącej wodzie i Sankey obrócił wzrok na eskadrę stojącą w dali na kotwicach: trójpokładowiec i kilka fregat.

— To „Buckler” — powiedział, wskazując. — Miał Coghill szczęście, że jego okręt znalazł się teraz właśnie tu. Admirał będzie garściami rozdawał awanse. Straciliście na „Renown” dwóch poruczników?

— Tak — potwierdził Bush. Roberta rozciął na dwoje pocisk z Samaná w czasie pierwszego ataku, a Smith zginął na posterunku, broniąc pokładu rufowego przed naporem zbuntowanych jeńców.

— Kapitan i dwóch poruczników — zastanawiał się Sankey. — O ile wiem, Sawyer był niespełna rozumu od jakiegoś czasu?

— Tak.

— A mimo to zabili go?

— Tak.

— Co za splot wydarzeń. Może lepiej byłoby dla waszego pierwszego oficera, żeby spotkał go ten sam los.

Bush nic nie odpowiedział na tę uwagę, mimo że to samo przyszło mu na myśl. Bucklanda wzięto do niewoli, gdy leżał w koi i nigdy nie uda mu się wymazać tego faktu ze swego życia.

— Moim zdaniem — orzekł Sankey — nie ma on co w ogóle marzyć o awansie. Pechowo dla niego, bo gdyby nie to, mógłby go się spodziewać jako rezultatu waszego sukcesu na Santo Domingo, którego jeszcze panu nie pogratulowałem, sir. Moje gratulacje.

— Dziękuję.

— To głośny sukces. Ciekawe będzie zobaczyć, jaki użytek sir Richard — z całą rewerencją dla niego — zrobi z tych wakansów. Coghill na „Renown”. To chyba pewne. Ale wobec tego

będzie musiał być mianowany dowódca „Bucklera”. O niewysłowione rozkosze stanowiska dowodzącego! Mamy tu czterech kapitanów — ciekawe, który z nich wejdzie w bramy raju? Pan był już w tutejszym garnizonie, sir?

— Przed trzema laty — odparł Bush.

— A zatem nie może pan być poinformowany na bieżąco o nastawieniu Sir Richarda do poszczególnych oficerów. Porucznik zostanie kapitanem. I nie ma wątpliwości który.

Sankey popatrzył na Busha i Bush zadał oczekiwane pytanie.

— Kto?

— Dutton. Pierwszy oficer z okrętu flagowego. Czy zna go pan?

— Chyba tak. Taki szczupły, ze szramą na policzkach?

— Tak. Sir Richard jest zdania, że świat zaczyna się od niego i na nim kończy. I wierzę, że porucznik Dutton — już niedługo kapitan — będzie wkrótce myślał tak samo.

Bush nie miał nic do dodania, a gdyby miał, też by milczał. Widać było, że chirurg Sankey to postrzelony plotkarz, który pewnie powtarza wszystko, co usłyszy. Kiwnął tylko głową — na tyle, na ile pozwoliły rany szyi i leżąca pozycja — i czekał na dalszy ciąg monologu Sankeya.

— A więc Dutton zostanie kapitanem. To oznacza wakansy dla trzech poruczników. Sir Richard będzie mógł uradować serca swoich trzech przyjaciół, awansując ich synów na midszypmenów. To znaczy przyjąwszy, że Sir Richard ma aż trzech przyjaciół.

— Wiosła! Bosakowy! — zawołał sternik; okrążali koniec mola. Łódź stanęła przy nabrzeżu i została przycumowana. Sankey wysiadł i pilnował wyjmowania noszy. Równym krokiem Murzyni ponieśli je ulicą w kierunku szpitala; zar otulił Busha jak ciepła woda w wannie.

— Niech się zastanowię — ciągnął Sankey zrównawszy krok z niosącymi nosze. — Dopiero niedawno awansowaliśmy trzech midszypmenów na poruczników. A zatem będą trzy wakanse wśród podoficerów. Niech pan mi powie — mieliście zgony na „Renown”?

— Sporo — odparł Bush.

Midszypmeni i pomocnicy oficera nawigacyjnego oddali życie w obronie okrętu.

— Oczywiście. Można się było tego spodziewać. A zatem wakansów będzie więcej niż trzy. Serca nadliczbowych, wolontariuszy, wszystkich tych nieszczęśliwców trwających na służbie bez żołdu w nadziei na jakiś awans uradują się licznymi nowymi awansami. Z otchłani nicości do piekła rangi podoficerskiej. Droga sławy — nie chcę poddawać w wątpliwość pańskiej znajomości literatury przypominaniem, co powiedział poeta.

Bush nie miał pojęcia, co poeta powiedział, ale nie zamierzał przyznawać się do tego.

— I już jesteśmy na miejscu — oznajmił Sankey. — Dopilnuję przeniesienia pana do pańskiej separatki.

Gdy znaleźli się w budynku, mrok prawie oślepił Busha po jaskrawym świetle słonecznym. Korytarze były wybielone wapnem. Długa ciemna sala szpitalna podzielona była zasłonami na maleńkie klitki. Nagle poczuł ogromne wyczerpanie i pragnął tylko zamknąć oczy i odpoczywać. Ledwo wytrzymał przekładanie go z noszy na łóżko i układanie na nim. Przestał zwracać uwagę na paplaninę Sankeya. Po opuszczeniu moskitiery na łóżko został sam i wydawało mu się, że jest na szczycie długiej, lśniącej, zielonej fali, po której ślizgał się i ślizgał bez końca. Uczucie było prawie przyjemne, ale niezupełnie.

Znalazłszy się u stóp fali musiał znów wznosić się na jej grzbiet, odzyskując siły przez noc i dzień i jeszcze jedną noc, a w tym czasie poznawał życie szpitalne — hałasy, jęki innych pacjentów za zasłonami, niezupełnie stłumione wycie obłąkanych na drugim końcu wybielonego korytarza; obchód poranny i wieczorny; pod koniec drugiego dnia pobytu zaczął łapczywie nasłuchiwać odgłosów zwiastujących przyniesienie posiłków.

— Ma pan szczęście — mówił Sankey, oglądając jego pozszywane ciało. — Wszystko to rany cięte. I ani jednej głębokiej. To się nie zgadza z całym moim dotychczasowym doświadczeniem. Od Diegów można zwykle oczekiwać bardziej skutecznego używania noży. Niech pan spojrzy tylko na to cięcie.

Rana, o której mówił, biegła od ramienia Busha do kręgosłupa, a więc Sankey faktycznie musiał myśleć to, co mówił.

— Co najmniej osiem cali długości — ciągnął Sankey. — A głęboka najwyżej na dwa, chociaż mimo to, podejrzewam, że *scapula*[7] została naruszona. Rana czterocalowa zadana ostrzem byłaby znacznie skuteczniejsza. To tutaj jest jedynym cięciem zdradzającym jakieś ambicje dotarcia do tętnicy. Niewątpliwie ten, co trzymał nóż w ręku, chciał pana zadźgać. Ale był to cios z góry na dół, a poszarpane brzegi rany wskazują, w jaki sposób ostrze noża ześliznęło się po żebrach rozcinając kilka włókien *latissimus dorsi*[8] i przechodząc w końcu w powierzchniowe skaleczenie. Robota nowicjusza. Proszę się odwrócić. Niech pan pamięta, panie Bush, gdyby miał pan kiedykolwiek użyć noża, żeby czubek ostrza odchyłać w górę. Żebra ludzkie aż się proszą o taki cios, otwierają się wtedy zapraszająco; przy naporze w dół zachodzą na siebie i hamują dostęp, a nóż, wsuwając się między nie, jak to było w tym wypadku, miota się bez skutku od żebra do żebra pukając o przyjęcie do każdego po kolei i od każdego otrzymując odmowę.

— Cieszę się z tego — odparł Bush. — Uaa!

— Wszystkie rany goją się dobrze — dodał Sankey. — Ani śladu gangreny.

Bush nagle zorientował się, że Sankey obwąchuje z bliska jego ciało; gangrenę najwcześniej rozpoznaje się po zapachu.

— Dobre, czyste cięcie — gadał Sankey — szybko zszyte i zabandażowane, gdy jeszcze płynie z niego własna krew, przeważnie goi się od razu. Przeważnie. A my tu mamy cięcia w większości

czyste, trochę tylko, jak rzekłem, tu i ówdzie poszarpane. Proszę zgiąć kolano. Pańskie zaszczytne blizny, panie Bush, po paru latach będą prawie niezauważalne. Cieniutkie białe linie, których siateczka nie oszpeci niemal wcale pańskiego klasycznego torsu.

— Dobrze — rzekł Bush; nie bardzo wiedział, co to jest tors, ale nie zamierzał prosić Sankeya o wyjaśnianie tych wszystkich określeń anatomicznych.

Tego ranka, ledwie go opuściwszy, Sankey już wracał z gościem.

— Komandor Cogshill do pana na inspekcję — oznajmił. — Tu leży, sir.

Cogshill objął wzrokiem Busha na łóżku.

— Słyszę dobre wieści od doktora Sankeya — przemówił — że pan szybko wraca do zdrowia.

— Chyba tak, sir.

— Admirał zarządził śledztwo i mnie mianował członkiem sądu śledczego. Będzie oczywiście potrzebne pańskie zeznanie, panie Bush, i moim obowiązkiem jest ustalić, jak rychło będzie pan je mógł złożyć.

Bush poczuł leciutki dreszczyk obawy. Sąd śledczy nie był dużo mniej groźny od sądu wojennego, do którego mógł stanowić wstęp. Nawet mając zupełnie czyste sumienie Bush wolałby — o całe niebo — prowadzić podczas sztormu okręt z lądem po zawietrznej, niż słuchać pytań i odpowiadać na nie, wystawiać swe motywy na analizę i błędną interpretację i walczyć z zawłościami sformułowań prawniczych. Lecz musiał przez to przejść i jedyną rozsądną rzeczą było przełknąć to piwo, choćby zbierało mu się na wymioty.

— Jestem gotów w każdej chwili, sir.

— Jutro wyjmę szwy, sir — przerwał Sankey. — Widzi pan, że pan Bush jest jeszcze słaby. Nastąpiło kompletne wykrwawienie wskutek ran.

— Co to znaczy?

— To znaczy, że stracił dużo krwi. A zabieg zdejmowania sutur...

— Ma pan na myśli szwy?

— Tak, szwy, sir. Zabieg zdejmowania tych szwów może chwilowo opóźnić powrót pana Busha do sił. Lecz jeśli sąd pozwoli mu składać zeznania na siedząco...

— To na pewno można załatwić.

— W takim razie będzie mógł odpowiadać na niezbędne pytania za trzy dni od dziś.

— To znaczy w piątek?



— Tak, sir. Nie wcześniej. Ale wolałbym, żeby później.

— W naszym garnizonie — wyjaśnił uprzejmie, acz chłodno Coghill — gdzie przez większość czasu okręty są poza portem, pełniąc swoje zadania, nie tak łatwo zebrać sąd. Najbliższy piątek będzie dogodny.

— Tak jest, sir — rzekł Sankey.

Bush odczuł pewną satysfakcję, gdy tyle się nasłuchawszy paplaniny Sankeya widział, jaki jest cichutki, kiedy rozmawia z osobą tak ważną jak komandor.

— A więc bardzo dobrze — zakonkludował Coghill. Skłonił się Bushowi. — Życzę panu jak najszybszego powrotu do zdrowia.

— Dziękuję, sir — odparł Bush.

Nawet leżąc na plecach nie mógł opanować instynktownego odruchu odwzajemnienia ukłonu, lecz rany zabołały go, gdy zaczął zginać się wpół, i nie dopuściły, aby okazał się śmieszny. Po odejściu Coghilla Bush miał czas na martwienie się tym, co będzie. Obawa przed przyszłością ściagała go nawet jeszcze w czasie obiadu, lecz mały sanitariusz, który przyszedł sprzątnąć resztki, wprowadził innego gościa, a jego przybycie odeгнаło wszelkie ponure myśli. W drzwiach stał Hornblower, z koszem w ręku, i twarz Busha rozjaśniła się na jego widok.

— Jak się pan miewa, sir? — spytał Hornblower.

Uścisnęli sobie dłonie, obaj radzi, że się widzą.

— Znacznie lepiej, gdy tylko pana zobaczyłem — odpowiedział i mówił to serio.

— To była moja pierwsza okazja zejścia na ląd — ciągnął Hornblower. — Może pan sobie wyobrazić, jaki byłem zajęty.

Bush wyobraził sobie bez trudu; wszystkie kłopoty zwalono na głowę Hornblowera, zaopatrzenie „Renown” w proch, kule, żywność i wodę, oczyszczenie okrętu po jeńcach, usunięcie śladów niedawnej walki, formalności z podziałem przyzowego, ranni, chorzy, rzeczy po zmarłych. A Bush był ciekaw wszystkich szczegółów, jak gospodyni, którą choroba oderwała od gospodarstwa domowego. Zasypał Hornblowera pytaniami, i rozmowa na tematy techniczne odwlekła moment, w którym Hornblower mógł wskazać na przyniesiony przez siebie koszyk.

— Pawpawy — rzekł. — Mango. Ananas. Drugi, jaki zobaczyłem w życiu.

— Dziękuję. To bardzo uprzejmie z pańskiej strony — mówił Bush. Było rzeczą absolutnie niemożliwą, aby dał po sobie poznać wrażenie, jakie wzbudził na nim ten podarunek, gdy po samotnych dniach leżenia w szpitalu okazało się, że ktoś się troszczy o niego, że ktoś mógł w ogóle o nim myśleć. Wypowiadane słowa były nieporadne i nie oddawały tego, co czuł, i tylko umysł wrażliwy i współczujący mógł odgadnąć uczucia, jakie słowa te kryły raczej, niż zdradzały. Hornblower wybawił go z zakłopotania przechodząc do innego tematu.

— Admirał wciela „Gaditanę” do naszej floty wojennej — oznajmił.

— O, do licha! Niemożliwe!

— Tak. Osiemnaście armat... sześć- i dziewięciofuntówek. Będzie służyła jako dozorowiec.

— Będzie musiał mianować jej dowódcę.

— Tak.

— O, do licha! — powtórzył Bush.

Jakiś szczęściarz porucznik otrzyma ten ważny awans. Mógłby to być Buckland — mógłby, gdyby nie położono nacisku na fakt, że został wzięty do niewoli we śnie.

— Lambert przechrzcił ją na „Retribution”[9] — ciągnął Hornblower.

— Niezła nazwa.

— Tak.

Przez chwilę panowało milczenie; każdy z nich w swój sposób przeżywał na nowo straszliwe minuty, gdy „Renown” został wzięty do niewoli i gdy Hiszpanie, próbując go odebrać, zostali wycięci bezlitośnie.

— Chyba wie pan już o sędzie śledczym? — zapytał Bush; było to logiczne następstwo spraw, o których myślał przed chwilą.

— Tak. A skąd pan się o tym dowiedział?

— Był tu właśnie Coghill, aby mi powiedzieć, że będę musiał złożyć zeznanie.

— Rozumiem.

Zapadło milczenie, jeszcze cięższe niż przed chwilą; obaj pogrążyli się w myślach o czekającym ich sędzie. Przerwał je świadomie Hornblower.

— Miałem właśnie powiedzieć panu — zaczął — że musiałem przewlec na „Renown” nowe liny urządzenia sterowego. Obie były przetarte, prawie zupełnie zużyte. Myślę, że pracowały pod zbyt ostrym kątem.

To wywołało dyskusję fachową, którą Hornblower podsycał aż do chwili, gdy musiał już iść.

## Rozdział XVI

Sąd śledczy nie wzbudzał aż tak wielkiego przerażenia jak sąd wojenny. Nie oddawano strzału z armaty, nie wywieszano specjalnej flagi; komandorowie tworzący go mieli na sobie swoje

powszednie mundury, a świadkowie nie musieli składać zeznań pod przysięgą; Bush przypomniał sobie o tym ostatnim fakcie dopiero, gdy go wezwano przed oblicze sądu.

— Proszę usiąść, panie Bush — przemówił przewodniczący. — Wiem, że jest pan jeszcze słaby po odniesionych ranach.

Bush przekuśtykał do wskazanego mu krzesła i już był najwyższy czas, by na nim usiadł. W wielkiej kajucie „Renown” — tej samej, w której kapitan Sawyer leżał drżąc i łkając ze strachu — panowało piekielne gorąco. Przed przewodniczącym leżał dziennik okrętowy i notatki, w rękę trzymał on rozpoznany przez Busha jego własny raport o ataku na Samaná, który przekazał Bucklandowi.

— Ten raport dobrze świadczy o panu, panie Bush — przemówił przewodniczący. — Okazuje się z niego, że wziął pan szturmem fort tylko przy sześciu zabitych, mimo że miał on przepisową fosę, szanice i parapety, był chroniony przez załogę złożoną z siedemdziesięciu ludzi i uzbrojony w dwudziestoczwurfuntówki.

— Wzięliśmy ich przez zaskoczenie, sir — wyjaśnił Bush.

— Właśnie to dobrze świadczy o panu.

Zaskoczenie garnizonu w Samaná nie mogło być większe niż Busha z powodu takiego przyjęcia; oczekiwał podejścia znacznie mniej przyjemnego i bardziej inkwizytorskiego. Jednakże rzut oka na Bucklanda, którego przesłuchiowano przed nim, wzbudził w nim na nowo wątpliwości; Buckland był blady i wyglądał nieszczęśliwie. Ale było coś, co powinien był powiedzieć, zanim przeszkodzi mu myśl o Bucklandzie.

— Zasługa jest po stronie porucznika Hornblowera, sir — stwierdził. — To on opracował plan.

— Bardzo ładnie mówi pan o tym w swoim sprawozdaniu. Mogę też od razu powiedzieć, że w opinii sądu wszystkie okoliczności ataku na Samaná i kapitulacja, która nastąpiła po nim, są zgodne z najlepszymi tradycjami marynarki wojennej.

— Dziękuję, sir.

— Przejdźmy teraz do następnej sprawy. Próba jeńców odbicia „Renown”. Służył pan wówczas, panie Bush, jako p. o. pierwszego oficera okrętu.

— Tak, sir.

Krok po kroku przeprowadzono Busha przez wypadki tamtej nocy. Pod dowództwem Bucklanda był on odpowiedzialny za organizację karmienia i ochrony jeńców. W mesie midszypmenów znajdowało się pod strażą pięćdziesiąt kobiet, żon jeńców. Tak, trudno było pilnować ich tak skrupulatnie jak mężczyzn. Tak, obszedł posterunki po sygnale gwizdkowym na zejście załogi pod pokład. Tak, usłyszał niepokojące odgłosy. I tak dalej.

— I znaleziono pana wśród zabitych, bez przytomności wskutek ran?

— Tak, sir.

— Dziękuję, panie Bush.

Młody komandor o świeżym wyglądzie, siedzący na końcu stołu, zadał pytanie:

— I przez cały czas kapitan Sawyer był zamknięty w swojej kajucie, aż do chwili, gdy został zamordowany?

Przewodniczący przerwał mu.

— Komandorze Hibbert, pan Buckland naświetlił już sprawę niedyspozycji kapitana Sawyera.

W spojrzeniu, jakie przewodniczący sądu zwrócił na komandora Hibberta, była irytacja, i Bushowi nagle rozjaśniło się w głowie. Sawyer miał żonę, dzieci, przyjaciół, którzy nie chcieliby, aby kładziono nacisk na fakt, że zmarł w stanie obłąkania. Przewodniczący działał prawdopodobnie zgodnie z wyraźnymi rozkazami, aby zatuszować tę część sprawy. Tak samo jak Bush wolał nie słyszeć pytań na ten temat teraz, gdy Sawyer poległ za ojczyznę. Również i Bucklanda nie przesłuchiowano na pewno zbyt szczegółowo na ten temat. Jego nieszczęśliwa mina spowodowana była raczej koniecznością opisanie swej niesławnej roli w czasie buntu na „Renown”.

— Sądzę, że nikt z panów nie pragnie zadawać pytań panu Bushowi? — Sposób, w jaki przewodniczący zwrócił się do sądu, nie dopuszczał faktycznie stawiania pytań. — Proszę wezwać porucznika Hornblowera.

Hornblower skłonił się przed sądem; Bush wiedział, że kamienny wyraz, jaki przybrała jego twarz, krył burzę wewnętrznych uczuć. Podobnie jak Bushowi, zadano mu kilka pytań w sprawie Samaná.

— Mówiono tu — rzekł przewodniczący — że atak na fort i wciągnięcie działa celem kontrolowania zatoki nastąpiło z pańskiej inicjatywy?

— Nie wiem, czemu tak mówiono, sir. Pan Buckland dźwigał całą odpowiedzialność.

— Nie będę zatem męczył pana dłużej w tej materii, panie Hornblower. Myślę, że wszyscy rozumiemy. Prosimy nam teraz opowiedzieć, jak pan odbił „Renown”. Co najpierw zwróciło pańską uwagę?

Trzeba było zadawać pytanie za pytaniem, aby wydobyć historię z Hornblowera. Usłyszał kilka wystrzałów z muszkietów, zaniepokoiły go, a potem zobaczył, że „Renown” przeszedł na ostry bejdewind, co go upewniło, że dzieje się coś naprawdę złego. Zebrał więc załogi przyzowe i wszedł z nimi na pokład „Renown”.

— Nie bał się pan utraty przyzów, panie Hornblower?

— Lepiej stracić przyzy niż okręt, sir. Poza tym...

— Co poza tym, panie Hornblower?

— Przed opuszczeniem przyzów kazałem poprzecinać na nich wszystkie żagle i liny. Przeciągnięcie nowych zajęłoby jeńcom sporo czasu, toteż nie byłoby trudności z ponownym wzięciem ich do niewoli.

— Wygląda, że pomyślał pan o wszystkim, panie Hornblower — zauważył przewodniczący przy szmerze szczerzej aprobaty ze strony całego sądu. — I bardzo szybko podjął pan przeciwną „Renown”. Nie czekał pan, żeby się upewnić o rozmiarze niebezpieczeństwa? Ale mimo wszystko, co panu było wiadomo, próba opanowania okrętu mogła się być zakończyć niepowodzeniem.

— W takim wypadku nie byłoby żadnej innej szkody poza chwilowym uszkodzeniem takielunku przyzów, sir. Lecz jeśliby okręt rzeczywiście wpadł w ręce jeńców, istotną rzeczą było przypuścić atak, zanim zorganizowana zostanie obrona.

— Rozumiemy. Dziękuję, panie Hornblower.

Sledztwo dobiegało końca. Carberry zbyt jeszcze był chory od ran, aby mógł składać zeznania. Whiting, dowódca piechoty morskiej, nie żył. Sąd naradzał się krótką chwilę przed ogłoszeniem decyzji.

— Jest opinią sądu — oświadczył przewodniczący — że należy przeprowadzić szczegółowe dochodzenie wśród jeńców hiszpańskich celem ustalenia, kto zamordował kapitana Sawyera i postawić mordercę, jeśli jeszcze żyje, przed sądem. W wyniku badania oficerów z królewskiego okrętu wojennego „Renown”, którzy pozostali przy życiu, w naszej opinii niepotrzebne jest żadne dalsze postępowanie sądowe.

Znaczyło to, że nie będzie sądu wojennego. Bush uśmiechnął się z ulgą, szukając wzroku Hornblowera, lecz znalazłszy go, spotkał się z chłodną reakcją na swój uśmiech. -Spróbował go stłumić i przybrać wygląd człowieka o tak czystym sumieniu, że nie musi odczuwać ulgi po oznajmieniu, iż nie stanie przed sądem wojennym. A rzut oka na Bucklanda zmienił jego radość we współczucie. Buckland wyglądał bardzo nieszczęśliwie; jego ambicjom zawodowym położony został gwałtowny kres. Po kapitulacji pod Samaná żywił pewnie jakąś nadzieję, bo mając na swoim koncie taki duży sukces, gdy dowódca niezdolny był do sprawowania dowództwa, miał wszelkie dane na poważny awans, co najmniej do stopnia kapitana, a może i komandora. Fakt zaskoczenia go we śnie położył koniec nadziejom. Zawsze będzie mu się to przypominać i fakt zostanie w pamięci ludzi, nawet gdy zapomną okoliczności, w jakich się wydarzył. Był skazany na zestarzenie się w stopniu porucznika.

Bush wspominał z uczuciem winy, że tylko dobry los sprawił, iż on sam obudził się na czas. Rany były może bolesne, ale spełniły nieocenioną rolę, odwracając uwagę od jego własnej odpowiedzialności; walczył, aż upadł bez ducha, i to mu prawdopodobnie zapisano na plus, lecz Buckland uczyniłby to samo, gdyby miał okazję. A Buckland został potępiony, natomiast on wyszedł z tej całej sprawy z opinią co najmniej nie gorszą, niż miał przedtem. Bush wyczuwał całą

nie logiczność sytuacji, chociaż byłoby mu trudno wyrazić to słowami. A w każdym razie logiczne myślenie o takich sprawach jak reputacja i awans nie było łatwe, ponieważ w czasie wszystkich lat swojej służby Bush nabierał coraz większego przekonania, że w tej służbie — trudnej i niewdzięcznej — los kaprysi może jeszcze bardziej niż w innych dziedzinach życia. W marynarce wojennej szczęście przychodzi i odchodzi w sposób równie nieprzewidywany, jak śmierć wybiera sobie ofiary, gdy salwa burtowa omiata pokład okrętu. Bush miał fatalistyczne podejście do tych spraw i godził się na nie z rezygnacją, a przy obecnym stanie umysłu nie potrafiłby myśleć wnikliwie.

— A, pan Bush — odezwał się komandor Cogshill — przyjemnie widzieć pana na własnych nogach. Mam nadzieję, że zgodzi się pan zostać na pokładzie i zjeść ze mną obiad. Postaram się zapewnić obecność innych poruczników.

— Z wielką przyjemnością, sir — odparł Bush. Każdy porucznik tak właśnie odpowiadał na zaproszenie ze strony swego dowódcy.

— Za piętnaście minut? Doskonale.

Komandorzy-członkowie sądu śledczego opuszczali okręt w kolejności ściśle odpowiadającej starszeństwu rangi, i okrzyki pomocników bosmańskich rozlegały się echem po pokładzie, gdy przed odplynięciem każdy po kolei niedbałym dotknięciem brzegu kapelusza kwitował oddawane mu honory. Lśniąc złotymi lamówkami i epoletami schodziły kolejno przez furty burtowe te szczęśliwe osobistości, które osiągnęły szczyty korzyści płynące z posiadania stanowiska dowodzącego. Eleganckie gigi unosiły ich ku zakotwiczonym okrętom.

— Zostaje pan na okręcie na obiad, sir? — spytał Hornblower.

— Tak.

Na pokładzie własnego okrętu słówko „sir” wróciło całkiem naturalnie do użycia, tak naturalnie jak je opuszczali, gdy Hornblower odwiedzał przyjaciela w szpitalu na lądzie. Hornblower odwrócił się, salutując Bucklandowi.

— Sir, czy mogę zostawić pokład Hartowi? Zostałem zaproszony na obiad do kajuty dowódcy.

— Bardzo dobrze, panie Hornblower — odparł Buckland z wymuszonym uśmiechem. — Wkrótce dostaniemy dwóch nowych poruczników i pan już nie będzie młodszym.

— Nie zmartwię się tym, sir.

Ci ludzie, co tyle przeszli razem, w obawie, żeby poważniejsze sprawy nie przyszły do głosu, chwyтали się drobiazgow, aby podtrzymać rozmowę.

— Czas na nas — zauważył Buckland.

Komandor Cogshill był wytwornym gospodarzem. W wielkiej kajucie stały teraz kwiaty; musiały zostać ukryte w części sypialnej na czas posiedzenia sądu, aby nie naruszać oficjalnego

charakteru postępowania prawnego. Okna kajuty były szeroko otwarte, a przez nawietrznik wpadało do wnętrza świeże powietrze.

— Panie Hornblower, ma pan przed sobą sałatkę z krabów lądowych, karmionych orzechem kokosowym. Niektórzy wolą je od mięsa świń tuczonych produktami mlecznymi. Może pan poda kraby amatorom tego przysmaku?

Steward wniósł ogromny dymiący udziec i postawił na stole.

— Comber ze świeżo ubitego jagnięcia — mówił komandor. — Na tych wyspach owce źle się chowają i boją się, że może się nie nadawać do jedzenia. Ale niech panowie przynajmniej spróbują. Zechce pan pokroić, panie Buckland? Jak widzicie, panowie, zostało mi jeszcze trochę prawdziwych ziemniaków — pataty mogą się sprzykrzyć. Napije się pan wina, panie Hornblower?

— Z przyjemnością, sir.

— I pan Bush... za szybki powrót do zdrowia, sir.

Bush chciwie opróżnił szklankę. Przed opuszczeniem szpitala został uprzedzony przez Sankeya, że nadużycie płynów alkoholowych może doprowadzić do zaognienia się ran, lecz tak było miło czuć wino spływające po gardle i jego ciepło rozchodzące się w żołądku. Obiad trwał.

— Panowie, którzy odbywali poprzednio służbę w tym garnizonie, muszą to znać — rzekł dowódca, kontemplując postawioną przed nim dymiącą potrawę. — Gulasz pieprzowy, zachodnioindyjski — obawiam się, że nie tak dobry, jak bywa w Trynidadzie. Może pan zacznie, panie Hornblower? Proszę wejść!

Ostatnie słowa były odpowiedzią na pukanie do drzwi kabiny. Wszedł elegancko odziany midszypmen. Jego piękny mundur i wytworna postawa świadczyły, że należał do tej klasy oficerów marynarki wojennej, którzy otrzymują ładne pensyjki z domu albo mają własne środki finansowe. Jakiś potomek rodu szlacheckiego odsługujący określony czas, aż protekcja lub interes pchną go w górę drabiny awansu.

— Przysyła mnie admirał, sir — oznajmił.

Oczywiście. Mając umysł wyostrzony winem Bush poznał od razu, że człowiek w takim stroju i z takimi manierami musiał należeć do personelu admirała.

— Z czym pana przysyła? — zapytał Cogshill.

— Admirał śle pozdrowienia, sir, i chciałby, aby pan Hornblower stawił się na okręcie flagowym tak szybko, jak to jest dogodne.

— A tu obiad nawet nie w połowie — westchnął Cogshill spoglądając na Hornblowera. Lecz gdy admirał mówi, że coś ma być tak szybko, jak to jest dogodne, oznacza to „natychmiast”, czy to jest dogodne, czy nie. A przy tym sprawa może być zupełnie małej wagi.

— Chyba raczej pojedę, sir, jeśli pan pozwoli — rzekł Hornblower. Spojrzał na Bucklanda. — Czy mogę wziąć łódź, sir?

— Przepraszam, sir — wtrącił midszypmen. — Admirał powiedział, że przywiezie pana na okręt flagowy łódź, którą ja tu przybyłem.

— To załatwia sprawę — ucieszył się Coghill. — Niech pan lepiej jedzie, panie Hornblower. Zostawimy panu trochę tego gulaszu, zje pan po powrocie.

— Dziękuję, sir — odparł Hornblower wstając.

Gdy tylko zniknął za drzwiami, dowódca zadał nieuniknione pytanie:

— Czego, u licha, chce admirał od Hornblowera?

Potoczył wzrokiem wokół stołu, lecz nie usłyszał odpowiedzi. Jednakże na twarzy Bucklanda odmalowało się napięcie, co nie uszło uwagi Busha.

— No cóż, dowiemy się we właściwym czasie — ciągnął Coghill. — Pańskie wino czeka, panie Buckland.

Obiad potoczył się dalej. Gulasz pieprzowy drapał Bushowi podniebienie i palił go w żołądku, toteż tym chętniej popijał wino. Gdy zabrano sery i nakrycia, steward wniósł owoce i orzechy na srebrnych talerzach.

— Porto — rzekł komandor Coghill. — Rocznik siedemdziesiąty dziewiąty. Niezłe. Mało się znam na tym trunku, rzecz naturalna w dzisiejszych czasach.

Koniak mógł pochodzić jedynie z Francji, przeschmugłowany przypuszczalnie w ramach handlu z nieprzyjacielem.

— Ale mamy tu — ciągnął komandor — naprawdę doskonałą holenderską jałowcówkę — nabyłem ją po cenie przyzowej, gdy wzięliśmy St Eustatius. A to jeszcze inny trunek holenderski — pochodzi z Curacao i jeśli smak pomarańczy nie jest przykry dla waszych podniebień, może panom smakować. Szwedzki sznaps, mocny, ale chyba świetny, to było wtedy, gdy zdobyliśmy Sabę[10]. Powiadają, że człowiek mądry nie miesza zboża z winogronem, ale o ile wiem, sznaps robi się z kartofli, a więc go to nie dotyczy. Panie Buckland?

— Dla mnie sznaps — powiedział Buckland lekko ochryłym głosem.

— Panie Bush?

— To samo co pan, sir.

Ta decyzja była najłatwiejsza.

— A zatem niech będzie koniak. Panowie, na pohybel Bonaparcowi!



Wypili toast i koniak gładko spłynął po przełyku Busha. Czuł się szczęśliwy i odprężony, a po dwóch dalszych toastach było mu tak dobrze jak nigdy od chwili, gdy „Renown” wypłynął z Plymouth.

— Wejść! — powiedział dowódca.

Drzwi otwały się powoli i stanął w nich Hornblower. Na jego twarzy malowało się dawne napięcie. Bush zauważył to, mimo że miał wrażenie, iż postać Hornblowera drga mu lekko przed oczyma — jak obraz przedmiotów nad nosidłami z rozżarzonymi do czerwoności pociskami armatnimi w Samaná; rysy twarzy Hornblowera wydawały mu się nieco zamazane.

— Niech pan wchodzi, człowieku, proszę wejść — zapraszał dowódca. — Właśnie zaczynamy toasty. Proszę siadać na swoim miejscu. Koniak dla bohaterów, jak mawiał Johnson w swej mądrości. Panie Bush!

— Z-zwycięskiej wojny. K-krwi zakrzepłej oceanów. P-pryzów w bród. P-prześlicznych na lądzie dam. Hic — recytował Bush, niewymownie dumny z siebie, że pamiętał toast i miał w pogotowiu, gdy trzeba go było wygłosić.

— Do dna, panie Hornblower — dodał komandor — musi nas pan doganiać. Pościg za rufą to długi pościg.

Hornblower znowu przytknął szklanekę do ust.

— Panie Buckland!

— Że... żeby nam się... żeby nam się dobrze... dobrze... działa! — wystękał wreszcie Buckland ostatnie słowo toastu. Twarz miał czerwoną jak burak i Bush pod wpływem rozpalonej wyobraźni odniósł wrażenie, że wypełnia on sobą całą kajutę niby zachodzące słońce. Bardzo zabawne.

— Wraca pan od admirała, panie Hornblower — zaczął dowódca, jakby sobie nagle przypomniawszy.

— Tak, sir.

Ta krótka odpowiedź nie pasowała do panującej w kajucie atmosfery ogólnej życzliwości; Bush wyczuł to i zauważył pauzę, jaka po niej nastąpiła.

— Wszystko w porządku? — zapytał wreszcie dowódca, jakby przepaszając, że wtrąca się w czyjeś sprawy, lecz zmusza go do tego zapadłe milczenie.

— Tak, sir — odparł Hornblower obracając szklanekę na stole długimi nerwowymi palcami, jak wydawało się Bushowi, mierzącymi chyba ze stopę. — Mianował mnie kapitanem „Retribution”.

Wyrzeczone spokojnie słowa zabrzmiały jak strzał z pistoletu w ciszy kabiny.

— Niech mnie diabli! — wykrzyknął dowódca. — Mamy więc okazję do nowego toastu. Za zdrowie nowego kapitana — wzniesiemy okrzyk na jego cześć!

Bush przyłączył się ochoczo do okrzyku i wypił swój koniak do dna.

— Pocziwy stary Hornblower! — powiedział. — Pocziwy stary Hornblower!

Dla niego była to naprawdę wspaniała wiadomość; przechylił się i poklepał Hornblowera po plecach. Śmiał się całą twarzą i przechyliwszy głowę podparł ją ramieniem, aby Hornblower mógł mieć satysfakcję z jej widoku.

Buckland z hukiem postawił szklankę na stole.

— Niech to diabli! — wydusił z siebie. — Niech to wszystko diabli porwą!

— Spokojnie! — łagodził go spiesznie dowódca. — Napełnijmy kielichy. Oto pełniutki puchar, panie Buckland. A teraz... za kraj! Za szlachetną Anglię! Królowę fal!

Wściekłość Bucklanda roztopiła się w strumieniu alkoholu, ale później znów go ogarnęła i siedział przy stole łkając. Łzy spływały mu po policzkach, lecz Bush czuł się za bardzo szczęśliwy, by pozwolić mu się smucić. Zawsze wspominał ten obiad jako jeden z najbardziej udanych, w jakich brał udział. Pamiętał również, że pod koniec i na twarzy Hornblowera pojawił się uśmiech.

— Nie możemy odesłać dziś pana do szpitala — oznajmił Hornblower. — Niech pan prześpi noc w swojej koi. Zaprowadzę tam pana.

To było bardzo przyjemne. Bush objął rękami plecy Hornblowera i dał się nieść szurając stopami. Nie miało znaczenia, czując czyjaś pomoc, że nogi nie chciały iść same; Hornblower był najlepszym człowiekiem na świecie i Bush ogłaszał to wszem wobec wyśpiewując „For He's a Jolly Good Fellow”[11] i zataczając się w przejściu. A Hornblower złożył go na huśtającej się koi i patrzył z uśmiechem, jak chwyta kurczowo za jej krawędź; Bush był trochę zdziwiony, że okręt na kotwicy może się tak kołysać.

## Rozdział XVII

W taki to sposób Hornblower opuścił „Renown”. Zdobył upragniony awans i miał pełne ręce roboty, doprowadzając „Retribution” do stanu gotowości bojowej, przygotowując go do wyjścia w morze i organizując wybraną dla niego szkieletową załogę. Bush widział się z nim raz czy dwa w tym okresie i mógł mu pogratulować na trzeźwo epoletu na lewym ramieniu, świadczącego o jego stopniu kapitańskim i przynależności do tych przybranych w złoto wybrańców, których przybycie oznajmiali gwizdkami pomocnicy bosmana i którzy mogli z ufnością oczekiwać awansu na komandora, Bush zwracał się do niego per „sir”, ale nawet gdy użył tego słówka po raz pierwszy, nie zabrzmiało ono sztucznie.

W czasie minionych kilku tygodni Bush dowiedział się czegoś, na co nie zwrócił uwagi przez całe lata swej służby. Lata te upłynęły na morzu, wśród niebezpieczeństw i nieustannych zmian wiatru i pogody, przejść z głębin na płycizny. Na okrętach liniowych, gdzie odbywał służbę, minuty

walki przypadały na tygodnie pobytu na morzu i stopniowo umacniało się w nim przekonanie, że wiedza żeglarska jest jedyną rzeczą niezbędną oficerowi marynarki wojennej. Opanować niezliczone drobne wiadomości z zakresu obchodzenia się z drewnianym żaglowcem, nie tylko umieć prowadzić go pod żaglami, lecz mieć rozeznanie we wszystkich małych, a tak istotnych szczegółach z zakresu lin wszelkiego rodzaju, pomp i solonej wieprzowiny, grzyba toczącego drewno i Regulaminu Wojennego; tego potrzebował oficer. Ale teraz zetknął się z innymi cechami, równie niezbędnymi: śmiałą, a rozważną inicjatywą, odwagą duchową, a nie tylko fizyczną, taktownym stosunkiem zarówno do przełożonych, jak i do podwładnych, samodzielnością i bystrością myślenia. Flota wojenna musiała walczyć i potrzebowała walecznych ludzi, by tę walkę prowadzili.

Chociaż ta świadomość pozwoliła mu pogodzić się z awansem Hornblowera, sam jednak, jak na ironię, musiał zabrać się natychmiast do najbardziej prozaicznych drobiazgów. Trzeba było toczyć wojnę nie z ludźmi, lecz z insektami; w czasie swego sześciodniowego pobytu na pokładzie hiszpańscy jeńcy wyposażyli okręt we wszelkiego rodzaju robactwo, które przywlekli ze sobą. Pchły, wszy i pluskwy roiły się wszędzie i mnożyły w zastraszającym tempie w sprzyjającym środowisku tropikalnym na zatłoczonym ludźmi drewnianym okręcie. Trzeba było postrzyc czupryny, wyprażyć pościel i pomalować drewno w desperackim wysiłku pozbycia się pluskiew, ale był to sukces zwodniczy, bo po każdej jedno- czy dwudniowej przerwie robactwo pokazywało się na nowo. Nawet towarzyszące zawsze życiu na okręcie szczury i karaluchy zdawały się mnożyć gwałtowniej i docierać do każdego zakątka.

Może źle się stało, że moment najwyższego rozdrażnienia tym stanem rzeczy zbiegł się z wypłatą przyzowego za statki zdobyte w Samaná. Sto funtów do wydania, dwa dni urlopu udzielonego przez komandora Cogshilla i Hornblower chwilowo bez zajęcia — ten dwudniowy okres szaleństwa minął na wątpliwych rozkoszach Kingston, na które obaj z Bushem przepuścili po sto funtów. Dwa zwariowane dni i dwie noce, a potem Bush na „Renown”, rozbity i osłabiony, marzył o wyjściu w morze i powrocie do normalnego stanu. A gdy wrócił z pierwszej morskiej wyprawy pod dowództwem Cogshilla, Hornblower zjawił się, by się pożegnać.

— Odpływam jutro rano z bryzą lądową — oznajmił.

— Dokąd, sir?

— Do Anglii — odparł Hornblower.

Bush nie mógł się powstrzymać, żeby nie gwizdnąć, słysząc tę nowinę. W eskadrze byli ludzie, którzy Anglii nie widzieli od dziesięciu lat.

— Ale wracam — ciągnął Hornblower. — Konwój do Downs[12]. Poczta dla komisarzy rządowych. Odebranie odpowiedzi i konwój z powrotem. Prosta sprawa.

Dla dozorców była to istotnie prosta sprawa. „Retribution”, ze swymi osiemnastoma działami i zdyscyplinowaną załogą mógł poradzić sobie na wodzie z każdym prawie statkiem pirackim; przy swej prędkości i zwrotności był w stanie strzec konwoju bardziej skutecznie niż okręt liniowy lub nawet fregaty towarzyszące większym konwojom dla ich obrony.

— Potwierdzą panu nominację, sir? — powiedział pytająco Bush spoglądając na epolet Hornblowera.

— Mam nadzieję, że tak — odparł Hornblower. Potwierdzenie nominacji nadanej przez dowódcę garnizonu za granicą kraju było zwykłą formalnością.

— To znaczy — dodał Hornblower — jeśli nie zawrą pokoju.

— Nie ma widoków na to, sir — stwierdził Bush; z tego, w jaki sposób Hornblower wyszczerzył do niego zęby, widać było, że i on nie przewidywał takiej ewentualności mimo wzmianek o możliwości rokowań w świeżo dostarczonych z Anglii gazetach sprzed dwóch miesięcy. Z Bonapartem, niespokojnym, ambitnym i pozbawionym skrupułów, u szczytu władzy, wobec niezgodnienia żadnego ze spornych punktów między obydwojma krajami, nikt z biorących udział w wojnie nie wierzył, aby rokowania mogły doprowadzić choćby do zawieszenia broni, a już na pewno nie do trwałego pokoju.

— W każdym razie powodzenia, sir — powiedział Bush i nie mówił tego zdawkowo.

Uścisnęli sobie dłonie i rozstali się; fakt, że następnego ranka, skoro świt, Bush wysunął się z koi i poszedł na pokład, aby obserwować „Retribution”, jak majacząc niby duch, z postawionymi marszlami, przy akompaniamencie wołań marynarza mierzącego głębokość ołowianką z ławy wantowej, okrążał cypel pod podmuchem bryzy lądowej, mówił wiele o tym, co czuł Bush do Hornblowera. Patrzył, jak okręt znika; życie w marynarce wojennej to częste rozstania. Na razie musiał wracać do wojny z pluskwami.

Jedenaście tygodni później eskadra halsując przeciw pasatowi znalazła się w cieśninie Mona. Lambert doprowadził ją tu, mając, jak każdy admirał, podwójny cel: przeprowadzić ćwiczenia okrętów i dopilnować przeprawy ważnego konwoju przez najniebezpieczniejszy odcinek drogi. Wzgórza Santo Domingo zniknęły na chwilę za widnokretem na zachodzie, lecz na wprost leżała Mona, o powierzchni równej jak stół, o bardzo wydłużonym zarysie, gdy się na nią patrzyło z tej

strony; na lewo od dziobu widać było siostrzaną wysepkę Mony, Monitę, o rodzinie podobnym kształcie.

Fregata obserwacyjna idąca na czele konwoju wysłała sygnał.

— Za bardzo się pan grzebie, panie Truscott — burczał Bush, jak należało, na midszypmena sygnałowego.

— Widać statek, namiar północny wschód — odczytał midszypmen sygnał z lunetą przy oku.

Mogło to być wszystko, od wysuniętej forpoczty eskadry francuskiej, której udało się wymknąć z Brestu, do zabłąkanego statku handlowego.

Sygnał został opuszczony i natychmiast ukazał się następny.

— Widać przyjazny statek, namiar północny wschód — sylabizował Truscott.

Przeleciał szkwał i zaciemnił widnokrąg. „Renown” musiał chwilowo odpaść od wiatru przed jego uderzeniem. Deszcz zabębnił o pokład, gdy „Renown” przechylił się mocno, a potem wiatr nagle przycichł, pokazało się słońce i już było po szkwałe. Bush przystąpił do uplasowania okrętu na powrót na przepisowej pozycji, w szyku eskorty, ustawiając „Renown” dokładnie o dwa kable za rufą poprzedzającego go okrętu. Szedł jako ostatni z trzech jednostek, z okrętem flagowym na czele. Teraz na horyzoncie widać już było wyraźnie tamten statek. Jeden rzut oka przez lunetę upewnił, że to dozorowiec; Bush nawet pomyślał, że mógłby to być „Retribution”, w drodze powrotnej z bardzo szybkiej podróży okrężnej, ale spojrzawszy jeszcze raz stwierdził, że nie. Truscott odczytał jego numer i sprawdził na liście.

— Dozorowiec „Clara”, kapitan Ford — oznajmił. Bush wiedział, że „Clara” wyszła z pocztą do Anglii trzy tygodnie przed „Retribution”.

— „Clara” do flagowego. Ma rozkazy — kontynuował Truscott.

Dozorowiec zbliżał się szybko. Na flaglinkach okrętu flagowego pojawił się sznur czarnych kulek, które rozwinęły się na szczycie we flagi.

— Do wszystkich okrętów — odczytywał Truscott z wyraźnym przejęciem w głosie, gdyż oznaczało to rozkazy także dla „Renown”. — Stanać w dryf.

— Brasy grotmarsła! — krzyknął Bush. — Panie Abbott! Pozdrowienia ode mnie dla dowódcy i wiadomość, że eskadra staje w dryfie.

Okręty eskadry zbliżyły się do wiatru i położyły w dryf łagodnie unosząc się na wałach wodnych; Bush przyglądał się, jak podskakując na falach łódź z „Clary” zdąża na okręt flagowy.

— Proszę trzymać brasy obsadzone, panie Bush — zarządził komandor Coghill. — Spodziewam się, że będziemy musieli ruszyć, jak tylko rozkazy zostaną dostarczone.

Ale Coghill się mylił. Bush patrzył przez lunetę, jak oficer z „Clary” wszedł na pokład okrętu flagowego, lecz mijały minuty, a flagowiec dalej stał w dryfie, a z nim reszta eskadry kiwała się na falach. Na okręcie flagowym nowy sznur czarnych kulek wzbiał się po flaglinkach.

— Do wszystkich okrętów — odczytywał Truscott. — Dowódcy, stawić się na pokładzie flagowego.

— Załoga gigu zbiórka! — krzyknął Bush.

Musiały to być jakieś ważne czy niezwykle dla admirała nowiny, że zapragnął skomunikować się natychmiast i osobiście z dowódcami swoich okrętów. Bush z Bucklandem czekali spacerując po pokładzie rufowym. Flota francuska mogła przedrzeć się przez blokadę; sprzymierzeniec na północy mógł stać się znowu niespokojny. Może król ma nawrót choroby. Mogło to być wszystko; jedno było pewne, że coś się działo. Minuty mijały dłużej się; wieści nie były chyba złe — w przeciwnym razie Lambert nie traciłby tak cennego czasu, a eskadra nie odchodziłaby powoli na zawietrzną. Wreszcie wiatr przyniósł po błękitnej wodzie odgłosy gwizdków bosmańskich na okręcie flagowym. Bush przyłożył lunetę do oczu.

— Pierwszy odpływa — oznajmił.

Gig za gigiem odpływał od burty flagowca, aż ujrzeli gig z „Renown”, z jego dowódcą na ławce rufowej. Gdy dowódca przechodził przez burtę, Buckland wyszedł przywitać go. Coghill dotknął palcami runda kapelusza; wyglądał oszołomiony.

— Pokój — oznajmił.

Wiatr przyniósł echo okrzyków z okrętu flagowego — widocznie podano tam wiadomość załodze. Dopiero te okrzyki uzmysłowiły im znaczenie przyniesionej przez dowódcę nowiny.

— Pokój, sir? — spytał Buckland.

— Tak, pokój. Podpisano wstępne porozumienie. W przyszłym miesiącu ambasadorowie spotkają się w Paryżu omówić warunki, ale już mamy pokój. Wszystkie działania wojenne przerwane — ustaną wszędzie, w każdym zakątku świata, gdzie dotrze ta wieść.

— Pokój! — powtórzył Bush.

Przez dziewięć lat światem władała wojna; płonęły okręty i wykrwawiali się ludzie, od Manili do Panamy, na wschód i na zachód. Trudno było uwierzyć, że nagle się znalazł w świecie, gdzie ludzie nie biją do siebie z armat na sam swój widok. Następne słowa Cogshilla wiązały się jak gdyby z tymi myślami.

— Okrętom floty republiki francuskiej, bawarskiej i włoskiej należy oddawać honory należne obcym okrętom wojennym — oświadczył.

Buckland gwizdnął, słysząc te słowa, i nic dziwnego. Znaczyło to, że Anglia uznała istnienie czerwonych republik, przeciwko którym walczyła tak długo. Jeszcze wczoraj samo wymówienie

słowa „republika” pachniało zdradą. A teraz dowódca wygłaszał je zwyczajnie, w oficjalnym komunikacie.

— A co będzie z nami, sir? — zapytał Buckland.

— Na wiadomość w tej sprawie musimy jeszcze poczekać — odparł Coghill. — Ale stan marynarki wojennej zostanie zredukowany do poziomu pokojowego. To znaczy, że załogi dziewięciu okrętów na każde dziesięć zostaną rozpuszczone.

— O święty Mojżeszu! — zawołał Bush.

Teraz wiatr przyniósł przenikliwe odgłosy okrzyków radości z następnego okrętu.

— Wezwać całą załogę — rozkazał Coghill. — Trzeba im o tym powiedzieć.

Po wysłuchaniu nowiny wśród załogi „Renown” zapanowała radość. Wznosili okrzyki z takim samym zapałem jak marynarze na pozostałych okrętach. Dla nich oznaczało to koniec okrutnej dyscypliny i niewymownych trudów. Wolność, swoboda, powrót do domu. Bush przesunął wzrokiem po tłumie rozentuzjasmowanych twarzy i pomyślał, co ta wiadomość niesie dla niego. Wolność, swoboda, być może, ale także życie z połowy gaży porucznika. Czegoś takiego nigdy jeszcze nie przeżywał; wstąpił do marynarki wojennej we wczesnej młodości jako midszypmen — do marynarki pokojowej, którą ledwo sobie przypominał — a w ciągu dziewięciu lat wojny miał tylko dwa krótkie urlopy. Nie bardzo był pewny, czy cieszą go perspektywy, jakie szykowała mu przyszłość.

Spojrzał na okręt flagowy i odwrócił się, aby zbesztać midszypmena sygnałowego.

— Panie Truscott! Nie widzi pan sygnału! Proszę pilnować swoich obowiązków, bo będzie źle z panem, pokój czy nie pokój.

Skonfundowany Truscott przyłożył lunetę do oczu.

— Do wszystkich okrętów — odczytywał. — Uformować się w szyku torowym na lewym halsie.

Bush poprosił wzrokiem dowódcę o pozwolenie na wykonanie rozkazu.

— Obsadzić brasy! — grzmiał. — Wybrać bras grotmarsla. Ruszać się szybciej, gamonie! Sternik, pełnymi żaglami ostro na wiatr! Panie Cope, nie ma pan oczu w głowie? Podebrać jeszcze bras nawietrzny! Na miły Bóg! Dosyć, wy tam! Mocuj!

— Do wszystkich okrętów — sylabizował Truscott, patrząc przez lunetę, gdy „Renown” ustalił się na kursie w śladzie torowym poprzedzającego go okrętu. — Kolejno wykonać zwrot przez sztag.

— Cała załoga do zwrotu okrętu! — zawołał Bush.

Obserwował ruchy poprzednika i znalazł jeszcze czas, aby złajać wachtę za opieszałość w

przybywaniu na swoje stanowiska dla wykonania zwrotu przez sztag.

— Co za skończone ślamazarne łazęgi! Niedługo paru z was zatańczy nad gretingiem!

Okręt idący przed nimi wykonał już zwrot przez sztag i „Renown” wpływał w jego spieniony ślad torowy.

— Zwrot przez sztag! — zawołał Bush. — Szoty kliwrów! Ster na nawietrzną!

„Renown” wykonał majestatycznie zwrot i żagle wypełniły się wiatrem na prawym halsie.

— Kurs południowy zachód ku zachodowi — zameldował Truscott odczytując następny sygnał.

Południowy zachód ku zachodowi. Admirał zmierza widocznie z powrotem do Port Royal. Bush domyślił się, że jest to pierwszy krok w kierunku zmniejszenia stanu floty wojennej do poziomu pokojowego. Słońce grzało przyjemnie i „Renown” idąc fordewindem na wyrównanym kursie przebijał się przez huczące błękitne wody Morza Karaibskiego. Dobrze trzymał się na swej pozycji w szyku, nie było potrzeby luzować stermarsła. To było piękne życie. Nie umiał sobie wyobrazić, że się kończy. Próbował myśleć o dniu zimowym w Londynie, gdy się nie ma nic do roboty. Bez okrętu, który trzeba prowadzić. Połowa pensji — jego siostry już teraz dostawały połowę, co znaczyło, że dla niego nie zostanie ani grosza i do tego nic do roboty. Mroźny dzień zimowy. Nie, to przerastało po prostu możliwości jego wyobraźni.

## Rozdział XVIII

Był mroźny dzień zimowy w Portsmouth; ulicą wiał przenikliwy wiatr wschodni, gdy Bush wyszedł za bramę stoczni. Podniósł kołnierz grubej kurtki na owiniętą szalem szyję, wsunął ręce w kieszenie i z pochyloną głową parł pod wiatr, z łzawiącymi oczyma i ciekącym nosem. Miał wrażenie, że ten wschodni wiatr przenika między żebra i sprawia, iż zabliznione rany znów zaczynają boleć. Mijając „Keppel's Head” nie pozwolił sobie nawet spojrzeć w tamtą stronę. Wiedział, że wewnątrz znalazłby ciepło i paru dobrych kompanów. Szczęśliwi oficerowie z przyzwoym do wydania i ci o niebo szczęśliwsi, którym udało się dostać pracę we flocie pokojowej — pewnie opowiadają sobie Historie i przepijają winem. Jego nie było stać na wino. Pomyślał pożądliwie o wielkim kuflu piwa, lecz natychmiast odrzucił pokusę. W kieszeni miał gażę miesięczną — zmniejszoną o połowę — szedł z biura wypłat, gdzie pobrał pieniądze, ale wiedział, że musi mu to starczyć na cztery i pół tygodnia, toteż nie mógł sobie pozwolić na piwo.

Próbował naturalnie dostać pracę w marynarce handlowej jako oficer pokładowy, ale w tej chwili było to tak samo nierealne jak otrzymanie stanowiska porucznika we flocie wojennej. Rozpocząwszy od midszypmena i pędząc dotąd żywot na wojaczkę, nie znał się na konosamentach ani sztauowaniu ładunku. Flota handlowa traktowała marynarkę wojenną z pobłażliwą pogardą; mówiło się tam, że w marynarce wojennej muszą mieć zawsze stu ludzi do wykonania pracy, którą na statku handlowym robi sześciu. A po rozpuszczeniu każdego następnego okrętu świeża porcja pomocników oficera nawigacyjnego wyszkolonych do służby we flocie handlowej i siłą z niej zabranych szukała zatrudnienia w dawnym zawodzie, co miesiąc zwiększając konkurencję.



Ktoś wyszedł z bocznej uliczki i podążał tuż przed nim pod wiatr — oficer marynarki wojennej. Ten niezgrabny chód, ramiona pochylone pod wiatr; trudno było nie rozpoznać Hornblowera.

— Sir! Sir! — zawołał i Hornblower obejrzał się.

Na jego twarzy malowało się zniecierpliwienie, które zniknęło z chwilą, gdy poznał Busha.

— Jak to miło zobaczyć pana — rzekł wyciągając dłoń.

— Przyjemnie zobaczyć p a n a, sir — odparł Bush.

— Proszę nie mówić do mnie „sir” — poprosił Hornblower.

— Nie, sir? Co... dlaczego?...

Hornblower nie miał na sobie płaszcza mundurowego; na lewym ramieniu brak było epoletu, który powinien był nosić jako kapitan. Oczy Busha prześliznęły się po nim automatycznie. Dostrzegł dziurki w materiale w miejscu, gdzie kiedyś przymocowany był epolet.

— Nie jestem kapitanem — wyjaśnił Hornblower. — Nie potwierdzili mojej nominacji.

— Dobry Boże!

Twarz Hornblowera była nienaturalnie blada — Bush przywykł do opalanej na brąz — a policzki zapadły się, lecz był na niej dawny nieprzenikniony wyraz, który Bush pamiętał tak dobrze.

— Wstępne porozumienie pokojowe podpisano w dniu, gdy doprowadziłem „Retribution” do Plymouth — wyjaśnił Hornblower.

— Co za piekielny pech! — wykrzyknął Bush.

Porucznicy całe życie oczekiwali na szczęśliwy układ warunków, który mógłby doprowadzić do awansu, a większość z nich czekała daremnie. Teraz wyglądało na to, że i Hornblower będzie czekał na próżno do końca życia.

— Czy prosił pan o zatrudnienie na stanowisku porucznika? — zapytał Bush.

— Tak. I pan chyba też? — odpowiedział pytaniem Hornblower.

— Tak.

Nie było potrzeby więcej mówić na ten temat. W czas pokoju marynarka wojenna zatrudniała jedną dziesiątą poruczników służących w niej podczas wojny; aby otrzymać zatrudnienie, trzeba było mieć znacznie dłuższy staż od innych lub poparcie wpływowych przyjaciół.

— Spędziłem miesiąc w Londynie — ciągnął Hornblower. — Stale widać tam tłum ludzi pod

biurami Admiralicji i marynarki wojennej.

— Nie wątpię — rzekł Bush.

Wiatr dmuchnął przenikliwie zza rogu.

— Boże, ale ziąb — westchnął Bush.

Zastanawiał się nad sposobem kontynuowania rozmowy w jakimś zacisznym miejscu. Jeśli pójdą do „Keppel's Head”, będzie musiał pewnie zapłacić za dwa piwa i Hornblower też.

— Idę właśnie do „Long Rooms” — powiedział Hornblower. — Chodźmy razem... ale może pan zajęty?

— Nie, nie jestem zajęty — odparł Bush z wahaniem. — Ale...

— Och, w porządku — przerwał Hornblower. — Idziemy.

Było coś dodającego otuchy w pewnym sobie tonie, jakim Hornblower wspomniął „Long Rooms”. Bush znał to miejsce tylko z opowiadań. Uczęszczali tam oficerowie marynarki wojennej i armii, którzy mieli pieniądze do wydania. Bush słyszał o wysokich stawkach, jakie stosowano tam w grze, i o wytwornych napojach podawanych przez właściciela. Jeśli Hornblower mówił tak lekko o „Long Rooms”, nie musiał być aż w tak okropnych warunkach, na jakie wyglądał. Przeszli przez ulicę, a potem Hornblower otworzył drzwi i przepuścił Busha przed sobą. Znaleźli się w długiej sali wyłożonej dębową boazerią; ponurość dnia rozjaśniały tu świece i wspaniały ogień na kominku. Pośrodku stało kilka stolików karcianych z krzesłami, gotowych do gry, a w obu końcach sali urządzono wygodne kącki wypoczynkowe. Sprzątający salę służący w zielonym fartuchu z rypsu podszedł odebrać kapelusze i okrycie od Busha.

— Dzień dobry, sir — powiedział.

— Dzień dobry, Jenkins — odpowiedział Hornblower.

Nie kryjąc pośpiechu podszedł do kominka i stanął przed ogniem, aby się ogrzać. Bush spostrzegł, że szczęka zębami.

— Za zimno wychodzić bez okrycia — zauważył.

— Tak — odparł Hornblower.

Zbyt szybko rzucił to krótkie „tak” jak na zwykłe potwierdzenie i wtedy Bush się domyślił, że Hornblower wyszedł na ostry mróz bez płaszcza nie przez ekscentryczność czy zapomnienie. Popatrzył uważnie na niego i już miał zadać nietaktowne pytanie, ale nie zdążył, bo drzwi wewnętrzne za ich plecami otworzyły się i do pokoju wszedł pulchnutki mężczyzna małego wzrostu, ubrany z nieskazitelną elegancją. Strój miał według ostatniej mody, lecz długie włosy, związane z tyłu i przypudrowane na modłę poprzedniego pokolenia, sprawiały, że trudno było odgadnąć jego wiek. Popatrzył na obydwu uważnymi ciemnymi oczyma.

— Dzień dobry, markizie — rzekł Hornblower. — Miło mi zapoznać panów — pan markiz de SainteCroix — porucznik Bush.

Markiz skłonił się uprzejmie i Bush starał się uczynić to samo. Czuł na sobie uważne spojrzenie dołączone do tego uprzejmego ukłonu. Z tym samym wyrazem twarzy mógłby jakiś porucznik oglądać kandydata na marynarza, a farmer prosiaka na targu. Bush domyślił się, że markiz taksuje go pod kątem ewentualnego partnera przy stoliku karcianym i poczuł się głupio z powodu swego wyświechtanego mundurku. Markiz najprawdopodobniej doszedł do tego samego wniosku co Bush, ale mimo to zagał rozmowę.

— Paskudny wiatr — rzekł.

— Tak — potwierdził Bush.

— W Kanale będzie duża fala — ciągnął uprzejmie markiz, dotykając tematu zawodowego.

— Niewątpliwie tak — zgodził się Bush.

— Żaden statek nie wpłynie z zachodu.

— Na pewno.

Markiz świetnie mówił po angielsku. Zwracając się do Hornblowera zapytał:

— Czy widział się pan ostatnio z panem Truelovem?

— Nie — odparł Hornblower. — Ale spotkałem pana Wilsona.

Truelove i Wilson były to znane Bushowi nazwiska najśłynniejszych agentów przyzwoych w Anglii — co najmniej jedna czwarta ludzi z marynarki wojennej korzystała z ich usług przy sprzedaży przyzów. Markiz znów zwrócił się do Busha:

— Mam nadzieję, panie Bush, że miał pan szczęście z przyzowym?

— Nie za bardzo — odparł Bush. Swoje sto funtów przepuścił w czasie dwudniowej hulanki w Kingston.

— Ci ludzie obracają bajecznymi sumami, dosłownie bajecznymi. O ile wiem, załoga „Caradoc” będzie miała po powrocie siedemdziesiąt tysięcy funtów.

— Być może — rzekł Bush. Słyszał o zdobyczach „Caradoc” w Zatoce Biskajskiej.

— Ale póki dmie ten wicher, muszą, biedacy, czekać z nacieszeniem się swoim majątkiem. Nie rozpuszczono ich po zawarciu pokoju, lecz skierowano na Maltę dla zluzowania tamtejszego garnizonu. Teraz ich powrót spodziewany jest z dnia na dzień.

Jak na imigranta i cywila markiz wykazywał godne pochwały zainteresowanie sprawami

wojskowymi. I był przy tym konsekwentny w swej uprzejmości, czego dowiodły jego następne słowa.

— Mam nadzieję, że będzie się pan tu czuł jak u siebie w domu, panie Bush — rzekł. — A teraz panowie wybaczą, ale mam wiele spraw do dopilnowania.

Wycofał się przez drzwi za zasłoną, zostawiając Busha i Hornblowera patrzących po sobie.

— Dziwny jegomość — zauważył Bush.

— Nie tak dziwny, gdy go się bliżej pozna — powiedział Hornblower.

Kominek ogrzał go trochę i zaróżowił policzki.

— Co pan tu r o b i? — zapytał Bush, gdy ciekawość wzięła górę nad grzecznością.

— Gram w wista — wyjaśnił Hornblower.

— Wista?

Bush wiedział tylko tyle o wiście, że to powolna gra, ulubiona przez inteligentów. Sam wolał coś bardziej hazardowego, nie wymagającego wysiłku umysłowego.

— Wielu ludzi z marynarki wpada tu na wista — powiedział Hornblower. — Jestem zawsze rad, gdy mogę usiąść jako czwarty.

— Ale słyszałem,..

Bush słyszał, że w „Long Rooms” uprawia się też inne gry: hazardowe, oczko, nawet ruletkę.

— Gry o wysokie stawki odbywają się tam — Hornblower wskazał drzwi za kotarą. — Ja przebywam tutaj.

— Bardzo mądrze — pochwalił Bush. Ale czuł, że wiele rzeczy zostało jeszcze nie dopowiedzianych. Nie powodowała nim prosta ciekawość. Do dalszych pytań skłoniła go sympatia i zainteresowanie, jakie żywił w stosunku do Hornblowera.

— Czy pan wygrywa? — pytał.

— Często — odparł Hornblower. — Wystarczy na życie.

— Ale otrzymuje pan połowę pensji? — ciągnął Bush. Hornblower, naciskany przez Busha, ustąpił wreszcie.

— Nie — odparł. — Nie mam tytułu do tego.

— Nie ma pan tytułu? — powiedział Bush ze zdziwieniem. — Przecież ma pan stopień

porucznika.

— Tak. Ale mój awans na kapitana był tymczasowy. Przez trzy miesiące, zanim przyszła z Admiralicji odmowa potwierdzenia nominacji, otrzymywałem pełną gażę należną temu stanowisku.

— A potem wstrzymywali wypłaty?

— Tak. Aż potracą to, co mi nadpłacono. — Hornblower uśmiechnął się prawie naturalnym uśmiechem. — Już przeżyłem tak dwa miesiące. Jeszcze tylko pięć i będę dostawał znowu połowę pensji.

— Święty Piotrze! — wykrzyknął Bush.

Połowa pensji to już było mało; oznaczało to oszczędne życie i rozwagę w wydawaniu pieniędzy, ale żyć się dało. Hornblower nie dostawał nic. Bush zrozumiał teraz, czemu Hornblower nie ma płaszcza. Poczł nagle wściekłość. Przez głowę przemknęły mu wspomnienia tak wyraźne, jak wyraźnie widział tę przyjemną salę. Wspomnił, jak ze szpadą w dłoni Hornblower wdarł się na pokład „Renown” i ruszył do boju, który mógł skończyć się zwycięstwem lub śmiercią. Hornblower, który tyle myślał i działał, żeby zapewnić sukces — a potem, na pokładzie okrętu, rzucił swe życie na szalę; dziś ten sam Hornblower stoi tu szczękając zębami, próbując się ogrzać przy ogniu z łaski właściciela spelunki hazardowej, zabójada o wyglądzie nauczyciela tańca.

— To oburzające — powiedział wreszcie Bush. A potem zaproponował swoje pieniądze, chociaż wiedział z całą pewnością, że czyniąc tak, będzie głodował on sam i jego siostry, jeśli nie dosłownie, to w każdym razie nie będą mieli dosyć na jedzenie. Ale Hornblower pokręcił głową.

— Dziękuję panu — rzekł. — Nigdy tego nie zapomnę. Lecz nie mogę tego przyjąć. Pan wie, że nie mogę. Zawsze jednak będę panu wdzięczny. Swymi słowami rozjaśnił mi pan świat.

Mimo odmowy Bush ponowił propozycję i próbował wmusić przyjęcie pieniędzy, lecz Hornblower nie ustąpił. Może widząc przygnębioną minę Busha Hornblower udzielił mu dalszych informacji, żeby go podnieść na duchu.

— Sprawy nie mają się tak źle, jak by wyglądało — rzekł. — Pan nie wie, że otrzymuję stałe wynagrodzenie... regularne honorarium od naszego przyjaciela markiza.

— Nie, nie wiedziałem — odparł Bush.

— Pół gwinei tygodniowo — wyjaśnił Hornblower. — Dziesięć szylingów i sześć pensów w każdą sobotę rano, niezależnie od pogody.

— A co musi pan robić za to? — Połowa pensji Busha wynosiła przeszło dwa razy więcej.

— Muszę grać w wista — wyjaśnił Hornblower. — Tylko tyle. Od dwunastej po południu do drugiej rano muszę tu być, żeby usiąść do wista przy każdym stoliku, gdzie brak czwartego.

— Rozumiem — mruknął Bush.

— W swej szczodroblewości markiz daje mi również wolny wstęp do klubu. Nie muszę płacić składki członkowskiej ani opłaty za korzystanie z restauracji klubowej. I mogę zatrzymywać dla siebie wygrane.

— Ale też pokrywać przegrane?

Hornblower wzruszył ramionami.

— Naturalnie. Tylko że nie tak często się przegrywa, jak by ktoś mógł przypuszczać. Przyczyna jest całkiem prosta. Gracze, którym trudno znaleźć partnerów i których inni traktują pogardliwie, są oczywiście złymi graczami. Ale bardzo chcą grać. I gdy przypadkiem markiz jest na sali, kiedy major Jones, admirał Smith i pan Robinson szukają czwartego, a wszyscy inni udają bardzo zajętych — on spogląda na mnie z wyrzutem, tak jak żona mogłaby patrzeć na męża rozmawiającego zbyt głośno w czasie proszonego obiadu — wtedy ja wstaję... Dziwna rzecz, pochlebia im grać z Hornblowerem, chociaż często naraża ich to na stratę pieniędzy.

— Rozumiem — powtórzył Bush i przypomniał sobie Hornblowera stojącego przy palenisku w forcie Samaná i organizującego obstrzał pirackich statków hiszpańskich rozpalonymi pociskami.

— Życie, rzecz jasna, nie zawsze ściele się po różach — ciągnął Hornblower; raz zacząwszy nie mógł się powstrzymać od mówienia. — Po czterech czy więcej godzinach człowieka zaczyna wściekać gra z marnymi partnerami. Jeśli pójdę do piekła, to na pewno za karę będę miał zawsze za partnerów ludzi, którzy nie zwracają uwagi na to, co zrzucam. Lecz z drugiej strony często zdarza mi się zagrać robra czy dwa z dobrymi partnerami. Są chwile, że wolę przegrać z dobrym graczem, niż wygrać ze złym.

— W tym sęk — rzekł Bush, wracając do poprzedniego tematu. — A jak jest z przegranymi?

Doświadczenia Busha w hazardzie polegały głównie na przegrywaniu, i teraz, myśląc na trzeźwo o tych sprawach, przypomniał sobie, jak marnie gra.

— Jakoś sobie radzę — rzekł Hornblower. Dotknął kieszeni na piersiach. — Trzymam tu dziesięć funtów. Mój *corps de réserve*, rozumie pan. Dzięki temu mogę zawsze przetrzymać kilka kolejnych przegranych. Gdyby rezerwa się wyczerpała, musiałbym ponieść ofiary, żeby ją znów mieć.

Ofiary — to znaczy pozbawienie się posiłków, pomyślał ponuro Bush. Tyle troski było w jego twarzy, że Hornblower pospieszył z dalszą pociechą.

— Ale za pięć miesięcy będę miał znowu połowę pensji — rzekł. — A do tego czasu... kto wie? Jakiś kapitan może mnie przygarnąć.

— To prawda — potwierdził Bush.

Teoretycznie mogło się to zdarzyć. Niekiedy okręty zmieniały obsadę. Jakiś kapitan mógł potrzebować porucznika; mógł zaprosić Hornblowera, żeby zajął wakans. Ale wszyscy kapitanowie byli oblegani przez przyjaciół szukających stanowisk, a również Admiralicja była szturmowana

przez poruczników o dużo dłuższych stażach służbowych lub innych, mających wpływowych przyjaciół, a kapitanowie przeważnie słuchają zaleceń wysoko postawionych osób.

Drzwi się otwały i weszło paru mężczyzn.

— Najwyższy czas, żeby klienci zaczęli napływać — zauważył Hornblower, szczerząc zęby do Busha. — Niech pan zostanie, pozna pan moich przyjaciół.

Szkarłatne mundury wojskowe, niebieskie oficerów marynarki wojennej, surduty cywilów o barwie zieleni butelkowej i tabaczkowej; po dokonaniu prezentacji Bush i Hornblower zrobili im miejsce przy kominku — poły surdutów rozchyłały się, gdy ich właściciele stawali w kolejce przed ogniem. Nagle ucichły uwagi o mrozie i uprzejma wymiana słów.

— Wist? — zaproponował jeden z nowo przybyłych.

— Nie ze mną. To nie dla nas — odezwał się inny, dusza grupki w czerwonych mundurach. — Dwudziesty dziewiąty piechoty ma co innego do roboty. Spotykamy się codziennie z naszym przyjacielem markizem w sąsiednim pokoju. Chodźmy, majorze, zobaczymy, czy tym razem uda nam się wywołać właściwą cyfrę[13].

— Może zatem pan zechce zagrać jako czwarty, panie Hornblower? A pański przyjaciel, pan Bush?

— Ja nie gram — powiedział Bush.

— Z przyjemnością — zgodził się Hornblower. — Wiem, że pan nie będzie miał nic przeciwko temu, panie Bush. Tam na stole leży nowy numer „Naval Chronicle”, na ostatniej stronie jest list do „Gazette”, który może zajmie pana przez chwilę. A tu jest jeszcze jedna pozycja, która też może wydać się panu ważna.

Bush wiedział, o czym będzie ten list, jeszcze zanim wziął gazetę do ręki, ale gdy odszukał już to miejsce, poczuł to samo miłe zaskoczenie, widząc swoje nazwisko w druku, jak wówczas gdy zobaczył je po raz pierwszy: „Pozostaję z poważaniem, itd., W. Bush”.

Widocznie w tych dniach pokoju „Naval Chronicle” miała trudności ze zdobyciem materiałów dla wypełnienia swoich szpalt, że sporo miejsca poświęciła na przedruki rozkazów. „Kopia listu wiceadmirała Sir Richarda Lamberta do jaśnie wielmożnego pana Evana Nepeana, sekretarza Admiralicji”. Było to tylko wyjaśniające pismo Lamberta, z dołączonymi raportami. A oto pierwszy — z dziwnym uczuciem Bush przypomniał sobie, jak pomagał Bucklandowi go pisać, gdy „Renown” płynął na zachód wzdłuż wybrzeża Santo Domingo, dzień przed buntem jeńców. Był to raport Bucklanda o bitwie w Samaná. Dla Busha najważniejszy wiersz brzmiał: „w znakomity sposób — pod kierunkiem porucznika Williama Busha, starszego oficera, którego raport załączam”. A oto i owe jego własne dzieło literackie, dołączone przez Bucklanda.

Królewski okręt „Renown”,

w pobliżu Santo Domingo

9 stycznia 1802

Sir,

Mam zaszczyt powiadomić pana...

Czytając własne słowa Bush przeżywał na nowo tamte dni sprzed roku; słowa, które układał z takim trudem, mimo że w trakcie pisania posługiwał się raportami pisanymi przez innych, aby swój sformułować odpowiednim językiem.

...Nie mogę zakończyć niniejszego raportu nie wspomniawszy o dzielnym zachowaniu się i niezwykle pomocnych propozycjach porucznika Hornblowera, który był w czasie tej wyprawy moim zastępcą i któremu w znacznej części zawdzięcza ona sukces.

A teraz Hornblower był tutaj i grał w karty z dowódcą okrętu i dwoma dostawcami.

Przewracając strony „Naval Chronicle” Bush natknął się na korespondencję z Plymouth, zawierającą sprawozdanie, dzień po dniu, z tego co zaszło w porcie w ubiegłym miesiącu.

„Przyszły rozkazy rozpuszczenia załóg na następujących jednostkach...” „Z Gibraltaru przybyła «La Diana», 44 i «Tamar», 38, których załogi mają być rozpuszczone natychmiast po wejściu do portu, a okręty wycofane z eksploatacji”. „Z portu wyszedł «Caesar», 80, w drogę do Portsmouth, gdzie załoga zostanie rozpuszczona”. A oto informacje równie znaczące jak poprzednie, a może i bardziej: „Wczoraj odbyła się wielka wyprzedaż nadających się do użycia zapasów wyładowanych z różnych okrętów wojennych”. Stan marynarki wojennej kurczył się z dnia na dzień, a po rozpuszczeniu załóg na kolejnych jednostkach nowa porcja poruczników będzie szukać zatrudnienia. Inna wiadomość głosiła: „Dziś po południu łódź rybacka wracając z połowu przewróciła się, wskutek czego utonęło dwóch pracowitych rybaków, ojców licznych rodzin”. To była „Naval Chronicle”, której szpalty niegdyś pęczniały od wiadomości o Nilu i Camperdown; teraz opisywała wypadki, jakie się przydarzyły pracowitym rybakom. Bush miał dosyć własnych kłopotów, aby żywić współczucie dla licznych rodzin.

Była też na końcu wzmianka o innym wypadku utonięcia; nazwisko — a raczej połączenie imienia z nazwiskiem — przyciągnęło uwagę Busha, który przeczytał ustęp z przyspieszonym biciem serca.

Ubiegłej nocy jolka z królewskiego kutra celniczego „Rapid”, wracając we mgle po przewiezieniu poczty na ląd, rzucona została przez odpływ pod dziób statku handlowego zacumowanego za Fisher's Nose i przewróciła się. Dwaj marynarze i pan Henry Wellard, midszypmen, utonęli. Pan Wellard był bardzo obiecującym młodzieńcem; skierowany ostatecznie do służby na „Rapidzie”, poprzednio służył jako wolontariusz na królewskim okręcie „Renown”.

Bush odczytał ten ustęp i zadumał się nad nim. Wydał mu się tak ważny, że resztę „Naval Chronicle” przeglądał nie widząc, co czyta; zamyślony, omal nie zapomniał, że musi opuścić klub,



aby złapać dyliżans powrotny do Chichester.

Teraz do „Rooms” wchodziło coraz więcej ludzi; drzwi wciąż się otwierały, aby ich wpuścić. Byli wśród nich oficerowie, których znał z widzenia. Wszyscy najpierw podchodzili do kominka, żeby się ogrzać przed grą. Hornblower wstał od stolika; widocznie rober się skończył, i Bush skorzystał, by pochwycić jego wzrok i dać mu znać, że musi iść. Hornblower podszedł do niego. Uściskawszy sobie dłonie pożegnali się z żalem.

— Kiedy spotkamy się znowu? — zapytał Hornblower.

— Co miesiąc przyjeżdżam tu po moje pół pensji — odparł Bush. — Zwykle zostaję na noc, żeby wracać dyliżansem. — Może zjedlibyśmy wtedy razem obiad?...

— Zawsze może pan znaleźć mnie tutaj — powiedział Hornblower. — Ale... czy pan ma jakieś miejsce, gdzie się pan zatrzymuje?

— Zatrzymuję się tam, gdzie mi najdogodniej — brzmiała odpowiedź.

Obaj wiedzieli, że oznacza to: tam gdzie najtaniej.

— Mieszkam na Highbury Street. Dam panu adres — Hornblower podszedł do biurka w kącie pokoju i napisawszy adres na skrawku papieru wręczył go Bushowi. — Czy będzie pan łaskaw zatrzymać się w moim pokoju przy następnym pobycie? Moja gospodyni jest chytra na pieniądze. Na pewno każe sobie zapłacić za dodatkową koję dla pana, ale nawet w tym wypadku...

— ...zaoszczędzi mi to grosza — dokończył Bush, wsuwając kartkę do kieszeni; wyszczerzył zęby, żeby pokryć uczuciowe zabarwienie dalszych słów. — I zobaczę się z panem.

— Niech mnie licho, że tak — potwierdził Hornblower. Słowa nie oddawały tego, co czuli.

Jenkins podszedł z płaszczem. Coś w jego zachowaniu powiedziało Bushowi, że dżentelmeni, którym podawano okrycia w „Long Rooms”, dają Jenkinsowi szylinga. Najpierw pomyślał, że raczej zginie, niż rozstanie się z monetą, lecz potem zmienił zdanie. Może Hornblower będzie chciał dać Jenkinsowi szylinga, jeśli on tego nie zrobi. Wyjął pieniądze z kieszeni.

— Dziękuję, sir — rzekł Jenkins.

Gdy oddalił się poza zasięg głosu, Bush przystanął, zastanawiając się, jak sformułować swe pytanie.

— Miał pecha młody Wellard — rzekł mimochodem.

— Tak — zgodził się Hornblower.

— Jak pan sądzi — ciągnął desperacko Bush — czy miał coś wspólnego z upadkiem kapitana do luku?

— Trudno mi coś powiedzieć w tej sprawie — odparł Hornblower. — Za mało się w niej orientuję.

— Ale... — zaczął Bush i powściągnął język; po wyglądzie Hornblowera poznał, że nie ma sensu zadawać więcej pytań.

Do sali wszedł markiz i skontrolował sytuację dyskretnym spojrzeniem. Bush widział, jak notuje sobie w pamięci fakt, że kilku obecnych nie gra, a Hornblower gawędzi tymczasem u wyjścia. Dostrzegł też znaczące spojrzenie markiza i nagle zaczął bardzo się śpieszyć.

— Do widzenia — powiedział szybko.

Przenikliwy, mroźny wiatr północno-wschodni, jaki przywitał go na ulicy, nie był bardziej okrutny od otaczającego go świata.

## Rozdział XIX

Na pukanie Busha otworzyła drzwi niewiasta niskiego wzrostu o srogim wyrazie twarzy, który stał się jeszcze sroższy, gdy przybyły zapytał o kapitana Hornblowera.

— Na samej górze — wydusiła wreszcie, zostawiając Busha, aby sam znalazł drogę.

Nie można było wątpić o radości Hornblowera na jego widok. Oblicze rozjaśnił mu uśmiech, gdy wprowadzał Busha do pokoju potrząsając jego dłonią. Było to poddasze ze stromo opadającym sufitem; stało tu łóżko, stolik nocny i jedno drewniane krzesło; niczego innego Bush nie zauważył obrzuciwszy pomieszczenie pobeżnym spojrzeniem.

— A co tam u pana? — spytał siadając na wskazanym mu przez Hornblowera krześle, gdy on sam usiadł na łóżku.

— Jakoś idzie — odparł Hornblower, ale odpowiedź poprzedziła niepewna pauza, a może mu się tylko wydawało? Jeśli nawet było coś w tonie Hornblowera, to zatuszował to sam, zadając szybko pytanie.

— A u pana?

— Tak sobie — odpowiedział Bush.

Przez chwilę wymieniali błahe uwagi; Hornblower pytał o domek w Chichester, gdzie Bush mieszkał z siostrami.

— Musimy zająć się łóżkiem dla pana na noc — powiedział Hornblower po pierwszej pauzie. — Zejdę na dół i porozumiem się z panią Mason.

— Lepiej pójdę razem z panem — rzekł Bush.

Pani Mason zastanawiała się przez parę sekund, zanim wyraziła zgodę.

— Szyling za łóżko. Nie da się uprać pościeli za mniej przy dzisiejszej cenie mydła.

— Bardzo dobrze — powiedział Bush.

Pani Mason wyciągnęła dłoń i Bush położył na niej szylinga; nikt nie mógł mieć wątpliwości, że pani Mason będzie sobie kazała płacić z góry wszystkim przyjaciołom Hornblowera. Wsunął on dłoń do kieszeni zauważywszy jej gest, lecz Bush był szybszy.

— Na pewno będziecie gadać do późna w nocy — ciągnęła pani Mason. — Pamiętajcie, żeby nie przeszkadzać innym lokatorom. I zgaście przedtem światło, bo gadając wypalilibyście łożu za szylinga.

— Oczywiście — zapewnił Hornblower.

— Maria! Maria! — zawołała pani Mason.

Młoda kobieta, a właściwie nie bardzo młoda — wyszła z pokoju na schody.

— Słucham, mammo!

Wysłuchiwała instrukcji pani Mason na temat przygotowania zapasowego łóżka w pokoju pana Hornblowera.

— Tak, mammo — powiedziała.

— Nie masz dziś zajęć w szkole, Mario? — odezwał się uprzejmie Hornblower.

— Nie, sir. — Uśmiech na prostej twarzy mówił, jaką przyjemność sprawiło jej to pytanie.

— Czy to rocznica restauracji[14]? Nie, za wcześnie. A może urodziny króla? Nie? Więc skąd te wakacje?

— Świnka, sir — odparła Maria. — Wszyscy, poza Johnnie Bristowem dostali świnki.

— To się zgadza z tym, co słyszałem o Johnnie Bristowie — zażartował Hornblower.

— Tak, sir — potwierdziła Maria. Uśmiechnęła się znowu, wyraźnie zadowolona nie tylko z tego, że Hornblower dowcipkował z nią, ale że pamiętał jej opowiadania o szkole.

Wróciwszy na poddasze Hornblower i Bush podjęli rozmowę, już bardziej serio. Mówili o sytuacji w Europie.

— Ten Bonaparte — zagaił Bush — musi być z niego niespokojny duch.

— To właściwe określenie dla niego — zgodził się Hornblower.

— Czy nie ma dosyć? Pamiętam, w dziewięćdziesiątym szóstym, kiedy służyłem na starym

„Superbie” na Morzu Śródziemnym — zostałem wtedy mianowany porucznikiem — on był zwykłym generałem. Przypominam sobie, że pierwszy raz usłyszałem jego nazwisko, gdy blokowaliśmy Tulon. Potem wyprawił się do Egiptu. A teraz jest Pierwszym Konsulem — czy nie tak siebie nazywa?

— Tak. Ale jest też Napoleonem. Już nie Bonapartem. Dożywotnim Pierwszym Konsulem.

— Śmieszne imię. Nie chciałbym się tak nazywać.

— Porucznik Napoleon Bush — powiedział Hornblower. — To nie brzmiałoby dobrze.

Roześmieli się, ubawieni tym zabawnym połączeniem.

— W „Morning Chronicle” piszą — ciągnął Hornblower — że zamierza pójść dalej. Mówi się, że chce mianować się cesarzem.

— Cesarzem?

Nawet Bush wyczuwał treść znaczeniową tego tytułu nasuwającą myśl o jakimś uniwersalnym prymacie.

— A może to szaleniec? — zastanawiał się Bush.

— Jeśli tak, to najniebezpieczniejszy w Europie.

— Nie wierzyłbym mu w sprawie Malty. Nie ufam mu ani na jotę — mówił Bush stanowczym głosem. — Niech pan zapamięta moje słowa, w końcu przyjdzie nam bić się z nim znowu. Dać mu lekcję, której nie zapomni. Musi do tego dojść wcześniej czy później — nie może być dalej tak, jak jest.

— Chyba ma pan rację — mówił w zadumie Hornblower. — I to wcześniej niż później.

— A wtedy... — zaczął Bush.

Nie potrafił mówić i myśleć równocześnie, szczególnie w stanie takiego wzburzenia umysłu, jakie wywołał wniosek, do którego doszli obaj przed chwilą; wojna z Francją znaczyła ponowny wzrost floty wojennej. Groźba inwazji i potrzeba organizowania konwojów — to powołanie do służby każdej jednostki pływającej, na której można było zamontować armatkę. Dla niego byłby to koniec wegetacji na połowie gaży; powrót na pokład i prowadzenie okrętu pod żaglami. Jednocześnie oznaczało to nowe zmagania, niebezpieczeństwa, strach i monotonię — wszystkie nieodłączne atrybuty wojny. Myśli przebiegały mu przez mózg tak szybkim i ciągłym strumieniem, że wywołały zamęt, w którym złe i dobre kłębiło się, wypychając się nawzajem i wołając o uwagę dla siebie.

— Wojna to paskudna rzecz — odezwał się z powagą Hornblower. — Niech pan sobie przypomni to, co pan widział.

— Chyba ma pan rację — potwierdził Bush; nie było potrzeby wchodzić w szczegóły. Mimo

to sama uwaga była nieoczekiwana. Hornblower uśmiechnął się i nastrój zelżał.

— No cóż — rzekł — Boniś może się ogłosić cesarzem, jak chce. A ja muszę zarobić swoje pół gwinei w „Long Rooms”.

Bush miał już skorzystać z okazji i spytać Hornblowera, jak mu tam idzie, ale zza drzwi dobiegł ich hałas i pukanie.

— Idzie pańskie łóżko — oznajmił Hornblower podchodząc do drzwi, aby je otworzyć.

Weszła Maria. Uśmiechała się do nich, tocząc przed sobą łóżko na kółkach.

— Tutaj czy tam? — zapytała. Hornblower spojrzał na Busha.

— Wszystko jedno — powiedział Bush.

— Postawię je wobec tego przy ścianie.

— Może ja pomogę — odezwał się Hornblower.

— O, nie, sir. Bardzo proszę, sir. Dam radę sama.

Zmieszła ją ta propozycja — była silnej budowy i Bush widział, że nie potrzebuje pomocy. Aby pokryć konfuzję, podeszła ciężkim krokiem do łóżka i zaczęła składać poduszkę do poszewki.

— Ale ty, Mario, przeszłaś już chyba świnkę? — powiedział Hornblower.

— O, tak, sir. Jako mała dziewczynka, miałam ją po obu stronach.

Wysiłek fizyczny i obecność dwóch mężczyzn zaróżowiły jej policzki. Swymi grubymi, choć zręcznymi dłońmi rozesała prześcieradło. A potem przerwała, bo pytanie Hornblowera przypomniało jej o czymś.

— Niech się pan nie niepokoi, sir. Nie naraziłabym pana, nawet gdybym jej nie przeszła.

— Nie myślałem o tym — zdziwił się Hornblower.

— Och, sir — westchnęła Maria, wygładzając prześcieradło z przesadną dokładnością. Rozłożyła koce i dopiero potem spojrzała znowu na niego.

— Czy pan zaraz wychodzi?

— Tak. Powinienem już być w drodze.

— Niech mi pan pozwoli na chwilę swój mundur, sir. Oczyszczę go i trochę odświeżę.

— Och, Mario, nie chciałbym cię trudzić.

— To żaden trud, sir. Żaden. Proszę dać, sir. On wygląda...

— Wygląda tak, że nie nadaje się do noszenia — dokończył Hornblower, oglądając go krytycznym spojrzeniem. — Nie znaleziono jeszcze lekarstwa na starość.

— Proszę mi go dać, sir. Na dole jest trochę płynu do czyszczenia. Nabierze zupełnie innego wyglądu. Naprawdę.

— Ale...

— Och, proszę, sir.

Hornblower niechętnie podniósł rękę i zaczął rozpinać guziki.

— Zajmie mi to tylko minutkę — powiedziała Maria podchodząc spieszenie do niego. Wyciągnęła dłonie do guzików, ale nerwowe palce Hornblowera uprzedziły jej gest. Zdjął mundur, a ona wzięła mu go z rąk.

— Pan sam cerował koszulę — zauważyła z wyrzutem.

— Tak, sam.

Hornblower był trochę skrępowany ujawnieniem cer na bieliźnie. Maria oglądała badawczo jego dzieło.

— Zrobiłabym to, sir, dla pana, gdyby pan mnie poprosił.

— I nie wątpię, że znacznie lepiej.

— Och, tego nie mówiłam, sir. Ale nie wypada, żeby pan łątał swoje koszule.

— A czyje mam łątać?

— Maria zachichotała.

— Pan ma za cięty język dla mnie — powiedziała. — A teraz proszę poczekać i pogadać sobie z porucznikiem, a ja oczyszczę mundur.

Wybiegła z pokoju jak strzała i obaj nasłuchiwali jej spiesznych kroków po schodach. Hornblower patrzył na Busha z wyrazem skruchy.

— Jest dziwna przyjemność w świadomości — powiedział — że istnieje ktoś, dla kogo nie jest wszystko jedno, czy żyję, czy umarłem. Skąd ta przyjemność — to temat na rozprawę filozoficzną.

— Chyba tak — przyznał Bush.

Miał siostry, które dbały o niego, jak tylko mogły, i był do tego przyzwyczajony. Uważał w domu ich posługi za rzecz naturalną. Usłyszał zegar kościelny wybijający pół godziny, i to skierowało jego myśli ku sprawom tego dnia.

— Idzie pan teraz do „Long Rooms”? — zapytał.

— Tak. A pan, przypuszczam, będzie chciał się udać do stoczni? Comiesięczna wizyta w biurze wypłat?

— Tak.

— Możemy więc, jeśli pan chce, dojść razem do „Rooms”. Gdy tylko nasza przyjaciółka, Maria, przyniesie mi mundur.

— Właśnie o tym myślałem — powiedział Bush.

Już po chwili Maria pukała do drzwi.

— Zrobione — oznajmiła, podając mundur. — Wygląda teraz zupełnie inaczej.

Ale coś w niej jakby przygasło. Wydawało się, że jest lekko przestraszona czy niepewna.

— Co się stało, Mario? — pytał Hornblower, łatwo odczuwszy zmianę nastroju.

— Nic. Oczywiście nic, co by mnie dotyczyło — odpowiedziała Maria, jakby broniąc się, a potem zmieniła temat. — Proszę się ubierać, bo się pan spóźni.

Gdy szli przez Highbury Street, Bush zadał pytanie, z którym nosił się od pewnego czasu — jak ostatnio wiedzie się Hornblowerowi w „Rooms”. Hornblower popatrzył na niego z zadumą.

— Nie za dobrze — rzekł.

— Źle?

— Całkiem źle. Podczas gry asy moich przeciwników znajdują się zwykle za moimi królami, gotowe natychmiast do zabicia. Zaś króle w rękach moich przeciwników jak na złość są zwykle za moimi asami i gdy przeciwnik zaryzykuje ich zrzucenie, przeżywają wszystkie niebezpieczeństwa i zabierają lewę. Na dłuższą metę szansę się wyrównują. Ale przeciągające się okresy bilansowania na moją niekorzyść mogą być bardzo przykre w skutkach.

— Rozumiem — mruknął Bush, chociaż nie był tak bardzo pewny, czy istotnie rozumie; jedno pojął, że Hornblower jest stroną przegrywającą. A znał go na tyle, by wiedzieć, że gdy mówi takim lekkim tonem jak teraz, to jego niepokój jest większy, niż chciałby się do tego przyznać.

Doszli do „Long Rooms” i przystanęli u wejścia.

— Mógłby pan wstąpić po mnie w drodze powrotnej? — poprosił Hornblower. — Na Broad

Street jest jadłodajnia, po cztery pensy za posiłek. A sześć z puddingiem. Może chciałby pan spróbować?

— Oczywiście. Dziękuję. Powodzenia — powiedział Bush i dodał: — Niech pan będzie ostrożny.

— Będę — powiedział Hornblower i wszedł do środka.

Pogoda była zupełnie inna niż za poprzedniego pobytu Busha. Wtedy panował ostry mróz i wiał wschodni wiatr; teraz w powietrzu czuć było wiosnę. Idąc wzdłuż Hardu Bush zobaczył po lewej stronie bramę portu, którego błotniste wody lśniły w jasnym blasku dnia. Dozorowiec gładkopokładowy wychodził z odpływem, a łagodne podmuchy wiatru z północnego zachodu ledwo zapewniały mu prędkość sterowną. Pewnie poczta do Halifaxu. Albo pieniądze na wypłatę dla garnizonu gibraltarskiego. A może pomoc dla kutrów celniczych, które tyle miały kłopotu z przeciwdziałaniem fali przemytu w czasie pokoju. Jakikolwiek by nie było zadanie okrętu, znajdowali się na nim oficerowie, szczęśliwcy z pracą zapewnioną na trzy lata, z pokładem pod stopami i mesą, gdzie dostają posiłki. Szczęściarze. Bush odsalutował portierowi w bramie i wszedł na dziedziniec.

Było późne popołudnie, gdy wyszedł z portu i ruszył do „Long Rooms”. Hornblower siedzący przy stoliku w rogu przywitał go uśmiechem, blask świec oświetlał mu twarz. Bush poszukał ostatniego numeru „Naval Chronicle” i zasiadł do czytania. Obok grupka oficerów armii i marynarki wojennej rozmawiała przyciszonymi głosami o trudnościach bytowania na tym samym świecie co Bonaparte. W rozmowie padały nazwy takie jak Malta i Genua, Santo Domingo i Miquelet.

— Zapamiętajcie sobie moje słowa — mówił któryś, uderzając pięścią w dłoń — niedługo znowu zaczniemy z nim wojować.

Rozległ się przytakujący szmer.

— Będzie to wojna na śmierć i życie — dodał inny. — Gdy raz doprowadzi nas do ostateczności, nie spoczniemy, dopóki pan Napoleon Bonaparte nie zawisnie na najbliższym drzewie.

Pozostali poparli jego oświadczenie pomrukiem przypominającym odgłosy dzikich zwierząt.

— Panowie — odezwał się przez ramię jeden z graczy od stolika Hornblowera. — Czy nie moglibyście przenieść się ze swoją rozmową na drugi koniec sali? Ta część jest przeznaczona na najtrudniejszą i najinteligentniejszą ze wszystkich gier.

Słowa te wypowiedziano miłym tenorowym głosem, lecz widać było, że mówiący oczekuje natychmiastowego spełnienia jego życzenia.

— Bardzo dobrze, milordzie — odparł jeden z oficerów marynarki.

Po tych słowach Bush przyjrzał się bliżej graczowi i poznał go, mimo że ostatni raz widział go przed sześcioma laty. Był to admirał lord Parry[15], mianowany lordem po Camperdown; teraz był jednym z komisarzy marynarki wojennej, człowiekiem, który mógł stworzyć lub zniszczyć karierę



oficera floty. Śnieżnobiałe kręcone włosy okalające łysinę na czubku głowy, gładka twarz starca, miły sposób mówienia — wszystko to nie pasowało do przezwiska „Stary Piekielnik” nadanego mu przez prostych marynarzy jeszcze za czasów wojny amerykańskiej. Hornblower obracał się w wysoko postawionym towarzystwie. Bush patrzył, jak lord Parry wyciąga białą kościstą dłoń, by przełożyć karty Hornblowerowi. Po jego obliczu, podobnym barwą do twarzy Hornblowera, widać było, że od dłuższego czasu nie przebywał w morzu. Hornblower rozdał karty i gra potoczyła się w paraliżującym milczeniu; karty padały nieomal bezszelestnie na zielone sukno i równie cicho, z leciutkim tylko klapnięciem zbierano i odkładano lewe. Rząd lew przed Parrym rozciągał się jak wąż bezszelestnie sunący po skale i jak wąż przywarował, by znowu się wydłużyć, a potem partia się skończyła i zgarbięto karty.

— Szlemik — oznajmił Parry. Gracze pochylili się nad bloczkami z zapisem. To słówko w ciszy pokoju zabrzmiało jak uderzenie w dzwon podczas pierwszej wachty po północy. Hornblower przełożył karty, które znów rozdano w niesamowitej ciszy. Bush nie czuł się zafascynowany grą. On sam wolałby inną, w której mógłby urągać z powodu przegranej i cieszyć się głośno z wygranej; najlepiej taką, gdzie o wygranej decydowałoby pokazanie jednej karty, a nie wszystkich pięćdziesięciu dwóch. Ale mylił się. W grze partnerów była na pewno fascynacja, niezdrowe zafascynowanie. Opium? Nie. Gra przypominała raczej spokojne krzyżowanie szpad w pojedynku, tak różne od szczęku pałaszy, ale tak samo śmiertelnie poważne. Cios w płuca lekką szpadą mógł zabić równie dobrze — a właściwie bardziej skutecznie niż pałaszem.

— Krótki rober — zauważył Parry; cisza przysła, karty leżały rozrzucone na stole.

— Tak, milordzie — potwierdził Hornblower.

Obserwując z uważnym niepokojem wszystko, co się działo, Bush spostrzegł, że Hornblower sięgnął do wewnętrznej kieszeni na piersi — tej, w której, jak mówił kiedyś, trzymał swoją rezerwę — i wyjął mały zwitek banknotów. Po zapłaceniu przegranej do kieszeni powrócił tylko jeden banknot.

— Miał pan fatalnego pecha — powiedział Parry wsuwając wygraną do kieszeni. — Oba razy, gdy pan rozdawał, po odwróceniu karty na atut okazywało się, że jest to jedyna karta atutowa w pańskim ręku. Nie pamiętam wypadku, żeby rozdający miał raz po razie po singlu atutowym.

— Przy długiej grze, milordzie — zauważył Hornblower — można oczekiwać każdego możliwego układu kart.

Mówił uprzejmie obojętnym tonem, i przez chwilę Bush pomyślał nawet, że może jego przegrana to nic poważnego, ale wnet przypomniał sobie, jak Hornblower wkładał do kieszeni ostatni banknot.

— Rzadko jednak widuje się taką pechową serię — rzekł Parry. — A przecież gra pan doskonale, panie... panie... proszę wybaczyć, lecz nie zapamiętałem pańskiego nazwiska, gdy nas sobie przedstawiano.

— Hornblower — zabrzmiała odpowiedź.

— A tak, prawda. Skądś mi jest znane to nazwisko.

Bush rzucił szybkie spojrzenie na Hornblowera. Był to najodpowiedniejszy moment, żeby przypomnieć lordowi komisarzowi o niepotwierdzeniu jego nominacji na kapitana.

— Kiedy byłem midszypmenem, milordzie — mówił Hornblower — zdarzyło mi się chorować na chorobę morską na pokładzie „Justiniana”, w czasie gdy okręt ten stał na kotwicy w Spithead. Myślę, że słyszał pan tę historię.

— Nie, to musiało być coś innego — powiedział Parry. — Ale wróćmy do tego, co zacząłem mówić. Chciałem wyrazić żal, że nie mogę zaproponować panu od razu rewanżu, chociaż pragnąłbym bardzo mieć znowu okazję obserwowania sposobu pańskiej gry.

— Jest pan bardzo uprzejmy, milordzie — odpowiedział Hornblower, a Bush aż skręcił się ze złości — zrywał się już od chwili, gdy Hornblower pozwolił umknąć tej nadzwyczajnej okazji. Jego ostatnie słowa miały lekki posmak goryczy i Bush się obawiał, że admirał to wyczuje. Na szczęście jednak Parry nie znał Hornblowera tak dobrze jak Bush.

— Niestety — ciągnął Parry — mam się spotkać na obiedzie z admirałem Lambertem.

Tym razem zbieg okoliczności poruszył Hornblowera.

— Admirałem Lambertem, milordzie?

— Tak. Pan go zna?

— Miałem zaszczyt służyć pod nim w czasie pobytu na Jamajce. A to jest pan Bush; dowodził oddziałem desantowym z „Renown”, który zmusił Santo Domingo do kapitulacji.

— Miło mi poznać pana, panie Bush — rzekł Parry, ale widać było, że nie jest mu to zbyt na rękę. Komisarz mógł się czuć zakłopotany spotkaniem z bezrobotnym porucznikiem o tak znakomitej przeszłości we flocie. Nie tracąc czasu Parry zwrócił się do Hornblowera.

— Myślałem o tym — mówił — żeby spróbować namówić admirała Lamberta, aby przybył tu ze mną po obiedzie, wówczas mógłbym zaproponować panu rewanż. Czy zastanę tu pana, jeśli mi się uda?

— Będzie to zaszczyt dla mnie, milordzie — odparł Hornblower z ukłonem, ale Bush zauważył mimowolny ruch palców w stronę prawej kieszeni.

— A zatem wstępnie uzgodnione? Nie mogę nic przyrzekać w imieniu admirała Lamberta poza tym, że zrobię co w mojej mocy, aby go nakłonić.

— Jem obiad z panem Bushem, milordzie. Ale z mojej strony nie będzie to na pewno najmniejszą przeszkodą.

— Więc jesteśmy prawie umówieni?

— Tak, milordzie.

Parry ruszył ku wyjściu odprowadzany przez swego porucznika flagowego, który był jednym z czwórki wistowej, z całą godnością i pompą, jaka należała się parowi, admirałowi i komisarzowi floty. Hornblower uśmiechnął się do Busha.

— Jak pan myśli, czas, żebyśmy i my poszli na obiad? — zapytał.

— Myślę, że tak — odrzekł Bush.

Jadłodajnia przy Broad Street była prowadzona, jak zresztą można się było spodziewać, przez okulałego marynarza. Pomagał mu impertynencki synalek, który podszedł do nich, gdy siedli przy wyszorowanym stole dębowym na dębowych ławach, by przyjąć zamówienie.

— Piwo? — spytał chłopiec.

— Nie, bez piwa — odpowiedział Hornblower.

Chłopiec wzruszył ramionami, dając do zrozumienia, co myśli o dżentelmenach z marynarki wojennej spożywających posiłek czteropensowy nic do tego nie biorąc do picia. Z hukiem postawił przed nimi dymiące talerze: gotowana baranina — nie za wiele mięsa — kartofle, marchewka, pęczak z pasternakiem i odrobina puree z grochu, a wszystko pływające w cienkim sosie.

— To zaspokaja głód — zauważył Hornblower.

Może i zaspokajało, ale widać było, że Hornblower dawno nie zaspokajał swego głodu. Zaczął jeść, usiłując czynić to obojętnie, ale po każdym kęsie apetyt jego wzrastał, a skrępowanie mijało. W oka mgnieniu jego talerz był pusty; wytarł go do czysta chlebem, który też zjadł. Bush nie marudził przy jedzeniu, ale był trochę zaskoczony, gdy zauważył, że Hornblower już skończył, podczas gdy on swój talerz opróżnił dopiero w połowie. Hornblower zaśmiał się nerwowo.

— Jadanie w pojedynkę uczy złych nawyków — rzekł — a najlepszym dowodem jego zakłopotania było to nieprzekonywające wyjaśnienie.

Sam zdał sobie z tego sprawę, gdy tylko wypowiedział te słowa, i próbował pokryć zmieszanie, rozpierając się dumnie na ławie, a chcąc pokazać, jak swobodnie się tu czuje, wsadził ręce do kieszeni munduru. Gdy to uczynił, wyraz jego twarzy zmienił się nagle. Z twarzy znikł lekki rumieniec, a pojawiła się na niej konsternacja, a nawet obawa. Bush zaniepokoił się bardzo; pomyślał najpierw, że Hornblower dostał ataku apopleksji i dopiero potem skojarzył sobie zmianę w jego wyglądzie z gestem wkładania rąk do kieszeni. Człowiek, który odkrył węża w kieszeni, nie wyglądałby mniej przerażony.

— Co się stało? — pytał Bush. — Na litość boską, co?...

Hornblower wyjął powoli prawą dłoń z kieszeni. Przez chwilę trzymał w niej to, co tam znalazł, a potem wolno, z oporem otworzył palce, jakby się bojąc zobaczyć, co w nich ma. Lecz nie było to nic strasznego; po prostu srebrna moneta: pół korony.

— Ależ to nic takiego — przemówił Bush, zdezorientowany. — Sam nie miałbym nic przeciwko znalezieniu półkoronówki w swojej kieszeni.

— Ale... ale... — jąkał się Hornblower i Bush zaczął się czegoś domyślać.

— Nie było jej tu rano — rzekł Hornblower, a potem uśmiechnął się swoim dawnym gorzkim uśmiechem. — Wiem aż za dobrze, ile pieniędzy mam w kieszeni.

— Spodziewam się — zgodził się Bush, ale nawet teraz, wspominając wypadki dnia i próbując coś z tego wywnioskować, nie mógł pojąć przyczyny tak głębokiego zmartwienia Hornblowera?

— Ta dziewczucha włożyła to?

— Tak, Maria — wyznał Hornblower. — To musiała być ona. Po to wzięła mundur do oczyszczenia.

— Pocziwa z niej dusza — zauważył Bush.

— O Boże! — wykrzyknął Hornblower. — Ale ja nie mogę... nie mogę...

— A czemuż by nie? — zapytał Bush i naprawdę uważał, że to pytanie nie wymaga odpowiedzi.

— Nie — powiedział Hornblower. — To jest... to jest... Wolałbym, żeby nie zrobiła tego. Biedna dziewczyna...

— Można tylko pochwalić biedaczkę — rzekł Bush. — Chciała po prostu przynieść panu szczęście.

Hornblower patrzył na niego dłuższą chwilę bez słowa, a potem machnął ręką, jak gdyby tracąc nadzieję, czy Bush potrafi kiedyś spojrzeć na tę sprawę z jego punktu widzenia.

— Może pan patrzeć na to, jak pan chce — ciągnął Bush konsekwentnie, zdecydowany nie odstąpić od swego zdania — ale nie widzę potrzeby zachowywania się, jakby Francuzi wylądowali przed chwilą na naszym wybrzeżu, tylko dlatego że dziewczyna włożyła panu do kieszeni pół korony.

— Ale pan nie rozumie... — zaczął Hornblower, a potem dał ostatecznie spokój wyjaśnieniom. Pod zdziwionym spojrzeniem Busha opanował się. Na jego twarzy widniał znowu nieprzenikniony wyraz, jakby opuścił przyłbicę hełmu.

— Bardzo dobrze — powiedział — wykorzystamy to, u licha, najlepiej, jak się da.

Zastukał w stół.

— Chłopcze!

— Słucham, sir.

— Proszę nam podać ćwiartkę wina. Niech przyniosą zaraz. Ćwiartkę wina... porta.

— Tak jest, sir.

— Jaki dziś macie pudding?

— Porzeczkowy, sir.

— Dobrze. Zjemy go. Dla nas obu. A na wierzch niech dadzą dużo dżemu.

— Tak jest, sir.

— Do wina przynieś nam ser. Czy macie coś na miejscu, czy będziecie musieli posyłać po ser?

— Mamy na miejscu, sir.

— Proszę podać to na stół.

— Tak jest, sir.

Czyż nie tego właśnie można się było spodziewać po Hornblowerze, pomyślał Bush, widząc jak odsuwa połowę nie zjedzonej dużej porcji puddingu porzeczkowego? Skubnął tylko kęsek sera, tyle żeby poczuć jego smak. Podniósł kielich, a Bush za nim.

— Zdrowie pięknej pani — rzekł Hornblower.

Wypili i Bush zobaczył w oczach Hornblowera dziwny blask. Miał tego dosyć od momentu, kiedy powiedział sobie, że jest zmęczony atakami złych humorów Hornblowera. Postanowił zmienić temat i był dumny z taktu, z jakim to uczynił.

— Za pomyślny wieczór — powiedział, podnosząc z kolei kielich.

— Toast na czasie — zauważył Hornblower.

— Może pan grać? — zaniepokoił się Bush.

— Naturalnie.

— Stać pana na jeszcze jedną pechową rozgrywkę?

— Stać mnie jeszcze na przegranie jednego robra — odparł Hornblower.

— Aha.

— Ale jeśli wygram pierwszego, mogę już przegrać dwa następne. Gdybym wygrał pierwsze dwa, to stać mnie będzie na przegranie następnych trzech. I tak dalej.

— Uhm.

Nie brzmiało to zbyt obiecująco, a lśniące oczy Hornblowera spoglądające na niego z twarzy o kamiennym wyrazie miały niepokojący wyraz. Bush poprawił się niespokojnie na ławie i zmienił temat rozmowy.

— Biorą „Hastingsa” znowu do służby — zauważył. — Słyszał pan o tym?

— Tak. Obsada pokojowa — trzech poruczników, wszyscy trzej wytypowani dwa miesiące temu.

— Tak właśnie myślałem.

— Ale i dla nas przyjdzie szansa — ciągnął Hornblower. — Wypijmy za nią.

— Jak pan sądzi, czy Parry przyprowadzi Lamberta do „Long Rooms”? — zastanawiał się Bush podnosząc kielich do ust.

— Nie mam co do tego wątpliwości — odpowiedział Hornblower.

Znów opanował go niepokój.

— Muszę tam zaraz wracać — oznajmił. — Parry może poganiać Lamberta przy obiedzie.

— Moim zdaniem będzie — stwierdził Bush wstając.

— Jeśli panu nie zależy, nie musi pan wracać ze mną — rzekł Hornblower. — Bezczyenne siedzenie może pana znużyć.

— Nie wyrzekłbym się tego za nic na świecie — zapewnił Bush.

## Rozdział XX

Wieczorem pełno było ludzi w „Long Rooms”. Prawie przy każdym stoliku w pierwszej sali siedziały z powagą czwórki grających w poważne gry, podczas gdy spoza oddzielonych zasłoną drzwi prowadzących do dalszego pokoju dochodził nieustanny szmer świadczący o tym, że tocząca się tam rozgrywka jest podniecająca i hałaśliwa. Dla Busha jednak, stojącego niespokojnie przy kominku i wymieniającego od czasu do czasu nieistotne uwagi z wchodzącymi i wychodzącymi, jedynym punktem zainteresowania był oświetlony świecami stolik pod ścianą, gdzie grał Hornblower w towarzystwie bardzo wysoko postawionych osób. Partię stanowili dwaj admirałowie i pułkownik piechoty, otyły mężczyzna z twarzą prawie tak czerwoną jak jego mundur, którego Parry przyprowadził razem z admirałem Lambertem. Porucznik flagowy, poprzednio będący partnerem Parry'ego, został skazany teraz na rolę biernego obserwatora i stał przy Bushu, rzucając od czasu do czasu niezrozumiałe uwagi o przebiegu gry. Parę razy wyjrzał markiz. Bush widział, że spojrzenie kierował na tamten stolik z wyrazem aprobaty; nie było ważne, czy ktoś jeszcze chciał grać; nie miało znaczenia, że zasady klubu pozwalały każdemu przybyszowi przysiąść się do stolika po zakończeniu robra; czwórka złożona z dwóch admirałów i wysokiej rangi oficera mogła robić, co

jej się podobało.

Hornblower wygrał pierwszego robra, ku niewysłowionej uldze Busha, mimo że nie potrafił on śledzić szczegółów gry i zapisu i zorientował się o wyniku dopiero, gdy zgarnięto karty ze stołu i dokonano rozliczeń. Zauważył, że Hornblower odłożył jakieś pieniądze do kieszeni na piersi.

— Byłoby przyjemnie — zauważył admirał Parry — gdybyśmy mogli przywrócić dawną walutę, nieprawdaż? Gdyby kraj mógł się pozbyć tych brudnych banknotów i wrócić do naszych dobrych dawnych złotych gwinei?

— Niewątpliwie — zgodził się pułkownik.

— Ci oszuści portowi — zauważył Lambert — wychodzą do każdego okrętu wracającego zza granicy. Oferują dwadzieścia trzy szylingi i sześć pensów za gwineę, więc można być pewnym, że jej wartość jest znacznie wyższa.

Parry wyjął coś z kieszeni i położył na stole.

— Jak widzicie, panowie — rzekł — Bonius przywrócił walutę francuską. Nazywają to napoleonem od chwili, gdy został on dożywotnim Pierwszym Konsulem. Moneta dwudziestofrankowa — złoty ludwik, jak zwykliśmy ją nazywać.

— Napoleon, Pierwszy Konsul — mówił pułkownik, patrząc na monetę z ciekawością, a potem odwrócił ją na drugą stronę. — Republika Francuska.

— „Republika” to oczywiście czysta hipokryzja — zauważył Parry. — Od czasów Nerona nie było większej tyranii.

— Zedrzymy mu maskę z twarzy — rzekł Lambert.

— Amen — dokończył Parry, a potem odłożył monetę. — Ale odwlekamy to, co mamy zrobić dziś wieczór. To moja wina. Przełożmy jeszcze raz. Ach, pułkowniku, tym razem pan jest moim partnerem. Może pan zajmie miejsce naprzeciwko mnie? Zapomniałem podziękować panu, panie Hornblower, za znakomitą grę w roli mego partnera.

— Jest pan zbyt uprzejmy, milordzie — odpowiedział Hornblower siadając po prawej stronie admirała.

Zaczął się następny rober i upłynął w milczeniu do końca.

— Cieszę się, że nareszcie idą panu karty, panie Hornblower — odezwał się Parry. — Mimo że nasze lewe zmniejszają trochę pańską wygraną. Piętnaście szylingów, nieprawdaż?

— Dziękuję — rzekł Hornblower biorąc pieniądze.

Bush przypomniał sobie słowa Hornblowera, że stać go będzie na przegranie trzech robrów po wygraniu dwóch pierwszych.

— Moim zdaniem gramy o zbyt niską stawkę, milordzie — przemówił pułkownik. — Czy musimy grać tak nisko?

— Wszyscy partnerzy muszą zdecydować — rzekł Parry. — Jeśli idzie o mnie, nie mam nic przeciwko temu. Pół korony zamiast szylinga? Zapytajmy pana Hornblowera.

Bush ze świeżą obawą zwrócił na niego wzrok.

— Jak pan sobie życzy, milordzie — odpowiedział Hornblower całkiem obojętnym tonem.

— Sir Richard?

— Ja się zgadzam — rzekł Lambert.

— A zatem pół korony za lewę — ustalił Parry. — Kelner, prosimy o nowe karty.

Bush w myśli obliczał szybko, ile Hornblower może przegrać. Przy potrojonej niemal stawce nie stać go właściwie na przegranie ani jednego robra.

— Znowu pan ze mną, panie Hornblower — oznajmił Parry, patrząc na przełożone karty. — Chce pan zostać na swoim miejscu?

— Wszystko mi jedno, milordzie.

— Ale mnie nie — powiedział Parry. — Nie jestem na tyle stary, żeby nie chcieć zmieniać miejsca zgodnie z układem kart. Nasi filozofowie nie zdecydowali się jeszcze, czy to tylko zwykły przesąd.

Podniósł się z krzesła, zajął miejsce naprzeciwko Hornblowera i gra się zaczęła, a Bush obserwował jej przebieg z jeszcze większym niepokojem niż poprzednio. Partnerzy wzięli kolejno po lewie, a potem Hornblower położył kilka przed sobą, jedna za drugą. W czasie dalszej rozgrywki Bush nie był w stanie zliczać wziętek, lecz w końcu zobaczył z ulgą, że po zakończeniu robra pułkownik ma przed sobą tylko dwie lewy.

— Znakomicie — cieszył się Parry — korzystny rober, panie Hornblower. Rad jestem, że zdecydował się pan przebić atutem mojego waleta kier. Musiała to być dla pana trudna decyzja, ale niewątpliwie była słuszna.

— Odebrała mi możliwość zagrywki, którą na pewno byłbym dobrze wyzyskał — zauważył Lambert. — Pułkowniku, mieliśmy naprawdę groźnego przeciwnika.

— Tak — zgodził się pułkownik, już nie w tak dobrym humorze. — Dwa razy dostałem karty bez asa i króla, co bardzo pomogło przeciwnikom. Czy może mi pan wydać resztę, panie Hornblower?

Wśród banknotów wręczonych Hornblowerowi przez pułkownika znalazł się pięciofuntowy, który powędrował do wewnętrznej kieszeni munduru.



— Tym razem przynajmniej, pułkowniku, pan ma pana Hornblowera za partnera — zauważył Parry po przełożeniu kart.

Bush spostrzegł, że stojący obok niego porucznik flagowy śledzi grę z rosnącym zainteresowaniem.

— Jedną lewą, niech to licha! — zauważył, gdy zakończono rozgrywkę.

— Ale daliśmy im łupnia, partnerze — cieszył się pułkownik, znów w dobrym nastroju. — Miałem nadzieję, że trzyma pan tę damę, ale nie byłem pewny.

— Szczęście nam dopisało — rzekł Hornblower.

Porucznik flagowy spojrział na Busha, jakby chciał powiedzieć, że według niego na podstawie przebiegu gry pułkownik nie powinien mieć wątpliwości, iż Hornblower miał danie. Teraz, gdy zwrócono mu na to uwagę, Bush uznał, że Hornblower musiał być tego samego zdania — świadczył o tym leciutki ton w jego głosie — ale był na tyle rozsądny, żeby tego nie powiedzieć.

— Przegrałem robra z pięciu i pół funta, a wygrałem z piętnastu szylingów — ciągnął pułkownik, odbierając wygraną od Lamberta. — Kto życzyłby sobie dalszego podniesienia stawki?

Należało zapisać obu admirałom na plus, że zamiast odpowiedzi popatrzyli obaj na Hornblowera.

— Jeśli panowie sobie życzą — brzmiała jego odpowiedź.

— W takim razie ja się zgadzam — rzekł Parry.

— Po pięć szylingów lewa — zaproponował pułkownik. — Teraz warto będzie grać.

— Grać zawsze warto — zauważył Parry.

— Oczywiście, milordzie — stwierdził pułkownik, nie mówiąc jednak wcale o powrocie do poprzedniej stawki.

Teraz grano naprawdę wysoko; według obliczeń Busha bardzo pechowy rober mógłby kosztować Hornblowera dwadzieścia funtów, a jak sobie dalej wyliczył, nie mógł on mieć wiele ponad to w kieszeni munduru. Ku jego uldze Hornblower z Lambertem wygrali bez trudu następny rober.

— Bardzo miły wieczór — powiedział Lambert i z uśmiechem spojrział na garść pieniędzy, jaką mu podał pułkownik — nie mówiąc o wygranej.

— Równie miły co pouczający — dodał Parry, wręczając swoją przegraną Hornblowerowi.

Partnerzy grali dalej, w milczeniu, przerywanym tylko krótką wymianą uwag między jednym robrem a drugim. Teraz, gdy już stać go było na to, Hornblower przegrał robra, na szczęście nisko, a

zaraz potem wygrał wysoko. Jego wygrane rosły prawie bez przerwy. Robiło się późno i Bush poczuł znużenie, lecz po grających nie było prawie wcale tego widać, a porucznik flagowy towarzyszył im z niezwykłą cierpliwością. Na obecnym stanowisku musiał się nauczyć śledzenia rozgrywek z filozoficznym fatalizmem, gdyż w gruncie rzeczy nie mógł nic zrobić, aby przyspieszyć pójście admirała do łóżka. Inni gracze rozeszli się; jeszcze później otworzyły się drzwi za kotarą i gromadą wyszli stamtąd hazardziści, jedni rozgadani, inni milczący, a za nimi przybył też markiz, cichy i spokojny, i przyglądał się końcowym robrom z dyskretnym zaciekawieniem, pilnując, aby przycięto knoty u świec i wniesiono świeże i aby nowe karty były pod ręką na żądanie. Parry pierwszy spojrzął na zegar.

— Pół do czwartej — rzekł. — Może panowie?...

— Za późno się kłaść, milordzie — wtrącił pułkownik. — Sir Richard i ja musimy, jak pan wie, wstać wcześniej.

— Ja wydałem wszystkie niezbędne rozkazy — oświadczył Lambert.

— I ja też — dodał pułkownik.

Bush czuł się otepiały po tylu godzinach spędzonych w dusznej atmosferze, ale wydało mu się, że zauważył ostrzegawcze spojrzenie rzucone przez Parry'ego obu mówiącym. Zastanawiał się leniwie, jakie to rozkazy miałby wydać Lambert i pułkownik, i jeszcze leniwiej, czemu Parry nie chciał, żeby mówiono o tych rozkazach. W tonie, jakim mówił Parry, można było wyczuć leciutki ślad pośpiechu, ledwie zauważalną chęć zmiany tematu.

— Dobrze więc, możemy zagrać jeszcze jednego robra, jeśli pan Hornblower nie ma nic przeciwko temu?

— Nic absolutnie, milordzie.

Hornblower zachował niewzruszony spokój; jeśli nawet dostrzegł coś znaczącego w ostatniej wymianie zdań, nie dał tego po sobie poznać. Ale i on musiał już być znużony — Bush podejrzewał, że głównie przez swój wysiłek zachowywania spokoju. Wiedział już teraz, że Hornblower stara się ukrywać swoje słabości, jak niektórzy plebejskie pochodzenie.

Partnerem Hornblowera był pułkownik i nikt z obecnych na sali nie mógł mieć wątpliwości, że ten ostatni rober był rozgrywany w atmosferze jeszcze większego napięcia niż poprzednie. Między rozdaniem kart nie padło ani jedno słowo; zapisywano wyniki, zbierano lewe i w śmiertelnej ciszy przekładano nową talię kart. Poszczególne rozgrywki toczono z desperacką zawziętością. Prawie we wszystkich pojedyncze lewy dzieliły wygrywających od strony przegranej i rober włókł się w nieskończoność. Wreszcie, w momencie szczytowego napięcia, partia dobiegła końca. Porucznik flagowy z markizem pilnowali zapisu i gdy Lambert wziął ostatnią lewę, westchnęli głośno z ulgą, a pułkownik był tak podniecony, że przerwał wreszcie milczenie.

— Na Boga, łeb w łeb — rzekł. — Następna partia będzie rozstrzygająca.

Zrobiło mu się głupio wobec kamiennego milczenia, z jakim uwaga ta została przyjęta. Parry wziął karty leżące po prawej ręce pułkownika i podsunął je Hornblowerowi do przełożenia. Następnie potasował je, odwrócił króla karo jako atu i pułkownik rozpoczął zagrywkę. Lewa padała za lewą. Przez pewien czas, straciwszy jedną, Lambert i Parry zgarniali po kolei wszystkie następne. Sześć lew leżało przed Parrym, a tylko jedna przed Hornblowerem. Uwaga pułkownika o grze łeb w łeb dźwięczała jeszcze w uszach Busha. Następną lewą na korzyść admirałów będzie znaczyła, że wygrali robra. Pięć do jednego to szansę bardzo nierówną i Bush godził się już niechętnie z myślą, że jego przyjaciel straci tego kończącego robra. Potem jednak pułkownik zebrał lewą i gra trwała dalej. Następną wziął Hornblower, tak że była jeszcze nadzieja. Wyszedł w asa karo i zanim reszta dorzuciła do niego, wyłożył pozostałe trzy karty oświadczając, że pozostałe lewy należą do niego; miał damę i waleta karo.

— Rober! — wykrzyknął pułkownik. — Wygraliśmy, partnerze! A już byłem pewien, że go przegramy.

Parry patrzył smętnie na straconego króla.

— Zgadza się, panie Hornblower — rzekł — że trzeba było wyjść asem — ale bardzo chciałbym wiedzieć, dlaczego był pan tak pewien, że mój król nie bierze. Przecież nie zeszyły jeszcze dwa inne karo. Czy za wiele żądam, prosząc aby pan zdradził nam ten sekret?

Na te słowa Hornblower uniósł lekko brew, nieco zdziwiony, że można pytać o coś, na co odpowiedź jest tak oczywista.

— Z rozgrywki wynikało, że ma pan króla, milordzie — powiedział — ale istotne były pozostałe karty, jakie miał pan na ręku, gdyż z rozgrywki wynikało również, że ma pan trzy trefle. Przy czterech kartach w ręku pański król nie mógł być biorący.

— Znakomite wyjaśnienie — rzekł Parry — utwierdza mnie ono tylko w przekonaniu, że jest pan świetnym graczem w wista, panie Hornblower.

— Dziękuję, milordzie.

W żartobliwym uśmiechu Parry'ego była spora doza przyjaźni. Jeśli zachowanie się Hornblowera nie zdobyło mu wcześniej jego szacunku, uczyniły to na pewno te ostatnie słowa.

— Zapamiętam sobie pańskie nazwisko, panie Hornblower — ciągnął. — Dowiedziałem się już od Sir Richarda, skąd wydawało mi się ono znajome. Wielka szkoda, że polityka natychmiastowych oszczędności narzucona Admiralicji przez rząd nie pozwoliła na zatwierdzenie pańskiego awansu do stopnia kapitana.

— Miałem wrażenie, że jestem jedyną osobą, milordzie, która tego żałuje.

Bush drgnął znowu niespokojnie na te słowa; Hornblower powinien był teraz starać się wejść w łaski tych u władzy, a nie obrażać ich nie ukrywaną goryczą. To spotkanie z Parrym było uśmiechem szczęścia, czymś, za co każdy żyjący z połowy pensji oficer marynarki wojennej dałby

sobie odciąć kawałek ręki. Ale rzut oka na rozmawiających przywrócił Bushowi spokój. Hornblower uśmiechnął się z zaraźliwą niefrasobliwością, a Parry odwzajemnił mu uśmiech. Może nie zauważył tonu goryczy, a może też istniał on tylko w wyobraźni Busha.

— Zapomniałem zupełnie, że jestem jeszcze panu winien trzydzieści pięć szylingów — przypomniał sobie Parry. — Proszę mi wybaczyć. Oto one; mam nadzieję, że załatwiłem w ten sposób moje długie pieniądze, pozostaję jednak nadal pańskim dłużnikiem za cenne doświadczenie.

Hornblower włożył do kieszeni gruby zwitek pieniędzy.

— Ufam, że będzie pan uważał na rozbójników w drodze do domu — zażartował Parry.

— Pan Bush idzie ze mną, milordzie. A musiałby to być silny rozbójnik, żeby dał sobie z nim radę.

— Nie ma się co bać rozbójników dzisiejszej nocy — przerwał pułkownik. — Nie dziś.

Pułkownik uśmiechnął się znacząco; dwaj pozostali dali mu jednak natychmiast do zrozumienia, że nie pochwalają niedyskretnego przypuszczalnie odezwania, ale zapomniano o tym w momencie, gdy pułkownik wskazał ręką na zegar.

— Nasze rozkazy nabierają mocy o czwartej, milordzie — odezwał się Lambert.

— A teraz już pół do czwartej. Doskonale.

W tym momencie wszedł porucznik flagowy; wysliznął się zaraz po zakończeniu gry.

— Powóz czeka przed domem, milordzie — oznajmił.

— Dziękuję. Życzę panom przyjemnego dnia.

Wszyscy ruszyli razem do wyjścia; na ulicy stał powóz, do którego wsiedli obaj admirałowie, pułkownik i porucznik flagowy. Hornblower i Bush patrzyli, jak tamci odjeżdżają.

— A teraz, co to, u diabła, za rozkazy wchodzą w życie o czwartej? — spytał Bush. Pierwsza zorza jutrzeńki wstawała nad dachami.

— Bóg wie — powiedział Hornblower.

Szli do rogu Highbury Street.

— Ile pan wygrał?

— Ponad czterdzieści funtów... będzie pewnie czterdzieści pięć — odparł Hornblower.

— Dobry zarobek, jak na jedną noc.

— Tak. Szansę zwykle wyrównują się w czasie — Hornblower wyrzekł te słowa apatycznie. Dopiero po kilku krokach zaczął nagle mówić z wigorem dziwnie kontrastującym z tonem, jakim mówił przed chwilą. — Boże, chciałbym, żeby się to zdarzyło tydzień temu. A nawet wczoraj.

— Ale czemu?

— Ta dziewczyna. Ta biedaczka.

— Niech mnie licho! — zawołał Bush. Zapomniał zupełnie o półkoronówce wsuniętej przez Marię do kieszeni Hornblowera i zaskoczyło go, że Hornblower pamiętał. — Czemu się pan o nią martwi?

— Sam nie wiem — powiedział Hornblower i zrobiwszy dwa duże kroki dodał: — Ale się martwię.

Bush nie miał czasu zastanowić się nad tym dziwnym stwierdzeniem, gdyż usłyszał dźwięk, który sprawił, że w nagłym podnieceniu chwycił Hornblowera za łokieć.

— Niech pan słucha!

Daleko w przodzie dały się słyszeć ciężkie kroki żołnierzy maszerujących ulicą. Zbliżały się ku nim. Słabe światło oświetliło białe pasy i mosiężne guziki. Był to patrol wojskowy, z muszkietami na ramieniu; obok oddziału szedł sierżant, jego szarżę zdradzały galony i krótka pika.

— Co, u licha?... — odezwał się Bush.

— Stój! — krzyknął sierżant do swoich ludzi; a potem skierował pytanie do idących: — Czy mogę zapytać, kim panowie są?

— Jesteśmy oficerami marynarki wojennej — odpowiedział Bush.

Sierżant nie potrzebował podnosić niesionej w ręce latarni, by się o tym przekonać. Stanął na baczność.

— Dziękuję, sir — powiedział.

— Sierzancie, co pan robi z tym patrolem? — zapytał Bush.

— Mam swoje rozkazy, sir — odrzekł sierżant. — W lewo zwrot! Naprzód marsz!

Patrol odmaszerował, a sierżant mijając ich zasalutował klapnięciem w krótką pikę.

— Co to wszystko znaczy? — zastanawiał się Bush. — Bonio nie mógł zaskoczyć nas desantem. Gdyby tak było, byłyby wszystkie dzwony. Można by pomyśleć, że to oddział łapiący ludzi do służby we flocie, prawdziwy oddział łapaczy. Ale to niemożliwe.

— Niech pan spojrzy tam! — rzekł Hornblower.

Ulicą szedł drugi oddział; maszerujący nie mieli na sobie czerwonych uniformów i szli bez wojskowej sztywności żołnierzy. Koszule w kratkę i niebieskie spodnie; na czele midszypmen, z białymi naszywkami na kołnierzu i kordem u pasa.

— Ależ to łapacze, z całą pewnością! — wykrzyknął Bush. — Niech pan patrzy na pałki. Każdy marynarz miał w ręku pałkę.

— Midszypmenie! — przemówił Hornblower ostro. — Co to wszystko znaczy?

Midszypmen przystanął na te słowa wypowiedziane władczy tonem i na widok mundurów.

— Rozkazy, sir — zaczął, a potem, zdając sobie sprawę, że w świetle rozwidniającego się dnia nie musi już zachowywać tajemnicy, szczególnie wobec oficerów floty wojennej, dodał: — Oddział rekrutujący, sir. Mamy rozkaz brać siłą każdego marynarza, jakiego znajdziemy. Patrole są na wszystkich drogach.

— Tak przypuszczam. Ale dlaczego łapiecie marynarzy?

— Nie Wiem, sir. Rozkaz, sir.

Taka odpowiedź powinna wystarczyć.

— Bardzo dobrze. Róbcie dalej swoje.

— Niech mnie diabli, oddział łapaczy — mówił Bush. — Coś się dzieje.

— Myślę, że ma pan słuszność — potwierdził Hornblower.

Skręcili w Highbury Street i skierowali się do domu pani Mason.

— Oto pierwsze wyniki — zauważył Hornblower.

Przystanęli u drzwi patrząc na przechodzących co najmniej stu ludzi eskortowanych przez dwudziestkę marynarzy z kijami, dowodzonych przez midszypmena. Niektórzy ze schwytanych, przerażeni, szli milcząco; inni gadali jak najęci — ich hałas budził ulicę. Każdy trzymał przynajmniej jedną dłoń w kieszeni spodni; a ci, co nie gestykulowali, obydwie.

— Zupełnie jak za dawnych czasów — powiedział Bush szczerząc zęby. — Przecięli im paski od spodni.

Musieli trzymać rękę w kieszeni, żeby spodnie nie opadły. Z opadłymi spodniami nikt nie potrafiłby uciekać.

— Wyglądają na wyszkolonych marynarzy — zauważył Bush patrząc po nich fachowym okiem.

— Marny ich los w każdym razie — mruknął Hornblower.

— Marny los? — powtórzył Bush zdziwiony.

Czy wół był nieszczęśliwy, gdy robiono z niego wołowinę? Albo — jeśli już o tym mowa — czy nieszczęśliwa jest gwinea zmieniając właściciela? Takie jest życie; dla marynarza ze statku handlowego było rzeczą równie naturalną stać się marynarzem królewskiej marynarki wojennej co posiwieć, jeśli oczywiście będzie żył dostatecznie długo. A jedynym sposobem na dostanie marynarza w ręce było zaskoczyć go nocą, wyciągnąć z domu, z knajpy czy z burdelu i przekształcić w jednej sekundzie z człowieka wolnego, zarabiającego na życie w swój własny sposób, w niewolnika, który nie może postawić stopy na lądzie, gdy zechce, bez ryzyka chłosty na oczach całej załogi. Bush nie potrafił współczuć ludziom wcielonym siłą do floty, tak jak nie umiałby współczuć nocy, że przechodzi w dzień.

Hornblower śledził jeszcze łapaczy i rekrutów.

— To może być wojna — powiedział powoli.

— Wojna! — wykrzyknął Bush.

— Dowiemy się, jak przyjdzie poczta — rzekł Hornblower. — Myślę, że Parry mógł być powiedzieć nam o tym przed odjazdem.

— Ale... wojna! — powątpiewał Bush.

Gromada schwytanych przeszła w kierunku stoczni; ich głosy cichły, w miarę jak się oddalali. Hornblower podszedł do bramy, wyciągając z kieszeni imponującej wielkości klucz. Wszedłszy do domu ujrzeli Marię stojącą u stóp schodów i trzymającą lichtarz z nie zapaloną świecą. Na koszulę nocną narzuciła długi płaszcz; musiała wkładać czepek z pośpiechem, bo wystawało spod niego kilka papilotów.

— Pan jest zdrow i cały! — powiedziała.

— Oczywiście, Mario — odparł Hornblower. — Czy sądzisz, że mogłoby się nam coś stać?

— Taki szum na ulicy — mówiła Maria. — Wyjrzałam. Czy był to oddział łapaczy?

— Tak — potwierdził Bush.

— Czy... czy to wojna?

— Bardzo możliwe, że tak.

— Och! — na twarzy Marii malowała się rozpacz. — Och!

Oczy jej szukały ich twarzy.

— Nie ma powodu do zmartwienia, panno Mario — mówił Bush. — Wiele długich lat upłynie, nim Bonio przeprowadzi swoje płaskodenki przez Spithead.

— To nie to — powiedziała Maria.

Teraz patrzyła tylko na Hornblowera. Błyskawicznie zapomniała o obecności Busha.

— Pan odjedzie! — zawołała.

— Jeśli zostanę wezwany, Mario, będę musiał spełnić swój obowiązek — rzekł Hornblower.

Na schodach z sutereny pojawiła się surowa postać pani Mason; nie włożyła czepka i widać było wszystkie papiloty.

— Pobudzicie innych lokatorów tymi hałasami — odezwała się.

— Mamo, oni mówią, że to może być wojna — zawołała Maria.

— Nie najgorsza rzecz, jeśli dzięki niej niektórzy ludzie zapłacą to, co są dłuźni.

— Ja to uczynię w tej chwili — rzekł gwałtownie Hornblower. — Ile jestem dłuźny, pani Mason?

— Och, proszę... proszę... — przerwała Maria.

— A ty, panienko, zamknij lepiej buzię — rzuciła ostro pani Mason. — Tylko przez wzgląd na ciebie pozwalałam temu młodemu flrcykowi siedzieć tutaj.

— Mamo!

— Zapłacę swój rachunek, powiada, jak jakiś lord. A w skrzynce ani koszuli. Samą skrzynkę też oddałby już do lombardu, gdybym jej nie ukryła.

— Pani Mason, powiedziałem, że zapłacę rachunek i to nie był żart — oświadczył Hornblower wyniośle.

— Może więc pan pokaże te swoje pieniądze — zażądała pani Mason, bynajmniej nie przekonana. — Dwadzieścia siedem i sześć.

Hornblower wyjął garść srebra z kieszeni spodni. Ale nie starczyło, musiał więc sięgnąć po banknot do kieszeni munduru, ukazując przy tym, że jest ich tam znacznie więcej.

— Więc tak! — powiedziała pani Mason. Spojrzała na trzymane w dłoni pieniądze, jakby były nieprawdziwe, i na jej obliczu odmalowała się walka przeciwstawnych uczuć.

— Daję też pani tygodniowe wypowiedzenie — dodał spiesznie Hornblower.

— O, nie! — jęknęła Maria.

— Przecież ma pan na górze ładny pokój — łagodziła go pani Mason. — Nie opuści mnie pan



z powodu paru słów.

— Panie Hornblower, proszę nas nie opuszczać — nalegała Maria.

Hornblower był zupełnie zbity z tropu. Spojrzawszy na niego Bush nie mógł opanować uśmiechu. Mężczyzna zachowujący zimną krew przy grze o wysokie stawki z admirałami, człowiek co wystrzelił salwę burtową, która wyciągnęła z mielizny „Renown” wystawiony na ogień rozpalonych do czerwoności pocisków, był bezradny wobec dwóch kobiet. Mógł bez kłopotu zapłacić rachunek — a w razie konieczności także komorne za tydzień, zamiast wypowiedzenia — i otrząsnąć ze stóp pył tego miejsca. Z drugiej jednak strony mieszkał tu na kredyt i nieładnie byłoby odejść z chwilą, gdy stać go było na zapłacenie. Ale nie uśmiechało mu się zostawać dalej w domu, gdzie znano jego tajemnice. Dumny Hornblower, który wstydził się zawsze objawiania człowieczeństwa, czułby się źle wśród ludzi, którzy wiedzą, że był na tyle człowiekiem, by mieć długi. Bush uświadamiał sobie problemy, z którymi borykał się Hornblower, i te przyjemne, i gorzkie. I czuł do niego sympatię, nawet pokpiwając z niego, i szacunek, mimo znajomości jego słabostek.

— Kiedy panowie jedli kolację? — spytała pani Mason.

— Chyba nie jedliśmy wcale — odrzekł Hornblower spoglądając bokiem na Busha.

— Musicie być głodni, skoro byliście na nogach całą noc. Zrobię wam dobre śniadanie. Po dwa grube kotlety na każdego. Co panowie na to?

— Niech to lichy! — powiedział Hornblower.

— Idźcie na górę — ciągnęła pani Mason, — Przyślę wam przez dziewczynę gorącej wody, żebyście mogli się ogolić. A gdy zejdziecie na dół, będzie już czekało dobre śniadanie. Maria, leć rozpalić kominek.

Gdy znaleźli się na poddaszu, Hornblower spojrzał dziwnie na Busha.

— Łóżko, za które zapłacił pan szylinga, jest dziewicze — powiedział. — Nie zmrużył pan oka przez całą noc i to moja wina. Proszę mi wybaczyć.

— To nie pierwsza moja bezsenna noc — zauważył Bush. Nie spał tamtej nocy, gdy przypuszczali szturm do Samaná; przy nie sprzyjającej pogodzie często zostawał na pokładzie przez całą dobę bez przerwy. A po miesiącu życia z siostrami w domku w Chichester, gdzie nie miał nic do roboty poza pielaniem ogródka i gdzie z tego względu starał się sypiać po dwanaście godzin na dobę, porcja wrażeń, których doświadczył, była nawet przyjemna. Siadł na łóżku, a Hornblower przemierzał pokój krokami.

— Będzie pan miał mnóstwo wrażeń, jeśli to wojna — zauważył, a Bush wzruszył ramionami.

Stukanie do drzwi oznajmiło przybycie służącej do wszystkiego z dzbankiem gorącej wody w każdej ręce. Miała na sobie zniszczoną sukienkę, za dużą na nią — pewnie po pani Mason albo po Marii — włosy też miała skudłane, ale i ona wnosząc wodę wlepiła w Hornblowera szeroko

otwarte oczy. Te jej oczyska były zbyt duże w wychudłej twarzy; śledziły ruchy Hornblowera po pokoju, Bushowi nie poświęcając ani jednego spojrzenia. Widać było wyraźnie, że Hornblower jest bohaterem marzeń tej cztertnastoletniej znajdy, tak samo jak Marii.

— Dziękuję ci, Susie — powiedział Hornblower i Susie dygnęła; wychodząc z pokoju rzuciła jeszcze jedno spojrzenie od drzwi.

Hornblower skinął od umywalni z miednicą pełną gorącej wody.

— Pan pierwszy — rzekł Bush.

Hornblower ściągnął z siebie mundur i koszulę i zabrał się do golenia, z głośnym skrobaniem ostrza brzytwy po zarośniętych policzkach; odwracał twarz to w jedną, to w drugą stronę, żeby ją dokładnie ogolić. Żaden z nich nie czuł potrzeby rozmowy i Hornblower skończył myć się w milczeniu, wylał wodę do kubła i odsunął się, żeby zrobić Bushowi miejsce do golenia.

— Niech pan używa — mówił Hornblower. — Kwarta słodkiej wody dwa razy tygodniowo na golenie to wszystko, co będzie pan mógł dostawać.

— Nieważne — powiedział Bush.

Ogolił się, starannie wyostrzył brzytwę na pasku i włożył ją do zawiniątka z przyborami toaletowymi. Ubrawszy się, spojrzał na Hornblowera.

— Kotlety — powiedział Hornblower. — Grube kotlety. Idziemy.

Na stole w łączącym się z hallem pokoju jadalnym leżało kilka nakryć, ale nikt przy nich nie siedział; widocznie inni lokatorzy pani Mason nie jadalі śniadania o tej porze.

— Minutka, sir — rzekła Susie — pokazując się na moment w drzwiach i pognęła do kuchni.

Wróciła uginając się pod ciężarem tacy; Hornblower odsunął krzesło i chciał jej pomóc, ale zaprotestowała z oburzeniem i postawiła jakoś tacę na stolik boczny.

— Mogę podawać, sir — rzekła.

Biegała między dwoma stołami jak chłopcy z linkami do przewiązów przy wybieraniu liny kotwicznej kabestanem. Dzbanek z kawą i grzanki, masło i dżem, przyprawy i gorące talerze, a potem duży półmisek, który postawiła przed Hornblowerem. Zdjęła pokrywę, ukazując wspaniałe kotlety, i rozkoszna woń, dotąd uwięziona, napełniła pokój.

— Ach! — westchnął Hornblower ujmując łyżkę i widelec, żeby sobie nałożyć.— Susie, jadłaś śniadanie?

— Ja, sir? Nie, sir. Jeszcze nie, sir.

Hornblower zatrzymał widelec i łyżkę w dłoni, jeszcze raz spojrzał na Susie znad kotletów.

Potem położył łyżkę i sięgnął do kieszeni spodni.

— Czy nie mogłabyś w jakiś sposób zjeść jednego kotleta z tych tutaj? — zapytał.

— Ja, sir? Oczywiście że nie, sir.

— Więc masz tu pół korony.

— Pół korony, sir!

Było to więcej od dniówki robotnika.

— Musisz mi coś przyrzec, Susie.

— Sir... sir!...

Susie schowała ręce za siebie.

— Weź to i przyrzeknij mi, że przy pierwszej okazji, jaka ci się nadarzy, gdy tylko pani Mason pozwoli ci wyjść, kupisz sobie coś do jedzenia. Napchaj ten swój biedny mały brzusek. Klopsiki z wątróbki i pur\_e\_e z -grochu, ratki wieprzowe, wszystko co lubisz. Przyrzeknij mi.

— Ale, sir...

Pół korony, perspektywa całego mnóstwa jedzenia — to nie mogło być prawdziwe.

— No, bierzże — nalegał Hornblower zirytowanym głosem.

— Tak, sir.

Susie zacisnęła monetę w chudziutkiej dłoni.

— Pamiętaj, co mi obiecałaś.

— Tak, proszę pana, dziękuję, sir.

— A teraz zabieraj to wszystko i zmykaj.

— Tak, sir.

Wybiegła z pokoju, a Hornblower zabrał się do nakładania kotletów.

— Teraz będę mógł zjeść śniadanie ze smakiem — powiedział na pół do siebie.

— Nie wątpię — zgodził się Bush; posmarował grzankę masłem, położył trochę musztardy na talerz; baranina z musztardą — tak jadali marynarze, ale on sięgnął po nią machinalnie. Mając przed sobą dobre jedzenie nie czuł potrzeby myśleć i jadł w milczeniu. Dopiero gdy Hornblower się odezwał, Bush zdał sobie sprawę, że jego milczenie zostało zrozumiane jako wyraz potępienia.

— Pół korony — mówił Hornblower, jakby się broniąc — może oznaczać różne rzeczy dla różnych ludzi. Wczoraj...

— Ma pan słuszność — przerwał Bush, wypełniając lukę, jak nakazywała grzeczność, a potem podniósł wzrok i pojął, że Hornblower nie dokończył swego zdania nie dlatego, że nie wiedział, co mówić.

We framudze drzwi jadalni stała Maria; czepeczek, rękawiczki i szal wskazywały, że wybiera się do wyjścia, może na wczesne zakupy, gdyż szkoła, gdzie uczyła, była chwilowo nieczynna.

— Zaj... zajrzałam sprawdzić, czy panowie mają wszystko, co trzeba — tłumaczyła się. Wahanie w jej głosie wydawało się świadczyć, że słyszała ostatnie słowa Hornblowera, ale trudno było wiedzieć na pewno.

— Dziękujemy. Wszystko wspaniałe — powiedział Hornblower z pełnymi ustami.

— Proszę, siedźcie panowie — powiedziała spieszenie Maria z lekkim tonem wrogości w głosie, gdy obaj z Bushem chcieli się podnieść. Oczy miała wilgotne.

Stukanie do drzwi od ulicy rozładowało napięcie; Maria zbiegła na dół otworzyć. Usłyszeli głos męski i Maria wróciła z wysokim kapralem piechoty morskiej postępującym za jej małą figurką.

— Porucznik Hornblower? — zapytał.

— To ja.

— Od admirała, sir.

Kapral podał pismo i złożoną gazetę. Hornblower szalał z niecierpliwości, szukając ołówka, żeby pokwitować odbiór. Potem kapral wyszedł stuknąwszy obcasami, a Hornblower stał, z listem w jednej ręce, a gazetą w drugiej.

— Och, proszę otworzyć, sir... proszę otworzyć — powiedziała Maria.

Hornblower przełamał pieczęć i rozpostarł list. Przeczytał jego treść raz, potem drugi, kiwając przy tym głową, jakby pismo potwierdzało jakąś jego hipotezę.

— Jak pan widzi, czasem warto grać w wista — przemówił — nawet bardzo warto.

Podał pismo Bushowi z nieco krzywym uśmiechem.

Sir (czytał Bush)

Z przyjemnością korzystam z okazji poinformowania Pana, zanim nadejdzie wiadomość oficjalna, że Pański awans na kapitana został zatwierdzony i że wkrótce zostanie Pan mianowany dowódcą korwety wojennej.

— Na Boga sir! — wykrzyknął Bush. — Gratuluję. Po raz drugi, sir. Jak już przedtem mówiłem, w pełni zasługuje pan na to.

— Dziękuję — odparł Hornblower. — Proszę czytać do końca.

Przybycie w tej chwili wozu pocztowego z gazetami londyńskimi (o czym mowa w następnym ustępie) pozwala mi przesłać Panu wiadomość o zmianie sytuacji, bez zbędnego rozpisywania się w liście. Z załączonego egzemplarza „Sun” zorientuje się Pan, dlaczego w czasie naszego miłego wieczoru musiały być zachowane warunki tajemnicy wojskowej, tak że nie muszę się tłumaczyć z niepoinformowania Pana. Pozostaję

z wyrazami głębokiego szacunku,

Parry

Zanim Bush skończył czytać, Hornblower znalazł w dzienniku odpowiedni ustęp, który wskazał Bushowi.

Wiadomość od Jego Królewskiej Mości

Izba Gmin, 8 marca 1803

Minister Skarbu przekazał następującą wiadomość od Króla:

„Jego Królewska Mość uznaje za konieczne powiadomić Izbę Gmin, iż wobec poważnych przygotowań wojennych czynionych w portach Francji i Holandii uznaje za stosowne podjąć dodatkowe środki ostrożności dla bezpieczeństwa swoich dominiów.

Jerzy R[16]”.

Dalej Bush nie musiał czytać. Płaskodennej flocie Bonapartego i przygotowanej do inwazji armii zgromadzonej wzdłuż wybrzeży Kanału przeciwstawiono się we właściwy i konieczny sposób. Branka ubiegłej nocy, zaplanowana i przeprowadzona w tajemnicy, którą Bush akceptował z całego serca (prowadził osobiście zbyt wiele oddziałów łapiących ludzi do marynarki wojennej, aby nie wiedzieć, w jakie przerażenie wpadali marynarze na samą wzmiankę o brance), zapewni niezbędne załogi dla okrętów, by mogły bronić bezpieczeństwa Anglii. Okrętów było mnóstwo; stały nieczynne w każdym porcie angielskim; oficerów także — Bush wiedział doskonale, ilu ich czekało na zatrudnienie. Z flotą w pełnej obsadzie wyprowadzoną w morze Anglia będzie mogła kpić sobie z ataku podstępnie planowanego przez Bonapartego.

— Na Boga, raz przynajmniej zrobili, co należy! — powiedział Bush uderzając dłonią w gazetę.

— Co się dzieje? — spytała Maria.

Stała milcząca i obserwując obu mężczyzn przesuwiała wzrok z jednego na drugiego, starając się wyczytać coś z ich twarzy. Bush przypomniał sobie, jak twarz jej przebiegł żaloszny skurcz, gdy

składał Hornblowerowi gratulacje.

— W przyszłym tygodniu zaczyna się wojna — powiedział Hornblower. — Bonius nie znieśie dumnej odprawy.

— Och! — przeraziła się Maria. — A pan... co z panem?

— Zostałem mianowany kapitanem — oznajmił Hornblower. — Mam dowodzić dozorowcem.

— Och! — powtórzyła Maria.

Przez sekundę lub dwie usiłowała bohatercko opanować płacz, lecz potem załamała się. Głowa jej opadała coraz niżej w dół, aż przyłożywszy dłonie w rękawiczkach do twarzy odwróciła się od nich obu, tak że widzieli tylko jej przykryte szalem plecy wstrząsane łkaniem.

— Mario — przemówił Hornblower łagodnie — Mario, proszę cię, nie płacz.

Maria obróciła ku niemu zapłakaną twarz w przekrzywionym czepku.

— Ja n... n... nigdy już pana nie zobaczę. — mówiła przez łzy. — Tak się cieszyłam z powodu ś... świnki w szkole, myślałam, że będę sła... słać panu łóżko i sprzątać pokój. A teraz co!

— Ależ, Mario... — ciągnął Hornblower, składając bezradnie ręce — muszę spełnić swój obowiązek.

— Chciałabym um... umrzeć! Naprawdę chciałabym umrzeć! — jęknęła Maria i łzy strumieniem potoczyły się z policzków na szal; płynęły z pełnych rozpaczycy oczu, lecz jej szerokie usta wciąż były bez wyrazu.

Takiego widoku Bush nie mógł znieść. Podobały mu się ładne, wesolutkie kobietki. Ta, którą miał teraz przed oczyma, złościła go niewymownie — może drażniła jego zmysł estetyki, chociaż trudno było posądzać Busha o coś takiego. Raczej irytował go wybuch nieopanowanej hysterii; jeśli tak, to zirytował go ponad wszelką miarę. Czuł, że dostanie apopleksji, jeśli będzie jeszcze choć minutę patrzeć na szlochającą Marię.

— Idziemy stąd — powiedział do Hornblowera.

Odpowiedzią było zdumione spojrzenie. Hornblowerowi nie przyszłoby do głowy wycofywać się z sytuacji, za którą z powodu swego charakteru czuł się odpowiedzialny. Bush wiedział doskonale, że Maria uspokoi się z upływem czasu. Wiedział z doświadczenia, że kobiety pragnące umrzeć dziś mogły być wesołe jak szczygiełki następnego dnia, gdy inny mężczyzna pogłaskał ich podbródek. W każdym razie nie pojmował, czemu on i Hornblower mieliby przejmować się czymś, co było wyłączną winą Marii.

— Och! — jęknęła Maria; postąpiła do przodu i oparła się rękami o stół, z ostyglým dzbankiem z kawą i na pół zjedzonymi kotletami z krzepnącym na nich tłuszczem. Uniosła głowę i znowu uderzyła w płacz.

— Och, na litość boską... — odezwał się Bush z niesmakiem i zwróciwszy się do Hornblowera dodał: — Idziemy.

Znalazłszy się na schodach Bush uświadomił sobie, że Hornblower nie poszedł za nim i nie pójdzie. Ale nie wrócił po niego. Chociaż Bush nie był człowiekiem zdolnym do opuszczenia towarzysza w niebezpieczeństwie, chociaż bez wahania zająłby jego miejsce w łodzi płynącej przez najstraszliwszą kipieli na ratunek ginącym, chociaż stanąłby ramię w ramię z Hornblowerem i dał się posiekać na kawałki przez przeważającego nieprzyjaciela — mimo to wszystko nie wrócił ratować przyjaciela. Jeśli Hornblower chciał postąpić jak głupiec, on nie mógłby go powstrzymać. Dla spokoju sumienia powiedział sobie, że być może Hornblower nie zachowa się jak głupiec.

Wszedłszy na poddasze Bush zaczął pakować koszulę nocną i inne drobiazgi toaletowe. Dokładne sprawdzanie, czy zabrał brzytwę, grzebień i szczotki i czy niczego nie zostawił, uspokoiło jego wzburzone nerwy. Poprzez rozpraszające się chmury rozdrażnienia widział przed sobą, z cudowną pewnością, perspektywę natychmiastowego zatrudnienia i działania. Zaczął podśpiewywać fałszywie. Należało wstąpić do stoczni, może nawet zajrzeć do „Keppel's Head”, aby omówić zadziwiające wiadomości poranne; powinien iść i tu, i tam, jeśli chciał zapewnić sobie szybko nowe stanowisko. Z kapeluszem w ręku i z rzeczami pod pachą obrzucił pokój ostatnim spojrzeniem, chcąc się upewnić, czy niczego nie zostawił, i wciąż podśpiewując zamknął za sobą drzwi mansardki. Zanim zszedł ze schodów do hallu, zatrzymał się na moment nie dlatego, by się zastanawiał, czy ma wejść do jadalni, lecz układając sobie w myśli, co powie, gdy tam wejdzie.

Maria otarła łzy. Stała uśmiechając się, we wciąż jeszcze przekrzywionym czepku. Hornblower też miał uśmiech na twarzy, może z ulgi, że Maria przestała płakać. Obejrzał się, słysząc kroki Busha, i na jego twarzy odmalowało się zdziwienie na widok kapelusza i zawiniątka.

— Wyruszam w drogę — oznajmił Bush. — Muszę podziękować panu za gościnność, sir.

— Ale... — zdziwił się Hornblower — nie musi pan odchodzić już teraz.

Bush znowu użył słówka „sir”. Tyle razem przeżyli i tak wiele wiedzieli o sobie. Teraz znowu zbliżała się wojna i Hornblower stał się przełożonym Busha. Bush wyjaśnił, co chciał jeszcze załatwić przed odjazdem dyliżansu do Chichester, i Hornblower skinął głową ze zrozumieniem.

— Niech pan zapakuje skrzynkę z rzeczami — rzeki — niedługo będzie panu potrzebna.

Bush odkasznął, przygotowując się do wypowiedzenia oficjalnych słów.

— Nie sformułowałem moich gratulacji w odpowiednich słowach — zaczął. — Chciałem powiedzieć, że wybierając pana do tego awansu Admiralicja nie mogła znaleźć nikogo lepszego ha całej liście poruczników, sir.

— Jest pan zbyt uprzejmy — powiedział Hornblower.

— Ja uważam, że pan Bush ma całkowitą rację — wtrąciła Maria.

Wpatrywała się w Hornblowera z widoczną adoracją, a on spoglądał na nią z bezbrzezną

dobrocią. Ale w jej uwielbieniu można już było wyczuć, że zaczyna traktować go jak swoją własność, a w jego dobroci był jakiś smutek.

---

[1] „Renown” — „Rozgłos”, do tego znaczenia dopasowano w tekście czasowniki, zgrywając przy okazji rodzaj męski tej nazwy ze słowem „okręt”. Poza tym renown znaczy „sława, renoma”.

[2] Nawiązanie do żargonu marynarskiego, w którym to wyrażenie oznacza wydanie podwójnej racji rumu.

[3] Wachta łamana — wachta od godz 16 do 18.

[4] Wzgórze Słonego Stawu.

[5] Długa Góra.

[6] Fort Skalny.

[7] Scapula (łac.) — bark, łopatka.

[8] Latissimus dorsi (łac.) — mięsień najdłuższy grzbietu.

[9] „Retribution” — „Odwet”.

[10] Saba — jedna z Wysp Podwietrznych.

[11] Angielski odpowiednik naszego „Sto lat..”

[12] To znaczy: do Kanału Angielskiego. Downs — nazwa redy w tym kanale między cyplem północnym a południowym, ulubionego kotwicowiska żaglowców, chronionego mieliznami Goodwin Sands.

[13] Chodzi o grę hazardową, o poker „kościany”. Używa się do niej pięciu kostek i polega na uzyskaniu w trzech rzutach pary, trójki, fuli lub czwórki czy piątki np. w dziesiątkach czy królach — aż do piątki asów. Rzucający kości, zanim je rzuci, wywołuje cyfrę, od piątki do dziewiarki.

[14] W or.: Oak-Apple Day — 29 maja, rocznica restauracji monarchii wraz z przywróceniem na tron Karola II.

[15] Sir William Parry (1790—1885), kontradmirał, był w r. 1810 zaledwie porucznikiem. Forester przesunął jego życiorys wstecz, bo jest 1803 r.

[16] R. — Rex (łac). — król.